

ZESZYT SIEDEMDZIESIĄTY PIĄTY

ZESZYTY HISTORYCZNE

INSTYTUT
PARYŻ



LITERACKI
1986

ZESZYT SIEDEMDZIESIĄTY PIĄTY

ZESZYTY HISTORYCZNE

INSTYTUT

PARYŻ



LITERACKI

1986

BIBLIOTEKA « KULTURY »

TOM 414

ISBN 2-7168-0079-0

IMPRIME EN FRANCE

Editeur : INSTITUT LITTERAIRE, S.A.R.L.,
91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi
par 78600 MAISONS-LAFFITTE

Krzysztof POMIAN

PRZESTRZEŃ I CZAS HISTORII

Rzeczą historyków, co każdemu wiadomo, jest czas. Zapomina się jednak — a i oni zapominają niekiedy, — że ich rzeczą jest również przestrzeń. Dokładniej: że muszą liczyć się z przestrzenią, by nie pozbawić realności samego czasu dziejów.

Tę nieodłączność czasu dziejów od przestrzeni można wywieść, dzięki kilku założeniom posiłkowym, z fizyki współczesnej. Ale wiedza — matematykę pomijając — nie bogaci się w trybie dedukcji. By narzucić historykom uznanie przestrzeni za realną, trzeba było wykazać, że daje się ją badać w sposób swoistocie historyczny i że takie badanie wzbogaca naszą znajomość przeszłości. Zrobić tego nie mógł żaden manifest. Żaden program. Fernand Braudel (1902-1985) przeprowadził w swym dziele odpowiedni przewód dowodowy i zmienił przeto podstawy pojęciowe uprawiania historii. Właśnie dlatego zajął w jej dziejach miejsce pośród największych.

I

W 1929 roku Lucien Febvre (1878-1956) założył wraz z Markiem Blochem (1884-1944) słynny periodyk *Annales d'histoire économique et sociale*, który pod zmienionym tytułem ukazuje się po dziś dzień (od 1946 roku — *Annales. Economies. Sociétés. Civilisations*). W życiu Braudela miał on odegrać wielką rolę. Zaczęło się jednak skromnie: od skierowanej do Febvre'a porady w sprawach związanych z badaniami nad polityką śródziemnomorską Filipa II; taki był wtedy temat pracy doktorskiej Braudela. Febvre podsunął mu wtedy myśl, by ten klasyczny temat zastąpić innym: Morze Śródziemne i Filip II. Minęło dziesięć lat, które Braudel spędził studiując archiwa hiszpańskie, francuskie, włoskie, dawnej Raguzy (obecnie Dubrownik), niemieckie, austriackie;

opis wykorzystanych źródeł rękopiśmiennych zajmuje w pierwszym wydaniu jego pracy 18 stron drobnego druku. Gdy kwerenda była w zasadzie skończona, wybuchła wojna. Braudel, oficer artylerii, dostał się do niewoli i spędził pięć lat w oflagach. Tam właśnie, bez książek i notatek, odtwarzając z pamięci wyniki wieloletnich poszukiwań, napisał tysięczstronicową rozprawę, którą, w miarę zapewniania kolejnych zeszytów, wysyłał do swego mistrza Febvre'a. Ostateczna redakcja tytułu pokazuje zakres dzieła: *Morze Śródziemne i świat śródziemnomorski w epoce Filipa II*. Obrona odbyła się w 1947 roku; książka — jedna z najbardziej niezwykłych książek historycznych XX wieku — ukazała się dwa lata później.

Bohaterem pracy doktorskiej Braudela miał być pierwotnie Filip II. Ostatecznie rola ta przypadła Morzu Śródziemnemu wraz z ogromnym obszarem, na który rozciągał się jego wpływ. Przedmiotem historii stała się tedy forma przestrzenna, zaś pierwszoplanowa ongiś postać historyczna spadła na dalsze miejsce. Ta przełomowa zmiana była możliwa tylko dlatego, że zarówno Febvre jak Braudel ukształtowali się jako historycy w polu wpływów francuskiej szkoły geograficznej. Febvre był uczniem jej twórcy, Braudel — jednego z czołowych przedstawicieli jej pierwszego pokolenia. Obaj w pewnym zakresie sami uprawili geografię i, jak zresztą cały krąg *Annales*, współpracowali z geografami. Nauczyli się od nich, że historyk winien nie tylko siedzieć w archiwach, ale również wędrować po terenie, nie tylko badać przeszłość, ale również — po to, by ją zrozumieć — rozglądać się wokół siebie, patrzeć i widzieć. I że winien czytać nie tylko źródła pisane, ale również krajobrazy, twarze, przedmioty.

II

Uznać realność przestrzeni — to przede wszystkim opisać ją w terminach jakościowych, zapożyczonych od geografii i innych nauk o środowisku. To, dalej, badać gęstość zaludnienia, rozrodzności i śmiertelności, migracje, trwanie życia ludzkiego, odżywianie się, osadnictwo, zdrowie, pracę i spoczynek, ujmując wszystkie te zmienne w związku nie tylko z upływem czasu, lecz również z właściwościami przestrzeni. To wreszcie zmierzyć odległości i prędkości — prędkości poruszania się ludzi, krążenia towarów i nowin, zależnie od dostępnej siły pociągowej i technik transportu oraz od kierunków, żywiołów, pór roku, rozmiarów wędrujących grup, ciężaru i natury przewożonych rzeczy.

W tak opisanej przestrzeni żyją i działają zbiorowości ludzkie powiązane wymianą gospodarczą, podległością temu samemu władcy, wspólnotą dóbr kulturowych, a zarazem nękanie konfliktami społecznymi, wojną, korsarstwem. Zaś na czele formacji politycznych, wojsk i flot, przedsiębiorstw i ambasad — instytucji powołanych do utrzymywania więzi, panowania podboju — działają jednostki, które podejmują decyzje i wydają rozkazy.

Uznać realność przestrzeni — to pokazać, że zbiorowości i jednostki muszą zawsze walczyć również przeciwko niej, pokonując przeszkody, jakie stawia zaopatrzeniu miast, rządzeniu państwami, prowadzeniu wojen, zamierzeniom bankierów i kupców i rokovaniom dyplomatów.

Morze Śródziemne Braudela pokazuje to wszystko, a tym samym pozwala zrozumieć rolę przestrzeni w ciągu długiego XVI wieku, a właściwie w ciągu całej epoki poprzedzającej rewolucję przemysłową. Wraz z tym i dzięki temu Braudel wprowadza nowe ujęcie czasu historycznego. Każdy z trzech poziomów, które rozróżnia: przestrzeń śródziemnomorska, dziedzina grup, dziedzina jednostek — odznacza się bowiem właściwym sobie rytmem. Pierwsza trwa w zupełnym niemal bezruchu, jak techniki, które pozwalają nad nią panować, i nawyki ukształtowane wielowiekowym dostosowywaniem się do jej wymogów. Druga pulsuje ze zmienną częstością, przeżywając na przemian okresy wzrostu i regresu; wzrost napotyka bowiem każdorazowo bariery strukturalne, które nie dają się ani przesunąć, ani przekroczyć. W trzeciej dokonują się punktowe i widowskie zmiany, przedzielone nierównomiernymi odstępami.

Struktury, koniunktury, zdarzenia: wprowadzona przez Braudela trójdzielnosc czasu historycznego okazała się zadziwiająco płodna. Po pierwsze dlatego, że skierowała uwagę historyków ku długiemu trwaniu, odkrytemu przez Braudela czasowi struktur, którego uwzględnienie otwarło zupełnie nowy obszar badań. Po drugie, ponieważ stworzone przez Braudela ramy przestrzenno-czasowe umożliwiły włączenie do historii nie tylko wymiaru geograficznego społeczeństw ludzkich, ale nadto gospodarki i demografii, ich struktur i ich koniunktur. Toteż *Morze Śródziemne* stało się jednym z głównych źródeł programu badawczego, którego realizację należą do najwybitniejszych osiągnięć historiografii francuskiej minionych czterdziestu lat.

W osiągnięciach tych Braudel miał swój udział również jako organizator. W latach 1950-1972 był profesorem w Collège de France, a zarazem od 1953 roku prezydentem VI sekcji Ecole Pratique des Hautes Etudes, czyli wydziału nauk społecznych tej uczelni, który stworzył wraz z Febvrem i któremu nadał rangę międzynarodową. Od 1946 roku był współredaktorem, a po śmierci Febvre'a redaktorem naczelnym *Annales*. Przez jego seminarium przewinęli się historycy — i nie tylko historycy — z większości krajów, a wśród jego współpracowników znaleźli się Anglicy i Włosi, Hiszpanie, Portugalczycy i Amerykanie. Jesienią 1944 w oflagu w Lubece zawarł znajomość z kilkoma historykami polskimi wywiezionymi tam po Powstaniu Warszawskim. Zaowocowało to po Październiku 1956 wieloletnią bliską współpracą zwłaszcza z Instytutem Historii PAN i Instytutem Historycznym UW. Historycy polscy byli częstymi gośćmi w VI sekcji, wielu z nich publikowało w *Annales*, a prace Bronisława Geremka, Witolda Kuli, Mariana Małowista i Karola Modzelewskiego zyskały

sobie w tym kręgu wysokie uznanie. Po przejściu Braudela na emeryturę te tradycje bliskich związków VI sekcji (od kilku lat: Ecole des Hautes Etudes en Sciences Sociales) z historykami polskimi są utrzymywane przez jego następców. Każdy z nas z osobna i wszyscy razem mamy wobec niego szczególnie wysoki dług wdzięczności.

III

Gospodarczo samowystarczalny, obszar śródziemnomorski w granicach, jakie wytycza mu Braudel, jest do XVI wieku światem samym dla siebie. Jednym z kilku takich światów rozrzuconych na powierzchni Ziemi, których wzajemne stosunki są przypadkowe i powierzchowne. Ale od XVI wieku świat śródziemnomorski ulega wraz z innymi stopniowemu włączeniu w nowy świat gospodarczy, który, w odróżnieniu od swych poprzedników, osiąga w ciągu trzech stuleci wymiar planetarny. Równolegle do tego kształtowania się gospodarki światowej wyodrębniają się i indywidualizują w Europie gospodarki narodowe. Ten dwoisty proces był przedmiotem badań Braudela po ogłoszeniu *Morza Śródziemnego*. Przygotowując nowe, rozszerzone i uwspółcześnione wydanie tego dzieła, które ukazało się w 1966 roku, poświęca on od 1952 roku swe wykłady w Collège de France historii Francji od XV do XVIII wieku, a od 1959 roku — historii życia materialnego tegoż okresu.

Cywilizacja materialna, gospodarka i kapitalizm w XV-XVIII wieku — to tytuł kolejnego *opus magnum* Braudela, którego tom pierwszy ukazał się w 1967 roku, a całość — dwanaście lat później. Rozmiary są iście braudelowskie: trzy pokaźne tomy. Pierwszy, *Struktury codzienności*, traktuje o reprodukcji ludności, odżywianiu się i napojach, mieszkaniach i ubiorach, źródłach energii, metalurgii, transporcie, pieniądzu i miastach. Drugi, *Gry wymiany*, mówi o jarmarkach, rynkach, kramach, sklepach i bankach, o wytwarzaniu dóbr w rolnictwie, rzemiośle i manufakturach, o spółkach, towarzystwach akcyjnych, monopolach i konkurencji, o hierarchii społecznej i roli państwa. Trzeci, *Czas świata*, analizuje światy gospodarcze, ich rytmy, cykle i tendencje, oraz ich organizację przestrzenną w Europie, skupioną pierwotnie wokół Wenecji, później wokół Amsterdamu, by przejść następnie do kształtowania się rynków narodowych, zwłaszcza we Francji i w Anglii, do konfrontacji Europy z innymi światami, do rewolucji przemysłowej wreszcie, która otworzyła nową epokę innowacji technicznych i długotrwałego wzrostu gospodarczego.

Odstania się tu trójdzielność czasu historycznego — długie trwanie, oscylacje, zdarzenia — stale obecna w myśleniu Braudela. Nie pomniejsza to w niczym oryginalności *Cywilizacji materialnej*. Ta zasada się bowiem na zawartej w tym dziele propozycji rozwiązania problemu dziejów powszechnych w tej postaci, jaką przybiera, gdy próbuje się konsekwentnie wpisać historię w

przestrzeń. Dzieje powszechne były bowiem ujmowane bardzo długo wyłącznie jako czas, jako sfera postępu, który stale zwiększa dobrobyt, wiedzę i potęgę, a może nawet mądrość i szczęście ludzkości. Filozofowie, którzy kwestionowali tę wizję, rzadko znajdowali posłuch u historyków. Dopiero wzięcie pod uwagę przestrzeni doprowadziło do uznania wielości kultur czy — jak mówi Braudel — światów gospodarczych, a zatem — wielości historii. Założenie jednolitego kierunku, w jakim mają rzekomo zmierzać dzieje powszechne, okazuje się przeto nie do utrzymania. Krytyka Lévi-Straussa zdyskredytowała je ostatecznie i wraz z nim — samą ideę dziejów powszechnych.

Braudel wydobywa na jaw powszechność struktur bio-technicznych ukształtowanych w następstwie rewolucji neolitycznej: opasowania rolnictwa i hodowli, a później — metalurgii i pisma; cywilizacja wszędzie podobnie odpowiada na podobne wyzwania, choć dostosowuje się, rzecz jasna, do warunków miejsca i czasu. Również rozwój wymiany i kształtowanie się kapitalizmu są, zdaniem Braudela, faktem powszechnym, znanym wszystkim cywilizacjom. Przynajmniej w zakresie instytucji gospodarczych, ewoluowały więc one równolegle. Pozostały jednak odrębnymi światami, żyjącymi w izolacji aż do czasu, gdy Europa zaczęła narzucać im swe panowanie i włączać je do gospodarki światowej, którą stworzyła, i do swojej cywilizacji z jej roszczeniami do ważności powszechnej. Podstawą tej supremacji jest rewolucja przemysłowa, nie jedyna na pewno, gdyż inne cywilizacje miały swoje, ale pierwsza, która odniosła zwycięstwo.

Historia Francji Braudela ma ukazać się w lutym 1986 roku. Wtedy dopiero można będzie ogarnąć całość jego dorobku. Ale jego wielkość jest bezsporna już dziś.

Krzysztof POMIAN

Andrzej Sulima KAMIŃSKI

ŁUDZIE „ZNIEWOLONEGO UMYŚŁU” A EMIGRACJA *

Dość częste wizyty „emisariuszy” z Kraju, powołujących się na związki z Solidarnością lub Kościołem, a starających się o poparcie dla Jaruzelskiego zachęcają do przedłużenia dyskusji, wywołanej artykułem Andrzeja Walickiego, a dotyczącej wyboru ugody lub też walki jako najlepszej drogi zabezpieczenia interesów narodu. Dyskusja taka wydaje się tym potrzebniejsza, że opinie głoszone przez Górnickiego czy Rakowskiego w niezbyt zmienionej formie lansują na użytek Polonii ludzie tacy jak Siła-Nowicki.

Wszystkie porozbiorowe pokolenia Polaków stawiały przed wyborem walki o niepodległość lub ugody, oporu wobec narzuconej władzy lub też lojalizmu usprawiedliwianego patriotyzmem rozsądku. W każdym pokoleniu przeciwko ludziom konspiracji i podziemia stawiali kolaboranci. Tylko w momentach wielkich zrywów większość narodu opowiadała się po stronie niepodległościowców. Natomiast w czasach klęski oficjalnie i lojalnie — w imieniu milczącego narodu — wypowiadali się kolaboranci, ugodowcy, a czasem nawet narodowi zaprzańcy.

* Terminu „emigracja” używam w bardzo zwężonym sensie emigracji politycznej. Emigrantów zarobkowych oraz Polaków urodzonych lub wychowanych poza granicami kraju nazywam Polonią. Obie grupy mają często podobne stanowisko wobec współczesnej Polski, ale emigranci polityczni nie akceptują i nie popierają żadnego z powojennych warszawskich rządów, natomiast Polonia skłonniejsza jest do uznawania krajowego *status quo*.

** *Aneks* nr 35, 1984.

Towarzysząca nam od czasów „Potopu” wiara w niezniszczalność Rzeczypospolitej Obojga Narodów, objętej specjalną protekcją Niebios, została podważona w czasie Konfederacji Barskiej i pogrzebana pod Maciejowicami. Od tego czasu powszechnemu marzeniu o mającej w przyszłości nadejść niepodległości towarzyszy strach przed konsekwencjami klęski, spadającej na naród „przedwcześnie” zrywający się do walki. Konieczność poderwania do powstania nie tylko braci herbowej, lecz całego narodu wymagała od naszych szlacheckich przodków obok daniny krwi także ofiary z ziemi. Powstanie łączyło się z myślą o rewolucji społecznej lub dobrowolnym obdarowaniu chłopów prawami i ziemią. W takiej sytuacji — z pokolenia w pokolenie — tylko małe grupy zapaleńców przygotowywały się do walki, mającej wybuchnąć nie za dziesiątki lat, lecz zaraz, za kilka miesięcy lub rok najdalej. Wystarczy wspomnieć nastroje przed powstaniem listopadowym i styczniowym, by natychmiast dostrzec dramatyczne rozdarcie między licznymi „realistami” a młodzieżą spod znaku Wysokiego czy Bobrowskiego. Na aktywnych niepodległościowców czekały szubienice, Sybir, Szlisselburg, Cytadela, Spielberg, Kufstein i Moabit.

Rozsądna większość nie pochwalała młodocianych konspiratorów, obawiając się konsekwencji ich akcji. Nastroje odpowiedzialnych patriotów najlepiej mym zdaniem oddaje cytowany przez Kieniewicza Jakub Gieysztor, który na zebraniu przedstawicieli obozu „białych” w grudniu 1862 roku oświadczył: „Jestem tak przeciwny dziś powstaniu, że wolałbym zginąć tu pod sztyletami zapaleńców — byle tylko nie dopuścić do wybuchu, ale panowie... gdy już powstanie wybuchnie — ja będę z narodem”. Odpowiadając na zastrzeżenia, dodał: „Nie, panowie, nie łudźcie się, nie oszukujcie samych siebie. Nie tylko ja, ale i każdy z was zrobi to samo”.

To nie wola czynu „czerwonych”, a także nie twarda decyzja Wielopolskiego podjęcia kolaboracji — podobno dla dobra Polaków, a wbrew Polakom — jest mottem przewodnim naszych nowożytnych czasów. Jest nim natomiast wystąpienie Gieyszтора. Nawołuje ono do trwania w oporze „bez szaleństw”, ale w ścisłym związku z narodem. Ulega licznym fluktuacjom. Często, odrzucając tak zniechęcony przez Piłsudskiego mały „rozsądek”, rzuca się w powstania i walki uliczne. Czasem poświęca wzniosłe idee dla zabezpieczenia — choćby częściowego — instytucji, środowisk i kultury.

Pamiętajmy jednak, że Jakub Gieysztor i Andrzej Zamoyski nie wybrali „mniejszego zła” dla powstrzymania wybuchu powsta-

nia. Nawet za cenę zamiany moskiewskich wojskowych satrapów na cywilny polski rząd margrabiego Wielopolskiego nie zgodzili się na współudział w kolaboracji. Nazywa się ich przedstawicielami zbankrutowanej politycznie szlacheckizny. Doprawdy nawet w marksistowskiej Warszawie nieładnie tak pisać o warstwie i ludziach, którzy poświęcili dobra i życie dla swego kraju. Gieysztor Sybirem a Zamoyski wygnaniem dowiedli, że nie byli zbankrutowanymi patriotami.

Wspominam o tym, gdyż bardzo trudna jest sytuacja pokonanych, gdy przystępują do pertraktacji ze swym zwycięskim wrogiem. Często ci, którzy wybierają drogę umów i koncesji, wiele potrafią uratować, ale zawsze niezależnie od swych najlepszych intencji i wymiernych korzyści przynoszą też wiele zła. Nawet tylko pozory ugody i lojalizmu osób znanych i szanowanych powodują osłabienie ogólnonarodowego oporu i otwierają tamy dla miałkiego, niszczącego więź społeczną oportunistów. A gdzie rozplenia się oportunizm i sobkostwo, tam zwiększają się szeregi ugodowców i lojalistów. Kolaboranci uzyskują szerszą bazę dla swej działalności i już nie tylko spiskowców i konspiratorów ścigają, lecz także epigonów Andrzeja Zamoyskiego i Jakuba Gieyszтора. Przestają się interesować umowami, lecz domagają się i narzucają bezwzględne posłuszeństwo. Zamiera wtedy ruch oporu, demoralizuje się młodzież i dochodzi do akcji tak haniebnych, jak zbiórka z Kongresówki miliona rubli na dar powitalny dla wizytującego Warszawę Mikołaja II (1897 r.) przy jednoczesnym wpłacaniu groszy na Skarb Narodowy założony przez Jeża Miłkowskiego. Skarłowacizną patriotyzm trójlojalizmu i pasywizmu, mający zabezpieczyć biologiczny byt narodu i wzmocnić jego siłę ekonomiczną, doprowadził do sytuacji, w której miliony Polaków powołanych w szeregi wojsk państw zaborczych strzelało do siebie w okresie pierwszej wojny światowej. W tym samym czasie zamykały się drzwi i okna przed wkraczającymi do Kongresówki oddziałami Piłsudskiego. Niektórzy poborowi z okolic Kielc i Radomia, zamiast przyłączyć się do drużyn strzeleckich, woleli uciekać od „obcych Polaków” na wschód do „swoich” (patrz wspomnienia Sokolnickiego).

Jeśli podobny zamęt uczuć mógł opanować pokolenia dzieci i wnuków powstańców styczniowych, to obecnie jesteśmy w groźniejszej sytuacji, gdyż do lojalności i współpracy wzywa nas nie obcy zaborca, lecz — z woli Sowietów — rząd polski. Podobno już nam nie grozi powtórzenie nieszczęsnych dni pierwszej wojny światowej. Rzeczywiście, nie ma już trzech zaborców. Pozostała nam jednak służba obcym interesom. Pamiętajmy, że wojska polskie wtargnęły do Czechosłowacji w 1968 roku już nie w imię

najbrudniejszego nawet nacjonalizmu, lecz na rozkaz i w służbie sowieckiej. Wywołało to bardzo nikły sprzeciw społeczny.

Od czasów rozbiorów obce wojska utrzymywały spokój na ulicach Warszawy, Krakowa, Wilna, Lwowa i Poznania. Wojska zaborców łamały wszystkie nasze powstania. Rewolucjonistów i spiskowców ścigała obca policja. Rosyjskie wojska rozpędzały wielkie demonstracje robotnicze początków XX wieku. Obce szkoły fałszowały dzieje narodu i jego kultury. Normalna dla każdego europejskiego społeczeństwa walka z rządem o prawa obywatelskie, sprawiedliwość społeczną i demokrację w naszej dziewiętnastowiecznej historii zazębiała się z walką o niepodległość.

Ponad stuletnie zmagania z rządami zaborców zatarły w naszej świadomości narodowej pamięć czasów, w których Polacy walczyli między sobą o prawa i kształt rządu. Uwierzylimy, że najważniejsze jest odzyskanie Polski, o której kształcie zadecydujemy później. To oczywiście uproszczenie, wypływające z naturalnego odruchu serca, warto kontrolować. W przeciwnym wypadku ludzie zabiegający o odzyskanie ojczyzny mogą ją przyjąć nawet z łaski Hitlera lub Stalina. A wtedy ojczyzna będzie zaprzęgnięta nie tylko w służbę obcego państwa, ale też w służbę złowieszczej idei. Takimi było kilka państw europejskich w okresie Hitlera. Taka była Polska Bieruta. Takim państwem i taką ojczyzną jest Polska Jaruzelskiego.

Andrzej Walicki zdaje się argumentować, że kolaboracyjne rządy, jakkolwiek straszne, jednak osłaniają narody od uczestnictwa w absolutnie złu Oświęcimia i Magadanu. Jego zdaniem tylko zło absolutne może usprawiedliwić opór i walkę, grożącą zagładą narodu. Dla uniknięcia zagłady przyjmuje konieczność współżycia ze strasznym, lecz nie absolutnym złem kolaboracji. Moralno-państwowa zasada Walickiego przerzucona w naszą nie tak daleką przeszłość oznaczałaby w roku 1939 oddanie Korytarza, zgodę na polskiego Hachę lub też zaproszenie do Warszawy Sowietów razem z mianowanymi przez nich następcami Dzierżyńskiego i Marchlewskiego.

Nie można jednak „rozsądnie” politykować, zapominając o systemach wartości stanowiących o tożsamości narodowego dziedzictwa. Nie można bezkarnie stawiać dzieciom za wzór Traugutta i Piłsudskiego, a jednocześnie uprawiać politykę godną Wielopolskiego. Nie można pryncypialnie potępiać zła, a jednocześnie czymkolwiek innym niż własną miałością usprawiedliwiać swoje w nim uczestnictwo.

Wysoka jest cena za żonglerkę wartościami, kształtującymi

kulturę narodową. Przez setki lat Żydzi odwracali się od pięknej tradycji Machabeuszy i Zelotów. Dzisiaj nie spotkać w Izraelu dzieciaka, który nie wdrapał się na szczyt Masady. Tam też żołnierze składają przysięgę na wierność swemu krajowi. Nasza historia pełna jest zmagañ godnych Machabeuszy i Zelotów. Potąd się jej nie wyrzekaliśmy. Los powstańczej Starówki zbiega się z losem Masady. Jeśli chcemy nadal oddawać hołd powstańcom Warszawy, legionistom, księdzu Brzózce czy Szymonowi Konarskiemu, to jakże mamy jednocześnie promować wartości i zachowania zupełnie im obce? Walkę o zmianę naszych narodowych świętości podjęli niegdyś realiści spod znaku pracy organicznej i pozytywizmu. Ugodowcy rozmaitych odcieni prowadzą ją nadal. Wciąż jednak Polacy porywem serca stają przy Traugucie, Piłsudskim, Popiełuszcze, a nie Wielopolskim, Felińskim czy krakowskich Stańczykach.

Obywatele przedrozbiorowej Rzeczypospolitej nigdy nie akceptowali ojczyzny bez wolności. W imię parlamentaryzmu i praw politycznych narodu walczyli z własnymi królami. Znając dobrze historię Rzymu, obawiali się nadejścia polskiego Cezara. Cały wysiłek kierowali na walkę z centralizmem i monarchizmem. Przez długie dziesięciolecia byli w tej walce skuteczni. Jak większość demokracji bagatelizowali zagrożenie z zewnątrz. A Cezar w postaci trzech absolutnych władców uderzył z zewnątrz. Wraz z upadkiem suwerenności została też pogrzebana polska wolność. Najwybitniejsi z naszych przodków zawsze walczyli o przywrócenie suwerenności i wolności. Nie dawali się wciągać w służbę obcych państw i wrogich wolności idei. Dlatego nie umiem wyobrazić sobie Kościuszki, Lelewela, Hauke-Bosaka, Traugutta, Jarosława Dąbrowskiego i Piłsudskiego inaczej niż w walce z tym, co spadło na nasz kraj w 1944 roku, a co na użytek Sowietów nazwano Polską.

Druga wojna światowa i jej „rozwiązanie” spraw polskich było naszą największą klęską od czasów rozbiorów. Była to klęska tak ogłuszająca, że aż po czas Solidarności naród nie umiał się odnaleźć. Zapominaliśmy, jak się walczy i nie umieliśmy marzyć, „żeby Polska była Polską”. Nic bardziej jaskrawie nie ilustruje stopnia zagubienia i zniewolenia umysłów niż Październik 1956 roku. Poderwaliśmy się z drętwy stalinowskiej nie do walki z systemem, lecz do walki o jego reformę. Tak niski był lot naszego marzenia, że wylegliśmy na ulice z hasłami naprawy. Chcieliśmy socjalizmu z ludzką twarzą. Pamiętam tłumy — do których sam należałem — śpiewające „sto lat” Gomułce. Jakże silnie wierzyliśmy w lepszy dzień polskiego jutra w kraju niespalonego Komitetu. Dzisiaj przykro mi wspominać czasy, w któ-

rych tak wielu z nas — jak obecnie Andrzej Walicki — wierzyło, że wymuszane przez społeczeństwo zmiany ekip kolaborantów zbliżają nas do prawdziwej Polski. Zaiste wielka jest siła i zakres sowietyzacji, a więc myślenia i czucia tylko w ramach narzuconego totalitaryzmu.

W roku 1961 ani ja, ani większość Polaków nie chciała już śpiewać „sto lat” Gomułce. Gdybym jednak wtedy na ścieżce w Łazienkach spotkał Henryka Józewskiego i usłyszał, że tam w Belwederze mieszka agent sowiecki, to wydałoby mi się to stwierdzeniem zbyt ostrym. Wolałbym nazwanie Gomułki twarogowym komunistą, ciemniakiem lub anty-liberałem. Epitety te nie przekreślały bowiem nadziei na przetrwanie przynajmniej części zdobyczy Października. Nie stawiały pod znakiem zapytania sensu udziału katolików w Sejmie. Nie negowały możliwości jakiegos tam dogadania się z „nimi” dla dobra Polski i jej kultury. Pozwalały prastarym rosyjskim zwyczajem modlić się jeśli już nie o lepszego cara, to przynajmniej o lepszego I sekretarza. Zezwalały na trwanie w normalnym życiu, odsuwając decyzję walki lub emigracji.

To zrozumiałe pragnienie normalnego życia pozwala Polakom mieszkającym obecnie nad Wisłą zapominać, że od 1944 roku — po raz pierwszy w naszych dziejach — polski żołnierz i policjant podporządkował rodaków władzy obcego państwa i złamał nawet pozory demokracji.

Po dzień dzisiejszy pomimo pamięci niesławnego okresu zwanego „walką z bandami”, pomimo zdławienia nadziei Października i użycia wojsk polskich i policji przeciwko robotnikom Poznania, Gdańska, Radomia, Nowej Huty czy kopalni Wujek, wciąż nowe ekipy kolaborantów znajdują partnerów do rozmów o przyszłości narodu. Rozmowy takie podjął Mikołajczyk, Wyszyński i robotnicy 1956, 1970 i 1980 roku. Podjęła je Solidarność i prowadzi je Kościół. Potworna jest siła sowieckiej pętli splecionej ze strachu i nadziei. Sam goły strach nigdy nas nie mógł skłonić do kolaboracji, łamię nas „rozsądeczek”, strojąc się w piórka odpowiedzialności.

Ktokolwiek jednak podejmuje obecnie rozmowy z rządem, winien pamiętać, że przystępuje do pertraktacji, w których ceną za chwilowe ustępstwa jest dziedzictwo Solidarności. Związek Sowiecki będzie je niszczyć i plugawić. Nic w tym dziwnego, gdyż echa Solidarności groźne są wewnątrz imperium i trudne do zatarcia na arenie światowej. Po drugiej wojnie światowej udało się Sowietom nie tylko pozbawić nas suwerenności, ale też przedstawić naszą walkę o wolność jako przykład społecznego wstecz-

nictwa i politycznej reakcyjności. Światowa opinia publiczna, popierająca chętnie walkę o postęp i niepodległość narodów ujarzmionych, przez całe dziesięciolecia nie uznawała Polaków, Ukraińców, Litwinów, Węgrów, Estończyków i Tatarów za ludzi próbujących zważyć mury więzienia, lecz za ultranacjonalistów, porywających się na szklane domy pięknej społecznej utopii. Polski, węgierski i czechosłowacki wybuch 1956, 1968 i 1981 roku przedstawiano także jako liberalizujące próby odnowy komunizmu, spychane przez miejscowych szowinistów, klerykałów i faszystów na bezdroża grożącego wojną awanturnictwa. Solidarność wstrząsnęła tym także wygodnym dla Sowietów obrazem świata.

Dziesięciomilionowy ruch związkowy oparty był na robotnikach. Co więcej, ruch ten podjął walkę nie z formami, lecz z istotą komunistycznego systemu. Solidarność nie chciała socjalistycznego humanizmu lub politbiura z ludzką twarzą. Była pierwszym autentycznym ruchem robotniczym, który zgromadził wokół siebie cały naród do walki z narzuconym rządem i obcym imperiaлизmem. Solidarność byłaby dumą marksistów, gdyby tak bezwzględnie nie uderzyła w ich zmumifikowaną wizję świata, gdyby w walce z komunizmem nie odwróciła się nawet od własnej socjalistycznej i antyklerykalnej tradycji wyniesionej z PPS-u.

Po czterdziestu latach rządów komunistycznych związkowcy Solidarności zastąpili hasła socjalistyczne myślami zaczerpniętymi z Dekalogu, przedzoborowych konstytucji i encyklik papieskich. Ujęli też w ręce drzewce sztandaru narodowego, odrzucając niegdyś im drogi czerwony sztandar. Na murach fabrycznych zawiesili krzyże i wizerunki Matki Boskiej Częstochowskiej. Co więcej, swe normalne robotnicze żądania praw socjalnych wtopili w wielką solidarnościową kartę praw człowieka, pracownika i obywatela. Wystąpili też w obronie narodowego duchowego dziedzictwa, niszczonego radiem, telewizją, prasą i programami szkół. Broniąc praw własnego narodu, nie umieli od razu wyrwać się z atmosfery ksenofobii, tak długo podsycanej przez rządy warszawskie, ale ich prasa podjęła dyskusję nad tematami od lat pokrytymi milczeniem. Po dziesiątkach lat oficjalnego „antysyjonizmu” ukazał się w prasie Solidarności poważny artykuł, przypominający hańbę i dramat pogromu kieleckiego. Grupy młodych intelektualistów podjęły próby zwalczania komunistyczno-endeckiego szowinizmu i wszczęcia dyskusji nad naszymi stosunkami z Ukraińcami, Litwinami i Białorusinami. W latach Solidarności moralność i intelekt wyzwały się ze strachu i brudu totalitaryzmu. Naród odzyskiwał poczucie godności i wartości życia.

Dziesięciomilionowy związek, wyzwalaający Polskę z więziennej atmosfery, złamał polski generał i polskie wojsko. Obyło się

bez szturmów Pragi, bez Suworowa i Paskiewicza i Murawiewa Wieszatiela. Sowietci i komunizm przekleństwem grudniowej nocy dowiedli, iż mają mocniejszą w Polsce pozycję niż kiedykolwiek miał car i „prawosławne słowiaństwo”. Od grudnia 1981 roku Polacy pracujący dla dobra Moskwy tępią ludzi i idee Solidarności.

Nic w tym dziwnego, że czołgi i karabiny potrafiły złamać opór fabryk, kopalni i stoczni. Bezbронny naród można pokonać. Można go okupować. Trudniej zmusić do akceptacji klęski i poddania się woli zwycięzcy. Jeszcze trudniej do współpracy opartej na niszczeniu dziedzictwa Solidarności. A od takiego poniżenia narodu polskiego komunizm nie odstąpi. Panowanie nad poniżonymi i wzdygającymi się przed oporem jest łatwiejsze od rządów nad społeczeństwem żyjącym w nastroju okupacji. Polski Quisling strasząc nas Suworowem zażądał, byśmy wrócili do więziennego życia. Z posłusznymi i wahającymi się prowadzi grzeczne pragmatyczne rozmówki o biologicznym przetrwaniu i polskiej racji stanu. Natomiast tych, którzy głośno dają świadectwo prawdzie, generał rozkazuje uciszyć. Stąd też więzienia, tortury i mordy.

Od upadku Rzeczypospolitej Obojga Narodów za walkę o wolność i niepodległość płaciliśmy krwią, więzieniem, zesłaniem i tułactwem. Emigracja (polityczna) rekrutowała się z tych, którzy po przegranej wybierali tułactwo zamiast podziemia lub umów ze zwycięzcą. Emigracja nie była i nie jest ani sumieniem, ani wolą lub rozumem narodu. Jest natomiast jedyną polską społecznością myślącą i działającą poza zasięgiem strachu. Była i jest kontynuacją wolnej myśli i śmiałego marzenia. Zawsze była oparciem dla walczących i trwających w oporze. Kraj decyduje o losach dni, tygodni i miesięcy. Wytycza bieg codzienności kontrolowanego przez Sowietów życia. Emigracja natomiast wywiera przemożny wpływ na kształt narodowego dziedzictwa przekazywanego kolejnym młodym pokoleniom. Jakkolwiek silne były i są rozdarcia wewnętrzne emigracji, zawsze łączy ją wrogość do kolaboracji, lojalizmu i porozumienia z wrogami. Uznanie bowiem krajowego *status quo* kończy udział w politycznej emigracji, nawet jeśli z powodów rodzinnych, zawodowych czy klimatycznych nie powoduje powrotu do kraju.

Nierzadko — od czasów polistopadowych — krajowi patrioci starali się okiełznać emigrację, nawołując ją do rozsądku i odpowiedzialności. Po dziś dzień nie tylko kolaboranci, ale także ludzie nam bliscy obruszają się na naszą emigracyjną nieodpowiedzialność. Obawiają się, że możemy sprowokować wielką krwawą łaźnię. Bzdura to przeokropna. Emigracje nawet gdy się o to starały, nie umiały wywoływać powstań. Decyduje o nich zawsze kraj. Emigracja natomiast utrzymuje ducha walki. Gdyby któraś

z naszych emigracji zaczęła nad Sekwaną, Tamizą, Hudsonem lub Zatoką San Francisco myśleć i działać wedle recepty krajowych realistów, to nie mielibyśmy Mickiewicza, Słowackiego, Norwida i Miłosza. Nie byłoby też (by wymienić kilku) Jeża Miłkowskiego, Juliusza Mieroszewskiego, Jerzego Giedroycia, Wacława Jędrzejewicza, Józefa Mackiewicza, Herlinga-Grudzińskiego. Nie byłoby ani londyńskiego *Przedświtu*, ani paryskiej *Kultury*. Nie byłoby więc ludzi służących polskiej kulturze i polskiej racji stanu bez tych skurczów „rozsądku” i trwogi, które tak często ściskają serce Kraju. W czasach hitlerowskich Polak nie lękał się Polaka. Lekcję tego strachu dali nam dopiero Bierut, Gomułka i Gierek. Strach ten przywrócił po krótkim okresie Solidarności — Jaruzelski. To nie Moskale zabili księdza Popiełuszkę, Pyjasa, Przemyska i tylu innych. To przecież nie hitlerowska policja ściga Zbigniewa Bujaka. To nie przebrani za Polaków KGB-owcy wyrzucili z Akademii Nauk Geremka i przygotowali niszczącą nasze uniwersytety ustawę akademicką. To nie Sowieci wtrącają do więzienia Frasyniuka, Lisa, Michnika, Bieleckiego i Moczulskiego.

Wśród ekipy polskich wykonawców woli Kremla istnieje wiele odcieni. Są wśród nich ludzie łagodniejsi i bardziej okrutni. W obozach i więzieniach zdarza się lepsze i gorsze nacjonalizm, ale czy wystarcza to dla uzasadnienia współpracy z tymi „lepszymi”?

Kolaboranci zwykle mniej zabijają niż obcy okupant, ale też bardziej niż obcy niszczą własny naród, niwecząc odwagę czynu i śmiałość myśli, promując sobkostwo, obłudę i zatręt charakteru. Dla swego kraju nie mieczem są, lecz gangreną. Zawsze starają się przyciągać do siebie ludzi niezależnych. Mamią ich propozycjami warunków i pozycji, pozwalających ocalić część kultury i garstkę ludzi. Kosztem tych koncesji uzyskują osłabienie ogólnonarodowej woli oporu.

Od czasów Gomułki wciąż słyszymy głosy przekonywujące nas o tym, że nasze politbiuro próbuje się uniezależnić od Moskwy. Słyszymy też argumenty, wedle których stalinizm się skończył, a Związek Sowiecki dla swego dobra „musi” się zreformować. Inaczej mówiąc, w dobie marksizmu i dialektyki nie chce się pamiętać ani historii Rzymu, ani historii Rosji. A tam przecież różnice pomiędzy Neronem a Wespazjanem mierzone śmiercią i poniżeniem poddanych nie wynikały z odmiennych praw lub zmian politycznego porządku, lecz odmienności charakteru władców.

Nie każdy car dorównywał energią, okrucieństwem i zamiłowaniem do reform Iwanowi Groźnemu lub Piotrowi I. Nie każdy zabijał więcej własnych poddanych niż ich ginęło na wojnach

z zagranicznym wrogiem. Spokojniej oddychał Petersburg i Moskwa w czasach Elżbiety niż w czasach Mikołaja I. Spokojniej też żyło się w Moskwie Breżniewa niż w Moskwie Stalina. Na szczęście dla wielu milionów, Stalin nie znalazł jeszcze godnego siebie następcy. Nic jednak nie gwarantuje poddanym wielkiego imperium, że taki nie nadejdzie. Nic nie świadczy o tym, że mord nad milionami nie może się powtórzyć. W imperialnym Rzymie nie było praw, sił i instytucji, mogących bronić poddanych przed szaleństwami Kaliguli czy Nerona. Tak samo brakuje zorganizowanych sił społecznych i instytucji, które mogłyby posłużyć poddanym Kremla do obrony przed społecznymi i politycznymi eksperymentami dialektycznych pomazańców. Strach członków biura politycznego przed powtórzeniem się krwawej łaźni stalinowskiej może wydawać się gwarancją bezpieczeństwa tylko dla tych znawców Kremla, którzy wierzą w sowiecki pluralizm (Hough) lub w pokojowe tendencje Kraju Rad (Shulman). Także reformy gospodarcze mające nadejść w wyniku konkurencji z Ameryką i obawą przed modernizacją Chin (Brzeziński) wcale nie muszą przynieść liberalizmu.

Oświecona opinia Zachodu od lat wypatruje liberalnej fatamorgany na groźnym Wschodzie. Czyni to z zapałem proporcjonalnym do swego strachu i chętnie dostrzega w Andropowie czy Gorbaczowie materiał na następnego Aleksandra II. W imię pokoju i kwiatyzmu Zachód w każdą bzdurę uwierzy. My jednak z Nowogródzyny, Żmudzi, Warszawy i Podlasia powinniśmy pamiętać, że to właśnie najbardziej liberalny z rosyjskich carów utopił we krwi nasze powstanie styczniowe. Nie przyłączajmy więc zbyt pochopnie naszych głosów do chóru „ekspertów” i polityków, na rozmaite sposoby skłaniających zachodnie parlamenty i rządy do polityki *détente*. Pochodząc z kraju niszczonej Solidarności, nie perorujemy, że totalitaryzm się już skończył. To przecież w naszym polskim interesie jest przypominanie światu doświadczonemu Hitlerem i Stalinem że:

*Winien jest kłamca i każdy co wierzył
kłamcy, bo wierzyć było najwygodniej*

(Hamer)

W świetle doświadczeń chińskich, wietnamskich, kubańskich, angolskich i etiopskich nie oświadczajmy razem z Miedwiediewem i Markowiczem, a wbrew Kołakowskiemu, że stalinizm, morderstwo głodem, gułagi i państwowy terror jest tylko przypadkową aberracją systemu wielkiej nadziei.

Zmian spowodowanych śmiercią Stalina nie zauważają paleni żywcem wieśniacy Afganistanu. Czołgi sowieckie i bez Stalina znalazły drogę do Budapesztu i Pragi. Nawet gdy zmniejsza się liczba więźniów gułagu i psychuszek i mniej przepada ludzi porwanych z polskich domów, to czyż znaczy to, że w Moskwie lub Warszawie zwiększyły się prawa człowieka i obywatela? Czyżby istniały tam obecnie większe niż poprzednio środki społecznego nacisku na władzę?

Na pewno bezpieczniej i przyjemniej jest być poddanym dobrego cara czy też I sekretarza, niż cierpieć w czasach „błędów i wypaczeń”. Tylko ludzie wolni wybierają i kontrolują swoje rządy, natomiast niewolnicy od wieków modlą się o dobrego pana. Czyżby i dla nas nad Wisłą nadeszły czasy takich modłów? Czyż nasza posolidarnościowa klęska jest tak wielka, że wedle recepty Siły-Nowickiego mamy utrzymywać spokój, wzmacniać władzę, uciszać nieodpowiedzialnych zapaleńców i ostrożnie targować się o narodowe koncesyjki? Czy naprawdę dowodem naszej politycznej dojrzałości ma być marzenie o Kadarze? Czy marząc tak nisko, potrafimy ochronić chociażby zdobycze Kościoła i zabezpieczyć ludzkie poczucie godności? Inaczej mówiąc, czy można dążyć do wolności człowieka i suwerenności państwa, uprawiając jednocześnie malutką pragmatyczną kolaboracyjkę? Czy w zatrutej atmosferze lojalizmu mogą wyrastać następcy Kościuszki, Traugutta, legionistów i żołnierzy Armii Krajowej? Czy naprawdę warto przekonywać Polaków nad Wisłą i za granicami kraju, że rząd Jaruzelskiego jako „mniejsze zło” powinien być pod ochroną?

Na ziemi amerykańskiej polityczne takie tendencje dodają siły tym, którzy za wszelką cenę starają się pobratać z rosyjskim niedźwiedziem. Wedle nich zwierz ten najchętniej jada borówki i tylko drażniony może pokosztować ludzkiego mięsa. Namawiają nas, byśmy misia nie złościli przypominaniem mu gułagu czy Jałty lub domaganiem się prawa do suwerenności. Od dawna narody Europy wschodniej, Kaukazu i Azji Środkowej płacą za amerykańską i zachodnioeuropejską politykę dogadywania się z niedźwiedziem. W momencie gdy dławienie Solidarności i ludobójstwo afgańskie przypomina światu istotę systemu sowieckiego, nie widzę powodów dla wychwalania taktycznych ustępstw władzy komunistycznej. Za niedopuszczalne uważam porównywanie odpowiedzialności rządu Jaruzelskiego za zabójstwo ks. Popiełuszki do odpowiedzialności rządu Stanów Zjednoczonych za morderstwo pastora Kinga. Grzechem wobec prawdy jest przedstawianie terroru jako wyskoków twardogłowych policjantów, zwalczających liberalne gołąbki. Starzy ludzie mogą pamiętać czasy, w których Hitler też był przedstawiany jako realista, zainteresowany

ekonomicznym rozwojem swego kraju i powstrzymujący wysokie roszczenia antysemitów.

Nie należy wmawiać Polonii wspólnoty interesów pomiędzy więźniami a dozorcami. Nie trzeba nas wciągać w akcje naprawy przeciekających dachów więziennych lub malowania laurów dla „dobrych” dozorców. Tych, którzy uwierzyli w siłę krat i których przeraża widmo więziennego buntu nie zdoła przekonać ani wiersz Miłosa, ani podziemna Niepodległość lub audycja Najdera. My jednak, będąc na emigracji, nie możemy zajmować się modernizacją cel więziennych i jednocześnie zabiegać o przerwanie dostaw zboża i technologii dla największego więzienia świata. Staramy się przecież, by dostrzegano cierpienia więźniów, a nie liberalne gesty dozorców. Próbuje przypominać, że po dzień dzisiejszy nie tylko żyją, ale i rządzą mordercy, zabijający nie w imię rasy, lecz w imię postępu i sprawiedliwości społecznej.

Oczywiście mają rację ci wszyscy, którzy ostrzegają, że w Polsce może być gorzej. Nie mają natomiast racji, przekonując nas, że Jaruzelski jest biczem na twarogłowych i dobrą zaporą przed sowieckimi czołgami. Zapominają, że Związek Sowiecki jest obecnie zajęty w Afganistanie i nie chce dodatkowych kłopotów w Europie. Solidarność, zagrażająca wewnętrznemu spokojowi imperium, została zdławiona. Na razie to wystarcza. Gdy padną — nie daj Boże — Afgani, to może przyjdzie moskiewski czas na zaostrenie kursu w Polsce. Będzie to tym łatwiejsze, im bardziej uda się Jaruzelskiemu i zwolennikom teorii „mniejszego zła” osłabić wolę oporu i zniszczyć — tak silną w trakcie Solidarności — ogólnonarodową więź społeczną.

Moskwa od dawnych carskich czasów nigdy nie lekceważyła nieprzyjaciół. Zawsze unikała walki na kilku frontach. Teraz skupiła się na Afganach. Im bardziej jest tam zajęta, tym chętniej występuje się kolaborantami. Nie znaczy to jednak, że nie zażąda — jak zawsze dotychczas — zaostrenia kursu w Warszawie. Sowietom nie tolerują na terenie swego imperium żadnych autentycznych ruchów społecznych, żadnych autonomicznych instytucji (Kościoła). Nigdy też nie uznają dobrowolnie praw podbitych narodów do samostanowienia o sobie. Nigdy nie przestaną niszczyć kultur narodowych. Nigdy też nie będą wierzyć do końca kolaborantom, szczególnie gdy uzyskają oni chociażby cień społecznego poparcia. Zawsze, niczym w Mazepie, wietrzą w nich wallenrodyzm i starają się ich zamienić przez swoich poddanych.

Nam Polakom ani Rosja, ani Związek Sowiecki nigdy wierzyć nie będzie. Na razie polski generał jest dobry, bo złamał Solidarność, splamił mundur i zastraszył naród buntowników. Jednak

gdy cisza zapanuje w Kabulu, gdy partia odbuduje siły i znowu niczym polip wpełźnie swe macki w żywy organizm społeczny, to wtedy, niezależnie od wszystkich starań ugodowców, realistów i „emisariuszy”, przyjdzie sowiecki czas na Polskę. A od Rosji i Sowietów nikt dotąd prośbami czy endecko-slawistycznymi umizgami niczego nie uzyskał. Nie liczyłbym też zbyt na zbliżającą się jakoby sowiecką reformę.

Zbigniew Brzeziński, wybitny amerykański politolog i polityk, uważa, że bez decentralizacji i zwiększenia społecznej samodzielności Związek Sowiecki nie sprosta rywalizacji z Zachodem. Przewiduje więc możliwość ewolucji w kierunku liberalizmu. W wyniku decentralizacji, modernizacji i liberalizacji oczekuje poprawy sytuacji Polski. Oczywiście można wraz z heglistami i dialektykami wierzyć w sensowny rozwój państw i społeczeństw, historycy znają jednak przykłady imperiów postępujących „nierozsądnie” i grzebiących pod swymi gruzami cywilizację. Poza tym, jak na to wskazują losy Austro-Węgier, reformy demokratyczno-liberalne nie są zbyt pewnym lekarstwem na przeżycie, szczególnie imperiów wielonarodowych. Osobiście nie widzę Estończyków, Litwinów, Ukraińców, Gruzinów, Tatarów, Uzbeków i Łotyszy jako dobrowolnych mieszkańców nawet zreformowanego i demokratyczno-liberalnego Związku Sowieckiego. Nie wierzę, by niemiecki straszak wystarczył do utrzymania Polski w granicach imperium. Nie sądzę, by Węgrzy i Czesi chcieli się dobrowolnie tulić pod kremłowskie skrzydła.

W trakcie Wielkiej Październikowej Zmiany Warty Więziennej błysnęła na Wschodzie możliwość liberalizacji. Ani „biali”, ani „czerwoni” nigdy tego momentu nie zapomną. Od związku z prawosławiem, słowiańszczyzną i wszechrosyjską konstytuanta z jednej strony a internacjonalizmem i komunizmem z drugiej, uciekali Polacy, Finowie, Łotysze, Estończycy, Gruzini, Litwini, Ukraińcy, Kirgizi, Kazachowie i Mongołowie. Nawet Sybiracy poczuli się odrębni i wystąpili do Moskwy z żądaniem, przypominającymi listy kolonistów amerykańskich do Jerzego III. „Biali” i „czerwoni” powstrzymywali rozwalanie murów więziennych nie reformami, lecz siłą. Od tamtych czasów każdy nowy I sekretarz obawia się decentralizacji, grożącej końcem imperium. Każdy z nich chce zmian (reform) wzmacniających państwo i osłabiających poczucie zagrożenia. Każdy z nich chce więcej technologii, zboża i *détente*. Większość z nich godzi się na takie zmiany i ustępstwa, których nie może uniknąć bez groźby przegranej.

Od drugiej wojny światowej Sowietci cofnęli się tylko kilka razy. Zrezygnowali z północnego Iranu, przegrali Grecję, wyszli z Austrii i nie podjęli walki w jugosłowiańskich Apeninach. Pa-

miętając o sowieckim pragmatyzmie i ostrożnym bilansowaniu strat i zysków, marzyłem niegdyś przed „grudniową wojną”, by amerykański prezydent zagroził Moskwie zajęciem Kuby w odwet za jakikolwiek zamach na Solidarność. Żłudne to było marzenie w kraju wystawiającym świeczki na grobie nadziei. Amerykanie boją się wojny, handlują zbożem i technologią. Na amerykański Kongres i Białe Dom nie ma co wpływać najlepszymi nawet argumentami. Bez porównania więcej znaczy tu liczba głosów w miejskich stanowych i ogólnych wyborach. Dlatego amerykańska Polonia może się stać potężnym wrogiem Sowietów. Podtrzymywaniem polskich kolaborantów i wiarą w sowieckie reformy nie zabezpieczymy kraju przed wciąż wzrastającą sowietyzacją. Sowietów wstrzymywać może tylko niekorzystny bilans dużych strat a małych zysków.

Stanisław Stroński w przededniu pierwszej wojny światowej przestrzegał Polonię amerykańską przed podtrzymywaniem szaleńców i wywrotowców Józefa Piłsudskiego. Teraz przestrzegają nas przed bezwzględny zwalczaniem grabarza Solidarności. *Cui bono?* Czyżby naprawdę uwierzyli, że generał otoczy opieką chłopstwo, zabezpieczy prawa Kościoła i pozwoli chociażby na vegetację polskiej kultury? Czy mogą na serio myśleć, że polski Quisling dostał patent na dożywotne warszawskie wielkorządstwo?

Jakimikolwiek jednak posługują się argumentami, wybrali się z nimi na amerykańską ziemię w fatalnym momencie. Po raz pierwszy od dłuższego czasu zaczęto na Zachodzie głośno dyskutować nad groźbą sowieckiego imperializmu. Rośnie w siłę ruch zmierzający do wyrwania nas z kleszczy pokojowo-miłosnych pojednań. Antysowiecki głos Polonii może być teraz dosłyszany. Zwalczając Jałtę i domagając się dla Polski prawa do suwerenności, nie możemy jednocześnie zabiegać o ulgi dla rządu warszawskiego. Poparcie dla Jaruzelskiego Zachód przyjmie jako objawy autentycznej popularności i łatwo uwierzy Urbanom głoszącym, że to tylko garstka szaleńców uprawia niepokorny machabeizm. Zanim poprosi się Polonię o poparcie dla polskich komunistów, trzeba wspomnieć miliony ludzi zamordowanych przez czerwoną Moskwę. Świat który przywykł uważać komunizm za sojusznika uciskanych mas i obrońcę pokoju, do dzisiaj (i słusznie) wzdyga się na dźwięk słowa Oświęcim, ale zamyka uszy słysząc Kołyma, Magadan, Workuta. Po dzień dzisiejszy ludzie dobrej woli łączą się z komunistami w walce z rasizmem i wyzyskiem, zapominając, że rządy komunistyczne wymordowały więcej milionów ludzi niż Hitler.

Emisariusze teorii mniejszego zła przybywający z Moskwy,

Warszawy czy Budapesztu zacierają brutalność starcia interesów społeczeństw i narodów z interesami Sowietów i komunizmu. Podbudowują nadzieje na rychłe wewnętrzne reformy bloku sowieckiego. Zachęcają do podtrzymywania komunistycznych „reformatorów”, na których kreują Gorbaczowa czy też Jaruzelskiego. Zarówno w Kraju jak i wśród Polonii wielu jest ludzi, gotowych „dla ocalenia narodowej substancji”, udzielić wsparcia własnym, „lepszym” komunistom. Postawa taka jest dość powszechna.

W Polsce dzisiejszej wszyscy poza chłopstwem są uzależnieni od jednego kasjera. Gdy kasjer zamknie okienko, kończy się normalne życie. Opozycja w takiej sytuacji wymaga wielkiego hartu ducha. Jeśli pracownik ujmie się za pokrzywdzonym kolegą i trwa w oporze, to naraża się władzy, która ma wszelkie środki — z opieką socjalną włącznie — do zemsty. W tej sytuacji ludzie wycofują się z aktywnego poparcia Solidarności. Zajmują postawy neutralne. Na razie „neutralni” zostawiani są w spokoju. Terror zwrócony jest przeciwko tym, którzy wciąż walczą. Gdy jednak padnie podziemna Solidarność, na dużo większą niż obecnie skalę zacznie się coraz natrętniejsze, coraz bardziej sowieckie stawianie ludzi przed wyborem pomiędzy „pozytywnym lojalizmem” a „niepotrzebnym” narażaniem siebie i rodziny.

Niedostrzeganie tego jest ślepotą. Nawoływanie do współdziałania z niedźwiedziem („bo i tak nie możemy go zniszczyć”) jest zaprzeczaniem naszej historycznej tradycji. Przypomina stanowisko tych powstańców styczniowych, którzy po przegranej potępiili powstanie. Teraz jednak ci, którzy doradzają nam rozmówki z ekipami kolaborantów, nie odcinają się od Solidarności. Rozważają natomiast przyczyny jej klęski i odpowiedzialnością obciążają zarówno rząd, jak i „nierozważnych” zapaleńców. Tworzą atmosferę, w której wydaje się, że dobry Polak może, pod kierownictwem ludzi rozważnych i z błogosławieństwem kardynała Glempa — przynajmniej częściowo — współdziałać z Jaruzelskim. Stwarzają atmosferę, w której jest sporo miejsca dla generała, ale zaczyna go gwałtownie brakować dla Zbigniewa Bujaka.

Nakłanianie nas, mieszkających na emigracji lub nad Wisłą, do znalezienia wspólnego języka polskiej racji stanu z warszawskimi wykonawcami woli Kremla, rozbiera nasz naród, obezwładnia Polonię i osłabia nas w oczach Sowietów. W zamian za pojednawcze gesty niczego nie uzyskamy. Polityki ustępstw próbował niegdyś arcybiskup Feliński. Przed konfrontacją, nawet w momencie kolektywizacji, cofał się kardynał Wyszyński. Jeden poszedł na wygnanie, a drugi do więzienia. Wyszyńskiego wyzwolił Paździer-

nik, a za uspokajanie Polaków zapłacił mu Gomułka prześladowaniami Kościoła i religii.

Od tego czasu wiele się zmieniło. Kościół wygrał wielki spór z partią o sens dziejowy naszego millenium. Kardynał Wyszyński stał się obrońcą godności człowieka, a jednocześnie orędownikiem socjalnych praw robotników, chłopów i wszystkich pracowników wielkiego koncernu, zwanego „budową socjalizmu”. Polski papież modlił się o sprawiedliwość, miłość i ojczyznę umiał w trakcie swej wizyty dać Polakom zatraczone już poczucie wspólnoty i siły. Miliony ludzi spotkało się w pieśni „Boże coś Polskę”. Msza święta łączyła robotników powstającej Solidarności.

Tak to przy współdziałaniu Wyszyńskiego i Jana Pawła II po raz pierwszy w historii Kościoła katolickiego robotnicy zasiedli w ławach kolatorskich.

Zwykle kolatorzy wywierają wpływ na instytucje Kościoła. Miłość i przywiązanie, jakie okazują robotnicy tym księżom, którzy pomimo gróźb, tortur i morderstw nadal modlą się publicznie za ojczyznę, Solidarność i wolność pokazuje, czego oczekują od Kościoła. Świadczy o tym, że wierni staną twardo przy Kościele, gdy ten oświadczy władzy *non possumus*! Przywiązanie robotników do swoich księży, tak jasno demonstrowane w czasie wstrząsającego pogrzebu Jerzego Popiełuszki, a także msze na terenie zakładów pracy i wielka miłość Polaków dla „swego” papieża bardzo niepokoją Kreml. Tradycyjnie obawia się on katolicyzmu i pozbawionych rozsądku buntowniczych Polaków. Dlatego też im bardziej widoczni są robotnicy w kolatorskich ławkach, im wyraźniejsza jest obecność księży w fabrykach, im twardsze kościelne *non possumus* i silniejsza więź społecznego oporu, tym ostrożniejsze będą sowieckie akcje na terenie Polski.

Kardynała Glempa przygniata poczucie odpowiedzialności za naród. Jest to los wszystkich porozbiorowych prymasów naszego kraju. Powinien już być wprawiony w dobrej ocenie wykrętnej mowy komunizmu. Na pewno wiele razy przeczytał więzienne zapiski Wyszyńskiego. Kieruje Kościołem wspartym o cały naród. Duchowieństwo okazuje mu uległość i posłuszeństwo. Lojalnie podtrzymują go wybitni intelektualiści *Więzi* lub *Tygodnika Powszechnego*. Ma też spore grono doradców. Oby znalazło się wśród nich więcej nowych kolatorów, a mniej wystraszonych.

Robotnik polski, niegdyś członek Solidarności, a dziś członek nowych związków, wie, że zjadł żabę i wcale mu z tym nie jest dobrze. Inteligent nie może „zjeść” żaby. Łyka ją cierpiętliwie i z godnością, jak przystało człowiekowi służącemu „świętej narodowej sprawie”. Rosną szeregi połykaczy żab. Dlatego też z roku

na rok pęcznieje „Zniewolony umysł” Miłosza. Nieubłagana so-wietyzacja wciąż nowe nazwiska wpisuje na niezapisane karty. Coraz tam więcej miejsca zajmują ludzie, niegdyś wsławieni walką, a dziś — by użyć określenia Jeża Miłkowskiego — „advokaci bojaźni”, zagubieni na zdradliwej ścieżce „mniejszego zła”.

Nie zawsze jednostki i narody mają jasne drogi wyboru. Nie zawsze mogą wybierać pomiędzy dobrem a złem. Milionom mieszkańców wschodniej Europy druga wojna światowa przyniosła wybór między Stalinem a Hitlerem. Czasami jest tylko wybór pomiędzy śmiercią w walce, a śmiercią w poniżeniu. W Polsce od czasów rozbiorów istnieje wybór pomiędzy oporem, walką a kolaboracją. Jest to wybór okrutny. Można go unikać lub odwlekać, chowając się w szparach neutralności. Można starać się o demonstrowanie oporu tylko w ramach narzuconych praw, konstytucji i administracyjnych rozporządzeń. Nie można jednak współpracy z kolaborantami uznawać za służbę narodową. Nie można też, w sowieckich czasach, promować pragmatycznej ugody do rangi patriotycznego postępowania.

Symbolem patriotyzmu dnia dzisiejszego jest podziemna Solidarność. To ludziom Bujaka, a nie ugodowcom, historia narodu pozwala — poprzez dziesięciolecia — podawać rękę patriotom spod znaku Kościuszki, Konarskiego, Traugutta i Piłsudskiego. Ugodowcom i kolaborantom patronują inne nazwiska i inne przykłady.

*Andrzej Sulima KAMIŃSKI**

* A. S. Kamiński urodził się w 1935 roku w Krakowie. Studia historyczne odbył na Uniwersytecie Jagiellońskim w Krakowie oraz uniwersytecie w Stanford. Doktoryzował się na UJ w 1966 roku. Od 1969 roku na emigracji. Obecnie wykłada historię Rosji i Europy wschodniej na Georgetown University.

Michał BUDNY

JAK TO BYŁO Z ZAOLZIEM*

Tyle już napisano na temat odzyskania Zaolzia w 1938 roku, może jednak warto raz jeszcze przeanalizować ten raczej przykry i bolesny epizod na podstawie udokumentowanych faktów, aby zdać sobie sprawę, jak było naprawdę.

Niełatwo jest przedstawić jasny, zwięzły i rzeczowy obraz tego epizodu, skomplikowanego wobec zbiegu elementów politycznych, historycznych, socjalnych i ekonomicznych nie mówiąc już o poważnym czynniku emocjonalnym.

Czemu ten stosunkowo drobny problem Śląska Cieszyńskiego, który wywołał ostry spór między Polską a Czechosłowacją o zaledwie 350 mil kwadratowych obszaru i 180.000 ludności, w 80 % polskiego pochodzenia, został rozdmuchany do nieproporcjonalnych rozmiarów przez zjadliwą, uporczywą i hałaśliwą kampanię propagandową, mającą na celu pohańbienie dobrego imienia Polski? Czemu w okresie tak znaczących wydarzeń jak niepokonany pochód zdobywczego hitleryzmu w poprzek Europy (pozbywanie Austrii niepodległości, haniebny układ w Monachium, opaniecie Sudetów czy rozczłonkowanie Czechosłowacji), w skali międzynarodowej tak wiele uwagi poświęcono sprawie sprzed wielu lat?

Aby odpowiedzieć na te pytania, należy cofnąć się do końca roku 1918 i do sytuacji powstałej po zakończeniu pierwszej wojny światowej, kiedy zarówno Polska jak i Czechosłowacja odzyskały niepodległość¹. Należy przypomnieć szereg faktów i wydarzeń,

* Artykuł p. Michała Budnego ukazał się w nowojorskim *Nowym Dzienniku* z 31 stycznia 1981 roku.

1. Warto tu przypomnieć, że cała ludność Czechosłowacji liczyła 14.500.000, z czego 5.800.000 Czechów (40 %), 3.625.000 Niemców (25 %), 2.175.000 Słowaków (15 %), 1.160.000 Węgrów (8 %), 580.000 podkar-

które mogą się przyczynić do beznamiętnego rozważenia tego problemu w perspektywie historycznej.



W owym czasie zarówno Czesi jak i Polacy rozbroili Austriaków, a lokalne rady na obszarze Śląska Cieszyńskiego z łatwością zgodziły się na polsko-czeską linię graniczną. Polska Rada Narodowa Księstwa Cieszyńskiego i Czeska Rada Narodowa w układzie z 5 listopada 1918 roku zgodziły się, że obszary Bielska, Cieszyna i Frysztatu przypadną Polsce, zaś Frydek — Czechom.

W ciągu grudnia 1918 roku silne oddziały wojsk czeskich uformowane we Francji zaczęły grupować się na terenach przygranicznych, co zaniepokoiło rząd polski. Naczelnik Państwa Józef Piłsudski wysłał wówczas do Pragi misję dyplomatyczną celem wyjaśnienia sytuacji. W liście, który misja doręczyła Tomaszowi Masarykowi, prezydentowi Czechosłowacji, Piłsudski proponował „utworzenie polsko-czeskiej komisji mieszanej, której zadaniem byłoby nadzorowanie i rozstrzyganie wszelkich problemów, które powstały wskutek niedawnych wielkich zmian, głównie rozpadnięcia się Austrii i powstania wspólnej granicy obu państw powracających do niepodległego bytu”². Zabiegi dyplomatyczne nie przyniosły rezultatu.

23 stycznia 1919 roku wojska czeskie zaatakowały oddziały polskie na dworcu kolejowym w Boguminie. Polski garnizon był tam bardzo słaby, gdyż jednostki armii polskiej były w tym czasie zaangażowane w ciężkich walkach z Ukraińcami w okolicach Lwowa, z Niemcami w Poznaniu, a równocześnie przygotowywały się do powstrzymania zbliżającej się Czerwonej Armii sowieckiej na wschodzie. (Wojna polsko-bolszewicka rozpoczęła się w lutym 1919 roku).

W tych warunkach napaść czeska, którą określono jako „zdradziecki cios w plecy”, wywołała niesłychaną falę oburzenia w całej Polsce. Był to główny powód, dla którego stosunki polsko-czeskie nie mogły się rozwijać poprawnie w ciągu następnych dwudziestu lat.

Nie tylko wszakże Polacy tak głęboko odczuli ten niesprowokowany czeski napad. Przebywający podówczas w Polsce francuski generał Marie-Joseph Barthélemy, szef alianckiej misji wojskowej, napisał, że ten atak „stanowił prawdziwą zdradę, ze strony Czechosłowaków, którzy napadli na Polaków po uprzednim uspokojeniu ich podejrzeń”. A dyplomata brytyjski, sir Esme Howard, oświadczył, że Czesi „zachowali się bardzo podle, rozgłaszając kłamliwie, jakoby mocarstwa sojusznicze miały ich

packich Rusinów (4 %), 200.000 Polaków (1,5 %); resztę stanowili Żydzi, Rumuni i inni.

2. Patrz: Damian Wandycz, „A forgotten letter of Pilsudski to Masaryk”. *The Polish Review*, IX, nr 4 (1964).

upoważnić do napaści na Polaków w Cieszynie”³. W wywiadzie, udzielonym paryskiemu dziennikowi *Le Temps* 14 lutego 1919 roku, sam Masaryk przyznał: „Nie mieliśmy wyboru, musieliśmy siłą zająć zagłębie węglowe; eksploatacja tych kopalń węglowych w drodze porozumienia byłaby rzeczą niemożliwą; siła musiała zadecydować”⁴. A Edward Benes, wieloletni minister spraw zagranicznych i następnie prezydent Czechosłowacji, oświadczył później: „Okupacja została przeprowadzona nieprawidłowo. Musiałem znosić oskarżenia o takiej gwałtowności i o takim charakterze, że muszę się powstrzymać w interesie państwa od ich przytaczania. W szczególności nasi sojusznicy byli specjalnie rozdrażnieni w stosunku do nas z powodu bezprawnego użycia alianckich oficerów”⁵.

Piłsudski tak opisał ten czeski napad: „Z Czechami mieliśmy dwie sprawy sporne: o wschodni Śląsk, specyficznie o Księstwo Cieszyńskie, oraz obszar Spiszu i Orawy. Prowincje te zamieszkiwała ludność czysto polska o głębokiej świadomości narodowej. Dając wiarę deklaracjom Masaryka i wyraźnym zapewnieniom rządu praskiego, które wielokrotnie przyznawały nasze prawa do kwestionowanych obecnie obszarów, pozostawiłem na tych terenach jedynie drobne jednostki wojskowe. Uważam tę niespodziewaną napaść za nieopisaną zdradę ze strony Czechów”⁶.

Po upływie półtora roku, w lipcu 1920 roku, w rezultacie masowej ofensywy Armii Czerwonej Polska znalazła się w obliczu wielkiego niebezpieczeństwa i w zamian za pomoc militarną została zmuszona do podpisania niesprawiedliwego i wysoce krzywdzącego układu, narzuconego przez mocarstwa sojusznice, który zupełnie ignorował żywotne polskie interesy. Wśród wielkiej ilości oświadczeń i deklaracji, opublikowanych w owym czasie, na przypomnienie zasługuje tu znamienne oświadczenie premiera Wincentego Witosa, złożone na posiedzeniu Sejmu w dniu 24 września 1920 roku:

„Naród polski otrzymał cios, który odegra doniosłą rolę w naszych stosunkach z Republiką Czechosłowacką. Decyzja Rady Ambasadorów przyznała Czechom obszar polskiej ziemi, zamieszkany przeważnie przez polską ludność. Czesi otrzymali nawet okręgi, do których nie posiadają absolutnie żadnych uprawnień. Nasz naród i nasz rząd nie pragnęli nigdy obcego terytorium, nie mogą przeto zrozumieć niesprawiedliwości tej decyzji w stosunku do Śląska Cieszyńskiego i Spiszu. Decyzja ta stworzyła przepaść pomiędzy obu narodami, które są normalnie politycznie i gospodarczo połączone”⁷.

3. Piotr Wandycz, *France and Her Eastern Allies*, str. 85.

4. Wacław Lypacewicz, *Polish-Czech Relations*, 1936.

5. Patrz: *Problemy nové Europy*, str. 66. Káza, str. 14.

6. Józef Piłsudski, wywiad w *Il Secolo* z 18 lutego 1919. (J. Piłsudski, *Pisma zbiorowe*, X, 177).

7. Kazimierz Władysław Kumaniecki, *Odbudowa państwowości polskiej*, str. 383.

Innym wydarzeniem, które wywołało w Polsce głębokie oburzenie, była czeska odmowa na tranzyt broni z Francji przez terytorium Czechosłowacji do Polski w najbardziej krytycznym okresie wojny polsko-bolszewickiej w lecie 1920 roku, kiedy to Armia Czerwona stała u wrót Warszawy. Masaryk nie wierzył, że Polska zdoła obronić się przed sowiecką inwazją.

Jednym z dodatkowych czynników utrudniających poprawne stosunki polsko-czeskie było stanowisko Pragi wobec działalności wywrotowej. Antypolska działalność była tolerowana przez rząd czechosłowacki, który popierał terrorystyczną akcję ukraińskich ugrupowań politycznych, skierowaną przeciw Polsce. Przywódcy tych ugrupowań kierowali akcjami i zamachami na polskich polityków, a po dokonaniu tych terrorystycznych aktów sprawcy z łatwością wracali na teren Czechosłowacji, znajdując tam bezpieczne schronienie.

Wiele usiłowań i prób poprawienia stosunków polsko-czechosłowackich nie dawało, niestety, pozytywnych rezultatów. Polska nie ufała w szczerość Pragi, a sam Benes oficjalnie oświadczył w 1925 roku, że „jest stanowczo przeciwny zawarciu jakiegokolwiek wojskowej konwencji z Polską”⁸.



Stan ten trwał nieprzerwanie przez kilkanaście lat następnych. Podczas czesko-niemieckiego konfliktu sudeckiego wiosną 1938 roku Polska wysuwała tylko jedno żądanie: zastosowanie tzw. „klauzuli największego uprzywilejowania” wobec mniejszości polskiej w Czechosłowacji. Było to oczywiście absolutnie minimalne żądanie Polski, które oznaczało, że jakiejkolwiek prawa, uzyskane przez inne mniejszości narodowe w tym państwie w wyniku załatwienia kryzysu sudeckiego, miały być przyznane również polskiej mniejszości narodowej.

Niezbędna konieczność obrony interesów Polski, która skłoniła rząd polski do wystosowania ultimatum do Pragi w dniu 30 września 1938 roku, wynikała z następujących dwóch zasad:

a) ostateczne załatwienie problemu Śląska Cieszyńskiego, który przez dwadzieścia lat stanowił kość niezgody między obu krajami, oraz

b) protest przeciw procedurze zastosowanej przez cztery zainteresowane mocarstwa (Anglia, Francja, Niemcy i Włochy), w układzie zawartym w Monachium, gdzie, ulegając hitlerowskiej agresywności, narzuciły siłą swą decyzję suwerennemu państwu. Procedura ta stworzyła niebezpieczny precedens, polegający na kupieniu iluzorycznego pokoju za cenę zapłaconą przez mniejszy kraj. Przecistawiając się metodzie przyjętej w Monachium, Polska dokonała wszelkich starań, aby załatwić problem Śląska Cieszyńskiego bezpośrednio z rządem praskim. Wydawało się

8. Piotr Wandycz, *France and her Eastern Allies*, str. 342.

wówczas, że cała sprawa mogła być załatwiona szybko i pozytywnie, skoro prezydent Benesz w swym liście z 22 września 1938 roku do prezydenta Mościckiego wyraził zgodę na ratyfikację granicy polsko-czechosłowackiej. Ale ten tak ważny dokument został doręczony w Warszawie po niewytlumaczalnej czterodniowej zwłoce, co wcale nie wskazywało na dobre intencje Pragi. Zwłoka ta dała Moskwie dość czasu, aby złożyć w Warszawie zredagowaną w nieprzyjaznym tonie notę. Zwłoka ta nastąpiła ponadto w okresie wielkiego naprężenia politycznego w Europie, kiedy liczyły się nie tylko dni, ale nawet godziny. Co więcej, kiedy w odpowiedzi na ten list poseł polski w Pradze, Kazimierz Papée, złożył 27 września notę proponującą natychmiastowe zawarcie odpowiedniego układu, Praga ponownie opóźniła swą odpowiedź o dalsze trzy dni.

Jak się później okazało, następnego dnia, 28 września, prezydent Benesz złożył na posiedzeniu gabinetu czechosłowackiego deklarację, oświadczając, że polskie żądania i terminy muszą zostać odrzucone. Deklaracja ta nastąpiła w sześć dni po wysłaniu przez Benesza listu do prezydenta Mościckiego, w którym Benesz wyrażał zgodę na ratyfikowanie granicy⁹.

Złośliwa antypolska propaganda usiłowała wmówić światowej opinii publicznej wysane z palca twierdzenie, że Polska działała z hitlerowskimi Niemcami. Fakty kategorycznie zadają kłam tym oskarżeniom.

Rzeczywisty stan rzeczy wyglądał całkiem inaczej. W istocie rząd polski poważnie brał pod uwagę możliwość czeskiego zbrojnego oporu przeciw niemieckiej agresji. W takim wypadku poseł polski w Pradze miał pozostawać przy prezydencie Beneszu i jego rządzie i udać się wraz z nimi do głównej kwatery Armii Czechosłowackiej. Polska, jako sojuszniczka Francji, nie mogła znaleźć się w tym samym obozie z Niemcami. Poseł Papée pisał później:

„Jeżeli..., dywizje czechosłowackie (których było trzydzieści), odrzucając dyktando monachijskie, rozpoczęłyby walkę w obronie własnego kraju, to wówczas znalazłyby polskie dywizje u swego boku”. Tymczasem okazało się, że Praga zaakceptowała dyktat monachijski.

Ogólna sytuacja polityczna w Europie była w tym czasie tak naprężona, że należało podejmować szybkie i definitywne decyzje. Stosowało się to również do technicznej strony konfliktu polsko-czechosłowackiego, skoro zasada przekazania Polsce obszaru Śląska Cieszyńskiego została już zaakceptowana zarówno przez samą Czechosłowację, jak i przez mocarstwa zachodnie. Uznając niemożliwość porozumienia z Pragą, Polska postanowiła rozstrzygnąć sprawę w sposób dramatyczny: drogą ultimatum z 30 września 1938 roku, które zostało przez Pragę zaakceptowane.

Należy z całym naciskiem podkreślić, że Polska nigdy nie pragnęła zaistnienia tego konfliktu terytorialnego, który trwał

9. Batowski, *Kryzys dyplomatyczny w Europie*, str. 61.

przez dwadzieścia lat, a w szczególności nie życzyła sobie, aby ten konflikt miał być rozstrzygany przy pomocy decyzji innych krajów. Okazało się niebawem, że właśnie takie arbitralne decyzje miały miejsce, czego przykładem jest tak zwana „Nagroda Wiedeńska” z 2 listopada 1938 roku, mocą której Niemcy i Włochy arbitralnie uznały pretensje węgierskie do pewnych obcych terytoriów. Wręcz przeciwnie, dążeniem dyplomacji polskiej było odzyskanie drogą bezpośrednich dwustronnych negocjacji obszaru i ludności, które według wszelkich historycznych, etnicznych i kulturalnych względów słusznie się Polsce należały.

Michał BUDNY

Michał HELLER

WCZORAJ I DZIŚ W „CZERWONYM KOLE” SOŁŻENICYN

I

Tysiąc dwieście stron „Października 1916” plus tysiąc stron „Sierpnia 1914” dają już jakieś wyobrażenie o „Czerwonym kole” — gigantycznym przedsięwzięciu autora „Archipelagu GUŁag”. Dwa pierwsze „węzły” „historycznej opowieści o zamkniętych odcinkach czasu”, jak nazywa swój *genre* Sołżenicyn, obejmują okres od wstąpienia na tron Mikołaja II (1894) do 4 listopada 1916 roku. Sołżenicyn wie, że trudno wybrać w potoku dziejów punkt, od którego zaczyna się przewrót, mimo to stara się uchwycić moment, który torreadorzy nazywają „chwilą prawdy” — krótki odcinek czasu, decydujący o przyszłości.

Pierwsze „węzły” powieści opisują początkowe obroty „czerwonego koła”. Czytelnik poznaje wiele elementów epopei, choć jeszcze nie wszystkie. Ogromna książka z mnóstwem postaci historycznych i fikcyjnych, obfitująca w fakty, rozmyślenia i szczegóły, pozwala na rozmaite interpretacje. Sołżenicyn, zajmujący we współczesnej literaturze rosyjskiej i światowej miejsce szczególne, z reguły budzi w czytelnikach i krytykach skrajne uczucia. Przyjęło się albo bez pardonu go łajać, albo bez zastrzeżeń chwalić. W 1931 roku Zamiatin napisał w liście do Stalina: „Jak niegdyś chrześcijanie wymyślili diabła dla łatwiejszego wyobrażenia wszelkiego zła, tak krytyka zrobiła ze mnie diabła sowieckiej literatury”. Nie tylko oficjalna krytyka sowiecka, ale i znaczna część krytyków zachodnich podobnie traktuje Sołżenicyną.

Czytałem „Czerwone koło” z pozycji historyka. Tytuł książki określa jej temat. Sołżenicyn mógł wziąć za motto słowa głównego bohatera „Powieści niewygasłego księżycy” Pilniaka: „Koła historii toczą się w dużej mierze dzięki śmierci i krwi — zwłaszcza koło rewolucji” Pilniak wiedział, o czym mówi, a jego bohater z 1926 roku jest nikim innym jak Stalinem, posyłającym na śmierć *narkomwojenmora* Frunze.

Na „Czerwone koło” składają się śmierć, krew i rewolucja. Po ukazaniu się „Archipelagu GUŁag” rozpowszechnił się pogląd — często wypowiadany jako zarzut — że Sołżenicyn nie wniósł do wiedzy o sowieckich obozach koncentracyjnych niczego nowego. Zarzut to niesprawiedliwy: znane było wszystko, ale dopiero książka Sołżenicyna naprawdę otworzyła ludziom oczy. Słowo „gułag” stało się synonimem systemu sowieckiego. Słusznie powiedział Hipolit Taine, że trzeba być wielkim pisarzem, aby być historykiem.

„Czerwone koło” to historia rosyjskiej rewolucji. Sołżenicyn nie napisał jednak powieści historycznej. Próbował tego gatunku i doszedł do wniosku, że nie pasuje do zamysłu, który go prześladował od 1936 roku. Pierwszy wariant „Sierpnia 1914”, opublikowany w Paryżu w 1971 roku, jest niezwykle przykładową powieścią historyczną. Pisarz zmienił tę książkę gruntownie w 1983 roku, kiedy to opublikował drugi jej wariant. O ile w pierwszej wersji *genre* nie był określony, o tyle druga została nazwana „opowieścią o zamkniętych odcinkach czasu”. Po raz drugi („GUŁag” został nazwany „próbą analizy artystycznej”) Sołżenicyn pokusił się o stworzenie specjalnego gatunku literackiego.

Trudności pisania historii rewolucji staną się oczywiste, jeśli uprzytomnimy sobie, że kiedy Michelet postanowił — tak jak Sołżenicyn po upływie siedemdziesięciu lat od rewolucji — opisać francuskie „czerwone koło”, Francja zdążyła przeżyć upadek monarchii, dyktaturę jakobinów, Termidor, Konsulat, Cesarstwo, powrót Burbonów, republikę i ponowną monarchię. Rosja siedemdziesiąt lat po przewrocie październikowym, który zrobił z niej Związek Sowiecki, wciąż znajduje się we władzy partii bolszewickiej. Przyczyny 17-go roku i jego przebieg niezwykle trudno przedstawić dziś w powieści. „... Nawet zagładę — jak stwierdził w 1929 roku B. Pasternak — można naprawdę opisać dopiero wtedy, kiedy została zapomniana i [świat] zaczął odżywać”.

Starając się zrozumieć przyczyny zguby kraju, autor stworzył w „Czerwonym kole” nowy gatunek literacki, mieszankę wywodów historycznych z elementami powieściowymi. W „GUŁagu” Sołżenicyn, rówieśnik opisywanych zdarzeń, opisał własny los.

Poparty i potwierdzony 227-oma świadectwami, los ten stał się kanwą powieści i symbolem dziejów kraju, po którym bezustannie toczy się „czerwone koło” państwa sowieckiego. Wydarzeń opisanych w węzłach „Czerwonego koła” pisarz nie przeżył, jest jednak przekonany, że dzisiejszy badacz nie tylko rozumie, ale i lepiej interpretuje wydarzenia przeszłości. „Współcześni żyli w stanie autohipnozy” — stwierdza. Nie ulega dlań kwestii, że potomni są o siedemdziesiąt lat mądrzejsi od świadków rewolucji. Sąd to zasadny: źródła historyczne — dokumenty, świadectwa, wspomnienia — są niezliczone.

Od dnia, kiedy Sołżenicyn zaplanował „dużą powieść o rewolucji”, ani na chwilę o niej nie zapomniął. Pisać zresztą zaczął ją w młodości, choć pierwszy „węzeł” ogłosił trzydzieści lat później. W międzyczasie odsiedział lata więzienia, ale — jak powiada jeden z bohaterów „Kręgu pierwszego” — „skąd lepiej widać rewolucję rosyjską niż zza krat, które wmurowała?”¹.

Wiosną 1976 roku — pisze w posłowniu do drugiej wersji „Sierpnia 1914” — zebrał w Instytucie Hoovera w Kalifornii obszerne materiały o zabójstwie Stołypina. Zapewne wówczas właśnie uświadomił sobie, że ramy powieści historycznej są za wąskie dla całego „zamyśłu”.

Klucza do zrozumienia przyczyn i natury zmian dokonanych w „Sierpniu 1914”, w wyniku których narodził się „Październik 1916” oraz zapewne wszystkie pozostałe „węzły”, należy szukać w „Kręgu pierwszym”. W posłowniu do ostatecznej (siódmej!) redakcji tej książki pisarz opisuje długą historię powieści, rozpoczętej w 1955 roku, a skończonej latem 1968. Sławę światową zdobyła okrojona wersja, opracowana — jak pisze autor — z myślą o ewentualnej publikacji w ZSSR. „Prawdziwy” wariant książki (tak go nazywa Sołżenicyn) dotarł do rąk czytelników w roku 1978. Różni się on od pierwszego przede wszystkim tym, że dwaj główni bohaterowie są opętani pamięcią o przeszłości i strachem przed historią.

Jeden z nich, Gleb Nierżin, jeszcze w młodości usłyszał „bezgłośny alarm” — jak Lantenac w „1793” Wiktora Hugo. Niemy dzwon alarmu wołał: „Musimy dowiedzieć się i zrozumieć! Odkopać i przypomnieć!”². Nierżin już w dzieciństwie zrozumiał, że go oszukują, karmią „historycznym kłamstwem”. Całe jego dalsze życie — młodość, wojna, więzienia — poświęcone będzie poszukiwaniu prawdy o przeszłości. Odkrywając „zdumiewającą zdolność ludzi do zapominania”, Gleb Nierżin postanawia szukać

1. „W krugie pierwom”, Vermont-Paryż 1978, tom I, str. 363.

2. *Ibidem*, str. 285.

prawdy i obnażyć kłamstwo: „Na czterech hakach rozpiąć ich łągarstwo... niech wisi i śmierdzi, póki nie zgaśnie słońce, póki nie zamrze życie na planecie Ziemia”³.

Gleb Nierzin uważa to za swoją misję, „swoją obowiązkiem i swoje powołanie”.

Inne zadanie wyznacza historia drugiemu bohaterowi powieści, Innocentemu Wołodinowi. Wątek Wołodina uległ największym zmianom. W „okrojonym” wariacie Innocenty jest — zgodnie ze swym imieniem — niewinny: dzwoni do żony profesora Dobroumowa, który go leczył w dzieciństwie, i uprzedza ją, żeby profesor podczas swojej wizyty służbowej w Paryżu nie przekazywał francuskim kolegom żadnego preparatu medycznego. Wołodin długo się wahał, zanim decyduje się na telefon. Wreszcie — w imię pamięci matki i dzieciństwa — dzwoni. Podśłuchana i rozszyfrowana rozmowa z Dobroumową zaprowadzi go do więzienia.

W pierwotnej wersji sowiecki dyplomata Wołodin dzwoni do ambasady amerykańskiej i oświadcza *attaché* wojskowemu, który nie chce go ani wysłuchać, ani tym bardziej zrozumieć, że w najbliższych dniach sowiecki agent w Nowym Jorku dostanie ważne szczegóły techniczne dotyczące produkcji bomby atomowej...

Tym samym do powieści wraca motyw najwyższych zobowiązań, wierności i zdrady. Innocenty Wołodin zdradza tajemnicę państwową przedstawicielowi obcego mocarstwa. Fakt, że tamten go nie słucha i wobec tego nie podejmuje żadnych kroków jest bez znaczenia. Wołodin dokonał wyboru między wiernością państwu sowieckiemu a swoim długiem wobec ludzkości. Skoczył — jak pisze Sołżenicyn — w przepaść, świadom, że zginie, „bo dotarło do niego, że jest nie do wytrzymania, by tak bezwstydnie ukradli bombę i zaczęli nią po roku wygrażać”⁴. Innocenty stara się ocalić cywilizację, bo rozumie, że „bomba atomowa w rękach komunistów oznacza zgliszczenie planety”⁵.

Wierność i zdrada są głównym przedmiotem rozmyślań i sporów w powieści. Każdy z jej bohaterów stoi przed dylematem: zdradzić siebie czy też dochować sobie wierności i iść na niemal pewną zgliszczenie? Ale gdzie jest wierność, a gdzie zdrada? „Kim jest książę Kurbski? — zdrajcą. A Iwan Groźny — rodzonym ojcem”⁶. Bezlitosny spór dotyczy spraw najważniejszych: czym jest patriotyzm, co jest zdradą ojczyzny, gdzie jest ojczyzna? Soł-

3. *Ibidem*, tom II, str. 195.

4. *Ibidem*, str. 268.

5. *Ibidem*, str. 272.

6. *Ibidem*, str. 273.

żenicyn oddaje głos fanatycznemu marksistcie Rubinowi, który w czasie wojny wzywał Niemców do złożenia broni i przejścia na stronę Sowietów, ale i zażartemu wrogowi władzy komunistycznej Sołogdinowi, pochwalającemu bez zastrzeżeń postępek byłego zeka, który odsiedział dziesięć lat za przejście na stronę Niemców, a potem skierował broń przeciw nadzorcom więziennym. Dla Rubina wybór był prosty: „Jak możesz to porównywać?! Przecież obiektywnie mój Niemiec jest za socjalizmem, a twój zek przeciw socjalizmowi!”⁷. Sołogdinowi wybór wydaje się równie prosty: socjalizm jest złem, zatem trzeba z nim walczyć. W „Archipelagu GUŁag” rozdział poświęcony tym, których wiosną 1945 roku uznano za „zdrajców ojczyzny”, traktuje o tych samych problemach patriotyzmu, wierności i zdrady.

Innocenty Wołodin jest jedynym bohaterem „Kręgu pierwszego”, który dokonuje wyboru poza więzieniem. Ten właśnie wybór zaprowadzi go za kraty. Stosunek Wołodina do świata, w którym żyje (i to dobrze żyje) zmienia się w chwili, kiedy w starych gazetach, fotografiach i afiszach teatralnych odkrywa przedrewolucyjną przeszłość. Szczęśliwym sowieckim dyplomatą powoduje nie tęsknota za dawną Rosją, ale przenikające wszystko uczucie, że został okradziony, obdarty z przeszłości i pamięci. Uświadomiwszy sobie, że smok, który pochłoniął jego pamięć, zagraża całemu światu, dyplomata stara się uświadomić ludzkości niebezpieczeństwo. Jego czyn zostanie uznany za zdradę.

II

W toku niedługich „lat nauki Innocentego Wołodina” ważną rolę odegrał zasłyszany gdzieś cytat z Herzena: „Gdzie są granice patriotyzmu? Dlaczego miłość ojczyzny należy odnosić do każdego jej rządu? Pomagać mu i przyczyniać się do zguby narodu?”⁸. Wołodin wybiera wierność narodowi i cywilizacji.

Do „Czerwonego koła” bohaterowie Sołżenicyna żyli za więziennymi kratami. Nawet ci spośród nich, którzy jeszcze albo chwilowo już nie znajdowali się w więzieniu, żyli w cieniu wieżyczek strażniczych. W tym świecie dobro i zło były jasno odgraniczone, czarno-białe jak światło i mrok. W „Czerwonym kole”, opowieści o normalnym świecie, wszystko się miesza i przeplata. Niektórzy pospieszni czytelnicy zarzucili autorowi pierwszych „węzłów” liczne grzechy: monarchizm, antysemityzm, nacjonalizm

7. *Ibidem*, str. 152.

8. *Ibidem*, str. 83.

itp. Sowieccy krytycy odsądzają go od czci i wiary za antynarodowość i zdradę władzy sowieckiej.

Rozpaczliwe słowa Gleba Nierzina — dowiedzieć się i zrozumieć! Odkopać i przypomnieć! — przyświecają całej twórczości Sołżenicyna. Ze stronic „węzłów” rozbrzmiewa wielogłosowy chór mieszkańców imperium rosyjskiego początku wieku. Pisarz użycza pióra przedstawicielom głównych nurtów politycznych i prądów umysłowych tamtych czasów, monarchistom i rewolucjonistom, antysemitom i Żydom, żołnierzom i generałom, chłopom i posłom do Dumy. Wszyscy oni rozmawiają i spierają się, wojują między sobą i z wrogiem zewnętrznym. Sołżenicyna interesuje przede wszystkim polityczna historia przedednia rewolucji, ale jego sympatie polityczne wciąż ustępują przed sympatiami ludzkimi. Na kartach „Czerwonego koła” monarchiści mówią przekonująco o zaletach monarchii, zwłaszcza dla Rosji, a równolegle Sołżenicyn tworzy najokrutniejszy być może w całej literaturze portret cara, przy czym jego życzliwy stosunek do caramęczennika podkreśla tylko bezlitosny opis charakteru słabego despoty. Uczucia Sołżenicyna dla zbierających się w zurychskiej kawiarni „biesów” i ich herszta Lenina nie ulegają wątpliwości, ale jednocześnie czuje się nieskrywaną sympatię autora nie tylko dla ludzkich przymiotów, ale i dla działań przywódcy bolszewików w Rosji, Aleksandra Szlapnikowa. Szlapnikow się Sołżenicynowi podoba. Demoniczny Bogrow sąsiaduje z miłą Zuzanną, która oświadcza: „Jestem dumna i szczęśliwa, że jestem Żydówką”.

„Czerwone koło” to dzieło historyka i pisarza. Historyk wykorzystał wszystkie dostępne dziś źródła historyczne, pisarz dodał do wymowy dokumentów namiętny osobisty stosunek do nich. Swetoniusz, autor żywotów dwudziestu cesarów, przeżywał wydarzenia, które zaszły w Rzymie długo przed jego narodzinami jak najbardziej osobistą sprawę. W niezwykłym „Zmierzchu Imperium Rzymskiego” Gibbona, książce napisanej w XVIII wieku, to osobiste zaangażowanie w losy tych, którzy doprowadzili do upadku Rzymu jest nieobecne.

W „Czerwonym kole” autor osobiście uczestniczy w opisywanych wydarzeniach. Zadaniem historyka jest zbadanie źródeł i opatrzenie ich komentarzem. Autor powieści historycznych Jurij Tynianow starał się „iść w ślad za dokumentem”, zbadać jego kontekst. Sołżenicyn „wchodzi w dokument”, staje się jego współczesnym. Jako historyk autor „Czerwonego koła” zebrał i opracował ogromny materiał, jako pisarz nadał temu materiałowi niezwykły dramatyzm przez to, że wdał się z nim w namiętny spór. Suche stenogramy posiedzeń Dumy, protokoły posiedzeń rządu

mogłyby zainteresować wąski krąg historyków. Na kartach „Czerwonego koła” dokumenty te pulsują życiem, poruszają, oburzają. Przy czym wszystkie te uczucia kierują się nie tylko do mętnych, pewnych siebie, głupich lub mądrych członków Dumy i ministrów, ale i do autora, którego głos rozbrzmiewa z przeszłości gniewnie, ironicznie, świadomy wszystkiego, co nastąpi później. Sołżenicyn po raz pierwszy spróbował „wejść” w dokumenty w „GUŁagu”, gdzie podjął dyskusję z prokuratorem Krylenką, obnażył go do cna i przepowiedział mu zgubę. W „Czerwonym kole” jest to główna metoda przedstawiania dokumentów historycznych. Pisarz toczy spory z mową w Dumie, cytuje wspomnienia, zestawia je z wydarzeniami i wypowiedziami postaci historycznych, wyławia sprzeczności. Sołżenicyn przekopał się przez bogaty materiał epistolarny i wspomnieniowy i stworzył wspaniałe portrety głównych aktorów tragedii: cara, carycy, Lenina. Portrety te są mozaiką autentycznych tekstów, listów, notatek. Obecność pisarza wyraża się stałą ironią przy analizie dokumentów historycznych. Aleksander Sołżenicyn ucieka się do ironii jako do najoszczędniejszej metody wydobywania na jaw wymowy źródeł. Pisarz wykazuje godny najwyższej pochwały obiektywizm, niełatwą bezstronność: wszystkie główne postacie historyczne przedstawione są ironicznie, niezależnie od stosunku do nich autora. Nie dziwi to w przypadku Lenina, ale przecież portret cara jest jeszcze bardziej bezlitosny. Wystarczy, że Sołżenicyn napisze „... czasami przez grzeszny brak cierpliwości chciało się lepiej poznać wolę Boską poprzez mistyczne związki, które umieją nawiązać znający się na rzeczy. W tym celu można się posłużyć pośrednictwem tych tajemniczych ludzi, którzy przestają z zaświatami... Trafił się akurat na petersburskim dworze taki opatrnościowy człowiek, monsieur Filippe, okultysta i doktor medycyny z Lyonu...”⁹ — by uprzytomnić czytelnikowi, skąd brali się na dworze kolejni szarlatani, a więc i Rasputin. Konflikt między Mikołajem II a Stołypinem, który zdaniem Sołżenicyna przesądził o losach Rosji, opisany jest z podziwu godną i psychologicznie przekonującą zwięzłością (na podstawie dokumentów). Wyraża go zwięzłe odpowiedź cara na wiadomość Stołypina, że zdławiono rewolucję 1905 roku: „Nie rozumiem, o jakiej rewolucji mówicie. Nie byłoby nawet zamieszek, gdyby władza znajdowała się w rękach odważniejszych i energiczniejszych ludzi, jak jałtański naczelnik miasta Dumbadze”¹⁰. Sołżenicyn ani razu nie ocenia wprost postępowania carycy, za to starannie dobiera wianuszek cytatów z jej

9. „Awgust czterynadcatogo”, tom II, str. 379-380.

10. *Ibidem*, str. 221.

listów do męża. Aleksandra szczerze kocha Rosję i jej naród, martwi się bezużytecznym przelewaniem krwi podczas wojny i zaczyna zastanawiać się nad działaniami armii i floty. „Trzeba koniecznie doczekać bardziej sprzyjającej chwili — pisze z naciskiem do głównodowodzącego — a nie ślepo nacierać; czują to wszyscy, tylko nikt nie odważa się powiedzieć. Moje spodnie przydałyby się i w sztabie, idioci!”¹¹. Trudno o lepszą ilustrację charakteru Aleksandry Fiedorowny i sytuacji w kraju w ostatnich miesiącach 1916 roku.

Do Mikołaja II Sołżenicyn czuje sympatię i podkreśla dobre cechy jego charakteru, dobrze też pamięta męczeńską śmierć imperatorskiej pary. Ale zadaniem Sołżenicyna jest napisanie prawdy o rewolucji. Prawdą zaś jest, jak pisał Konstanty Leontiew, że „dobrzy ludzie są nierzadko gorsi od złych. Osobista uczciwość może się prywatnie podobać i budzić szacunek, ale w tych niepewnych rzeczach nie ma żadnej logiki, żadnej organizacji. Bardzo przyzwoi ci ludzie czasami szalenie szkodzą państwu”¹².

„Nie pozwalając sobie na najmniejsze porywy fantazji, jak najstaranniej zebrać i zbadać co się da, trzymając się jak najbliższej historyków, a jak najdalej powieściopisarzy...”¹³ — tak opisał swoją metodę Sołżenicyn w pierwszym tomie pierwszego „wężła”. Uwaga ta dotyczyła opisu bitwy w lasach mazurskich, gdzie nieudolność rosyjskiego dowództwa polowego szła w parze z głupotą sztabu głównego. Swojemu credo „jak najbliższej historyków, jak najdalej od powieściopisarzy” pozostał Sołżenicyn wierny we wszystkich tomach „Czerwonego koła”. Tą zasadą zapewne należy tłumaczyć, że rozdziały ściśle historyczne, wydrukowane dla uprzedzenia leniwego czytelnika drobnym pismem, należą do świetnych stronic literatury historycznej i są często bardziej przejmujące aniżeli opisy prywatnych przeżyć niektórych postaci.

III

Archiwa i biblioteki amerykańskie odkryły przed Sołżenicynem niebywałe bogactwo źródeł. To, że autor „Czerwonego koła” starał się zebrać *cały* materiał o rosyjskiej rewolucji wynika nie tylko z pasji i sumienności historyka, ale i z nieuchronnego u człowieka sowieckiego poczucia, że go okradziono i musi dotrzeć do tego, co starannie ukryte.

11. „Oktiabr szesnadcatego”, tom II, str. 417.

12. Cyt. za Nikołaj Ustriałow, „Pod znakom rewolucji (sbornik statiej)”, Charbin 1927, str. 236.

13. „Awgust czetyrnadcatego”, tom II, str. 383.

Wszyscy historycy znają uczucie nadmiaru materiału, którego nie sposób w całości wykorzystać w projektowanej pracy. Każdy historyk staje przed najtrudniejszym z zadań — selekcją materiału. Dla Sołżenicyna „węzły” są synonimem selekcji. Gromadzi materiał wokół najboleśniejszych momentów rosyjskiej historii pierwszych dwudziestu lat naszego wieku. Interesuje go przede wszystkim historia polityczna, czyli historia władzy — jej utraty i jej zdobycia.

Po opublikowaniu pierwszego wariantu „Sierpnia 1914” niektórzy czytelnicy, którzy przeżyli opisywane wydarzenia, zwrócili autorowi uwagę na pewne nieścisłości dotyczące szczegółów — strojów, typów samochodów itp. Autor „Czerwonego koła” stara się jak najwierniej opisać życie w minionej epoce. Jednak ważniejsze w jego opowieści jest co innego. Jak wspaniale powiedział Borys Pasternak, „w historii nie chodzi o to, jakie nosiliśmy ubrania, ale o to, że nas gnano nago”¹⁴. To właśnie jest tematem „Czerwonego koła”.

W osobie Stołypina Sołżenicyn wprowadził do epopei wzór polityka i punkt odniesienia. W pierwszej redakcji „Sierpnia” centralnym epizodem była bitwa na mazurskich bagnach, klęska II armii i samobójstwo generała Samsonowa, symbole ginącej Rosji. Pojawienie się w drugiej redakcji Stołypina zmniejszyło dramatyzm pierwszej porażki armii rosyjskiej i śmierci Samsonowa, ponieważ o wszystkim i tak przesądziło zabójstwo Stołypina w 1911 roku.

Dwa strzały, oddane w kijowskim teatrze 1 września 1911 roku śmiertelnie — zdaniem Sołżenicyna — ugodziły Rosję. Pierwsza linia starcia — między carem a Stołypinem — to linia zdławienia rewolucji 1905 roku i fundamentalnych przemian Rosji, rozpoczętych stołypinowską reformą rolną. Mikołaj II — dowodzi Sołżenicyn — nie uświadamiał sobie ani znaczenia Stołypina, ani sensu jego reform. Sołżenicyn bardzo inteligentnie pokazuje, że winę za ten brak zrozumienia ponosił nie tylko car, ale i jego minister. Stołypin, przekonany monarchista, najwierniejszy z wiernych, niezmiennie nazywał Mikołaja „Małym”, „*le petit*”, albo „carskim dzieciakiem”. „Kocham Małego” — mówił¹⁵. Nie ulega wątpliwości, że monarcha wyczuwał tę protekcjonalność. Podobny stosunek mądrego i doświadczonego Bismarcka do Wilhelma II też doprowadził do zerwania między królem a jego ministrem, choć w tym przypadku skończyło się na odsunięciu Bismarcka od spraw państwowych.

14. Boris Pasternak, „Spiektorskij” w „Stichotworienija i poemty”, Moskwa 1965, str. 336.

15. „Awgust czetyrnadcatogo”, tom II, str. 220 i 244.

W ostatnich minutach przed przystąpieniem do wojny car dręczył się „brakiem twardego, mądrego, górującego nad wszystkimi człowiekiem, który wziąłby na siebie odpowiedzialność i decyzję... Stołypin! — był takim człowiekiem. Oto kogo mu teraz brakowało, w tej właśnie sekundzie — Stołypina!”¹⁶. Wątpliwe, by myślał tak Mikołaj II. To pisarz wstępuje do rzeki przeszłości, aby wyrazić swą rozpacz i żal, aby przypomnieć, dlaczego Rosja zginęła. Ta rzadka u historyków namiętność wobec przeszłości wynika z utożsamienia się pisarza ze swoim bohaterem. Opisując burzliwe posiedzenie Dumy, na którym Stołypina ze wszystkich stron atakowali wrodoży mu posłowie, Sołżenicyn przeżywa wraz z nim: „Ze wszystkich stron fala niepomamowanych obelg — i nagle zachwiała się nasza niezłomna wiara. Cios za ciosem w nas wała...”¹⁷.

Spór między Stołypinem a carem rozstrzygnęło zabójstwo Stołypina. Wojna stworzyła nowy front: między carem a Leninem. W pierwszym zwarciu zdławiono rewolucję, drugie skończyło się jej zwycięstwem. Siłą sprawczą historii jest — zdaniem Sołżenicyna — aktywna „doborowa mniejszość”¹⁸. Pisarz rozróżnia między aktywnością dobra i aktywnością zła. W latach 1905-1906 rewolucyjnej aktywności zła opierały się siły dobra. Po 1914 roku niesłychana aktywność zła wcielonego w Lenina natrafiła na pustkę i bezsilność.

W kompozycji „Czerwonego koła” szczególne miejsce zajmuje „węzeł” drugi: w „Październiku 1916” nie dzieje się nic (nie licząc naturalnie przedłużającej się wojny). Sołżenicyn wybrał moment bezruchu, jaki zdarza się w klepsydrach — ziarenka piasku już zaczęły przepływać, ale jeszcze nie widać ich ruchu. W październiku 1916 w piaskowych klepsydrach rosyjskiej historii zaczęły przepływać ostatnie minuty, ale „aktywna mniejszość” traci skąpo odmierzony czas na gadanie, debatując bez końca nad głównym pytaniem: czym jest wierność, a czym zdrada?

W pierwszych dwóch „węzłach” „Czerwonego koła” wszystkie postacie stają przed wyborem: wierność czy zdrada? Każda dokonuje dramatycznego wyboru między ideałem a obowiązkiem, między uczuciami a przekonaniem, między wiarą w utopię a rzeczywistością, między żądzą zysku a służbą. Tylko jeden z nich, Arkadij Stołypin, potrafi pogodzić wierność obowiązkiem z ideałami. I ginie zdradzony przez tych, którzy mieli go chronić, przede wszystkim jednak przez tron¹⁹. Problematykę wierności i zdrady

16. *Ibidem*, str. 449.

17. *Ibidem*, str. 238.

18. „Oktyabr szesnadcatego”, tom I, str. 332.

19. „Awgust czterynadcatego”, tom II, str. 344.

szczególnie wyraziście ujął Sołżenicyn na przykładzie stosunków między Mikołajem II a Stołypinem. Nazywając autora reformy rolnej „wielkim Rosjaninem”²⁰, Sołżenicyn tropi zdradę na najwyższym szczeblu: „Car ani w tamtej chwili ani później nie zszedł, nie podszedł do rannego. Nie przyszedł. Nie podszedł. A przecież te kule zabiły dynastię”²¹.

Ruch rewolucyjny i później wojna niosły jak chmura deszcz zdradę i histeryczny strach przed zdradą. Prowokatorzy w służbie rewolucji i zarazem ochrony, szpicle cara oddający przysługi rewolucji, pogromy żydowskie i kary za „zdradę”, którą wymyślono na usprawiedliwienie porażek wojskowych, oskarżenie o „zdradę” ministra wojny Suchomlinowa, powieszenie niewinnego pułkownika Miasojedowa — takim powietrzem oddychają bohaterowie „Czerwonego koła”. Centralny epizod pierwszego „węzła” — zabójstwo Stołypina — jest owocem zdrady. Epizod zamykający drugi „węzeł” — wystąpienie Miliukowa w Dumie 4 listopada 1916 roku — dotyczy „głupoty albo zdrady”.

Statyczność „Października 1916” jest pozorna: pod nieruchomością powierzchnią rozstrzyga się kwestia stosunku do wojny i monarchii. Mark Ałdanow, świadek rewolucji i autor dużego cyklu powieści historycznych, w których w poszukiwaniu źródeł kataklizmu 1917 roku cofnął się do 1762 roku, bardzo zwięźle i trafnie opisał sytuację w Rosji w 1916 roku: odrębny pokój z Niemcami był politycznie niezbędny, a psychicznie niemożliwy²².

Głównym tematem drugiego „węzła” jest wybór między koniecznością a niemożnością. Październik 1916 to czas spisków: rozmaite organizacje konspiracyjne proponują swoje koncepcje. Pułkownik Worotynczew zjeżdża do Piotrogradu, aby zaznajomić czytelników ze „spiskowcami”. Ogólne wrażenie: Rosja przegrała wojnę i zbliża się do rewolucji. Sołżenicyn słusznie wskazuje na „auto-hipnozę współczesnych”, przekonujących się, że Rosja poniosła klęskę, której w rzeczywistości nie poniosła. Od lewicy do prawicy wszyscy mówią o koniecznych zmianach na tronie. Dla przeważającej większości „spiskowców” konieczność przewrotu pałacowego wynika z konieczności dalszej wojny, jeśli Rosja ma jej nie przegrać. Monarchista Worotynczew dochodzi do wniosku, że trzeba koniecznie podpisać natychmiast odrębny pokój z Niemcami. Sprzeciwiają mu się liberałowie, Guczkow, kadeci. Oponują też monarchiści pułkownik Nieczwołodow, historyk Andoziarskaja, przekonani, że monarcha i monarchia to pojęcia nierozdzielne. Bez monarchii nie ma Rosji, twierdzą Nieczwołodow i

20. *Ibidem*, str. 310.

21. *Ibidem*, str. 250.

22. M. A. Ałdanow, „Ulmskaja noc”, Nowy Jork 1953, str. 172.

Andozierskaja. Z tym monarchą — replikuje Worotyncew — nawet zwycięstwo nie ma sensu, bo w toku wojny „Rosja zostanie zamieniona na inną Rosję”²³.

Innocenty Wołodin wybrał zdradę w imię zbawienia ludzkości. Worotyncew gotów jest zdradzić w imię zbawienia Rosji. Wołodin przypłaca swój wybór życiem. Jedynym owocem przyjazdu Worontycewa do Piotrogradu jest zdradzenie żony. Jedynym owocem bujnej „spiskowej” działalności rosyjskiej klasy politycznej okazało się zabójstwo Rasputina w grudniu 1916 roku.

„Spiskowcy” rosyjscy nie potrafią się zdecydować na działanie, bo hamują ich uczucia: poczucie obowiązku, wierność przysiędze, słowo danemu sojusznikom. W 1918 roku patriarcha Tichon potępi pokój brzeski przede wszystkim dlatego, że uzna go za zdradę danego słowa. Spiskowców zbierających się wokół Lenina w Zurychu nie dręczyły takie moralne rozterki. Ale i leninowski *Kegelklub* spędza czas na bezpłodnej gadaninie, dopóki nie pojawi się w nim Parvus, autor szczegółowego planu rozbicia Rosji, któremu udało się zdobyć od Niemców pieniądze na to przedsięwzięcie. Parvus i Lenin to najjaskrawsze przykłady „aktywnej mniejszości” oddanej złu. Ci dawno i nieodwołalnie wybrali rewolucję przeciwko Rosji.

Za czy przeciw Rosji, wierność czy zdrada Rosji — do tego sprowadza się wybór, przed jakim stoją wszystkie postacie „Czerwonego koła”. Ale w oczach bohaterów Sołżenicyna, podobnie jak w oczach aktorów ówczesnych wydarzeń, Rosja niejedno miała imię. Każdy widział ją inaczej. Dla cara Rosja była schedą, odziedziczoną po ojcu. Dla carycy — schedą, którą należało za wszelką cenę przekazać synowi, *baby*, jak go nazywała. Dla chłopów była miejscem, w którym się urodzili, żyli i mieli umrzeć. Dla liberałów była tożsama z narodem. Olga Andozierskaja proponuje najpełniejszą definicję: Rosja to naród, ale „i dach, pod którym naród żyje. Wspólny dom narodu, zwany inaczej państwem rosyjskim”²⁴. Zakochany w Oldze Worotyncew nie podziela jej koncepcji „państwa rosyjskiego”: jest przeciwny imperium i gotów bez oporów oddać Polakom i Finom ich ziemie. Dla Worontycewa „dom” to rdzennie rosyjskie ziemie. Ich granice niełatwo wytyczyć. Z szeregu prowadzonych przez Rosję w toku ostatniego stulecia wojen Worotyncew uważa za sprawiedliwą tylko jedną — Krymską. Ta wojna — mówi — była potrzebna. Można go zrozumieć — decydujący epizod wojny rozegrał się na Krymie.

23. „Oktiabr szesnastego”, tom II, str. 25.

24. *Ibidem*, tom I, str. 419.

Ale można też przypomnieć, że kampania krymska zaczęła się od wtargnięcia rosyjskich wojsk do Mołdawii i Walachii w 1853 roku, a Krym był rosyjski dopiero od 1783 roku, czyli w chwili rozpoczęcia wojny zaledwie od siedemdziesięciu lat.

Koncepcja Rosji jako „domu”, który nie stara się cudzym kosztem poszerzyć swych ziem jest Sołżenicynowi niewątpliwie bliska i decyduje o jego stosunku do wielu problemów wojny i rewolucji, w szczególności do „kwestii żydowskiej”. Silna obecność Żydów i „kwestii żydowskiej” w „Czerwonym kole” wynika przede wszystkim ze znaczenia tej kwestii w polityce opisywanej epoki. Wojna szalenie zaostrzyła problem Żydów dlatego, że setki tysięcy uciekinierów z zachodnich guberni osiedliło się w miastach rdzennej Rosji, gdzie do tej pory niekiedy nigdy nie widziano Żyda. Usilnie szerzone słuchy o „zdradzie” znalazły konkretne wcielenie w żydowskich uchodźcach; sojusznicy Rosji wykorzystali „kwestię żydowską” dla nacisku na rząd carski we własnych interesach. Opozycja w Dumie domagała się równouprawnienia Żydów, starając się zjednoczyć wokół tego żądania wszystkie wrogie rządowi siły.

Jeśli uznać za trafną słynną formułę, że nie może być wolny naród, uciskający inne narody, to Sołżenicyn słusznie przypomina, że nawet po rewolucji 1905 roku i uchwaleniu konstytucji chłopci, czyli przeważająca większość ludności Rosji, nie mieli pełni praw obywatelskich.

Stanowisko Sołżenicyna jest konsekwentne i jasne: kwestia żydowska to wynik ekspansji imperium; Żydzi mogą spokojnie i szczęśliwie żyć w Rosji, jeśli uznają ją za swój dom. Takiego wyboru dokonują np. Archangorodskij i Zuzanna. To samo dotyczy zresztą i innych narodowości. Autor z ogromną sympatią opisuje inżyniera Obodowskiego: „...Zadanie człowieka czeka nań tam, gdzie się urodził. Obodowski był pochodzenia polskiego, ale do Polski się nie poczuwał, żył tylko Rosją”²⁵.

IV

Ulubieni bohaterowie Sołżenicyna myślą i dyskutują o historii. W „Kręgu pierwszym” opętani historią byli Nierzin i Innocenty Wołodin. W „Czerwonym kole” historia prześladowuje Sanię Łażenicyna i Worotyncewa: to im wykładają swe koncepcje historiozoficzne Warsonofiew, pop Siewierian, Olga Andozierskaja.

25. *Ibidem*, str. 394.

„Czerwone koło” bynajmniej nie jest zamknięte i za wcześnie, by sądzić o konkluzjach Sołżenicyna. Wszystko, co dotychczas napisał wskazuje jednak, że odrzucając heglowsko-marksistowską koncepcję „praw historii” i postępu, Sołżenicyn widzi w historii działanie dwóch sił: zamysłu i przypadku. Zamysł Boży jest z natury swej tajemnicą. W jednym z wywiadów Sołżenicyn powiedział: kiedyś zrozumiemy sens 1917 roku. Przypadek jest bardziej widoczny. Pisarz cytuje wiele przykładów: car przypadkiem przeczytał zapisek Stołypina o 1906 roku i mianował Stołypina ministrem; przypadkiem też zaczęła się wojna światowa... Sołżenicyn niezłomnie wierzy, że najlepszym systemem dla Rosji byłby system uwzględniający historyczne właściwości kraju, charakter jej narodu i jej terytorium. Pisarz wyłożył swój punkt widzenia w „Kręgu pierwszym”, w artykułach z tomu „Iz pod głąb”, w „Czerwonym kole”. Z poglądami tymi zgodni są bohaterowie „Kręgu pierwszego”, siedzący w więzieniu w 1950 roku, i bohaterowie „Czerwonego koła” rozmyślający nad losami Rosji w roku 1916. Najwyższej wyraził je inżynier Gierasimowicz z „Kręgu pierwszego”: „Sprawiedliwa nierówność! Nierówność oparta na prawdziwych darach, przyrodzonych i rozwiniętych. Jeśli chcecie — państwo autorytarne, jeśli chcecie — rządy duchowej elity”²⁶. W drugiej połowie stulecia Sołżenicyn nazwie ją „techno-elitą”.

Tragedią Rosji — dowodzi Sołżenicyn — był brak elity. Istnieli utalentowani, rozumni, wykształceni ludzie, np. Szypow, Kriwoszejn. Ale brakowało im niezbędnej cechy, jaką posiadał Stołypin: „woli tworzenia historii, woli przywództwa”²⁷.

Tragicznym przypadkiem było i to, że rewolucją kierował Lenin, rzeczywisty wódz pragnący „tworzyć historię”.

Pisarz Sołżenicyn rozszerza możliwości historyka Sołżenicyna: znakomity rozdział 62 w „Sierpniu 1914” np. zasłużyłby przy obronie pracy doktorskiej na najwyższą ocenę, gdyby nie był tak dobrze napisany. Połączenie historyka z pisarzem ma jednak swoją odwrotną stronę: pisarz nie musi przedstawiać tylko jednego, własnego punktu widzenia na wydarzenia, ma prawo przedstawić ich wiele. Wówczas czytelnik zaczyna zadawać sobie pytania. Na przykład w pierwszym „węźle” opisana jest historia Marii Spiridonowej, gimnazjalistki, która zabiła pogromcę chłopów, została zgwałcona przez Kozaków i zesłana na katorgę²⁸. Z drugiego „węźła” czytelnik dowie się, że gimnazjalistka Maria

26. „W krugie pierwom”, tom II, str. 317.

27. „Oktiabr szesnadcetogo”, tom I, str. 332.

28. *Ibidem*, str. 251.

Spiridonowa skazana została za zabójstwo swojego kochanka²⁹. Pisarz wkłada te rozmaite wersje w usta różnych postaci, sam nie zajmując stanowiska. Historyk powinien nie tylko przedstawić różne opinie, ale i opowiedzieć się po stronie którejś z nich.

Niektóre opinie Sołżenicyna budzą wątpliwości: historyk wypowiadający nieortodoksyjne poglądy powołuje się na źródła, pisarz nie ma takiego obowiązku. Dyskusja wówczas jest trudniejsza. Wątpliwości może np. budzić sołżenicynowska ocena wzajemnych zależności Rosji i sojuszników podczas wojny. W 1911 roku Rosja podpisała układ wojskowy z Francją, w którym zobowiązała się wystąpić przeciwko Niemcom zaraz po mobilizacji. Rosyjska inwazja Prus wschodnich istotnie pomogła Francuzom zatrzymać Niemców nad Marną i odnieść zwycięstwo, decydujące dla całego przebiegu wojny. Porażka II armii rosyjskiej na mazurskich bagnach skłoniła Rosję do zwalania winy na sojuszników. „... Kazali zaatakować 15-go dnia, z nieprzygotowanymi tyłami — taki nerwowy pośpiech wszystkich ogarnął, by ratować Paryż”³⁰. A kilka stron dalej: „Zacniemy... zupełnie nieprzygotowani — 15-go dnia! Przyjaciele wszak w biedzie, dla przyjaciół choć w bagno leż...”³¹. Ten pogląd jest z kilku powodów sporny: po pierwsze nie bardzo można nazwać wojska rosyjskie „zupełnie nieprzygotowanymi”. Armia była gotowa, miała znaczącą przewagę w piechocie, kawalerii i artylerii. Po drugie porażka Francji nad Marną bezspornie skazałaby na porażkę Rosję. Niewykluczone, że szybkie zakończenie wojny i podpisanie pokoju powstrzymałoby rewolucję, ale latem 1914 roku wszyscy marzyli tylko o zwycięstwie. Wreszcie podpisano traktat, którego naruszenie wydawało się w owym czasie nie do pomyślenia. Sołżenicyn z uporem twierdzi, że w 1915 roku armia rosyjska „tylko wyręczała” sojuszników. Na gorzkie żale Worotyncewa Swieczin odpowiada pobłażliwie: „Francuzi też stracili sto tysięcy pod Verdun”³². Francuzi stracili nie sto, a około czterystu tysięcy, a Niemcy około sześciuset tysięcy, co nie mogło nie ułatwić sytuacji na froncie rosyjskim.

Co do starego sporu o Azefa autor „Czerwonego koła” nie ma wątpliwości: pogłoski o prowokatorstwie Azefa są mitem, Azef wiernie służył ochronie. Tak samo uważał Stołypin. Sołżenicyn nie przytacza jednak wystarczających argumentów na poparcie swej tezy. Twierdzi na przykład, że „w praktyce eserów przy-

29. *Ibidem*, str. 224.

30. „Awgust czterynadcatogo”, tom I, str. 89.

31. *Ibidem*, str. 125.

32. „Oktiahr szesnadcatego”, tom II, str. 16.

wódcy i inspiratorzy zawsze znajdują się na miejscu”³³ w chwili zamachów terrorystycznych, a Azef znajdował się za granicą w momencie zabójstwa Plehwego i Siergieja Aleksandrowicza. To prawda. Za to stał dwa kroki od Borisa Wnorowskiego, kiedy ten 6 maja 1906 roku rzucił bombę pod karocę moskiewskiego generał-gubernatora Dubasowa.

Wspaniale napisane stronicie poświęcone Bogrowowi są doskonałym przykładem, jak Sołżenicyn pracuje nad źródłami. Akta sprawy Bogrowa spłonęły, jak wiadomo, w czasie pożaru kijowskiego oddziału ochrony po lutym 1917 roku. Ocalały jednak protokoły przesłuchań Bogrowa, spisane przez kijowskich i petersburskich żandarmów. Ocalały też wspomnienia przyjaciół zabójcy Stołypina, Kurłowa, Gierasimowa...

Przy portrecie Bogrowa Sołżenicyn wykorzystał pamiętniki anarchisty I. Grossmana-Roszczyna. Od niego zaczerpnął tezę o „inteligencji” zabójcy³⁴, którą dostrzega Stołypin — jakim cudem? — na twarzy podbiegającego doń zamachowca³⁵. Charakter Bogrowa i misję, jakiej się podejmuje, poznaje czytelnik w toku rozmowy Bogrowa z Jegorem Łazariewem, znanym działaczem partii eserów. Sołżenicyn posłużył się wspomnieniami Łazariewa, ale nie jak historyk, tylko jak pisarz. Bogrow tłumaczy Łazariewowi, dlaczego wybrał za cel Stołypina: „... Myślę, że jest on teraz najbardziej szkodliwą figurą i przywódcą reakcji rządowej”³⁶. Sołżenicyn wkłada jednak w usta Bogrowa dodatkowe, nigdy nie wypowiedziane, słowa: „Jeśli wolno tak się wyrazić, jest za dobry dla tego kraju”³⁷. Bogrow oświadcza Łazariewowi: „Jestem Żydem i pozwólcie sobie przypomnieć, że po dziś dzień żyjemy pod władzą czarnosecinnnych przywódców”³⁸. U Sołżenicyna Bogrow mówi: „Właśnie dlatego, że jestem Żydem, nie mogę ścierpieć, że — pozwólcie sobie o tym przypomnieć — po dziś dzień żyjemy pod władzą czarnosecinnnych przywódców”³⁹.

Znający Bogrowa rewolucjoniści tłumaczyli jego zamach na Stołypina tym, że chciał odkupić grzech służby w carskiej ochronie. W historii rosyjskiego ruchu rewolucyjnego było niemało takich przypadków. Bogrow przyszedł do Łazariewa z prośbą, by eserzy wzięli na swój rachunek planowany zamach. Gotów był

33. „Awgust czterynadcatogo”, tom II, str. 214.

34. I. Grossman-Roszin, „Dmitrij Bogrow, ubijca Stołypina” w *Bytoje* nr 26/1924.

35. „Awgust czterynadcatogo”, tom II, str. 248.

36. Jegor Łazarew, „Dmitrij Bogrow i ubijstwo Stołypina” w *Wola Rossiji* nr 8-9/1926, str. 43.

37. „Awgust czterynadcatogo”, tom II, str. 132.

38. Jegor Łazarew, *op. cit.*, str. 51.

39. „Awgust czterynadcatogo”, tom II, str. 132.

nawet zabić kogoś innego: „Niech partia wskaże jakąkolwiek osobę”⁴⁰. Sołżenicyn natomiast podkreśla, że Bogrow chciał koniecznie zabić Stołypina. Ma podstawy do takiego przekonania: anarchista Piotr Latkowski, który dzielił z Bogrowem celę przed jego egzekucją, dowiedział się od strażnika, że idąc na szafot, Bogrow zdążył powiedzieć: „Najszczęśliwszą chwilą w moim życiu był moment, kiedy dowiedziałem się, że Stołypin umarł”⁴¹. Latkowski podobnie jak inni towarzysze Bogrowa uważa te słowa za wyraz zadowolenia z udanego zamachu, który zmył z zamachowca piętno zdrajcy. Dla Sołżenicyna zabójstwo Stołypina było wynikiem starcia światłych i obskuranckich sił, przy czym obskurantyzm ucieleśnia Żyd Bogrow, wróg Rosji. Istniejące historyczne materiały nie wystarczają do takiego twierdzenia.

V

Pisarz i historyk Aleksander Sołżenicyn jednocześnie wskrzesza przeszłość i tworzy własny fikcyjny świat, własną wizję przeszłości. „Czerwone koło” jest utworem literackim, pracą historyczną i zbiorem myśli na temat palących pytań współczesności. Zbędne dowodzić, jak potrzebna jest prawda o przeszłości. Wystarczy przytoczyć jeden wymowny przykład. Sołżenicyn rehabilituje pułkownika Miasojedowa, skazanego na śmierć m.in. na podstawie donosu „sukinsyna podporucznika Kołakowskiego”⁴². Równolegle z „Październikiem 1916” ukazała się w Moskwie książka, w której wspomniane jest m.in. „męstwo, rozumność i godność rosyjskiego oficera liniowego Jakuba Kołakowskiego...”⁴³.

Znaczenie „Czerwonego koła”, aktualność tej epopei polega jednak na czym innym. Aleksander Sołżenicyn pokazuje, że człowiek musi sam dokonywać wyborów, samodzielnie decydować, jak ma żyć on sam i jak ma żyć kraj, w którym mieszka. Autor „Czerwonego koła” proponuje linię pośrednią „między lewymi a prawymi. Polityka Stołypina wydaje mu się idealna, bo prowadziła krawędzią”⁴⁴.

Tylko wolny człowiek może tworzyć „elitę”, „aktywną mniejszość”. Tylko „aktywna mniejszość” może wpływać na bieg his-

40. Jegor Łazarew, *op.cit.*, str. 47.

41. P. Latkowski, „Nieczto o Bogrowie” w *Katorga i ssyłka* nr 2/1926, str. 44.

42. „Oktjabr szesnadcato”, tom II, str. 452.

43. Aleksandr Gorbowski, Julian Siemionow, „Biez jedinogo wystrieła. Iz istorii rossijskoj wojennoj razwedki”, Moskwa 1983, str. 362.

44. „Awgust czetyrnadcato”, tom II, str. 537.

torii. Kiedy w Rosji wprowadzono w ruch „czerwone koło”, zabrakło oporu elity. Co wydarzyło się dalej, zostanie opowiedziane w następnych „węzłach”.

„Opowieść” o przeszłości zaadresowana jest do pokoleń dzisiejszych i jutrzejszych: należy zrozumieć, co się wydarzyło i uświadomić sobie, że człowiek musi wybierać. Pisarz uważa wierność sobie i domowi za prawdziwe wartości, w odróżnieniu od wierności reżymom czy rządowi.

Michał HELLER

(Z rosyjskiego przełożyła Julia Juryś)

WSPOMNIENIA

Zbigniew BRZEZIŃSKI

CZTERY LATA W BIAŁYM DOMU*

WIZYTA W POLSCE

31 grudnia 1977

Wczoraj zakończył się pierwszy pełny dzień podróży. Odlecieliśmy 29-go rano w bardzo dobrym nastroju. Prezydent przechadzał się po samolocie i rozmawiał z towarzyszącymi mu osobami. Były to niefrasobliwe pogawędki, dotyczące tego, co będziemy robić w Warszawie, jak zamierza traktować różne wizyty i ewentualne konfrontacje.

Rano, kiedy powiedziałem Jody (Powellowi), że mam zamiar złożyć wizytę Kardynałowi, zrodził się pomysł, aby Rosalynn wybrała się ze mną. Wkrótce potem przyszła i powiedziała, że jest to doskonała myśl. Uzgodniliśmy wtedy, że pojedzie ze mną, aby spotkać się z Kardynałem. Nie uprzedzimy o tym z góry (władz) polskich ani prasy, ale zrobimy to w ostatniej chwili.

Przy lądowaniu ogarnęło mnie wzruszenie. Flagi polskie i amerykańskie, hymny narodowe, doskonałe przemówienie Cartera,

* Zamieszczony fragment książki Zbigniewa Brzezińskiego „Cztery lata w Białym Domu” (*Power and principle*), która ukaże się w bieżącym roku nakładem Polonia Book Fund, nie był opublikowany w wydaniu angielskim.
— *R e d a k c j a*.

niestety zmarnowane przez nieudolnego tłumacza, który w jakiś sposób rusyfikował jego wyrażenia. Następnego dnia stało się to w Warszawie tematem nieustannych dowcipów. Nawet członkowie Biura Politycznego podnosili zarzuty, że tłumaczenie było pod wielkim wpływem języka rosyjskiego. Było przeraźliwie zimno. Poprosiłem agentów z ochrony Prezydenta o zgrupowanie się za panią Carter, aby nie zamarzła na śmierć. Gdy słuchając przemówień powitalnych i hymnów narodowych staliśmy na mokrej płycie lotniska, syberyjski wiatr przeszywał nam plecy. Następnie sznur samochodów skierował się do Warszawy, z tym że Prezydent udał się do Wilanowa, a resztę oficjalnej delegacji rozmieszczono w (rządowych) domach gościnnych w centrum miasta.

Następnego dnia rano wraz z Cy Vancem udaliśmy się do Prezydenta. Po śniadaniu w doskonałym nastroju zrobiliśmy małą turę po pałacu, pełnym wspomnień historycznych i pamiątek związanych z historią Polski.

Po tym Rosalynn i ja udaliśmy się na spotkanie z Kardynałem. Biskup, który powitał nas, myślał początkowo, że Rosalynn jest moją żoną i gdy zorientowano się, że jest to żona Prezydenta, wywołało to wielką sensację. Sam Kardynał robi naprawdę najlepsze wrażenie — rozumny, inteligentny, połączenie teologa, socjologa i patrioty. W sposób elokwentny i jasny przedstawił analizę współczesnej Polski, podkreślając tempo zmian, modernizację, uprzemysłowienie i sekularyzację. Jednocześnie mówił z przekonaniem i wiarą w przyszłość Kościoła. Wyraził się też dobrze o Gierku, którego nazwał uczciwym przywódcą. Wręczyłem mu bardzo serdeczny, politycznie mocny, pisany odręcznie list prezydenta Cartera, którego projekt sam opracowałem.

Tego samego dnia nie omieszkalem powiedzieć Gierkowi i innym członkom Politbiura, jak dobrze Wyszyński wyrażał się o pierwszym sekretarzu. Gierek pokraśniał.

Warto wspomnieć, że poprzedniego dnia na lotnisku, gdzie poznałem wszystkich czołowych przywódców, witałem ich w języku polskim i mogę powiedzieć, że stałem się przedmiotem zaciekawienia, ale również sympatii. Premier, na przykład, nie tylko powitał mnie, ale pozostał przy mnie przez większą część ceremonii.

Ranek stał pod znakiem uroczystego składania wieńców na grobie Nieznanego Żołnierza. Chociaż Cy Vance nie chciał wysunąć się naprzód i pozostał z resztą świty, ja zdecydowałem się pójść razem z Prezydentem, który witał się z przedstawicielami różnych organizacji kombatanckich. Starałem się uścisnąć dłoń każdego z byłych żołnierzy, pytając o bitwy, w których brali udział, a wyróżniałem specjalnie żołnierzy Armii Krajowej i Pol-

skich Sił Zbrojnych na Zachodzie. Obie te grupy były dotychczas usuwane w cień.

Przy pomniku warszawskiej Nike i pomniku Bojowników Getta złożyliśmy kwiaty, ozdobione symbolem Polski Walczącej przy pierwszym, gwiazdą Dawida przy drugim. Do obu tych symboli rząd odnosił się z dużą rezerwą. Później skierowałem Cartera do tej części tłumów, gdzie panował prawdziwy entuzjazm — w odróżnieniu od grupy, która zachowywała się grzecznie, lecz dość pasywnie. W tej spontanicznej części ludzie przepychali się, wznosili okrzyki i wiwaty oraz skandowali: „Carter, Carter!”. Gdy samochód nasz posuwał się, Carter rozsunął ruchomy dach, stanął i uradowany wyciągał do wiwatujących tłumów ręce w powitaniu. Niektórzy skandowali też moje nazwisko.

Po długiej rozmowie Gierka z Carterem byliśmy podejmowani obiadem w Sejmie. Trwał dość długo, po czym odbył się dalszy ciąg dwustronnych rozmów Gierka z Carterem. Gierek wygłosił wtedy bardzo dobre, ale i bardzo długie przemówienie. Zrobił na mnie wrażenie człowieka inteligentnego, przyzwoitego i rozważnego, niezbyt dogmatycznego i umiającego bardzo skutecznie bronić swej sprawy.

Później odbyła się wielka, pierwsza konferencja prasowa Prezydenta Stanów Zjednoczonych za Żelazną Kurtyną. Carter doskonale dawał sobie radę, aczkolwiek szereg dziennikarzy, przede wszystkim amerykańskich, zadawało mu bardzo podchwytliwe pytania. Ogólnie biorąc wyczuwałem, że był z siebie bardzo zadowolony.

Wieczorem wielkie przyjęcie na jego cześć w Pałacu Radziwiłłowskim. Początkowo zanosilo się na katastrofę, bowiem tłumacz był wyjątkowo nieudolny. Na szczęście urzędowy tłumacz Gierka objął tę funkcję i uratował sytuację. Carter wygłosił znakomite przemówienie — wzruszające, bezpośrednio skierowane na problemy pokoju i praw człowieka, doskonale przyjęte. Siedziałem obok sekretarza (KC) Babiucha, z którym wdałem się w długą dyskusję na różne tematy, od niepotrzebnego wprowadzenia do Konstytucji Polskiej wzmianki o Związku Sowieckim do problemu praw człowieka i współpracy międzynarodowej. Wprawiłem go w zakłopotanie mówiąc, że historia Polski zanotuje fakt, że właśnie on wprowadził do konstytucji tę wzmiankę. Babiuch zajął postawę defensywną, a później przysłał mi nawet jakieś dokumenty mające wykazać, że sprawa przedstawiała się inaczej.

Następnego ranka odlot z Warszawy w zamieci śnieżnej. Zwykła parada wojskowa, zwykłe przemówienia, uściski rąk, wzajemne

komplementy. Rozmawiałem z generałem Jaruzelskim. Podkreślił znaczenie, jakie przywiązuje do tradycji wojskowych. Muszę przyznać, że wojskowi wyglądają bardzo dobrze i że jest poważna poprawa w wyglądzie wojska, które widziałem szereg lat temu. Żołnierze wyglądają znacznie porządniej i schludniej. Ogólnie jednak biorąc, nie mogę opanować uczucia pewnego przygnębienia. Wszyscy przywódcy wyglądają nieokrzesanie, nieciekawie, ciężko. Kobiety przysadziste, pękate. Nastrój hipokryzji przeważa we wszystkim, co się mówi w sprawach międzynarodowych czy wewnętrznych. Prywatne i oficjalne oświadczenia pełne są defensywnego samochwalstwa. Wszystko jest tak pomyślane, aby wykazać, jak są świetni, jak się dobrze sprawują, jakie mają doskonałe wyniki. Zamiast czekać na komplementy od obcych, sami sobie te komplementy składają.

Na pokładzie samolotu w drodze do Iranu dowiedziałem się, że pierwsze reakcje prasy zagranicznej, szczególnie amerykańskiej, w sprawie wspólnej wizyty z Rosalynn u kardynała Wyszyńskiego są bardzo dobre. Było to rzeczywiście mistrzowskie posunięcie.

POŚREDNICTWO WARSZAWY W SPRAWIE AFGANISTANU

Czwartek, 7 sierpnia 1980

Dzisiaj poinformowałem Prezydenta o rozmowie, jaką parę dni temu odbyłem z ambasadorem polskim. W wyniku tej rozmowy zarysowała się właśnie koncepcja amerykańsko-sowieckiego dialogu, prowadzonego poufnie w Polsce celem stwierdzenia, czy Moskwa byłaby skłonna wycofać się z Afganistanu. Sam pomysł powstał w przededniu wyborów. Ambasador polski powiedział mi po prostu, że Polacy (władze) są przerażeni możliwością porażki Cartera. Powrót do władzy republikanów, a szczególnie ludzi w rodzaju Kissingera oznaczałby dla nich wielkie obniżenie zainteresowania Ameryki Polską, a w konsekwencji jeszcze większe uzależnienie Polski od Związku Sowieckiego. Ambasador, który pochodzi ze starej rodziny o przekonaniach marksistowskich i określa siebie jako byłego marksistę, mówił mi o konieczności dalszego wzmocnienia Kościoła w Polsce i zapytywał, w jaki sposób mogliby (Polacy) nam pomóc. Powiedziałem mu, że jedyną pomocą, jakiej mogą nam udzielić, byłoby przekonanie Rosjan, że muszą przyjąć jakieś kompromisowe rozwiązanie spra-

wy Afganistanu w oparciu o zasadę wycofania się Związku Sowieckiego.

Powiedziałem dziś Prezydentowi, że Polacy chcą być pomocni i zapytałem, czy zgadza się, abym nadal zajmował się tą koncepcją. Prezydent zgodził się na to i jeszcze tego samego dnia przeprowadziłem rozmowę ze Spasowskim. Skontaktuje się on z Gierkiem, a ten z kolei będzie rozmawiał z Breżniewem. Nie wiem, czy da to jakieś rezultaty, uważam jednak, że warto wystąpić z taką inicjatywą. Prezydent jest tak przeciwny każdej tajnej akcji, że w ciągu trzech ostatnich lat nie mieliśmy z Rosjanami żadnego skutecznego, trwałego i dyskretnego dialogu.

Sobota, 9 sierpnia 1980

W piątek rano poinformowałem Prezydenta o moich dalszych rozmowach z ambasadorem Spasowskim. Polacy rozpoczną teraz sondowanie Rosjan. Nie oczekuję zbyt wiele, warto jednak spróbować. Jeżeli to wyjdzie, może być bardzo ważne. Jeżeli nie wyjdzie, nic się na tym nie straci.

WRZENIE W POLSCE

Niedziela, 24 sierpnia 1980

Ostatnie dni stoją pod znakiem wydarzeń w Polsce. Masowe strajki, wspierane przez opozycyjną inteligencję, doprowadziły dzisiaj do poważnych zmian w rządzie. Jak dotąd, wydaje nam się, że Gierek pozbył się frakcji opowiadającej się za (większymi) represjami, a nawet interwencją sowiecką. Jego ustępstwa na rzecz wolnych związków zawodowych mogą mieć dla systemu bardzo daleko idące konsekwencje. W każdym razie stopniowe zmiany zachodzące w Polsce są na pewno w naszym interesie i robimy wszystko co w naszej mocy, aby je popierać, licząc jednocześnie na powściągliwość społeczeństwa polskiego. Z naszego punktu widzenia sowiecka interwencja wojskowa, zwłaszcza obecnie, byłaby katastrofą.

W piątek rano, po powrocie z urlopu, zapoznałem Prezydenta z sytuacją w Polsce. Podkreśliłem, że wydarzenia w Polsce można zrozumieć lepiej, jeśli się je ujmie w trzy fazy: pierwsza — ekonomiczna, znajdująca wyraz w hasle „chleb”, następnie polityczna, wyrażająca się hasłem „wolność”, i wreszcie narodowa, ujęta w hasło „niepodległość”, a czasem nawet „Katyń”, gdyż oba te hasła wskazują na antyrosyjskość. Obecnie sytuacja w Polsce

znajduje się w drugiej fazie i jeśli reżim nie ustąpi, znaleźć się może w fazie trzeciej. Nakłaniałem Prezydenta, aby wykazywał jak największą powściągliwość i jak najmniej wypowiadał się w sprawie sytuacji w Polsce.

Następnie, jak w każdy piątek, zasiedliśmy do wspólnego śniadania w normalnym składzie. Najpierw dyskutowaliśmy kwestię polską i ustaliliśmy, że Prezydent nie wypowie się w tej sprawie, natomiast Muskie złoży dość silne oświadczenie, które zaaprobowaliśmy podczas śniadania.

Poniedziałek, 25 sierpnia 1980

Zapoznałem znów Prezydenta z sytuacją w Polsce, wskazując, że dużo jeszcze wody upłynie, zanim dojdzie tam do stabilizacji. Powiedziałem mu też, że Olszowski może wypłynąć jako rywal Gierka i wobec tego możemy być świadkami długiej walki o władzę, niezależnie od szerszego problemu wewnętrznej stabilizacji. Nakłaniałem go, aby wysłał krótkie listy do Thatcher, Giscarda i Schmidta, a także do Papieża, celem zachowania dowodu zainteresowania Prezydenta sytuacją Polski oraz zainicjowania wymiany poglądów w tej sprawie. Podkreśliłem, że jest rzeczą ważną, aby wykazał zainteresowanie tą kwestią. Prezydent poprosił mnie o przygotowanie projektów tych listów.

Środa, 27 sierpnia 1980

Dziś rano poinformowałem Prezydenta, że kardynał Wyszyński wypowiedział się wreszcie w sprawie sytuacji w Polsce i nakłaniał do powściągliwości. Moim zdaniem robotnicy początkowo nie będą go słuchać, ale gdy ich żony zastanowią się nad tym, co Kardynał powiedział, zaczną na nich wywierać presję, aby stali się bardziej ugodowi. Powiedziałem również Prezydentowi, że wręczyłem Muskiemu tekst proponowanych listów do Giscarda, Schmidta i Thatcher, a także do Papieża i że czekałem cały dzień na uwagi Sekretarza Stanu, które jednak nie nadeszły.

Czwartek, 28 sierpnia 1980

W ciągu dnia dostałem wreszcie uwagi Muskiego odnośnie mego listu w sprawie polskiej. Usunął wszystkie mocne stwierdzenia, natomiast pozostawił bez zmiany podstawową tezę prze-

śłania. Wobec tego przedłożyłem tę wersję do zatwierdzenia Prezydentowi, który wprowadził dodatkowe zdanie tej treści, że jesteśmy bardzo zaniepokojeni możliwością interwencji sowieckiej i że staramy się nie zrobić jakiegoś kroku, który Moskwa mogłaby uznać za usprawiedliwienie (swojej akcji) albo za prowokację. Te trzy listy wyszły dzisiaj kanałami rządowymi i powiedziałem Muskiemu, aby czwarty skierował jako specjalne przesłanie do Papieża.

Środa, 3 września 1980

Powiedziałem wczoraj Prezydentowi, że otrzymaliśmy pozytywną odpowiedź Giscarda w sprawie Polski. Prezydent Francji zwraca przede wszystkim uwagę, że *détente* stwarza sprzyjające warunki dla takiego rozwoju wydarzeń, jakie mają miejsce w Polsce i że Zachód powinien tę akcję wspierać. Giscard planuje notę do Gierka, w której będzie go skłaniał, aby był nieustępliwy (w stosunku do Rosjan). Ogólnie mówiąc, w tej sprawie Francuzi wyprzedzili nas. Powiedziałem również Prezydentowi, że w moim przekonaniu jest to początek długiego kryzysu i że nie można wykluczyć interwencji sowieckiej. Boję się nawet, że stanie się bardziej prawdopodobna, gdy Polacy wykażą, iż nie mogą sobie poradzić z polityczno-ustrojowymi konsekwencjami ostatnich zmian.

Dziś rano, rozmawiając z Prezydentem, zwróciłem mu uwagę, że listy, które wysłał do Giscarda, Thatcher i Schmidta są już powszechnie znane. Powodem tego niewątpliwie jest niedyskrecja Departamentu Stanu.

Późnym popołudniem rozmowy z Lane Kirklandem. Amerykańskie Związki Zawodowe ogłaszają jutro, że dostarczają pomocy finansowej strajkującym w Polsce oraz organizacji wolnych związków zawodowych. Odradzałem mu ogłaszanie tego publicznie, ale był nieustępliwy. Nalegałem, aby przynajmniej przedstawiał to jako akcję mającą na celu wspomaganie rodzin polskich. Przyrzekł mi, że to robi, ale wątpię, żeby miał określić ową pomoc w ten sposób. Wydaje się, że jest zdecydowany, aby fakt pomocy amerykańskiej znany był powszechnie i uważa, że jest to minimum tego, co zrobić może amerykański świat pracy. Podziwiam go za odwagę i charakter, ale uważam, że błędnie ocenia sytuację. Muskie tymczasem był w w kontakcie z Prezydentem i postanowił wezwać sowieckiego *chargé d'affaires*, aby zawiadomić go z góry, że nie mamy nic wspólnego z tą akcją (związków zawodowych). Wydało mi się to nieco dziwne i powiedziałem Muskiemu, że

powinien przynajmniej wezwać również ambasadora polskiego, inaczej bowiem wytworzy wrażenie, że uważamy Polskę za wasala Związku Sowieckiego. Mogłoby to mieć zgubne skutki wewnętrzno-polityczne. Muskie zgodził się ze mną, że należy tak postąpić, ale przeraził mnie fakt, że Prezydent zatwierdził tę inicjatywę bez żadnych szerszych konsultacji.

Czwartek, 4 września 1980

Podczas porannej sesji informacyjnej powiedziałem Prezydentowi, że błędem było wyrażenie zgody na to, aby Muskie wezwał sowieckiego *chargé d'affaires* celem odcięcia się od decyzji związków zawodowych w sprawie pomocy finansowej dla strajkujących w Polsce. Podkreśliłem, że ta decyzja, nie uzgodniona ze mną, może stworzyć wrażenie, że traktujemy Polskę jako wasala Związku Sowieckiego. W zasadzie nawet uchodzić by mogła za *carte-rowski* ekwiwalent doktryny Sonnenfeldta. Powiedziałem ponadto Prezydentowi, że zwróciłem się do Muskiego, aby wezwał ambasadora polskiego i złożył mu tego rodzaju oświadczenie i że Muskie to zrobił. Przynajmniej usunęło to żądło z kontaktu z Moskwą.

SYTUACJA W POLSCE NADAL SIĘ KOMPLIKUJE

Poniedziałek, 8 września 1980

Przed południem zebranie mego zespołu w sprawie Polski. Będziemy starali się opracować dalekosiężną inicjatywę, mającą na celu pomoc Polakom w skonsolidowaniu dotychczasowych zdobyczy.

Sobota, 13 września 1980

Wczoraj wieczorem powiedziałem Prezydentowi, że jesteśmy gotowi do decyzji w sprawie kredytów dla Polski i że powinien w tej kwestii wydać mocne oświadczenie. Zrobił to później tego dnia i mam nadzieję, że będzie ono politycznie skuteczne i okaże się również pomocne dla Polski.

Sobota, 20 września 1980

Coraz więcej groźnych oznak, że Związek Sowiecki przygo-

towuje się prawdopodobnie do akcji wojskowej przeciw Polsce. Już 10 dni temu prosiłem Muskiego, aby zwołał komisję polityczną w sprawie Polski, ale Departament Stanu stale odrzuca to zebranie. Jeśli nie zastosuje się do tego do początku przyszłego tygodnia, zwołam Specjalną Komisję Koordynacyjną celem rozważenia, jakie plany należy wziąć pod uwagę w nagłym przypadku. Tymczasem Christopher poinformował przywódców europejskich o sowieckich planach wojskowych ewentualnej inwazji Iranu. W niedalekiej przyszłości możemy stanąć w obliczu jednej, a nawet dwóch bardzo dramatycznych i doniosłych w skutkach sytuacji. Sowiecka inwazja Iranu zagroziłaby naszym życiowym interesom i nadwerzęłaby równowagę sił. Sowiecka okupacja Polski cofnęłaby zmiany ewolucyjne w orbicie sowieckiej na wiele dziesiątków lat. Przyspieszyłaby też, i z pewnością będę o to zabiegał, wojskowy sojusz amerykańsko-chiński, skierowany przeciw Moskwie.

W piątek spotkałem się ze specjalnym wysłannikiem kierownictwa polskiego. Apelował on, abyśmy wykazali powściągliwość. Zgodziłem się, że nie powinniśmy popierać w Polsce nadmiernych żądań. Reżym znajduje się dosłownie u kresu swych możliwości w zakresie ustępstw. Spotkaliśmy się na lunchu w moim gabinecie. Mój gość był w dobrym nastroju i uważał, że w jakiś sposób uda im się tę sprawę załatwić, aczkolwiek sytuacja pod względem ekonomicznym staje się naprawdę katastrofalna. Utrzymywał, że Kania jest kandydatem kompromisowym i że decydującym czynnikiem, mogącym doprowadzić do zmiany kierownictwa jest generał Jaruzelski. Kania, jak się wydaje, sprzeciwia się użyciu siły, a Jaruzelski wskazuje, że armia będzie się wahała, jeśli dostanie rozkaz zaatakowania strajkujących. Na zapytanie, jak zachowałaby się armia w wypadku inwazji sowieckiej emisariusz powiedział, że prawdopodobnie rozpierchłaby się po lasach, a następnie przyłączyłaby się do ruchu oporu całego kraju.

Czwartek, 25 września 1980

Wręczyłem Prezydentowi raport Specjalnej Komisji Koordynacyjnej w sprawie Polski. Powiedziałem mu, że w pewnej chwili będzie musiał złożyć ostre oświadczenie o sytuacji w Polsce. Skłaniałem go też, aby zatelefonował do Muskiego i upewnił się, że zachowa się nieustępliwie w rozmowach z Gromyką. Podkreślałem ważność jasnego, niedwuznacznego i twardego stanowiska, wskazującego Moskwie, że pewnej linii nie przekroczymy,

nie mogą więc wykorzystywać dla swych interesów wojny iracko-irańskiej.

Sobota, 4 października 1980

Podczas śniadania poświęconego sprawom zagranicznym złożyłem raport o sytuacji w Polsce, zwracając uwagę na trudności polityczne i gospodarcze i podnosząc, że interwencji sowieckiej wykluczyć nie można. W istocie wydaje mi się, że jest ona bardzo możliwa, chyba że podejmiemy energiczne kroki, aby do niej nie dopuścić. W związku z tym powinno się wysłać w imieniu Prezydenta listy do Giscarda i Schmidta.

Czwartek, 16 października 1980

W ciągu ostatnich dwóch dni nie działo się zbyt wiele, gdyż Prezydent zajęty był kampanią wyborczą. Wczoraj powiedziałem mu, że przykręcanie śruby w Niemieckiej Republice Demokratycznej zapowiadać może sowieckie naciski na Polskę. Listy, które wysłaliśmy do Schmidta i Giscarda były więc bardzo na czasie.

W piątek rano otrzymaliśmy odpowiedź Giscarda w sprawie Polski. Zgadza się z nami, że sytuacja jest nadal niepewna, ale podnosi dwa punkty: że nie powinniśmy stwierdzać tego publicznie, gdyż mogłoby to legalizować zamiary sowieckie, a następnie że powinniśmy się spotkać celem ustalenia, jak się zachowamy, gdyby Rosjanie rzeczywiście najechali Polskę.

Niedziela, 19 października 1980

Muskie występował dzisiaj w programie telewizyjnym *Issues and Answers*. Wywiązał się z zadania bardzo dobrze. Wyglądał też lepiej niż podczas poprzednich wystąpień. Jedynym potknięciem się była odpowiedź na pytanie w sprawie Polski. Powiedział coś w tym sensie, że robotnicy polscy powinni być bardziej wrażliwi na trudności Związku Sowieckiego. Obawiam się, że Republikanie mogą to wykorzystać przeciw nam. Z pewnością nie wyglądało to na ostrzeżenie Moskwy, aby powstrzymała się od interwencji.

Czwartek, 23 października 1980

Przed południem przewodniczyłem sesji Specjalnej Komisji

Koordynacyjnej w sprawie Polski. Obecny był Muskie, Christopher zjawił się później, ponadto Brown, Kolegium Szefów Sztabów i CIA. Liczba uczestników została ograniczona ze względu na drażliwość tematu. Na porządku dziennym była sprawa naszej odpowiedzi w wypadku interwencji sowieckiej w Polsce. Otwierając sesję podkreśliłem wyraźnie, że nie powinniśmy dyskutować samej możliwości interwencji, ale zastanawiać się nad tym, co robić, (1) aby zapobiec grożącej interwencji, i (2) jak zareagować, gdyby do niej doszło. Wobec tego, że poprzedniego dnia poinformowałem o tym Muskiego, nie był on tak negatywnie nastawiony, jak się mogłem spodziewać. Wyliczył całą listę ewentualnych reakcji i zgodził się, że szereg z nich można będzie podnieść w trakcie przewidzianych w przyszłym tygodniu w Europie konsultacji z naszymi czołowymi sojusznikami. Nie domagałem się żadnych konkretnych zaleceń, gdyż nie tylko byłyby one przedwczesne, ale mogłyby posiać niezgodę. Gdyby interwencja nastąpiła, reakcja emocjonalna byłaby tak silna, że znaleźlibyśmy się pod wielką wewnętržno-polityczną presją, zmuszającą do akcji. Tymczasem to zebranie sprawi, że nie tylko biurokraci z Departamentu Stanu, ale i nasi sojusznicy odczują większą potrzebę jakichś kroków w odpowiedzi na posunięcia sowieckie. Ponadto zachęcić to może naszych sojuszników do energiczniejszej akcji w stosunku do Moskwy. Muszą oni poufnie ale wyraźnie przestrzec Moskwę przed powzięciem tego rodzaju kroków, przygotowując tymczasem własne plany na wypadek interwencji. Wbrew moim oczekiwaniom samo zebranie odbyło się raczej przyjaźnie, nie doszło do żadnych zasadniczych nieporozumień pomiędzy Brownem i Muskiem, a Christopher nie wysuwał zbyt wielu zastrzeżeń. Zauważyłem, że ostatnio staje się coraz bardziej „gołębiem”. Nie wiem, czy ma to znaczyć, że chce odejść, czy że popiera Muskiego.

Środa, 29 października 1980

Dziś po południu spotkałem się ze Stanem Turnerem. Bardzo stanowczo domagałem się odpowiedzi, jak ocenia możliwość interwencji sowieckiej w Polsce. Obawia się coraz bardziej, że jest możliwa. Na posiedzeniu QUAD (Komisji Czterech Mocarstw)¹ Niemcy powiedzieli nam, że *détente* nie powinno paść ofiarą tego

1. QUAD, komisja czterech państw (Stany Zjednoczone, Wielka Brytania, Francja i Niemiecka Republika Federalna), powstała w związku z kryzysem berlińskim (1948), utrzymana jednak dla celów konsultacyjnych po zakończeniu tego konfliktu.

rodzaju interwencji, innymi słowy Niemcy stwierdzają, że w przypadku interwencji gotowi są kontynuować swe stosunki ze Wschodem. Jest to najlepsze jak dotychczas świadectwo finlandyzacji Niemiec.

Piątek, 31 października 1980

Rano posiedzenie Komisji Politycznej pod przewodnictwem Muskiego. Rozważamy, czy powinniśmy przyznać Polsce natychmiastową pomoc ekonomiczną. Polacy zwracali się do szeregu krajów z zupełnie nierealnymi prośbami. Oczekiwali na przykład od Austrii pomocy rządu miliarda dolarów. W związku z tym ktoś powiedział, że widocznie nie zdają sobie sprawy, że Cesarstwo Austro-Węgierskie przestało już istnieć. Do Stanów Zjednoczonych zwrócili się o trzy miliardy w kredytach i pomocy ekonomicznej. Ustaliliśmy z Muskiem, żeby wykorzystać to zebranie dla zwiększenia w kołach administracyjnych wrażliwości na sytuację w Polsce, ale nie starać się doprowadzić do jakichś decyzji. Muskie początkowo skłonny był w ogóle nie zwoływać posiedzenia, ale przekonałem go, że jest to potrzebne dla historii, a także aby nadać bieg całej sprawie. W każdym razie posiedzenie odbyło się względnie dobrze i większość uczestników uznała, że pomoc dla Polski jest konieczna. Decyzję jak mają wyglądać początkowe kroki odroczyliśmy do następnego tygodnia i uzgodniliśmy, że trzeba będzie wszcząć szerszą międzynarodową akcję, w której państwa europejskie obejmą rolę kierowniczą, ale którą Stany Zjednoczone zainspirują. Na zebraniu tym Turner wystąpił z niemądrą uwagą, że sytuacja w Polsce będzie dla Moskwy bardzo kosztowna, wobec tego powinniśmy dłożyć starań, aby wykorzystywać nasze możliwości finansowe roztropnie i z tych względów zaproponował udzielenie większej pomocy Omanowi! Wskazałem, że jest to stanowisko wyjątkowo krótkowzroczne, jeśli bierze się pod uwagę długofalowe znaczenie wydarzeń w Polsce: pozytywne, jeśli ewolucja będzie się posuwała, negatywne, jeśli nastąpi interwencja sowiecka.

Środa, 19 listopada 1980

Omawialiśmy (dziś) sprawę Polski. Jak się wydaje, Prezydent przyjmuje stanowisko Departamentu Stanu i twierdzi, że stosowanie plasterka na ranę nie jest rozwiązaniem. Zarówno Muskie jak i ja argumentowaliśmy, że powinniśmy przyczynić się

do stabilizacji politycznej przez krótkoterminową pomoc, nawet jeśli ta pomoc nie znajduje usprawiedliwienia ze ściśle gospodarczych względów. Prezydent powiedział, że przedyskutuje tę sprawę z Reaganem i Schmidtem. Wysłałem później instrukcje do różnych departamentów, nie wspominając, że Prezydent odrzucił krótkoterminową pomoc, ale ujmując to w nieco odmienny sposób, a mianowicie, że skonsultujemy się w tej sprawie z naszymi sojusznikami i wtedy zapadnie decyzja. Obawiam się, że negatywna reakcja Prezydenta wyśle niedobre sygnały. Niepokoję się też, że w tego rodzaju sprawach jego przejęcie się dolarami i centami usuwa czasem w cień konieczność szerszej perspektywy strategicznej.

Środa, 26 listopada 1980

Podczas porannej sesji informacyjnej wypłynęła znowu kwestia ewentualnej interwencji sowieckiej w Polsce. Prezydent polecił mi przygotowanie memorandum do Browna i Muskiego. Chodziło o ich reakcje na moją uwagę, że dobrze byłoby przygotować materiały prasowe wskazujące konsekwencje czekające Moskwę, jeśli podejmie interwencję. Wysłałem to memorandum z prośbą o uwagi wobec takich zagadnień: interwencja doprowadziłaby do przerwania politycznego odprężenia w Europie, naruszyłaby ekonomiczną współpracę pomiędzy Wschodem i Zachodem, spowodowałaby powiększenie budżetów NATO, stworzyłaby nieporozumienia w stosunkach partii komunistycznych Europy Zachodniej ze Związkiem Sowieckim, jeszcze bardziej odstręczyłaby od Związku Sowieckiego ruch państw niezaangażowanych, doprowadziłaby prawdopodobnie do przyspieszenia otwartej współpracy wojskowej pomiędzy Stanami Zjednoczonymi a Chińską Republiką Ludową, spowodowałaby niepokoje i rozruchy w innych częściach bloku sowieckiego.

Niedziela, 30 listopada 1980

Chmury zbierające się nad Polską stają się coraz ciemniejsze. Doniesienia wywiadu stwierdzają, że ruch na granicy Niemiec Wschodnich został ograniczony. Chodzi o obszar, w którym prawdopodobnie rozmieszczone zostaną oddziały sowieckie w przypadku inwazji na Polskę.

W piątek poleciłem Aaronowi, aby przewodniczył na sesji SKK, a sam zająłem się zwróceniem uwagi prasy na katastrofalne

skutki interwencji sowieckiej. Pomimo tego, że Departament Stanu pragnie nie zabierać głosu w tej sprawie, uważam, że należy podkreślać publicznie, z czym powinniśmy się liczyć. Ponadto w rozmowach z Breżniewem w ciągu ostatnich dwóch dni poruszył tę sprawę Percy², zajmując niemal takie samo stanowisko, jakie mu przedstawiłem mniej więcej tydzień temu, gdyśmy wracali z Portugalii. Skłaniałem wtedy Percy'ego, aby nie pozostawił najmniejszej wątpliwości co do konsekwencji inwazji sowieckiej w Polsce na stosunki między Wschodem a Zachodem. Jutro będę też rozmawiał z doradcą Reagana Allenem celem skłonięcia nowej administracji do zajęcia stanowiska w tej kwestii.

AKCJA PRZECIW EWENTUALNEJ INWAZJI WZMAGA SIĘ

Poniedziałek, 1 grudnia 1980

Podczas sesji informacyjnej powiedziałem Prezydentowi, że sytuacja w Polsce weszła w fazę krytyczną. Granica Polski z Niemcami Wschodnimi została zamknięta, oddziały sowieckie przy wschodnich granicach Polski znajdują się, jak się zdaje, w stanie ostrego pogotowia i coraz więcej jest doniesień o wzmożeniu przygotowań na lotniskach, w bazach itd. Powiedziałem również Prezydentowi, że musimy zadać sobie pytanie, czy nasze oświadczenia publiczne w sprawie Polski były dostatecznie jasne. Czy dostatecznie wyraźnie stwierdzaliśmy nasze zaniepokojenie? Czy dostatecznie zaangażowaliśmy naszych sojuszników?

Przed południem (Prezydent) wysłał proponowane listy do Giscarda, Thatcher i Schmidta. Stwierdzały one, że Prezydent jest coraz bardziej zaniepokojony niezwykle aktywnością sił wojskowych Układu Warszawskiego w samej Polsce i w państwach sąsiednich. Podkreślał nie mające precedensu, wprowadzone przez dowódcę sił sowieckich w Niemczech Wschodnich, ograniczenia ruchu wzdłuż granic z Polską, wskazując, że znaczy to, iż sytuacja w Polsce weszła w najbardziej krytyczną fazę, a sowieckie przygotowania do inwazji posuwają się bardziej niż kiedykolwiek. Prezydent podnosił dalej, że będziemy sami wyrażać wobec Moskwy najwyższe zaniepokojenie oraz skłaniać do tego naszych sojuszników. Po południu tego samego dnia za moją zgodą kopie tych listów zostały wysłane do szeregu naszych ambasadorów z prośbą o zapoznanie z ich treścią ministrów spraw zagranicznych

2. Percy, Charles H., senator republikański stanu Illinois. Członek senackiej Komisji Spraw Zagranicznych.

państw sojuszniczych. Mam nadzieję, że spowodujemy w ten sposób silniejszą reakcję naszych sojuszników w stosunku do Związku Sowieckiego.

Wtorek, 2 grudnia 1980

Wysłałem do Prezydenta memorandum stwierdzające, że w świetle ostatnich doniesień wywiadu możliwość interwencji sowieckiej w Polsce jest całkiem prawdopodobna. W związku z tym skłaniałem go, aby razem z Reaganem wydał oświadczenie, że tego rodzaju akcja sowiecka wywarłaby najbardziej niekorzystny wpływ na stosunki amerykańsko-sowieckie. Wskazałem w tym memorandum, że Muskie prawdopodobnie będzie temu przeciwny, ale stwierdziłem, że jest najwyższy czas na złożenie takiego oświadczenia. W moim przekonaniu jest rzeczą bardzo ważną, aby z całą jasnością zachować dla historii dowody, że zrobiliśmy wszystko co było w naszej mocy dla powstrzymania Moskwy przed posunięciem tak brzemiennym w skutki.

W ciągu ostatnich kilku tygodni spotykałem się z wieloma oficjalnymi i nieoficjalnymi wysłannikami z Polski. Wszystkim im przekazywałem te same myśli: (1) dążyć do maksimum kompromisu w kraju. Partia, Kościół i wolne związki zawodowe powinny współpracować, a nie dążyć do konfrontacji. Czas teraz na skonsolidowanie zdobyczy, a nie na parcie do konfliktu. (2) Rząd i partia powinny oświadczyć Moskwie, że są zdecydowane utrzymać (dotychczasowy) społeczny i polityczny ustrój Polski, udział w Układzie Warszawskim i formalny prymat partii komunistycznej. Jeśli jednak Związek Sowiecki zamierzałby interweniować, tak kraj jak i rząd będą się temu opierać. W moim przekonaniu jest to ważne dla powstrzymania akcji sowieckiej. Moskwa łatwiej zdecyduje się na interwencję, jeśli liczyć będzie na brak oporu, jak to było w Czechosłowacji w 1968 roku.

Środa, 3 grudnia 1980

Podczas porannej sesji informacyjnej powiedziałem Prezydentowi, że wczorajsze zmiany w polskim Biurze Politycznym wskazują, iż partia ma zamiar łączyć kontynuowanie reform ze wzmożoną polityką zastraszania. Moczar uspokoi policję i partię, stanowić też może potencjalną alternatywę w stosunku do Kani. Zapytałem następnie Prezydenta, czy zapoznał się z moim wczoraj-

szym memorandum, w którym sugerowałem wydanie oświadczenia, podpisanego przez niego, ale wspominającego również o poparciu ze strony Reagana. Powiedział, że nie widział go jeszcze, ale przekaże mi swoje reakcje zanim spotkam się w południe z Brownem, Muskiem i Turnerem celem omówienia wydarzeń w Polsce.

Przed tym spotkaniem, które odbyło się w moim gabinecie, otrzymałem od Prezydenta proponowane oświadczenie w sprawie Polski. Wprowadził do niego tylko nieznaczne zmiany redakcyjne, skreślając zdanie, które brzmiało: „Skonsultowałem się z Prezydentem-elektem Reaganem w sprawie tych wydarzeń. Podziela on moje zaniepokojenie”. Po dyskusji, w której podniosłem, że oświadczenie to jest potrzebne dla historii, że wprowadzenie może ono nie odegrać decydującej roli w powstrzymaniu Związku Sowieckiego przed inwazją, zawiera jednak stwierdzenia, które Moskwa powinna usłyszeć, pozostali trzej uczestnicy konferencji zgodzili się ze mną, że oświadczenie to należy złożyć. W projekcie opracowanego przeze mnie oświadczenia położyłem silny nacisk na dwa punkty: po pierwsze, że Stany Zjednoczone nie mają zamiaru wykorzystywać wydarzeń w Polsce dla swych własnych celów politycznych, a po drugie, że sowiecka interwencja miałaby daleko idące konsekwencje dla stosunków między Wschodem i Zachodem, oraz że wpłynęłaby bezpośrednio i bardzo negatywnie na nastawienie oraz przyszłą politykę Stanów Zjednoczonych w stosunku do Związku Sowieckiego. Harold Brown wystąpił później z zapytaniem, czy zamiast publicznego oświadczenia nie powinniśmy prywatnie przekazać Związkowi Sowieckiemu naszych poglądów. Po krótkiej wymianie zdań w tej sprawie obaj zgodziliśmy się, że byłoby lepiej (zdaje się, że to był mój pomysł) przesłać Breżniewowi natychmiast krótką depeszę informującą go, że oświadczenie zostanie wydane. W obecności trzech pozostałych uczestników konferencji podyktowałem sekretarce treść depeszy. Brzmiała ona w ten sposób: „Drogi Panie Prezydencie, pragnę poinformować Pana, że dziś wieczorem złożę oświadczenie wyrażające niepokój w związku z wydarzeniami (w krajach) wokół Polski. Zanim to nastąpi, chciałbym przekazać Panu, że Stany Zjednoczone są absolutnie zdecydowane nie wykorzystywać wypadków w Polsce ani nie zagrażać usprawiedliwionym interesom bezpieczeństwa Związku Sowieckiego w tym rejonie. Chciałbym, aby Pan wiedział, że interesujemy się jedynie zachowaniem pokoju w Europie Środkowej i że w tym kontekście rząd polski i naród polski mogą rozwiązać swe wewnętrzne trudności. Jednocześnie jednak muszę stwierdzić, że wpłynęłoby jak najbardziej negatywnie na nasze stosunki, gdyby rozwiązanie zostało narzu-

cone narodowi polskiemu siłą. Oświadczenie, które wydaję, jest publicznym sformułowaniem tego stanowiska”.

Około pierwszej po południu przedłożyłem oba teksty Prezydentowi. Po powrocie z lunchu znalazłem je z notatką, nakazującą nadanie biegu tej sprawie. Prezydent wprowadził tylko jedną zmianę, dodał mianowicie do tekstu depeszy do Breżniewa: „Pozdrowienia, Jimmy Carter”.

Po południu spotkałem się z Jody (Powellem), aby uzgodnić sprawę wydania oświadczenia i upewnić się, że Breżniew otrzyma przed tym depeszę. O 16.21 dostaliśmy potwierdzenie z Moskwy otrzymania tej depeszy. Mniej więcej w tym samym czasie w gabinecie Powella w rozmowie z dziennikarzami zwracałem uwagę na znaczenie (tego oświadczenia), ponownie podkreślając dwa punkty, a więc że my sami nie zamierzamy interweniować i że interwencja sowiecka spotkałaby się z najbardziej ostrą reakcją. Podnosiłem też z naciskiem konieczność umiarkowania i powściągliwości wszystkich stron konfliktu w Polsce i w krajach wokół Polski. Dziennikarze byli jak zwykle podnieceni i niecierpliwi. Chcieli już od razu wiedzieć, czy spodziewamy się, że inwazja sowiecka może nastąpić niemal natychmiast. Umyślnie więc stwierdziłem, że nie uważamy jej ani za tak bliską, ani za nieuniknioną. Wydaje mi się, że jest rzeczą ważną, aby nie stwarzać wrażenia, że Związek Sowiecki w każdej chwili może uderzyć, gdyż poczucie nieuchronności tego wydarzenia czyni je bardziej prawdopodobnym, a nawet w jakiś dziwny sposób psychologicznie je sankcjonuje.

Czwartek, 4 grudnia 1980

Po południu spotkanie z ambasadorem Niemiec Federalnych Hermesem. Utrzymuje on, że jeśli Związek Sowiecki dokona inwazji Polski, Niemcy zastosują sankcje przeciw Moskwie. Twierdzi, że opinia publiczna zmusi je do tego. Oby miał rację, gdyż oficjalne stanowisko Niemiec jest bardziej powściągliwe.

Piątek, 5 grudnia 1980

Dziś rano powiedziałem Prezydentowi, że ambasador niemiecki oświadczył mi, iż RFN w przypadku inwazji sowieckiej na Polskę wystąpi prawdopodobnie z sankcjami gospodarczymi. Zapewniał mnie, że reakcja społeczeństwa będzie tak silna, iż

rząd niemiecki nie będzie mógł się od tego uchylić. Powiedziałem również Prezydentowi, że Dobrynin w rozmowie z przewodniczącym Amerykańsko-Sowieckiej Rady Handlowej, Veritym, powiedział, że Związek Sowiecki nie może tolerować w Polsce dwóch oddzielnych rządów. Wygląda to na zapowiedź ewentualnej akcji. Prasa, nawiasem mówiąc, zupełnie dobrze wykorzystała moje wczorajsze oświadczenia. Trzy słowa: umiarkowanie, powściągliwość i kompromis znalazły się w szeregu artykułów wraz ze stwierdzeniem podkreślającym, że nie mamy zamiaru naruszać istniejącego układu międzynarodowego w Europie Środkowej i że respektujemy realia historyczne i geograficzne.

Podczas śniadania (z udziałem wiceprezydenta, Christophera, Browna, Watsona, Powella i mnie) Prezydent powiedział, że więcej nie powinniśmy się wypowiadać w sprawie Polski. Zajęliśmy dobre zasadnicze stanowisko. Wspomniał o moich wypowiedziach i podkreślił, że powinniśmy się tego trzymać. Wiceprezydent poprosił o wyjaśnienie trzech użytych przeze mnie słów i jak je należy rozumieć. Powiedziałem, że staram się przekazać myśl, że jeśli Moskwa zdecyduje się na interwencję, to musi liczyć się z dalekosiężnymi negatywnymi konsekwencjami. Jednocześnie staramy się zapewnić Związek Sowiecki, że nie podniecamy do wystąpień i nie mamy zamiaru wykorzystywać wydarzeń w Polsce. Prezydent powiedział, że w jego mniemaniu nieodwołalnie dojdzie do interwencji sowieckiej. Moskwę skłoni do tego kryzys gospodarczy. Prezydent uważa, że swymi ostatnimi uwagami Dobrynin przygotowuje właśnie grunt do tej akcji.

Po powrocie do biura o 9.10 odebrałem telefon od Stana Turnera. Powiadomił mnie, że według wiarygodnego źródła 18 dywizji sowieckich ma wkroczyć do Polski w poniedziałek rano. Polski Sztab Generalny ma rzekomo rozważać możliwość oporu. Natychmiast o 9.15 udałem się do Prezydenta i poinformowałem go o tym. Powiedziałem, że gdyby okazało się to potrzebne, zwołałbym w tej sprawie posiedzenie Specjalnej Komisji Koordynacyjnej w sobotę po południu, zaraz po moim powrocie z Montrealu. Jeśli zajdzie potrzeba, proponuję, aby w niedzielę rano zwołać zebranie Rady Bezpieczeństwa Państwa i moglibyśmy w tym celu przyjechać do Camp David. Prezydent powiedział, że wraca w niedzielę rano i wobec tego posiedzenie RBP mogłoby się odbyć w Białym Domu. Muszę go tylko na bieżąco informować. O 9.25 zatelefonowałem do Browna i Christophera, powiadomiłem ich o doniesieniach wywiadu oraz zapowiedziałem, że muszą być przygotowani na posiedzenie SKK poświęcone kryzysowi w sobotę po południu. Zapowiedziałem również, że jeśli sytuacja pogorszy się, powrócę z Montrealu natychmiast. W moim

przekonaniu, jeśli w sobotę po południu będziemy mieli dowody ruchów (wojsk) sowieckich, powinniśmy zwołać posiedzenie Rady Bezpieczeństwa ONZ oraz wywierać presję na naszych sojuszników o natychmiastowe ustalenie wspólnej reakcji. W ostatnich tygodniach wypracowaliśmy podstawowe linie takiej reakcji, a teraz byłby czas, aby się do niej włączyć.

W piątek wieczorem po przemówieniu w Klubie Kanadyjskim w Montrealu na temat regionalnego systemu obrony otrzymałem raport, że odbyło się zebranie Układu Warszawskiego i że wydano ambiwaletne oświadczenie. Z jednej strony wydaje się ono podkreślać *détente* i zobowiązywać się do nieużywania siły, z drugiej zaś stwierdza, że Układ Warszawski jest gotów udzielić Polsce pomocy, formuła, która mogłaby być użyta dla usprawiedliwienia interwencji. Mam nadzieję, że moje wczorajsze oświadczenia oraz zdecydowana postawa Prezydenta mogły w pewnym stopniu powstrzymać Moskwę, zapewniając ją jednocześnie, że my sami nie jesteśmy bezpośrednio zaangażowani. Wątpliwe jednak, czy jakieś oświadczenia mogłyby wyrzucić większy wpływ na Związek Sowiecki, gdyby ten w międzyczasie powziął już zasadniczą decyzję w sprawie interwencji. Jeśli do niej dojdzie, będziemy musieli zmontować jak najsilniejszą międzynarodową reakcję. Będę zabiegał też o możliwie największą aktywność w dziedzinie amerykańsko-chińskiej współpracy wojskowej. Niemniej będzie to tragiczna nuta, na której skończę służbę w Białym Domu.

Sobota, 6 grudnia 1980

Po powrocie z Montrealu dowiedziałem się, że zwołano posiedzenie SKK w sprawie Polski. Przewodniczyłem temu zebraniu; rozpoczęło się o czwartej po południu. Wzięli w nim udział Brown, Christopher, Turner, gen. Pustay, George Vest, David Aaron i kilku członków naszego biura: Brement, Blackwill, Larabee. Stan Turner przedstawił ocenę sytuacji. Na wschód i na zachód od Polski nadal gromadzą się sowieckie siły wojskowe. Na moskiewskim posiedzeniu Układu Warszawskiego reprezentowani byli ministrowie spraw wewnętrznych. (Centralna) Agencja Wywiadowcza doszła do przekonania, że Związek Sowiecki będzie gotów wkroczyć w ciągu 48 godzin. Według przewidywań Agencji wojska sowieckie wkroczą do Polski w poniedziałek albo we wtorek w duchu pokojowym, jak to określił Turner. Innymi słowy, uważa się, że wkroczenie oddziałów sowieckich do Polski zostanie połączone z akcją policji polskiej, mającą na celu zgnięcie Solidarności. Turner zapoznał nas pokrótce z trzema głów-

nymi konkluzjami: w ciągu najbliższych 48 godzin 15 dywizji sowieckich, przeważnie ze wschodu, wkroczy prawdopodobnie do Polski, później dołączą dalsze; po drugie władze polskie całą siłą uderzą w Solidarność; po trzecie należy się liczyć z rozlewem krwi. W innych częściach Związku Sowieckiego odbywa się mobilizacja. Przedyskutowaliśmy ten raport, a ja podniosłem kwestię koordynacji działań polskich sił bezpieczeństwa ze Związkiem Sowieckim. Jeśli przewidywania CIA są słuszne, policja polska przeprowadzi przede wszystkim wielką łapankę celem aresztowania czołowych przywódców Solidarności i innych kluczowych organizacji, następnie dla zadania psychologicznego ciosu zdeorganizowanemu już wtedy oporowi wkroczyłyby wojska sowieckie. Tak więc policja polska przeprowadziłaby akcję wieczorem, a wojska sowieckie wkroczyłyby w ciągu nocy. Dość długo omawialiśmy instrukcje na przyszłotygodniowe posiedzenie konferencji czterech mocarstw i w tej dyskusji panowała ogólna zgoda, że powinniśmy sprecyzować jak najdokładniej naszym sojusznikom, jakie zastosujemy sankcje ekonomiczne i polityczne. Zwróciłem uwagę na znaczenie tego podkreślając, że przed Afganistanem nie wyjaśniliśmy dostatecznie naszych zamierzeń i w rezultacie sojusznicy skarżyli się, że nie zostali wystarczająco wprowadzeni w nasze plany. Posiedzenie cechowała duża harmonia.

Podniosłem kwestię, czy powinniśmy tę wiadomość, po upewnieniu się, że jest prawdziwa, opublikować. Zapytałem też, czy na przykład nie powinniśmy, choćby nawet jutro, wysłać depeszy do Sekretarza Generalnego ONZ, prosząc go o pośrednictwo w powstrzymaniu Związku Sowieckiego (przed inwazją) lub o zwołanie posiedzenia Rady Bezpieczeństwa ONZ. Fakt wysłania takiej depeszy moglibyśmy ogłosić publicznie, dając w ten sposób czas przywódcom polskiego ruchu oporu i wolnych związków zawodowych na ukrycie się albo powzięcie innych środków ostrożności, które uznają za wskazane. Chodzi o to, że jest naszym moralnym obowiązkiem przestrzec ich, jeśli bylibyśmy względnie pewni, że tego rodzaju sytuacja (inwazja) może zaistnieć. Christopher, Brown i ja postanowiliśmy jednak nie robić tego dzisiaj, bowiem ciągle nie jesteśmy pewni, czy doniesienia wywiadu są naprawdę ściśle. Dalszym źródłem niepewności, przynajmniej dla mnie samego, była kwestia, do jakiego stopnia kierownictwo polskie byłoby skłonne do udziału w tej zмовie i do jakiego stopnia można by tę zмовę utrzymać w tajemnicy. Wydaje mi się, że przynajmniej niektórzy przywódcy polscy byłiby temu przeciwni i wobec tego tych wiadomości nie dałoby się ukryć. Zaleciłem więc i Komisja zatwierdziła wydanie instrukcji naszej ambasadzie w Warszawie, aby zwiększyła ilość raportów politycznych całego amerykańskiego

personelu dyplomatycznego w Polsce. Nasi urzędnicy dyplomatyczni powinni częściej wyjeżdżać w teren i rozmawiać z możliwie największą liczbą osób w różnych miejscach i szczególnie obserwować wszystkie oddziały policji i ich dowództwo. Niektórzy przedstawiciele naszych placówek powinni być również wysłani do miast, które prawdopodobnie będą odgrywać decydującą rolę, a w których nie mamy konsulatów, jak np. Gdańsk i Szczecin. Po zakończeniu zebrania około szóstej po południu odbyłem rozmowę telefoniczną z Prezydentem, który był w Camp David. Powiedziano mi najpierw, że jest zajęty, potem że śpi, ale domagałem się, aby go zbudzono. Okazało się jednak, że nie spał. Powiadomiłem go o krokach, jakie poczyniliśmy i że uważamy, iż na razie nie podamy tych informacji ani Reaganowi, ani przywódcom Kongresu. Wypytywał mnie dokładnie w tej sprawie i wydawało się, że wołałby jednak, aby te informacje zostały przekazane. Odpowiedziałem, że jeśli to zrobimy, wiadomości przeciekną do prasy, a gdyby się okazało, że (raporty wywiadu) nie są ścisłe, stworzyłaby się niepotrzebna panika, mogąca podważyć naszą wiarygodność. Powiadomiłem też Prezydenta, że postanowiliśmy się zebrać jeszcze jutro o 1-szej po południu. Domagałem się, aby poinformować go o sytuacji o 9-tej rano. W zebraniu wziąć mają udział Brown, Muskie, Turner i ja.

Jednym z zagadnień, które wypłynęły podczas dzisiejszej popołudniowej dyskusji, było czy powinniśmy podjąć jakieś kroki w kierunku zwiększenia sprzedaży broni Chinom. W grę wchodzi dostawa pewnej ilości silników dla samolotów chińskich. Departament Obrony i ja byliśmy za tym, Departament Stanu był nadal przeciwny. Na jutrzejszym zebraniu zamierzam podnieść kwestię ewentualnej blokady Kuby w odwecie (przeciw Moskwie). Możemy też uprzedzić Związek Sowiecki, że mamy takie plany.

Niedziela, 7 grudnia 1980

Rano spotkaliśmy się ponownie w sprawie Polski w sali zebrań gabinetu. Obecni byli oprócz Prezydenta Muskie, Christopher, Brown, Turner i ja. Protokołował Steve Larrabee. Prezydent poprosił mnie najpierw o podsumowanie wczorajszego zebrania. Zwróciłem specjalnie uwagę na trzy podstawowe konkluzje, a więc: że Związek Sowiecki w ciągu 48-72 godzin wkroczy do Polski w sile 15 dywizji i że akcję tę chce uważać za pokojową. Zostanie to przeprowadzone pod przykrywką manewrów i na zaproszenie rządu polskiego. Jednocześnie polskie władze bezpieczeństwa przeprowadzą akcję przeciw Solidarności. Plan

ten prawdopodobnie nie powiedzie się i należy oczekiwać przelew krwi. Po moich uwagach doszło do dłuższej dyskusji, czy wystąpić publicznie w tej sprawie, czy powstrzymać się od tego. Prezydent wypowiadał się za ujawnieniem i ja również poparłem to stanowisko. Muskie i Christopher mieli pewne zastrzeżenia, ale ogólnie biorąc skłonni byli uznać, że ujawnienie tego planu byłoby korzystne. Postanowiliśmy na 2-gą po południu zaprosić szereg przywódców Kongresu, a o 1-szej miałyby się zebrać ponownie nasz zespół celem omówienia ewentualnego oświadczenia oficjalnego i pewnych inicjatyw dyplomatycznych, jak np. apelu do Waldheima. Zastanowimy się, czy powinniśmy przestrzec polską opozycję. Prezydent rozważy również propozycję w sprawie sankcji politycznych i ekonomicznych, które prześlemy naszym sojusznikom z NATO, oraz pewne kroki wojskowe mające na celu wzmożenie naszej gotowości. Ostatecznie Związek Sowiecki używa, albo ma właśnie użyć 15 dywizji, a to też ogranicza czas, potrzebny do jakiegokolwiek akcji przeciw NATO.

W trakcie zebrania Stan Turner został odwołany do telefonu. Powrócił o 9.34 i oświadczył, że ma dodatkowe informacje dotyczące Polski od wywiadu z zachodniej części Związku Sowieckiego i jednocześnie z Czechosłowacji i Niemiec Wschodnich. Każdy z oddziałów ma już wyznaczone zadanie. Moskwa w tym samym czasie domagać się będzie likwidacji wszystkich tzw. elementów kontrrewolucyjnych w Polsce. Wspólna decyzja Układu Warszawskiego w sprawie inwazji zapadła 5 grudnia, a wykonanie jej może nastąpić już 7-go, rano albo wieczorem. To znaczy dzisiaj.

Wczoraj na posiedzeniu Specjalnej Komisji Koordynacyjnej, które trwało od 16.00 do 17.40 powiedziałem, że jest rzeczą niesłychanie ważną, abyśmy bardzo wyraźnie precyzowali, co mamy zamiar robić dla uniknięcia sytuacji, jaka wydarzyła się przed Afganistanem. Im wyraźniej sprecyzujemy, jak zamierzamy reagować na inwazję sowiecką w Polsce, tym lepiej. Podkreśliłem, że jeśli przewidywania CIA się sprawdzą, to przywódcy Solidarności zostaną aresztowani w niedzielę w nocy, a następnego ranka ludność zostanie już wojska sowieckie w Polsce.

O 1-szej po południu spotkaliśmy się ponownie. Najpierw w sali zebrań gabinetu przewodniczyłem zebraniu rozszerzonej Specjalnej Komisji Koordynacyjnej. Ustaliliśmy proponowany tekst oświadczenia, które miało być ogłoszone publicznie. Celem jego miało być ponowne ostrzeżenie Związku Sowieckiego i jednocześnie pozbawienie Moskwy elementu zaskoczenia. Oświadczenie to, zatwierdzone przez Prezydenta, który przyszedł 15 minut później,

stwierdzało: wszystko wskazuje, że przygotowania do ewentualnej interwencji sowieckiej w Polsce zostały zakończone. Mamy jednak nadzieję, że do interwencji nie dojdzie. Rząd Stanów Zjednoczonych przypomina swe oświadczenie z 3 grudnia w sprawie bardzo ujemnych konsekwencji, jakie sowiecka interwencja wojskowa w Polsce będzie miała dla stosunków amerykańsko-sowieckich.

Niezależnie od oświadczenia uzgodniliśmy treść depesz, które zostały natychmiast wysłane do Schmidta, Giscarda, Thatcher, Trudeau, Lumsa, Forlaniego, Fräsera, Suzuki i Waldheima. Były one bardziej dobitne. Stwierdzały, że przygotowania sowieckie do interwencji w Polsce zdają się być w zasadzie skończone, następnie podnosiły że „mamy pewne dowody, iż Związek Sowiecki zamierza interweniować wojskowo, wkraczając do Polski dużymi siłami prawdopodobnie pod przykrywką wspólnych manewrów, co może nastąpić natychmiast. Towarzyszyć temu będzie fala aresztowań, przeprowadzonych przez policję polską. Nie mamy pewności, czy to nastąpi, ale możliwość jest na tyle sprawdzona, że w moim przekonaniu państwa zachodnie powinny podjąć wszystkie możliwe kroki, aby wpłynąć na zmianę decyzji sowieckiej i starać się zapobiec wkroczeniu wojsk sowieckich do Polski. W związku z tą sytuacją dzisiaj o 2-ej po południu czasu waszyngtońskiego wydaję (załączone) oświadczenie. Mam nadzieję, że będzie Pan mógł wkrótce wydać podobne oświadczenie. Tego rodzaju stwierdzenie wykaże Związkowi Sowieckiemu zdecydowaną postawę sojuszu zachodniego, a jednocześnie zwróci uwagę społeczeństwa polskiego na grozę obecnej sytuacji”. Następnie o 2-ej po południu spotkałem się z dziennikarzami i podkreśliłem, że w naszym przekonaniu przygotowania do interwencji sowieckiej zostały już ukończone i z tych właśnie względów powtarzamy raz jeszcze ostre oświadczenie ogłoszone kilka dni temu. Zapytano mnie, czy nadal uważam, jak cztery dni temu, że inwazja nie jest bliska. Odpowiedziałem na to, że wówczas była to ocena właściwa, gdyż pytanie brzmiało, czy inwazja nastąpić może najbliższej nocy czy najbliższego dnia. Obecnie nie możemy powiedzieć, czy dojdzie do niej natychmiast, czy nie. Wiemy tylko, że wszystkie przygotowania zostały ukończone. Na zapytanie, co rozumiemy przez zakończenie przygotowań, wyjaśniłem, że chodzi o transport i rozmieszczenie oddziałów potrzebnych wielkiemu moceństwu do wkroczenia do innego suwerennego państwa.

Później zapoznaliśmy przywódców Kongresu z rozmieszczeniem oddziałów polskich i sowieckich. Według posiadanych przez nas informacji większość wojskowych sił polskich znajduje się w zachodniej Polsce, tak że oddziały sowieckie wkraczające z Nie-

miec Wschodnich przede wszystkim musiałyby angażować te własne siły. W tym samym czasie większa liczba dywizji sowieckich uderzyłaby ze wschodu na zachód, zajmując Warszawę, Gdańsk, Śląsk, itd. Moim zdaniem trzy główne punkty oporu ustalą się koło Gdańska, gdzie stacjonowane są pewne oddziały polskie, wokół Warszawy ze względów historycznych i prawdopodobnie w rejonie Śląska.

Po zebraniu skontaktowałem się z Nowakiem, który miałby swoimi własnymi kanałami uprzedzić przywódców polskiej opozycji o konieczności ukrycia się. Rozmawiałem również z Lane Kirklandem, sugerując mu, aby wykorzystał sieć związków zawodowych, i wreszcie zatelefonowałem do Rzymu i odbyłem dziesięciominutową rozmowę z Ojcem Świętym. (...) Powiedziałem, że nie jest jasne, czy narada Układu Warszawskiego była podstępem, miała na celu dezinformację, czy też zapadły na niej pewne postanowienia. Mamy jednak dosyć informacji, aby obiektywnie ocenić, że przygotowania zostały skończone, ale nie możemy stwierdzić na pewno, czy i jakie decyzje podejmie sama Moskwa.

Miałem nadzieję, przyznać muszę że niewielką, iż cała ta publiczna aktywność powstrzyma Związek Sowiecki przed inwazją, zwłaszcza że element zaskoczenia jest bardzo ważnym czynnikiem w planach Moskwy. Rezultatem naszych posunięć było w każdym razie pozbawienie Moskwy elementu zaskoczenia.

Późnym wieczorem poleciłem Departamentowi Stanu wysłanie kopii depeszy w sprawie ewentualnej inwazji również do pani Ghandhi, ponieważ jutro ma się zacząć oficjalna wizyta Breżniewa w Indiach. Indie, jeśli tylko zechcą, mogą też wziąć udział w tej akcji.

Posiedzenie cechowała duża harmonia. Współpraca moja z Muskiem, Christopherem i Brownem układała się dobrze. Jeśli były jakieś różnice zdań, to odnosiły się jedynie do tekstu sformułowań, a nie do postawy, jaką powinniśmy zająć.

Poniedziałek, 8 grudnia 1980

Związek Sowiecki nie wkroczył ubiegłej nocy do Polski, a dzisiejsza prasa wykorzystuje dobrze nasze wczorajsze oświadczenie. W nagłówkach podkreśla się fakt, że Moskwa zakończyła przygotowania do interwencji. Zwraca się uwagę na różnice pomiędzy zakończeniem przygotowań i tym, że nie twierdzimy, iż Związek Sowiecki faktycznie zdecydował się na inwazję. Tym niemniej w rezultacie wzrasta się na świecie świadomość tego,

co się dzieje. Decyzję w sprawie publicznego oświadczenia wydał Prezydent na wczorajszym posiedzeniu. Posiedzenie trwało od 9.00 do 10.45 rano. Podczas obrad Prezydent stwierdził między innymi, że byłoby rzeczą niesłychanie kłopotliwą dla Breżniewa, gdyby inwazja nastąpiła podczas jego wizyty w Indiach. Prezydent nie widzi żadnego wielkiego ryzyka w wyjaśnieniu społeczeństwu amerykańskiemu, Kongresowi i nowej administracji, a także społeczeństwu w Polsce, że Związek Sowiecki był gotów do interwencji. Uważał, że dobrze byłoby ostrzec Moskwę raz jeszcze. Pokazałoby to przynajmniej, że jesteśmy świadomi tego, co się dzieje. Wsparłoby to też nasze apele do sojuszków. Mogłoby nawet przyczynić się do powstrzymania inwazji sowieckiej. Prezydent stwierdził następnie, że uważa, iż w końcu Moskwa jednak zdecyduje się na inwazję, gdyż ruch Solidarności jest po prostu sprzeczny z założeniami systemu totalitarnego. W naszym publicznym oświadczeniu powinniśmy podkreślać, że Związek Sowiecki jest gotów do interwencji, nie że postanowił już ingerować. Moglibyśmy też dać wyraz naszemu zaniepokojeniu.

Pod koniec zebrania Warren Christopher zapytał, jakie zmiany zasły w ostatnich dniach, które usprawiedliwiłyby to oświadczenie i czy tego rodzaju oświadczenie sprawi, że interwencja będzie mniej czy więcej prawdopodobna. Odpowiedziałem, że celem naszym powinno być: (1) spowodowanie możliwie największego nacisku międzynarodowego na Związek Sowiecki w celu zapobieżenia inwazji i (2) uprzedzenie Polaków, aby przywódcy Solidarności zdążyli się ukryć. Podkreśliłem również, że w pewnej chwili będzie wiadome, iż Moskwa była gotowa do interwencji i że wtedy pytano by nas, dlaczego nie zrobiliśmy czegoś więcej, aby zapobiec wkroczeniu sił sowieckich. Na moje polecenie Głos Ameryki i Radio Wolnej Europy otrzymały instrukcje, aby wczesnym popołudniem nadać natychmiast oświadczenie Prezydenta. W zasadzie widzę cztery cele naszej akcji: pierwszym jest pozbawienie Moskwy czynnika zaskoczenia. Zostało to już osiągnięte. Drugi to zachęcenie Polaków do oporu, jeśli nie zostaną zaskoczeni. Może to w pewnym stopniu powstrzymać Moskwę. Publiczne oświadczenia spełniają już tę rolę. Trzeci, dość paradoksalny, to uspokojenie sytuacji w Polsce przez uświadomienie Polakom, że Związek Sowiecki rzeczywiście może dokonać inwazji. Dotychczas Polacy nie liczyli się właściwie z tą możliwością, co mogło ich nadmiernie ośmielać. W tym punkcie zachodzi jakby pewna zbieżność interesów naszych i sowieckich, bo przecież Moskwie zależy (przede wszystkim) na zastraszeniu Polaków. Czwarty wreszcie to odstręczenie Moskwy od interwencji w drodze presji międzynarodowej i potępienie Związku So-

wieckiego. Ten ostatni oczywiście może nieść ze sobą ryzyko fałszywego alarmu, ale wydaje mi się, że moglibyśmy ujawnić, iż wiedzieliśmy o przygotowaniach sowieckich i twierdzić z pewnym uzasadnieniem, że przyczyniliśmy się (jeśli nie doszłoby do inwazji) do jej powstrzymania. Do dzisiejszego ranka jednak raporty wywiadu wskazują, że Związek Sowiecki nadal koncentruje swe siły. Cztery dywizje czeskie zostały też przesunięte, łączność pomiędzy oddziałami sowieckimi w Niemczech Wschodnich, Czechosłowacji i w samym Związku Sowieckim została wzmożona, do polskiego Ministerstwa Obrony skierowano dużą liczbę oficerów sowieckich, prawdopodobnie w celu koordynowania „wspólnych” manewrów i niedopuszczenia do oporu w Polsce. Wydaje mi się, że dzięki naszym apelom do Kirklanda i przez Nowaka do Londynu udało nam się przestrzec polską opozycję przed możliwością masowej akcji policji.

Po południu odwiedził mnie ambasador brytyjski Nicko Henderson. Wysoki, lekko pochylony, w dość pomiętym ubraniu, z włosami opadającymi na czoło, niesłuchanie rozumny i wnikliwy obserwator wydarzeń międzynarodowych. Niepokoił się bardzo możliwością wkroczenia Związku Sowieckiego do Polski i uważał, że takie posunięcie równałoby się końcowi Polski. Na Zachodzie dojdzie do wielkiego zamętu. Twierdzi, że Niemcy są absolutnie słabi i ugodowi i uważa, że Francuzi nie są o wiele lepsi. W rezultacie, jego zdaniem, dojdzie nie tylko do zgniecenia Polski, ale również do wykazania słabości Zachodu. Żegnając się ze mną powiedział: „Rok temu Prezydent wyraził się, że Ameryka przechodzi okres choroby. Chciałbym, aby Europa była tak chora, jak wy rzekomo jesteście. My jesteśmy bardziej chorzy od was”. Niestety, ma zupełną rację.

Wtorek, 9 grudnia 1980

Dziś rano powiedziałem Prezydentowi o doniesieniach, że Reuter nie mógł skontaktować się ze swymi biurami w Warszawie, że linia Associated Press do Moskwy przestała działać, a francuskie, duńskie i belgijskie radio cytuje komunikat PAP-u, mówiący o 60.000 żołnierzy wkraczających do Polski. Powiedziałem również, że poleciłem płk. Denendowi, aby zatelefonował do ambasady w Warszawie. Rozmowa się odbyła i połączenie nie jest przerwane, wobec tego doniesienia na ten temat mogą nie być prawdziwe. Powiedziałem też Prezydentowi, że (w każdym razie) pozbawiliśmy Związek Sowiecki elementu taktycznego zaskoczenia, a jednocześnie uniknęliśmy błędu Johnsona z 1968 roku,

a mianowicie niezajęcia stanowiska, gdy wiadomo było już, że zmasowanie sił sowieckich osiągnęło punkt szczytowy. Pokazałem Prezydentowi dwa artykuły redakcyjne *Wall Street Journal* z 1968 roku. Pierwszy z lipca, twierdzący, że Stany Zjednoczone powinny się wypowiedzieć, a drugi z września, po sierpniowej inwazji, krytykujący rząd Stanów Zjednoczonych za milczenie.

W południe przestudiowałem ogólną analizę reakcji sowieckiej na kryzys w Polsce. Istnieje olbrzymia ilość informacji o ruchach wojsk sowieckich. Wynika z nich, że w obecnej chwili co najmniej 27 dywizji sowieckich jest gotowych do interwencji w Polsce. Ruchy wojsk odbywają się niemal na wszystkich odcinkach wokół Polski. Dywizje, pułki i jednostki łączności znajdują się w stanie pełnego pogotowia. Oddziały transportowe, a nawet urządzenia szpitalne są przygotowane. Ekwipunek spadochroniarzy jest ładowany na samoloty sowieckie, przeznaczone do przewozu oddziałów desantowych. Krótko mówiąc, przygotowania są olbrzymie. Staram się temu w miarę możliwości przeciwstawić przez wywołanie maksymalnego zainteresowania na świecie. Związek Sowiecki zostanie przynajmniej pozbawiony elementu zaskoczenia i być może lepiej sobie uświadomi, ile go to może kosztować w stosunkach międzynarodowych. Brown i Muskie pracują zgodnie, Prezydent całkowicie popiera te wysiłki.

Środa, 10 grudnia 1980

Raporty wywiadu wskazują, że Związek Sowiecki przygotowuje namioty w pobliżu szpitala wojskowego w Kaliningradzie. Około 27 dywizji gotowych jest do akcji. Wielką ilość ekwipunku transportowego zmasowano w pobliżu granicy Polski. Sowieckie jednostki spadochronowe znajdują się w stanie pogotowia, CIA przewiduje, że najprawdopodobniej akcja zostanie przeprowadzona między 11 a 16 grudnia. Dziś rano powiedziałem Prezydentowi, że Francuzi poinformowali mnie o raporcie ich ambasadora w Moskwie, iż 4 grudnia przygotowania do inwazji zostały zakończone. Zbiegło się to dobrze w czasie, nastąpiło bowiem tuż przed depeszą zawiadamiającą sojuszników o naszej reakcji na wypadek interwencji.

Spotkanie z Jacques Wahl³ w ambasadzie francuskiej. Wystąpił z zasadniczą propozycją, aby w Waszyngtonie powołać do życia grupę reprezentującą cztery mocarstwa, mającą śledzić wy-

3. Jacques Wahl zajmował w gabinecie Prezydenta Francji stanowisko podobne do tego, jakie autor zajmował w administracji Prezydenta Cartera.

darzenia w Polsce i przygotowywać reakcje na nie. W skład tego zespołu wchodziłoby trzech ambasadorów i ja. Napisałem dzisiaj stanowcze memorandum do Prezydenta z prośbą o zatwierdzenie tej inicjatywy, nawet jeśli nie podobałaby się Departamentowi Stanu. Sprawa jest zbyt poważna i nie może stać się przedmiotem biurokratycznych zatargów.

Poniższe notatki zawierają dalszy materiał odnoszący się do posiedzenia Rady Bezpieczeństwa Państwa z 7 grudnia. Odbyło się ono w sali zebrań Gabinetu między 1-szą a 3-cią po południu. Omawialiśmy pewne kroki wojskowe, które byłyby zastosowane w razie konieczności, a później wróciliśmy do reakcji nie-militarnych. Christopher przestrzegł, że musimy być przygotowani na bardzo wyrafinowane podejście Moskwy, wskutek czego może nie być zbyt dużego rozlewu krwi, ale sytuacja stanie się ambiwalentna. Turner dodał, że Związek Sowiecki może przedstawić wkroczenie oddziałów sowieckich do Polski jako proces normalny wobec tego, że i tak w Polsce stacjonują dwie dywizje rosyjskie. Stwierdził, że praktycznie biorąc nie ma żadnej obrony przed inwazją ze wschodu. W rozmowach z nim Rumuni wyrazili takie samo przekonanie. Ja natomiast uważałem, że do rozlewu krwi dojść może w każdym przypadku. Następnie omawialiśmy, w jaki sposób informować przywódców Kongresu. Zasugerowałem Prezydentowi, aby wskazał im na możliwość masowych aresztowań, połączonych z wkraczaniem wojsk sowieckich i żeby zaczął tę sesję od odczytania oficjalnego oświadczenia, które zostanie ogłoszone publicznie, a następnie tekstu depeesz rozesłanych do naszych sojuszników. Stworzy to dobrą podstawę do dyskusji. W rozmowie z przywódcami Kongresu Prezydent zastosował się do tej rady. Wszyscy oni byli bardzo zaniepokojeni i wypytывali nas szczególnie, czy liczymy się z możliwością oporu w Polsce. Aaron podniósł sprawę uchodźców podkreślając, że w tej dziedzinie Kongres mógłby odegrać kluczową rolę. Poseł O'Neill zapytał, jaka była dotychczas reakcja sojuszników. Odpowiedziałem, że największe zaniepokojenie wykazują Brytyjczycy, po nich idą Francuzi, a najmniej angażują się Niemcy. Podkreśliłem, że kroki wojskowe same przez się właściwie nie są tak ważne. O wiele większe znaczenie mają decyzje polityczne i ekonomiczne. Zwracałem więc uwagę wszystkim zainteresowanym, a także dziennikarzom, że Moskwa niechcący może doprowadzić do zwróconego przeciwko sobie jednolitego zachodnioeuropejsko-amerykańsko-japońskiego, a nawet chińskiego sojuszu. Rosjanom trzeba uświadomić, że jest to możliwy rezultat ich postępowania. Zostaliby wtedy okrażeni. Tak więc pozbawiliśmy ich elementu zasko-

czenia, spowodowaliśmy międzynarodową akcję przeciw interwencji, a obecnie dołączyła się nawet włoska partia komunistyczna ostrzegając, że w razie inwazji zerwie stosunki ze Związkiem Sowieckim. Prawdopodobnie też przyczyniliśmy się do powstrzymania agresji uświadamiając Związkowi Sowieckiemu olbrzymie koszty takiego kroku. Mam nadzieję, że tak jest, ale z drugiej strony wszystko wskazuje na olbrzymie przygotowania Moskwy. W każdym razie uważam, że podchodziliśmy do tej sprawy znacznie lepiej niż do kryzysu czechosłowackiego w 1968 roku. Jeśli Związek Sowiecki będzie interweniował, to przynajmniej wiemy, że zrobiliśmy wszystko co możliwe, aby Moskwa zdała sobie sprawę z kosztów takiej imprezy, Polacy dowiedzieli się, że interwencja się zbliża, a w obudzonym świecie wzrosła fala oburzenia.

Piątek, 12 grudnia 1980

Nie ustajemy w naciskach w sprawie Polski, mając nadzieję na zapobieżenie interwencji. Napływają doniesienia wywiadu, że sowieckie przygotowania posuwają się naprzód. Dowódca lotnictwa sowieckiego odleciał do Czechosłowacji, a w pobliżu granicy polskiej trwa nadal koncentracja sił rosyjskich. Poruszyłem z Prezydentem sprawę zboża, ponieważ możemy po prostu odmówić Związkowi Sowieckiemu dostaw zboża nawet poniżej granicy 8 milionów ton. Podczas śniadania, w którym uczestniczyli jedynie wiceprezydent, Christopher, Cutler i Carswell, jako że mieliśmy w zasadzie omawiać sprawę Iranu, Prezydent podniósł możliwość zorganizowania bojkotu (Rosji) przez związki zawodowe. Sprawa ta wywołała pewne różnice zdań, Mondale uważał bowiem, że doświadczenia z Afganistanem nie są bardzo obiecujące. Wszyscy uznali jednak, że tym razem związki zawodowe będą bardziej stanowcze.

Po śniadaniu zatelefonowałem do Lane Kirklanda i zapytałem, co związki zawodowe mają zamiar robić. Powiedział mi, że planują zorganizowanie całkowitego bojkotu. Nalegałem, aby zbadał możliwość wspólnego wystąpienia międzynarodowych związków robotników transportowych. Mogłoby to sparaliżować ruch wszystkich statków i samolotów sowieckich i miałoby właściwie charakter embarga na transport wszystkich towarów przeznaczonych do Związku Sowieckiego. Stwierdził, że przygotowują grunt do takiej akcji. Apelowalem o podjęcie jej przed interwencją sowiecką, aby fakt, że tego rodzaju plan jest poważnie omawiany z innymi związkami zawodowymi, dotarł do wiadomości Rosji. Kirkland zgodził się ze mną i powiedział, że porozumie się z kilkoma szefami zachodnioeuropejskich związków zawodowych.

Następnie o rozmowie tej opowiedziałem swemu przyjacielowi z *Wall Street Journal* w nadziei, że w przyszłym tygodniu znajdzie się tam artykuł o planowanej akcji bojkotu. Wydaje mi się, że jest rzeczą ważną, aby Moskwa wiedziała o tym, z czym się musi liczyć, bo tylko to może ją powstrzymać. Podczas śniadania Prezydent powiedział również, że zatelefonował do Muskiego, aby zajął bardzo mocne stanowisko w sprawie propozycji Breżniewa, przedstawionej dwa dni temu, a odnoszącej się do neutralizacji Zatoki Perskiej. Prezydent dodał, że Muskie zareagował bardzo dobrze i na konferencji prasowej w Brukseli zajął mocne i nieustępliwe stanowisko⁴. Powiedział: „Jeśli państwo pozwolą, chciałbym wypowiedzieć się w sprawie wczorajszej propozycji Breżniewa. Już wczoraj, zanim miałem możliwość zapoznać się z jej tekstem, pytany byłem na ten temat. Obecnie po przeczytaniu doniesienia prasowego, które przyjmuję za dokładne, mogę określić tę propozycję jako wpuszczenie wilka do owczarni. Właściwie mówi ona nam: 'Wynieście się moi drodzy z Zatoki (Perskiej), zapomnijcie o swoich bazach, wycofajcie flotę i po prostu zostawcie Zatokę w naszych rękach, a my wam zapewnimy bezpieczeństwo'”. Była to odpowiedź dobra i mocna i jestem pewien, że nie moglibyśmy liczyć na nią jeszcze parę tygodni temu. Idziemy teraz jedną drogą i wydaje mi się też, że odpowiedź NATO na ewentualność interwencji w Polsce jest znacznie lepsza, niż mogliśmy przypuszczać dwa tygodnie temu.

Wysłałem memorandum do Harolda Browna, zatytułowane *Broń dla Chin*. Prosiłem, aby Departament Obrony sprawdził, jakie rodzaje broni moglibyśmy wysłać Chinom w przypadku agresji sowieckiej na Polskę. Wskazałem, że Departament Obrony powinien przygotować listę do rozpatrzenia przez Radę Bezpieczeństwa. Oczekuję, że treść tego memorandum przecieknie bardzo szeroko z Departamentu Obrony i wskutek tego stanie się publicznie znana. Im dokładniej uda nam się powiadomić Rosjan o surowości i szerokim zakresie naszej reakcji, tym bardziej prawdopodobne może być powstrzymanie ich od interwencji.

W zasadzie mam na widoku trzy cele: (1) skłonić społeczeństwo polskie do zachowania spokoju, a jednocześnie przygotować je na wszelkie niespodzianki; (2) podwyższyć cenę, jaką Moskwa musiałaby zapłacić gdyby doszło do interwencji, i (3) przez powiadomienie o tym z góry wzmocnić akcję odstręczającą Rosjan od interwencji zbrojnej.

4. Jest to aluzja do dość niezdecydowanej postawy Muskiego i Departamentu Stanu w początkowym okresie kryzysu w Polsce.

Poniedziałek, 15 grudnia 1980

Powiedziałem rano Prezydentowi, że jest możliwe, iż pod pretekstem manewrów oddziały sowieckie wkraczają dziś do Polski. Jeśli miałyby tak być, w grę wejdą prawdopodobnie stosunkowo ograniczone siły. Jednocześnie mamy doniesienia o bardzo zdecydowanym stanowisku Francji, które Giscard miał podobno bezpośrednio zakomunikować Breżniewowi. Francuzi gotowi są do zerwania wszystkich stosunków politycznych odnoszących się do konferencji wielostronnych i do zawieszenia stosunków gospodarczych.

Po południu depesza z Brukseli donosząca, że RFN sprzeciwiała się wysiłkom trzech innych państw (Wielkiej Brytanii, Francji, Stanów Zjednoczonych), zmierzającym do porozumienia w sprawie sankcji ekonomicznych przeciwko Związkowi Sowieckiemu w przypadku interwencji w Polsce. Niemcy mogliby zaakceptować najwyżej jakieś planowanie na wypadek kryzysu. Wydaje mi się, że potwierdza to mój zasadniczy pogląd, że finlandyzacja Niemiec postępuje coraz dalej. Francuzi jednak bardzo mocno podkreślili, że ich opinia publiczna domagać się będzie silnej reakcji bez względu na to, czy rząd będzie tego chciał, czy nie.

Zbigniew BRZEZIŃSKI

Bronisław KRZYŻANOWSKI
„BAŁTRUK”

WILEŃSKI MATECZNIK

Część II

Zmierzch nadziei

Bronisław Krzyżanowski „Bałtruk”, autor „Wileńskiego matecznika” (Instytut Literacki 1979), w czasie okupacji niemieckiej dowodził oddziałem dywersyjnym o kryptonimie „Baza-Miód”, wchodzącym w skład V odcinka „Wachlarza”, a po jego rozwią-

zaniu — Kedywu Armii Krajowej Okręgu Wileńskiego w Wilnie. Oddział ten wykonał szereg akcji dywersyjnych, nieraz karkołomnych, jak cięcia linii kolejowych, systematyczne rabowanie niemieckich składów wojskowych w samym Wilnie, a także tuż pod miastem w Burbiszkach i głównie w lasach Puszczy Rudnickiej w okolicy Jaszun. Zdobywano w śmiałych akcjach broń, odbito tuż pod nosem gestapo więźnia — cichociemnego itd.

Lipiec 1944 roku szybko wyjaśnił istotne cele „sojusznika” sowieckiego. Po przesunięciu linii frontu rozpoczęła się zwykła sowiecka działalność: masowe aresztowania Polaków, czasem śledztwa, parodie sądów i wywożenie tysiącami w głąb zaprzyżnionego kraju. Oczyszczano z rdzennej ludności polskiej zagrabiane terytoria polskie, by tworzyć lub poszerzać republiki sowieckie: litewską, białoruską, ukraińską.

Potem przyszła kolej i na areszty Litwinów, którzy od 1945 roku zapępiać zaczęli więzienia i łagry.

„Bałtruk”, aresztowany w lipcu 1946 roku, przeszedł bestialskie śledztwo, potem sowiecki sąd i łagry w polarnej części republiki Komi. W kwietniu 1955 roku dostawiony został pod konwojem do granicy PRL.

Zamieszczone obecnie wspomnienia „Bałtruka” z pobytu w więzieniu stanowią opracowany tekst z nagrań magnetofonowych i są końcowym fragmentem rozszerzonego II wydania „Wileńskiego matecznika”, przygotowywanego obecnie do druku.

Wspomnienia swe Autor ograniczył do Wilna. O łagrach pisać ani mówić nie chciał.

Zmarł we Wrocławiu 20 grudnia 1983 roku.

Rozdział I

KONIEC WOJNY, OSTATNIE DNI WOLNOŚCI

Powstanie na Wileńszczyźnie i w samym Wilnie nie zdążyło się rozwinąć wobec niespodziewanie szybkiej ofensywy sowieckiej. Przewaliło się ono i wyrzuciło nas na skalisty brzeg wątpliwości i braku informacji. Wszystko, co się działo w rozgwarze walk z Niemcami, które trwały kilka dni — uciekło i rozproszyło się. Byłem zdezorientowany. Rozumiałem jedynie, że każdy z obecnie tworzących się wariantów jest dla nas sytuacją klęski. Celem wojny jest złamanie Niemców przez koalicję. I to jest realizowane. Lecz na tej ziemi zniszczenie Niemiec nie uwalnia nas od losu, który ma wszystkie cechy wielkiej, oczywistej klęski,

inaczej niż dla różnych narodów, które w tej walce także biorą udział.

Przewalał się przez nasz kraj ogromny żywioł ofensywy sowieckiej szybkiej, niespodziewanie błyskawicznej. Ten ogromny wysiłek wojenny nie przebiegał tak ogłuszająco, jakby się tego można spodziewać. Przecie odpływał na zachód silny jeszcze gmach niemieckiej wojennej struktury, ogromne środki, urządzenia techniczne — świetna armia odpływała, natomiast napływała ze wschodu armia robiąca wrażenie wojska improwizowanego, rażąca swoim prymitywizmem. Tworzyły ją luźne gromady, poruszające się nieraz pieszo, jakby biegnące, na których nie było widać ręki kwatermistrzowskiej: żołnierz miał na sobie arcylekki, byle jaki mundur lipcowy, niósł lekkie uzbrojenie, amunicję mieścił w luźnym plecaku, żywił się w sposób nieokreślony. Przy tym wszystkim posuwał się naprzód, robił postępy i to postępy błyskawiczne. Stał szybko opór niemiecki na Litwie i realizował cele ofensywy, w które myśmy nie bardzo na początku wierzyli. Wobec tych olbrzymich mas wojska myśmy się rozpadli, przychlichli, przykucnęli w poczuciu naszej klęski oczywistej. Nie mieliśmy ani mocy materialnej, ani siły ducha dla klęski tej odwrócenia, gdy gonił dzień jeden za drugim w gorączkowym następstwie.

*I jako krew z otwartej rany
Płynie czas niczym nie tamowany.*

Dni sielankowego współdziałania naszych brygad Armii Krajowej z nacierającym frontowym wojskiem sowieckim wkrótce zmieniły charakter. Front przesunął się dalej. Frontowy żołnierz zmieniony został innym. Zażądano od dowódcy okręgu AK Okręgu Wileńsko-Nowogródzkiego — „Wilka” — koncentracji oddziałów partyzanckich w miejscowości Wołkorabiszki. Zgromadzone brygady zostały niespodzianie otoczone gęsto sowieckim kordonem z żądaniem złożenia broni. Kto się nie wymknął z oblawy, kto doszedł na tę „koncentrację”, został rozbrojony i internowany najpierw w ruinach zamku w Miednikach, a w ciągu niewielu dni żołnierzy wywieziono do łagru w Kałudze, oficerów zaś do Riazania.

„Wilk” ze swym sztabem był już więźniem NKWD. Ostatecznie zginął, jak wielu innych w polskim (?) więzieniu na Rakowieckiej w Warszawie.

Na tę koncentrację akowską do Wołkorabiszek nie doszedłem, uprzedzono nas w drodze o jej przebiegu. Zawróciłem do swego punktu wyjścia, do Wilna i do Ponaryszek.

Ponaryszki topiły się w śmiertelnym tumanie. Wpędzano tam

do Wilii niemieckich jeńców i rozstrzeliwano w wodzie z karabinów maszynowych. Za sowiecką armią walczącą biegły sowieckie dzieci — chłopcy po 15-17 lat, uzbrojeni w automaty do wykańczania pojedynczych jeńców i dobijania rannych. Trupy płynęły na zachód. Było to miejsce, gdzie oba cudne brzegi Wilii spowite były w spływające w dół rzeki srebrne pasma, złożone z tysięcy brzuchów rybich, uśpionych masową śmiercią powybuchową. To wszystko dawało Ponaryszkom charakter śmiertelny, a jednak były one w innym sensie twierdzą życia.

W Ponaryszkach słychać było kwilenie niemowlęcia. W maju urodziło się dziecko Edypa, jego pogrobowy syn. Cięża Michaliny, ujawniona wkrótce po śmierci męża, w listopadzie 1943 roku stała się psychicznym błogosławieństwem dla niej w tym krytycznym okresie, ale jeszcze jedną trudnością i komplikacją przy przechowywaniu rodziny żydowskiej w ówczesnych warunkach okupacji niemieckiej. W ramionach swej matki, pod okiem żydowskiej akuszerki, specjalnie wyszukanej i wydobytej z ukrycia — stawiał oto swoje pierwsze kroki żydowski noworodek 1944 — jedna z osobliwości wojennego sezonu.

Można by zapytać dlaczego na tę przechowalnię wybrano dom ponaryski, tak eksponowany w zupełnie innej dziedzinie? Ten dom, z którego wychodziły na tory groźne patrole, żegnane akordami Szymanowskiego spod palców Perlicy, czasem zaopatrzone w niezawodne 3-kilowe ładunki niemieckie z połowów Edypa, a kiedy indziej niosące improwizowane materiały, godne arsenału chłopaków szkolnych. Czemu nie szukaliśmy miejsca mniej „urozmaiconego” dla zbliżającej się do połogu kobiety?

Było to trudne. Opory psychiczne wynikały głównie stąd, że przechowywanie Żydów było uważane za sprawę wprawdzie niebezpieczną, ale zarazem wielce intratną. Często budziło to niechęć, ściągając na twarz raczej wyraz ironii niż uznania za heroizm. Tak, heroizm, bo permanentny stan zagrożenia, wewnętrznego podminowania, łączący się z tym procederem, wymagał jednak, co tu mówić — heroizmu. Heroizmu absolutnie bezinteresownego.

Ponaryszki były jakby przysposobione specjalnie do przechowywania rodziny Baranów. Osadzenie ich na tle naszej rodziny, na tle naszych dzieci — smagłych i czarnych — dawało pełny efekt maskowania. Ponaryszki były pancerne w spokój Perlicy, w jej umiejętność roztaczania tego spokoju na swoje otoczenie, rozwieszania go nawet na ponaryskich sosnach. Sąsiedztwo nasze było nawykłe do występowania u nas osób postronnych, posługujących się innymi niż polski językami. Przez parę sezonów letnich gościł w Ponaryszkach mister Bridge, malarz angielski,

który uwiecznił na swoich płótnach Wilię i Łysą Górę w różnych układach chmur i kierunkach oświetlenia, szerząc w międzyczasie znajomość angielskiego. Znajomość francuskiego docierała do dzieci za pośrednictwem nauczycielek. W tych warunkach obecność mademoiselle Michaliny Baranowej jako jednej z tych nauczycielek tłumaczyła się dobrze. Stosunki sąsiedzkie między nami a zaściankiem Ponaryszki były w pełnym rozkwicie. Już rodzice moi dbali, by żadne pretensje nie powstawały, by żadna zazdrość ani mściwość nie miały tu szans na rozwinięcie się. Istniała co najmniej życzliwa neutralność.

Narodziny dziecka odbyły się w maju 1944 roku w znacznie zelazonych warunkach. Za bardzo już pachniało frontem, by miało się zgłębiać, kto jest a kto nie jest Żydem w ponaryskim domu.

Z chwilą odejścia Niemców sytuacja była już rozebrana. Męstwo Perlicy triumfowało. Michalina i jej dwaj synkowie byli uratowani. Równoważyło to moje stosunki z Edypem; ten dług, który powstał, kiedy on ginął, a myśmy nie byli w stanie dać mu ratunku. Wtedy poprzez mury i kraty gestapo powstała między nim a mną umowa bez słów: „Nie mogę ratować twojego życia, ale będę ratował twoją rodzinę”. Umowa ta, nie poparta żadnym gestem, choćby tak szczupłym jak skinienie głową lub nawet powieką, była w moim odczuciu obowiązująca. Jej wypełnienie stało się dla mnie ukojeniem.

Wkrótce Michalina wróciła do swego imienia Guta, opuściła Ponaryszki i przeniosła się do naszego wileńskiego mieszkania, a potem, chcąc „zejść z naszego grzbietu”, wyszukała sobie mieszkanko na Antokolu. W Wilnie popasała niedługo, nawiązała kontakt z rodziną i wraz z dziećmi znalazła się w Łodzi, a następnie w Izraelu.

A w Wilnie zaległa sytuacja wojenna. Miasto, przez które przewalił się front, które przeszło oblężenie, było częściowo zniszczone. Bez mostów, bez prądu elektrycznego, bez wody, ze znacznymi ubytkami w zabudowie, z rozproszoną ludnością — miasto leżało w prostracji, ale jeszcze nie w otwartym głodzie. Tym razem, inaczej niż po pierwszej wojnie światowej, czyli w ćwierćwiecze wcześniej, kraj nasz znajdował oparcie w ciągle jeszcze silnej gospodarce litewskiej, wykształconej w pomyślnych latach bytu niepoledległego, a utrzymanej podczas ostatniej wojny. W przeciwieństwie do tego od wschodu, od rejonów Mińska, Witebska, Połocka — rejonów wyniszczonych przez wieloletnią gospodarkę sowiecką, a obecnie dodatkowo przez długotrwałe działania wojenne — ziało teraz nędzą i głodem.

Nasze mieszkanie wileńskie ocalało. Nie zostało podczas walk ani zbombardowane, ani obrabowane, tak że byliśmy pod tym

względem dziećmi fortuny. Woda ostatecznie była. Wilno, leżące w dolinie, która obfituje w wody artezyjskie, sięga do nich swymi studniami. Jedna z nich była akurat koło nas po przeciwnej stronie ulicy Jasińskiego — niezbyt wygodna, bo bez wyciągu, ale od czego były nasze dywersyjne linki pociągowe, przygotowane co prawda na inny użytek. Inna studnia, dużo obfitsza, istniała opodal, na rogu ulicy Sierakowskiego w zakładzie klasztornym siostr Józefinek — ta obsługiwała szerszą sferę zainteresowanych, ustawiających się w długie kolejki. Trudności powstawały czasem z braku debitu studni, kiedy trzeba jej było dawać czas na wypełnienie się, co nie obchodziło się bez szemrania czekających. Aby nie wadzić się z siostrami, chodziliśmy do naszej studni, co dało asumpt do rodzinnego wierszyka:

*Wolę ciągnąć wodę linką
niż się kłócić z Józefinką.*

Już w epoce „wody ciągniętej linką” od jesieni 1944 roku zaczęła narastać obawa, że w nowych układach stosunków w koalicji pojawi się konieczność opuszczenia naszego kraju. Opuścić swoją ziemię, opuścić swoje miasto, gdy było ono bardziej polskie niż kiedykolwiek w historii? Żydzi zostali wybici, Litwini, ścigani naszą pogardą, uciekli, wywołując szosą kowieńską i wiłkomierską, a nawet spławiając Wilią, toboły narabowanego w Wilnie mienia. Miasto i całą tę ziemię, które przeprowadziły najbardziej przekonywający plebiscyt, wystawiając ze swojej młodzieży 20-tysięczne brygady partyzanckie, gromiące litewskie oddziały gen. Plechaviciusa, trzymające w szachu Niemców, nie wążących się wstąpić na tereny „Rzeczypospolitej” w rozległych kompleksach puszczańskich — to wszystko mieliśmy opuścić? Lecz głuche wieści zaczęły przybierać realniejsze formy.

Zaczęły się przemykać bokami jakieś cienie agentury moskiewskiego Związku Patriotów — jakieś nieznane nazwiska, jakieś obce głosy. Nasilała się akcja likwidowania Armii Krajowej. Trzeba oddać sprawiedliwość, że było to przeprowadzane bez użycia metody katyńskiej, chociaż nie unikając terroru.

Wzmagaly się środki mające objaśnić miastu, że jego skład narodowościowy winien ulec zmianie. Polacy mają ten kraj opuścić. Wilno ma być stolicą litewskiej republiki sowieckiej. Argumentacja była coraz mocniejsza. Oprócz zwykłych aresztów, przebiegających równomiernie, rozładowywanych przez pociągi więzienne kierowane na wschód, przebiegały fale aresztów masowych, po prostu łapanekowych, zalewających więzienia, doprowadzających je do niewiarygodnych zagęszczeń. Centralne więzienie łu-

kiskie budowane dla 1.000 więźniów za czasów carskich — teraz mieściło 16.000 ludzi. Bywały cele, w których nawet usiąść było trudno. Ale i to nie wystarczało. Trzeba było zakładać nowe więzienia, wychwytyując *ad hoc* niedostosowane do tych celów budynki. Istniało już poprzednio więzienie „pod sądem”, czyli więzienie MGB, założone przez bolszewików jeszcze w 1939 roku, a mile akceptowane przez gestapo niemieckie. Jako więzienia zostały wykorzystane budynki kolejowe przy ulicy ul. Wileńskiego i część pomieszczeń w dyrekcji kolejowej. Do tego doszły budynki klasztorne i kościół Wizytek w dzielnicy Rossa. Także oficyny pałacu biskupiego zaroily się więźniami. Oczywiście dusiły więźniów w swoich ścianach poprzednio istniejące więzienia: wojskowe w pałacu Słuszków na Antokolu, Stefańskie przy kościele św. Stefana, Ignacowskie przy kościele św. Ignacego, dawne areszty policyjne przy komisariatach. Wszystkie zatłoczone powyżej możliwości bez urządzeń sanitarnych, panował w nich głód i wszy. Tworzyły one prawdziwy zagmatwany labirynt w łonie miasta. Tego, kto zniknął w łapance, trzeba było tygodniami nieraz poszukiwać bezskutecznie w tym labiryncie, nie mającym ewidencji.

Jesienią 1944 roku zaczął działać w Wilnie Urząd Pełnomocnika Rządu Polskiego do Spraw Ewakuacji Polaków z Litewskiej SSR. W tę znaczą instytucję były częste areszty. Krótko urzędował pierwszy pełnomocnik PRL, Ochocki, który dostał 15 lat łagrów. Znikali urzędnicy z Wilna i z całego terenu objętego ewakuacją.

Coraz wyraźniej rysowała się przed ludnością polską alternatywa: czy zdecydować się na wyjazd do PRL, czy też czekać na podróż przymusową na wschód. Z więzień, a zwłaszcza z Łukiszek, bez końca odchodziły tysiące ludzi, otoczone gęsto konwojem. Kroki ich na rozległym placu głużyła często piekielna muzyka włączonych na cały regulator głośników. Szły te tłumy w milczeniu ulicą Trzeciego Maja i dalej ku stacji kolejowej, gdzie czekały długie zestawy okratowanych wagonów towarowych.

Żeby nie być bezrobotnym — [praca] nieco zwiększała szansę przetrwania — żeby mieć zaświadczenie pracy i kartki na chleb, zaangażowałem się do Geologicznego Instytutu, powstałego za pierwszych bolszewików i działającego bez przerwy za czasów niemieckiej okupacji. W tej litewskiej z nazwy instytucji znakomitą większość stanowili Polacy¹. Obecnie zjawił się właśnie sowiecki major Kriwcow i objął w zarząd budynek przy ulicy Mickiewicza 44 wraz z jego poprzednią zawartością i nawet

1. Litewski dyrektor i duża część personelu litewskiego umknęła.

ze znaczną częścią personelu. Mieliśmy tam mocną obsadę, bo usadowieni byli Kolarz, Komarowa, Szumbura, Bąk. Dołączył na krótko Tońko i przelotnie — Kos. Prócz tego kłębił się tłum pochodzący z różnych brygad partyzanckich, obecnie zanikłych. Uważałem całe to biuro po trosze za naszą własność. Między innymi mieścił się w nim dział, o którym Kriwcow nie miał najmniejszego pojęcia: „gabinet historyczny” Kolarza, w którym prowadził on z wrodzoną skrupulatnością tajnie pisaną kronikę Bazy — obecnie stanowiącą tylko nawrót do przeszłości.

Czy tylko? Czy szacowne annały Bazy nie miały już szans na ich wznowienie i kontynuację? Czy wojna jest rzeczywiście na ukończeniu? To, co spostrzegałem koło siebie, byle gęstszy ciąg samolotów na niebie, byle większy ruch wojsk — to wszystko zdawało się świadczyć, że otaczająca nas rzeczywistość nie zmierza do pokoju, ale do wojny. Czy zalewająca nas nawała ze wschodu ma być utrwalonym porządkiem rzeczy? Taki ma być efekt dotychczasowej wojny, tej do której i my wnosiliśmy swoje cegiełki? W przekonaniu moim potrzebowała ona jakiegoś dalszego ciągu, jakiegoś ostatecznego, logicznego rozstrzygnięcia. Ale w tej chwili nie zanosiło się na to. Tkwiłem w Instytucie Geologicznym majora Kriwcowa, gdzie pracowałem jako topograf, robiąc zdjęcia różnych złóż i odkrywek geologicznych. Sytuacja w mieście tak się jednak zagęszczała, że nawet zwykłe przebywanie na ulicy stanowiło zagrożenie. Co rano szef geologiczny spod oka lustrował swój personel, by stwierdzić, kto w ciągu nocy ubył.

Wobec tego wykorzystałem położenie i na parę tygodni znalazłem niezłe wyjście: rozgłoszono, że zostałem aresztowany, a ja ukryłem się w Ponaryszkach. W tym czasie Perlica nachodziła majora z lamentami i prośbami o ratunek. Rzeczywiście dał jej jakiś karteluszek interwencyjny. Kiedy wychynałem z Ponaryszek i wracałem do pracy, nie zapomniałem ostrzec sobie włosów — na to byłem dostatecznie wyrobionym konspiratorem.

Stawało się oczywiste, że Wilno tak czy inaczej trzeba będzie opuścić. W ustalonym w tym czasie swoistym biegu życia, wyjazdach, przyjazdach, związanych z pracami geologicznymi, nękać jąca była kwestia naszej broni. Była ona ukryta prowizorycznie w kilku skrytkach i melinach.

W ciągu wiosny 1945 uporządkowaliśmy niektóre. Pozostała szczególnie ważna melina zwana ogólnikowo „Kaśka-Baśka” w pobliżu Jaszun. W sierpniu 1944 oddział Frycza po beznadziejnych perypetiach, umykając sowieckim obławom w pobliżu tej właśnie meliny ukrył część swojej broni i innych materiałów.

„Kaśka-Baśka” miała duże znaczenie przy eksploatacji tzw.

skarbów jaszuńskich, pochodzących z pobliskich magazynów niemieckich, gruntownie przez Frycza grabionych w ciągu 1943 i 1944 roku. W okresie świetności zasoby te służyły do zaopatrywania nie tylko macierzystej bazy (dla wyrobu ładunków wybuchowych w naszej Pustelni). Na polecenie okręgu AK spore ilości tych materiałów pobierały brygady partyzanckie, zgłaszające się z wozami konnymi, a nawet samochodami.

Do Jaszun wybraliśmy się — Komarowa, Fregata i ja — w piątek 18 maja. Dojechalśmy tam przygodną ciężarówką sowiecką (był to wówczas powszechny sposób komunikacji). Dalej szliśmy parę kilometrów przez łąki, zagajniki, przez kładkę na Mereszczance. Wkrótce wyłoniły się dachy zabudowań majątku. Przebywała tam uszczuplona gromada: główna gospodyni Mysza w towarzystwie bardzo przez nas kochanej i szanowanej pani Emilii oraz młody chłopak Jerzyk. Pomocą w gospodarstwie była rodzina fernali. Małżeństwo „Kaśka-Baśka” już wyjechało do PRL. Innych przetrzebiły areszty.

Na miejscu okazało się, że Fregata zlekceważyła zabranie nieodzownej lutownicy. Musiała po nią wrócić do Wilna.

W sobotę po śniadaniu wybraliśmy się furmanką do pobliskiej puszczy. Do skrytki trafiliśmy bezbłędnie. Wszystko przetrwało pomyślnie, zabezpieczone w kilku metalowych pojemnikach (tzw. bidonach na mleko) lub starannie owinięte w plandeki. Wróciliśmy wesoło, skaczącym po leśnych wykrotach i kamieniach wozem. Zawartość bidonów wyłożyliśmy na podłogę w pokoiku na piętrze letniskowego domku. Przegląd i konserwacja trwały do późnego popołudnia. Były to czynności pracochłonne. W międzyczasie wróciła Fregata i włączyła się do pracy. Była wyraźnie zmęczona.

Dyktowałem poszczególne pozycje. Zapisywały Komarowa i Mysza. W pewnej chwili wyszedłem, by rzucić okiem na beczki przygotowane do lutowania. Potężny wybuch przerwał w pół słowa objaśnienia. Dachówki domu wleciały w górę i opadły wśród kłębow czarnego dymu. W jednej chwili byliśmy na schodach i w pokoju. Było tu czarno. Dławił dym. Usłyszałem jęk. Fregata leżała na krześle czy skrzyni przewieszona twarzą w dół. Ułożyliśmy ją na łóżku. Ciemność opadła, pył się rozproszył. Twarz Fregaty była czarną maską, oczy czarnymi plamami. W półmroku bieleły się jedynie piszczele obydwu nóg i ręki. Jęczała. Sytuacja była beznadziejna. Nadbiegła pani Emilia z zastrzykiem morfiny.

Zosia umarła o godzinie 19.10 w sobotę 19 maja. Zegarek Komarowej stanął o 18.35.

Nocą zrobiliśmy prowizoryczną trumnę-skrzynię. Nazajutrz Zosia leżała w tej trumnie wyłożonej wileńskimi kilimami. Jej ręce i nogi Mysza przykryła naręczami kwiatów.

Z zapadnięciem ciemności kopaliśmy z Jerzym grób na leśnym, opuszczonym cmentarzu, gdzie było kilka bezimiennych mogił. Koło północy sprzed domu ruszył wóz. Noc była nasyciona blaskiem wysokiego księżyca, od strony puszczy napływały szумы leśne. Wyrazisty skrzyp wozu towarzyszył małej grupie idącej za trumną. Nad piaszczystym dołem odmówiliśmy modlitwę.

Takie było pożegnanie Fregaty, zwanej czasem Zofią Wspaniałą. Była wspaniała. Wydawała się nie znać strachu. Przemierzała bez trudu na swoich silnych nogach dziesiątki kilometrów torów w poszukiwaniu oddziału Frycza. 40-60 kilometrów to nie był problem. Te nogi, rozniesione teraz w bryzgach po ścianach i suficie pokoiku, nie mogły być nawet złożone z nią razem do trumny.

Jak to się stało? Przed samym wybuchem Fregata przejęła od Komarowej przegląd materiału. Komarowa odwrócona do niej plecami zapisywała. Ostatnie słowa „nożyce do cięcia drutu” przeszły w gwałtowny zygzak. Może właśnie te nożyce spadły na materiał wybuchowy?

Całą siłę wybuchu wzięła na siebie. Mysza i Jerzyk, zasłonięci masywną ścianą drewnianego łóżka, doznali lekkich draśnień. Najbardziej, choć niegroźnie, dostało się Komarowej. Jej plecy od głowy do dołu poszatkowane były dziesiątkami drobnych odłamków skręconego żelastwa i drewna.

Tragedia ta mogła mieć znacznie większe rozmiary. W odległości zaledwie paru metrów od miejsca wybuchu leżały kostki autentycznego trotylu. Gdyby wybuchły, zmiotłyby cały dom. A pożar? Ściana pokoju była wyrwana. Języczki płomieni biegły podłogą strychu. Na ich ugaszenie nie było w pierwszej chwili dość wody. Zadeptywanie było mało skuteczne. Ktoś zarzucił koce. Ktoś nadbiegł z wodą.

W poniedziałek kończyliśmy naszą nieszczęsną inwentaryzację. Wszystko zostało zakonserwowane, zamknięte w beczkach, dokładnie zalutowane i zakopane.

Wróciliśmy do Wilna. Czekало nas ciężkie zadanie powiadomienia rodziców Zosi. Ojca zawiadomiłem ja. Do matki i brata Janka (pseudonim Nektar), którzy byli już w PRL, poszły listy.

Fatum ciążyło nad tą rodziną. W ciągu dwóch lat zginęła cała trójka znakomitego rodzeństwa Zahorskich. 7 kwietnia 1944 roku, w przeddzień zamierzonego odbicia z gestapo, rozstrzelany został Jerzy (pseudonim Fostowicz), teraz zginęła Fregata, w 1946 roku w Krakowie zmarł najmłodszy Janek.

Ewakuacja Wilna i Wileńszczyzny szła kilkoma torami. Nurt legalny reprezentowało Biuro Pełnomocnika Rządu PRL do spraw ewakuacji Polaków z Litewskiej Republiki. Centrala tego biura mieściła się przy ul. Wileńskiej, w pobliżu Zielonego Mostu. Zapisy na transporty przyjmowano na parterze budynku na rogu Małej Pohulanki i Teatralnej. Frekwencja narastała stopniowo od początku roku 1945. W 1946 była ogromna. Mieliśmy swoich ambasadorów w tym urzędzie: Marię Rzeuską w centrali i Komarową na Pohulance.

Oficjalną ewakuację znakomicie uzupełniały lewe karty ewakuacyjne, które robił tajemniczy „Ciotka” z nowo powstałej komórki konspiracyjnej o kryptonimie Auszra, z którą kontakty utrzymywała Komarowa.

Pod koniec roku 1945 z łagrów o słabszym reżimie ludzie po prostu uciekali. Część była zwalniana z powodu inwalidztwa i chorób. Jesienią 1945 powrócił z łagrów w Uchcie Frycz. Wrócili z Ukrainy: Puchała, Kos, Chaber, Mefisto. Z Kutaisi w Gruzji wrócił Szkolnik. Wszyscy wyniszczeni, wygłodzeni, zawszeni. Powroty były masowe. Toteż popyt na lewe karty ewakuacyjne był również masowy.

W marcu 1946 roku przez Wilno przemknął Szczербec, dowódca 3 Brygady AK, który wraz z dwoma kolegami uciekł z obozu w Riazaniu, gdzie byli więzieni oficerowie AK po rozbrojeniu w lipcu 1944. Dostali dobrze zrobione karty ewakuacyjne i znaleźli się w PRL. Szczербec w Polsce został aresztowany i rozstrzelany.

W tym samym czasie pojawił się na horyzoncie inny osobnik. Był to Stanisław Szabunia, który uciekł z transportu więziennego, wyskakując z pociągu już na terenie Łotwy. Długo błądził po nieznanej okolicy, wreszcie zaryzykował, wszedł do jakiegoś gospodarstwa i trafił na Polaków. W Wilnie ulokował się u Cywińskich, po czym kilka tygodni u p. Emilii na ul. Zakrętowej. Nie chciał jechać do PRL w transporcie ani na prawe, ani na lewe dokumenty. Uważał, że twarz jego wobec długiego pobytu w więzieniu jest zbyt dobrze znana enkawudystom. Postanowiono zatem, że drogę do PRL odbędzie w skrzyni. Transportu podjęli się święci ludzie — Janina i Tadeusz Cywińscy, nasi Lisica i Puchała. Tadeusz właśnie wrócił z łagru, zwolniony z racji inwalidztwa. Miał złamane obie ręce w skoku z gestapo przed dwoma laty. Odporność psychiczna tej rodziny była nadludzka. Mieli dwoje dzieci. Po wszystkich przejściach teraz ten niezwykle багаż.

Skrzynię wykonał stolarz-artysta pan Oszurko. Mniejsza o

kaprysy Szabuni, o przykrości, które robił dokoła. Został załadowany do skrzyni i odwieziony na stację towarową. Odprowadzałem ten transport do punktu granicznego, do Gierdawy. Wszystko przeszło pomyślnie. Niezwykły był finał tej drogi. Gdy w Olsztynie delikwent wypełził ze skrzyni, oświadczył rozradowanym sukcesem Cywińskim: „Nie zrobili tego państwo darmo”. Cywińscy odczuli to jako obelgę. Jediną zapłatą było ogromne ryzyko, na jakie była narażona cała rodzina.

Rozdział II

PAŁKA, WICEPAŁKA, ARCYPAŁKA

Dzień mego aresztowania, 10 lipca 1946 roku, ten pogodny letni dzień, zacząłem od popełnienia błędu: nie zwróciłem uwagi na to, że Komarowa nie przyszła na umówione ze mną spotkanie. Wtedy już nie byłem w ostrym pogotowiu i traktowałem te rzeczy dość luźno, przypisując to zaniedbanie jakiemuś przypadkowi. A musiałoby być dla mnie ostrzeżeniem i trzeba było wyciągnąć z tego wnioski, zwłaszcza, że pogłoski o nowej fali aresztowań już przedtem dawało się słyszeć. Tego nie zrobiłem.

Drugą nieostrożność popełniłem gdzieś około 11-tej w nocy. O tej godzinie zjawił się u nas zarządzający domu. Nasza kamienica, położona bardzo blisko sądu, zajęta była w dużej mierze przez MGB, które umieściło w niej zarządzającego. Chodził w mundurze i często zwracał się do nas w różnych kwestiach administracyjnych. On to zjawił się w tej niezwyklej porze, a i to nie zwróciło mojej uwagi. Znana jest tendencja sowiecka do załatwiania rozmaitych spraw w nocy. Zarządzający zamienił ze mną kilka słów, pytając o sprawy administracyjne i wyszedł. W chwilę potem rozległ się ponownie dzwonek i pojawiło się kilku wojskowych. Do mojego pokoju wszedł żołnierz ze sztykiem i zajął miejsce we drzwiach prowadzących na balkon. Sytuacja stała się jasna. Nastąpiły zwykłe w tych razach formalności: rewizja i areszt. Rewizja trwała, a ja zegnałem się z matką i ciotką. Nie wziąłem ze sobą swego złotego zegarka, wiedząc, że czekałyby go burzliwe losy. Około godziny 1-szej w nocy wyszliśmy na ulicę. Podobnie jak trzy lata temu, 16 września 1943 roku, gdy byłem aresztowany przez gestapo, wychodziłem przez te same drzwi i szedłem do tego samego gmachu bez żadnych szans na ucieczkę. Odległość była zbyt mała, a obstawa zbyt silna. Po 100 metrach weszliśmy do gmachu MGB i znalazłem się zamknięty w okratowanym pokoju, gdzie przebywałem chyba

godzinę. Tę godzinę miałem na uporządkowanie myśli i na ocenę sytuacji.

Przed wszystkim myślałem o Chylińskim (Frez, inaczej Szkolnik). Ten sam — cichociemny, którego przed dwoma laty odbiliśmy z gestapo. Aresztowany w masowej łapance sowieckiej, niedawno wrócił z łagru w Kutaisi. Był on aresztowany ponownie. Kilka dni przedtem był w naszym mieszkaniu na obiedzie. Przypuszczałem, że to on właśnie mnie zasypał. Jednak pewności nie miałem żadnej. Również sytuacja Komarowej nie była jasna: nie przyszła na spotkanie, a więc zapewne i ona jest aresztowana. Myśli mogłem uporządkować, ale linia obrony nastroczała trudności.

Postanowiłem trzymać się negocjowania wszystkiego, odrzucania wszelkiej imputacji po linii AK, po linii Bazy. Nie było to może bardzo rozsądne, ale chodziło mi przede wszystkim o mogące nastąpić indagacje personalne.

Brak zegarka powodował, że czułem się zdeprymowanym więźniem. Wreszcie wprowadzono mnie do dużego gabinetu, mieszczącego się u zbiegu ulicy Mickiewicza i 3-go Maja. W tym dużym, okazałym gabinecie od razu ogarnął mnie gwar. Było tam kilkunastu, może dziesięciu ludzi. Cała ta zgraja, robiąca wrażenie bezładności, rzuciła się na mnie. Wszyscy z wrzaskiem gestykulując pytali mnie, za mnie odpowiadali i znów pytali. W pierwszej chwili byłem oszołomiony i zaskoczony. Padały zarzuty, rozbrzmiewały okrzyki „kapitan”, „artist”. Rosyjskie słowo „artist” należy tłumaczyć jako aktor. „Kapitan” — to były jakieś insynuacje na temat mojego rzekomego stopnia wojskowego. Zarzuty takie jak misja do Polski, czy misja z Polski do Wilna, co wiązały z moim wyjazdem do Warszawy, jako konwojenta transportu ewakuacyjnego. Zarzucali mi szpiegostwo, terror — mnóstwo zarzutów wyssanych z palca na poczekaniu, dla zasypania tym nawałem aresztowanego. Przeczyłem zdecydowanie i trzymałem się pewnie pod tym wodospadem bredni.

Wciąż panował chaos. W tej rozwrzeszczanej grupie nie mogłem zorientować się w hierarchii i ustalić, kto jest czym zwierchnikiem. Po pewnym czasie z grona tego wyróżnił się młodszy lejtnant, który gorliwiej niż inni indagował, wtrącał się, działał być może energiczniej. Zaczęło się bicie, a właściwie kopanie w prawą stronę klatki piersiowej. Nie było to bicie mocne, raczej „trącanie”, stosowane zapewne dla wywołania strachu. Wszystko to wskazywało na umiejętność kopania, którą tym ludziom wdrożono. Odpowiednie bicie na określonym etapie śledztwa.

Czas płynął. Z chaosu pytań lecących mi na głowę zaczęła wyłaniać się sprawa główna: broń. Gdzie jest broń? Oddaj broń. Opisz broń. Wciąż byłem w tłumie, który nie był tak gęsty, by uniemożliwić ruch, ale ludzie stali w odległości ode mnie 20-30 cm, tworząc żywą sieć. W tej sytuacji trzasnął policzek.

O ile dotychczas czułem się dość mocno, to ten policzek niespodziewany i wymierzony gdzieś „spod poły” — ten policzek załamał mnie. To nie był cios boksinerski do zwalania mnie na podłogę, nie był tak silny. Tu chodziło o upokorzenie mnie i zmięczenie. I to zostało w pewnym sensie osiągnięte. Od razu stanąłem przed dylematem realnym, czy dalej opierać się, czy rzucać do akcji ręce, które jeszcze miałem wolne? Już przecież były uwikłane w żywą sieć otaczających mnie zewsząd ludzi.

Konsternacja moja trwała bardzo krótko, dlatego, że w tej chwili zabrzmiało to słowo rosyjskie, które szeroko wówczas niosło się po polskiej ziemi, z ust nowego okupanta: *łóżis!* (kładź się).

To żądanie zostało spełnione przeze mnie bez oporu. Leżałem już na podłodze, nade mną siedział w krześle oprawca, trzymając w ręku gumową pałkę długości około pół metra i gotował się do bicia. Widziałem jego but tuż przy mojej głowie. Byłem na dnie upokorzenia. Skoro leżę pośladkami do góry, nie od rzeczy będzie omówić ich kondycję. Nie były one symetryczne. Lewy niedawno przed wojną był mocno poturbowany w wypadku motocyklowym i przeszedł operację plastyczną. Na obszerną ranę naciągnięto przylegającą skórę, pobraną z nogi, lecz nie odciętą, a tylko odpowiednio zagiętą. To odtworzenie zniszczonej skóry zdeformowało pośladek, pokryło go szwami i bliznami i sprawiło, że stał się on delikatną i wrażliwą partią mojego ciała. Toteż starałem się na bicie wystawić część prawą.

Oprawca mój rozpierał się w krześle, piastując swe narzędzie indagacji. Widać w nim było fachowca w tym „kunszcie”. Przygotowania do tej pracy trwały dość długo. Nie pamiętam, czy bił mnie jeden, czy bito mnie na zmianę. Przerywano bicie dla powtarzania wciąż tych samych pytań, co ja usiłowałem prze-wlekać, żeby się „odchwycić”. Bicie w pozycji siedzącej bijącego nie mogło być zbyt silne, jednak trwało długo. Wreszcie skończyło się i zostałem zabrany do innego gabinetu na górę, gdzie okna wychodziły na ulicę Ofiarną. Pojawił się ów młody oficer, którego zauważyłem na początku, a który, jak się okazało, był moim właściwym *sledowatiele*m, moim sędzią śledczym, dysponującym mną.

Byłem jeszcze więźniem niedoświadczonym i nie rozumiałem

mechanizmu tutejszej władzy symbolizowanej przez gumową pałkę. Tę pałkę dzierżył w swoim ręku przede wszystkim *sledowatiel*, a pałka pałce nie jest równa. Jej rozmiar określał samo przez się zakres jej działania i uprawnienia ręki, która ją trzymała. Ci, którzy asystowali, hałasowali, dogadywali, działali językiem, to byli statysci. Pałka wskazywała hierarchię. Skoro zatem zjawiał się w nowym gabinecie ten, który miał wypowiedzieć dobrze już poznane słowo, a był nim jak się potem okazało starszy *sledowatiel*-młodszy lejtnant, Diewiatuch, to moje oko, oko laika, dostrzegło jednak pewien szczegół godny uwagi: Diewiatuch w ogóle nie miał gumowej pałki. A więc ten proceder wyglądał raczej na jego inicjatywę prywatną i nadgorliwość. Chciał on z więźniem już napoczętym przez bicie rozegrać jakiś finisz. Wyszło to jeszcze bardziej na wierzch, kiedy po ponownym *łożis* Diewiatuch do bicia odjął od ramy okiennej wicepałkę, czyli pręt metalowy założony na przelot, by uniemożliwić wyskok więźnia przez okno po wybiciu szyby.

W czasie szermowania tym nowym wcieleniem pałki usiłowałem wymanipulować jakieś przerwy w biciu, żeby odzignąć choć na kilka sekund, wymieniałem pseudonimy ludzi nieżyjących. Z drugiej strony wzbierała we mnie wściekłość: oto haniebnym szczeniakiem, młodszy ode mnie na pewno dwukrotnie, głupi i zarozumiały, wali tym swoim żelaziwem mnie, leżącego w stanie bezradności, w stanie niczym nie skwitowanego spolickowania. Czy nie trzeba targnąć się na niego chociażby kosztem życia?

Targnąć się — to było właściwie słowo. W pewnej chwili zerwałem się na obie nogi, wtedy jeszcze silny i sprawny, i rzuciłem się na Diewiatucha, który wydał okrzyk przestachu, a jednocześnie swym prętem żelaznym zadawał mi ciosy w głowę. Z emocji zupełnie tego nie czułem, zorientowałem się dopiero później, gdy krew chlusnęła obficie. Chwyciłem go prawą ręką za gardło, lewa nie wiem czemu nie wzięła udziału w tym chwycie. On wydarł się szybko i wypadł z krzykiem za drzwi gabinetu. Nieobecność jego trwała zaledwie parę sekund, wpadł znowu w towarzystwie innego funkcjonariusza, który widocznie pełnił jakąś funkcję na korytarzu. Na ich widok rzuciłem się do okna, otworzyłem je jednym chwytem, ale nim przerzuciłem się przez parapet, tych dwóch miałem już na karku. Górna część mojego tułowia była na zewnątrz, ale nogi pozostały jeszcze w zasięgu moich łapaczy. Zostałem wciągnięty do pokoju i wylądowałem na podłodze.

Wszystko to było spontanicznym aktem rozpacz, nie miałem ani śladu trafności decyzji i pewności chwytu, które przed paru laty w tejsze części gmachu (od ulicy Ofiarnej, tylko o piętro

nżej) zademonstrował Daniel Kostrowicki, który udusił swojego *sledowatiela*.

Czułem krew ciekącą obficie z głowy. Nie pamiętam, co działo się dalej, bo byłem zamroczony, w każdym razie skończyło się na tym, że wezwano jakiegoś sanitariusza, który mnie obandażował. Robił to długo solidnym bandażem. Na głowie miałem fachowy opatrunek. Jednocześnie założono mi kajdanki na ręce ściągnięte do tyłu. Leżałem na podłodze markując zemdlonego, chociaż faktycznie zemdlony nie byłem. Wszystko to razem, mimo bezładności, dało w sumie pewne osadzenie Diewiatucha i zaprzestanie bicia. Czy na długo?

Czas mijał. Oczekiwano prawdopodobnie na jakieś zarządzenie z góry. Leżałem wciąż na podłodze. Rany na głowie krwawiły, narastało oszołomienie.

Nie pamiętam, w jaki sposób znalazłem się w innym pokoju, gdzie zebrana była nowa grupa operacyjna na podobieństwo tej, która biła mnie na początku. Przewodził jej wysoki, atletyczny blondyn o grubych rysach. Ten młodszy lejtnant trzymał w ręku nieznany mi model gumowej pałki, pałki wyższego rzędu, o długości może 3/4 metra. Zapewne występowała rzadko, w sytuacjach ekstremalnych, jak przystoi majestatowi.

Zaczęły się przygotowania. Jeden z operacyjnych kneblował mi usta ostrożnie, żebym go przy tym nie ugryzł. Knebel z grubo złożonych gazet był nałożony na usta, a twarz obwiązana szmatą. Tu już nie było zwykłego *łożis*, bo nie mogłem się sam położyć, mając ręce w kajdankach do tyłu. Położono mnie na podłodze i arcypałka poszła w ruch. Bicie miało wyraźnie charakter represyjny, jednocześnie jednak indagowano mnie o składy broni, o arsenały. Knebel dawno znalazł się na podłodze, opatrunek z głowy zsunął mi się na twarz. Odpowiadałem niezmiennie, że żadnej broni nie mam, że broń była za czasów niemieckich, lecz została zużyta podczas walk partyzanckich. Te wyjaśnienia nie zadowalały mych oprawców, po chwili przerwy następowała nowa seria 6 czy 7 uderzeń wymierzonych z dużą siłą. Szczególnie odczuwałem rękę muskularnego lejtnanta, który w kwestii bicia był wyraźnie autorytetem dla swych kolegów. Trwało to długo. Mało wiedziałem, mimo że leżąc na brzuchu wykręcałem szyję, by chociaż coś zobaczyć. Krzyczałem, rzucałem się, podkładałem dłonie w kajdankach pod ciosy pałki, osłaniając obolałe pośladki, co prowadziło do odbicia paznokci. Miałem uczucie upływu czasu, podnoszono mnie, pytano, znów kładziono na ziemi. Bicie było rzeczywiście dotkliwe, ale daleki byłem od kapitulacji.

W tej sytuacji najlepszym wyjściem było zemdlecie. Kiedy podniesiono mnie na kolejną indagację, rzuciłem się naprzód z rękami skutymi na plecach, by uderzyć głową o coś twardego. Padłem uderzając głową o podłogę, uderzenie to jednak nie nastąpiło czołowo, a przyszło na prawą stronę obróconej nieco twarzy. Nie zemdlałem. Słyszałem odgłosy pewnej konsternacji moich prześladowców. Bicie przerwano, podniesiono mnie i sprowadzono na dół po schodach. Trzymałem się na nogach z trudem, czując kopnięcia, które wymierzano mi po drodze. Zeszliśmy do więzienia w piwnicach gmachu sądowego, po czym jeszcze niżej. Tam w piwnicy zostałem przekazany straży więziennej i uwolniony od kajdanek. Posadzony na krześle, nie mogłem się na nim utrzymać i po chwili zsunąłem się na podłogę. Jeden z dozorców ściągnął ze mnie pas rzemienny, związał mi ręce z tyłu w przegubach, napinając rzemień nogą. Bardzo szybko wystąpił silny ból, ręce zaczęły puchnąć, czułem jak palce przybierają jakąś niezwykłą grubość. Objawy te wynikały z zahamowania krwi. Było to bardzo bolesne, bardziej bolesne niż samo bicie. Zapewne z godzinę a może i dwie męczyłem się i jęczałem z tego powodu. W końcu ręce rozwiązano mi i wpakowano do celi dość dziwacznej: miała ona podłogę o jakieś 30 cm niżej aniżeli podłoga korytarza. Nie pamiętam, jak się tam znalazłem, może zszedłem, może mnie zrzuciono. Cella była nie tylko głęboka, lecz i wysoka, wszystko było w niej betonowe. Nie było żadnego sprzętu prócz blaszanej paraszy. Na środku sterczał dziwaczny obiekt: gruby pał czy słup drewniany wpuszczony w podłogę i mocno w niej zabetonowany, wznoszący się nad nią jakieś 70 cm. Było coś niezrozumiałego, może nawet mistycznego w tym tkwiącym samotnie pału. Potem pojąłem, że cella ta była tak zwanym mokrym karcerem. Ten dziwny słup służył być może, by w razie zalania karceru wodą więzień mógł oprzeć się, przysiąść.

Chciałem poprawić bandaż na głowie, lecz gdy go zdjąłem i zacząłem zwijać, wpadł żołnierz i odebrał mi cały opatrunek. Widocznie podejrzewał jakieś cele samobójcze. Zostałem więc z gołymi ranami na gołej głowie. Rany te nie były opatrywane, włosy stanowiły naturalny opatrunek, pod którym w końcu zagoiły się same.

Położyłem się na betonie, który okazał się gładki. Nie miałem nic do wsunięcia pod głowę. Zasnąłem. Zdaje się, że spałem kilka godzin.

Obudziłem się zdecydowany na samboójstwo. Nie było w tym żadnej racjonalnej podstawy. Byłem wciąż zamroczony. Może to był protest. Nie zdawałem sobie sprawy z tego, że w tej fazie

byłem górą. Jeżeli przerwano badania nic ode mnie nie usłyszawszy, jeżeli absolutnie nie ustąpiłem z mojej pozycji wyjściowej, to przecież byłem górą. Powinienem być zdawać sobie sprawę, że sytuacja jest przeze mnie dobrze rozegrana i jak dotąd — wygrana. Nie mam pojęcia, z jakiej racji wziąłem się z determinacją do realizowania zamierzenia. Na realizację samobójstwa nie miałem praktycznych szans, bowiem w tej celi nie było warunków technicznych. Bandaż odebrano mi, zresztą nie było dla niego punktu przyczepienia. Rama okienna była zbyt wysoko. Pozostało mi wrócić do zamierzchniego już pomysłu sprzed paru godzin: bicia głową o jakąś twardość. Nasunął się pal drewniany tkwiący w podłodze. Można było doprowadzić go do kontaktu z moją głową, skacząc nań z pewnej wysokości. Tę wysokość mogłem uzyskać tylko przez wspięcie się na paraszę. Upadek z niej na wznak, połączony z uderzeniem tyłem czaszki lub kręgamii szyjnymi o krawędź słupa dałby może efekt złamania karku. Był to pomysł naiwny. Istna kpina z realnej sytuacji. Uderzenie o górną krawędź słupa, która nie była wyraźnie obrobiona, na pewno nie spowodowałoby złamania kręgosłupa. Skończyłoby się na jakimś nadłamaniu, pęknięciu, bez definitywnego wyniku, lecz wśród obfitości cierpień fizycznych. Jednak trzymałem się mego pomysłu i powoli, ostrożnie, żeby nie wzbudzić czujności strażnika, zacząłem go realizować. Ustawiłem paraszę w odległości od słupa odpowiedniej do mego wzrostu. Ten pomiar nie był łatwy, gdyż byłem cały obolały po nocnych „ćwiczeniach”. Zastanawiałem się czy lekka, blaszana parasza wytrzyma mój ciężar. Wytrzymała. Coś jeszcze poprawiłem, przestawiłem i oto z wielkimi ostrożnościami wspinałem się już na paraszę, gotując się do skoku, czy raczej upadku na wznak.

Śmierć w warunkach materialnego upośledzenia nie jest trudna. Osiągnąłem wielką samotność w głębokości dziwacznej piwnicy. Osiągnąłem też wielkie ubóstwo opodal mego zamożnego domu rodzinnego. Byłem głodny, ciało moje nosiło obfite ślady tortur. Byłem więc dostatecznie wyzuty, by wchodzić na mój szafot — czyli na paraszę — bez emocji. Dorosłem do spokoju. Myślałem przede wszystkim o tym, by nie wywrócić paraszy, nie chciałem leżeć po śmierci w jej zawartości. Pomyślałem, że trzeba by odmówić jakąś modlitwę. Przez chwilę stałem wyprostowany na blaszanym pokryciu paraszy. Przeżegnałem się. Raczej siłać się na jakąś emocję, niż jej doznając dokonałem mego upadku w nicość — do tyłu na wznak.

Naturalnie nic z tego nie wyszło. Nastąpił mimowolny skręt tułowia. W pień uderzyłem nie głową a prawym ramieniem. Uderzenie było silne, lecz raczej z rodzaju sińcowatych niż karko-

łomnych. Ciało zsunęło się po pniu na podłogę. Parasza została w położeniu pionowym. Łoskot przy upadku był nieznaczny, nie zwrócił uwagi strażnika. Poczułem się wyleczony z obsesji samobójstwa. Gotów byłem przyjąć brzemię żywota ziemskiego, leżąc na betonie, który wydawał mi się nawet miły, ciepły, nie zięjący chłodem, jak to potem bywało w zimowych karcerach.

Moja znaczna oporność, którą wykazywałem przy „biciu głową o mur”, jak również przy odbieraniu ciosów żelaznej wicepałki w głowę — pochodziła głównie stąd, że od dawna już wdrażałem tę głowę do fizycznych działań zaczepnych. Jeszcze podczas bójek szkolnych praktykowałem tzw. uderzenie „bykiem”, czyli górną częścią czoła w pierś przeciwnika. Tak to wówczas oceniałem.

Skoro miałem przyjąć brzemię żywota, to trzeba było je przede wszystkim przyjąć od strony realności. Realność ta była obciążona wagą naszej broni. Ta sprawa wysunięta obecnie przez śledztwo na czoło — była aż nadto realna. Jeżeli Komarowa była również aresztowana, co zapewne było faktem, to wszystko zależało od zgodności naszych zeznań. Mimo że ostatnio mniej komunikowaliśmy się ze sobą, miałem poczucie głębokiego uzgodnienia wszelkich spraw, uzgodnienia wyrosłego z całokształtu naszych stosunków, wypróbowanego w ciągu kilku lat pracy. Oboje wiedzieliśmy dobrze, że wyjście na jaw śmierci Fregaty byłoby potwierdzeniem istnienia w naszych rękach broni. Tej broni, której ceną było życie Fregaty. Nie mogło to być daremne. „Fregata żyje i wyjechała do Polski” — tę kluczową pozycję trzeba było utrzymać.

Ale jakie zeznania wydarto z Komarowej, jeżeli w śledztwie została potraktowana w sposób równie mało delikatny jak ja? Czy wytrzymała? Czy wytrzyma dalej? Wierzyłem, że tak. Nie wiedziałem wówczas, że w krytycznych godzinach mojego śledztwa — zrywu do nierównej walki, bicia — Komarowa była obok, specjalnie przyprowadzona do wysłuchania „koncertu”.

Teraz oczekiwało nas długie śledztwo, mogące zawierać wiele, wiele niespodziewanych chwytów.

I tak się zaczęło bytowanie w karcerze. Byłem przyćmiony, więc pory dni i nocy nie umiałbym rozróżnić. W dzień podawano mi jedzenie. Regulamin karceru jest w tej mierze dość lakoniczny. Głównym dziennym pożywieniem jest 300 gramów chleba. Rano dostaje się *kípiatok*. Raz na trzy dni — zupę. To chyba wszystko.

Skoro przyjęło się brzemię życia, to trzeba było chyba coś jeść. Chleba podawanego przez karmuszkę nie brałem do ust. Pajki pozostawały na podłodze. Nie była to głódówka. Chleba

po prostu nie mogłem przełknąć, natomiast płyny piłem chciwie.

W jakimś nieokreślonym czasie wezwano mnie na badanie. Ciężka to była sprawa o własnych siłach wydostać się z głębokości tego karceru. Trzeba było mnie wyciągnąć. Potem kajdanki. Przeszkadzają one przy posuwaniu się po schodach — nie można trzymać się poręczy. Jednak dotarłem powoli o własnych siłach na górę, nie pamiętam już na które piętro — zdaje się na drugie. Wprowadzono mnie do gabinetu od ulicy Ofiarnej. Za biurkiem siedział nieznany mi dotąd oficer. Było to wielką ulgą dla mnie. A więc zdjęto ze mnie Diewiatucha? Dało mi to poczucie niejakiego zwycięstwa. Było to ustępstwo ze strony MGB, zrobiono mi jak gdyby pewną grzeczność. Inną grzecznością był fakt, że wskazano mi miejsce na krześle. Po betonie karceru była to atrakcja, mimo że moje organy służące do siedzenia nie były w stanie użytkowym.

Patrzyłem z pewną sympatią na nową postać, siedzącą za biurkiem. Jak się później okazało był to kapitan Swistun. Obyczajem wielu *śledowatieli* czytał gazetę. To był przyjęty akcent początkowy. Czytanie gazety miało świadczyć o tym, że *śledowatiel* nie spieszy się, że ma czas, że nie pożałuje nawet długich miesięcy, aby *eto dielo razobrat' po kostoczкам*, że nikt nie może liczyć, by on czegoś zaniedbał. Wreszcie Swistun gazetę odłożył i zwrócił się do mnie grzecznie z typowymi pytaniami. Ja z kolei równie uprzejmie przyznałem, że podczas okupacji niemieckiej brałem udział w konspiracji w Armii Krajowej i używałem pseudonimu Bałtruk. Przyznałem też, że wtedy miałem do czynienia z bronią. Zostało to wciągnięte przez Swistuna do protokołu z pewną satysfakcją. Z pewnością nie było to zeznanie wypalkowane ze mnie, a tylko wynikające z przemyślenia sprawy. Dalsza linia mego frontu przebiegała po dawnemu, broń poszła do walk partyzanckich, obecnie żadnej broni nie mam.

Dzieje mego śledztwa i karceru toczyły się w pewnym zamroczeniu. Przez cały czas byłem przyćmiony, nie miałem pełnej przytomności umysłu. Chyba ani razu nie zemdlałem. Dni toczyły się pod znakiem kapitana Swistuna i nie wskazywały na jakąkolwiek szczerbę ze strony Komarowej. Oczywiście byłem wystraszony, bałem się dalszego bicia, ale równocześnie miałem przekonanie, że osiągnęło już ono stan graniczny, choć na początku nie było to jasne. Swistun stosował jakieś mini-bicie, coś drobnego w porównaniu z tym, co przeszedłem w noc na 11 lipca 1946 roku. To, że bił mini-laską czy kijem po nogach, to, że nadłamał mi żebro z prawej strony, to już były drobiazgi w porównaniu z tym, co wycierpiały moje pośladki w krytyczną noc.

W dalszym ciągu oddalałem się od obsesji samobójczej, która była jakimś rodzajem protestu. Chyba leżało to u podstaw tych usiłowań, zresztą niepoważnych, które występowały jako uboczna reakcja psychiczna. Protesty przybierają niekiedy formy bardzo szczególne. Jeszcze jedna próba wydarzyła się którejś nocy, kiedy wykorzystawszy nieuwagę Swistuna, zerwałem się z miejsca, żeby przeskoczywszy jego biurko — po krześle — wyskoczyć oknem na wewnętrzne podwórze. Było to niepoważne. Byłem już zbyt słaby, już bez siły w nogach, żeby wykonać skok tak forsowny, zwłaszcza przy skutych rękach. Zostałem od razu pochwycony przez Swistuna, który tej rzeczy nie potraktował poważnie i uznał ją prawdopodobnie za wybryk półprzytomnego mózgu. Rzeczywiście siły moje topniały i nie starczyło ich na użytek nawet mini-samobójstwa.

Moje przejścia z Diewiatuchem najwyraźniej nabrały sławy w obrębie gmachu sądowego. Badania Swistuna odbywały się w towarzystwie innych. Pewna ilość osób wpadała do gabinetu najwyraźniej, żeby po prostu pogapić się na Krzyżanowskiego. A ja w swoim skuciu i bezzadności nie odróżniałem ludzi-widzów od ludzi-reżyserów. Według norm tamtejszych do bicia miał uprawnienia tylko mój *sledowatiel*, czyli w tym wypadku Swistun. Tego wówczas jeszcze nie wiedziałem. Toteż gdy podchodził do mnie jakiś przybysz, brałem go za nowego oprawcę. Lękliwie chowałem głowę w ramiona, oczekując ciosu. Wzbudzało to mój niepokój. Zaciekawienie budziła moja twarz. Jak to mogłem stwierdzić w lustrze usłużnie podsunętym, twarz ta mogła wyglądać interesująco dla przychodzących gapiów. Jedna jej strona była grubo opuchnięta. Nie widać było żadnych sińców ani ran, tylko to jednolite opuchnięcie prawej strony, nadające twarzy wygląd głębokiej asymetrii. Być może twarz moja została ochroniona przy krytycznym uderzeniu o podłogę przez opadnięty opatrunek głowy.

Byłem w stanie wzbierającej gorączki i niezupełnie przytomny. Głodu nie odczuwałem, mimo że nic nie jadłem. Codzienne 300-gramowe porcje chleba leżały w kącie na podłodze karceru, a przecież one właśnie miały stanowić główne moje pożywienie. Wzgórek tego chleba stopniowo wysychał, pleśniał i śmierdział. W celi przeważnie spałem, tak mi się przynajmniej zdaje. Każde wyjście na śledztwo wymagało wyciągnięcia mnie z karceru. Stan mojej przytomności był wątpliwego gatunku, aczkolwiek w zasadzie świadomość zachowałem.

Tak przechodził czas. Ostre badania dzienne i nocne były wyczerpujące. Stałem niezmiennie na mocnym froncie: broni nie mam, więc żadnej broni nie mogę przekazać. Rachunek dni mącił

mi się. Wreszcie kiedy sterta pajek dosięgła wagi paru kilogramów, przyszło mi do głowy, by jej użyć jako podgłówka. Nie miałem śladu żadnej pościeli, oparcie głowy o co bądź było lepsze niż trzymanie jej w powietrzu lub na betonie. Tworzywo chlebowe wydawało mi się nawet sympatyczniejsze niż podgłówek z cegły, praktykowany w niektórych zakonach. Cóż, kiedy chleb kruszył się łatwo, tak że leżałem w końcu na luźnej masie chlebowej pachnącej pleśnią. Jako pościeli używałem moich pończoch. Były one dość długie, sięgały do kolan. Ułożone wzdłuż ciała izolowały mnie od betonu, tworząc swego rodzaju materac czy prześcieradło.

Dni płynęły bez wyraźniejszych zmian. W trakcie tego intensywnego, lecz łagodnego śledztwa bicie nie było groźne, inne szczegóły przyjmowałem obojętnie. Tłum przewijający się przez gabinet stopniowo topniał i wreszcie zostałem sam ze Swistunem. Nic nie wskazywało, by Komarowa choćby na cal popuściła. Od tej strony było spokojnie. Po celi chodziłem w pończochach, gdyż spuchnięte stopy nie mieściły się w butach. Na noc pończochy wracały do swych ważniejszych funkcji — materaca.

Po około 10 dniach, któregoś ranka, zjawili się dwóch drabów w wojskowych mundurach. Wyciągnęli mnie oni z mojego zakamarka i poprowadzili, a raczej powlekli przez zalane słońcem podwórze, mówiąc, że idziemy do łaźni. Minęliśmy dwóch robotników, zapewne więźniów, nie odrywających się od roboty na nasz widok. Patrzyli na mnie wzrokiem nic nie widzącym.

Stanęła mi w oczach Wilia w ten lipcowy dzień, kiedy na Antokolu, na Pośpieszce kąpią się tłumy i pełno jest gwaru młodzieńczych głosów. Wizja Wilii, a jednocześnie strach. Byłem wtedy specjalnie przerażony. Ten marsz przez dalekie podwórze do jakiejś mitycznej łaźni zupełnie nie odpowiadał mi. W końcu przywleczono mnie do dużego pomieszczenia betonowego. Nie uwierzyłem, że to łaźnia. Nie było ani kropli wody. Wydało mi się, że jest to łaźnia z rodzaju tych używanych przez Niemców do mordowania Żydów w komorach gazowych. Obydwaj żołnierze zniknęli, zamknawszy mnie. Nikt mi nie asystował — okoliczność również podejrzana. Zwlekałem z siebie moje lekkie ubranie, poruszyłem jakiś zawór i... z góry trysnęła woda. Było to nie tylko rozwiązaniem moich wątpliwości, ale i spełnieniem marzeń; od czasu aresztowania nie myślałem się ani razu. Byłem w gorączce, na pośladkach potworzyły się obszerne flegmony, nogi były grubo opuchnięte. Z uczuciem rozkoszy wlałem pod prysznic i opłukałem się jak mogłem. Nie miałem mydła, więc po prostu nieco odmokłem. Nie miałem ręcznika, więc wytarłem się koszulą. Kiedy zjawiała się eskorta, byłem już ubrany i ruszy-

liśmy w drogę powrotną. Okazało się, że nie wracam do swego karceru.

Na poziomie korytarza więziennego wprowadzono mnie do celi, na której progu powitał mnie — kto? — Chyliński. Chyliński? Ostatni człowiek, którego spodziewałem się spotkać jako towarzysza celi więziennej. Było to kompletnie nieoczekiwane, niezrozumiałe i podejrzanе. Byłem mało przytomny, ale zdolny do oceny, że właśnie ta moja słaba przytomność doprowadziła do takiego manewru śledztwa. Przede wszystkim ostrożnie — to była moja wstępna konkluzja. Zanim zająłem się prześwietlaniem Chylińskiego, przyjrzałem się wspaniałościom nowej celi. Była nieduża, ale posiadała dość miejsca, by pomieścić stół z dwoma taboretami przytwierdzonymi do podłogi i dwie койki (łóżka) z materacami i podgłówkami. Oczywiście nie brakło wszechobecnej parazy. Było to coś w rodzaju szpitalika dla przetorturowanych więźniów, trzymany pod ręką dla dalszego śledztwa. Otrzymywało się tam nie karcerowe, a normalne więzienne pożywienie. Były ulgi w więziennym regulaminie. Można było w dzień leżeć, a nawet spać. Pojawił się cień opieki lekarskiej: siostra sanitarna (*miedsiestra*), sowietka w typie nieco mongolskim. Zainteresowała się moimi pośladkami i zapewniła, że *za wami stoit sowietskij sojuz*.

Pierwszy kontakt z nową celą wywarł skutek nieoczekiwany: rozkleiłem się psychicznie. W karcerze beton podłogi był dostatecznie wygodny dla obolałych części ciała, tu na materacu nie mogłem ułożyć moich boleści w możliwy do przyjęcia sposób. W nocy kładłem się na wznak na podłodze, zakładając nogi zgięte w biodrach i kolanach na łóżko. Ta przedziwna postawa nie budziła sprzeciwów dozorca korytarzowego, obserwującego nas przez judasza, a nawykłego do różnych widoków.

Jeszcze jeden ewenement nastąpił zaraz na początku: dostarczono mi paczkę z domu. Było to samo przez się radosne, chociaż praktycznie niewiele warte, dlatego, że prawie nie mogłem jeszcze jeść. Zjadłem jedynie łąpczywie cukier. Z resztą nie było kłopotu, wszystkiemu poradził Chyliński. Znany on był ze swego fundamentalnego apetytu. Pamiętałem jeszcze z czasów partyzanckich, jak zjadał na śniadanie dwanaście jaj na twardo.

Życie toczyło się dalej po linii śledztwa kajdankowego, prowadzonego przez Swistuna. Z trudem, ale na własnych nogach, włókłem się na wysokie piętro gmachu sądowego. Śledztwo weszło w spokojniejszą fazę. Po dawnemu, mimo mego przywiednięcia, stałem mocno przy twierdzeniu, że *broni nie mam*. Można było ocenić, że Komarowa wszechobecna, a rozproszona

za każdą ścianą, za każdym załomem muru, za każdymi drzwiami, stanowiła mocne oparcie sprawy.

Moje asymetryczne pośladki po wielkiej próbie, którą oba przeszły, teraz zachowywały się niejednakowo. Prawy wybierał obszerną flegmoną, zaś lewy ropyła dużo wolniej po całej powierzchni dawnej transplantacji skóry. Nie doszło więc do kryzysu na obu połaciach jednocześnie, dzięki czemu w jakiś sposób mogłem siedzieć. Siostra sanitarna opatrywała to wszystko dość fachowo i skutecznie, choć prymitywnie. Widocznie nie brakło jej okazji do nabrania rutyny w medycynie pośladowej. Nie pamiętam zupełnie, czy mierzono mi temperaturę — w tym czasie musiała być wysoka. Siostra rozpoczęła kampanię — zapewne niezbyt łatwą — za przeniesieniem mnie do szpitala więziennego, w tym wypadku na Łukiszkach. Pewnego dnia kazała mi zebrać się do drogi. Po kilku godzinach wróciła jednak z wiadomością, że nic z tego. Ktoś ostatecznie odmówił zgody na mój wyjazd, dając w ten sposób wyraz swemu realizmowi, bo rzeczywiście mój organizm dał sobie radę sam, bez medycyny sowieckiej, tak kompetentnej w kwestiach bicia. Podczas gabinetowej rozprawy ten ogromnej postury i muskulatury młodszy lejtnant o grubych rysach twarzy wykazał arcyklasę, układając mnie swoją arcypałą. Nie uchybił precyzji bicia, mimo, że ja rzucałem się i wyrывałem, on robił swoje z zegarmistrzowską dokładnością. Moje nerki nie zostały nawet muśnięte przez arcypałą, moje jądra pozostały w bezpieczeństwie. Chwała ci za to, młodszy lejtnancie o mięsistym obliczu. Jeżeli świat pójdzie torem wytyczonym przez ciebie, to przyszłe olimpiady będą kultywowały dyscyplinę, której nazwa nie została dotychczas stworzona.

Powróćmy jeszcze do Chylińskiego. Stosunki w celi „szpitalika” ułożyły się nawet bez zbytnej nieufności. Z punktu widzenia dobra śledztwa byliśmy więźniami, którzy powinni być jak najstaranniej rozdzieleni. Jeżeli zamiast tego zostaliśmy jak najściślej połączeni, to stało się to dlatego, że śledztwo spodziewa się czegoś po Chylińskim. Na moje dopytywanie, czy to on mnie zasypał, Chyliński odpowiadał przecząco. Nie było to wiarygodne. Teraz zapewne domagają się od niego dalszych usług, których on chyba nie chce udzielić, a walczy ze sobą. Jest usłużny, jest współczujący, opiekuje się mną, okazuje może nawet pewną współwinność w moim obecnym położeniu. W kwestii broni powtarzałem Chylińskiemu tę samą wersję, którą przedstawiłem Swistunowi i innym na górze: broni nie mam. Przy swojej znajomości rzeczywistości konspiracyjnej, Chyliński uwierzył w to zapewne jeszcze mniej niż Swistun, ale ocenił, jaką linię ma trzymać świadcząc usługi, których od niego oczekiwano na górze.

Ja też wymagałem od niego pewnej usługi i on mi w niej zapewne nie uchybił.

Minęło znów parę dni wśród zbierania wielkiej ropy. Towarzyszył temu wielki rój much, które wdzierały się do prześmierdłego „szpitalika”. Którejś nocy na górze u Swistuna prawa flegmona wystąpiła i wyciekła na podłogę. Nie mogłem nic poradzić, mając ręce w kajdankach. Innej znów nocy, również u Swistuna, straciłem przytomność, nie mdlałem, nie spadłem z krzesła, ale zacząłem mówić zupełnie od rzeczy. Swistun — człowiek inteligentny — ocenił to od razu jako bredzenie autentyczne, a nie symulowane. Odesłał mnie na dół i nie wzywał na śledztwo przez szereg dni. Byłem jak gdyby na urlopie. Skutek tego był taki, że się kompletnie rozłożyłem. Leżałem na łóżku w celi. Chyliński obsługiwał mnie, wciąż z tym samym wyrazem winy, którą czemuś tutaj ponosił. Dni mijały na pełnym rozklejeniu. Dużo spałem. Bywało, że będąc przekonany, iż oka nie zmrużyłem, zastawałem koło mego łóżka porcję obiadową wystygniętą, która od kilku godzin czekała na moje przebudzenie. Tak w stanie narastającego rozklejenia fizycznego i psychicznego, przy coraz wzrastającej opuchliznie nóg, czas mi mijał. Nikt mnie nie niepokoił. Stawałem się wybredny i kapryśny. Żądałem na przykład od Chylińskiego, żeby przez moją chustkę do nosa przecedzał zupę więzienną, abym mógł zjeść kleik, który mi się właśnie zamarzył. Nic z tego oczywiście nie wyszło, bo gęste płótno chustki nie przepuściło ani kropli zupy. Wszystko się rozmazało i zmarnowało. Chleba więziennego w dalszym ciągu nie jadłem. Rezygnacja z tego chleba, stanowiącego gros wyżywienia, była pewną głodówką, chociaż nieoficjalną.

Stosunki z Chylińskim w „szpitaliku” zarysowały już owo więzienne wartościowanie, tak różne od odczuwań ludzi wolnych, a tak właściwe społeczeństwom zniewolonym. „Laur to ciernie”, napisał Norwid. „Laur to knuty”, westchnął z rezygnacją więzień. Moje laury, odebrane obficie, dawały mi pewien rodzaj więziennego autorytetu.

R o z d z i a ł I I I

N A P O D Ł O D Z E

Mijał już trzeci tydzień mojego aresztowania, a ja wciąż jeszcze nie zaznałem prawdziwego więzienia. Dziesięć dni spędziłem w karcerze, a drugie dziesięć w celi „szpitalika”. W ten sposób nie zetknąłem się jeszcze z więzieniem twarzą w twarz,

w sensie jego społeczności. Wiedziałem, że ta społeczność jest dwunarodowościowa, że są Polacy i Litwini — dwie narodowości skłócone, które zapewne obecnie, w warunkach więziennych, okupacyjnych dochodzą może do jakiejś harmonii. Wiedziałem też, że to, co znajdę w celi, nie będzie przeciwstawieniem tego, co robią na górze *sledowatiele* w swoich gabinetach. To będzie zapewne jakaś gra pomiędzy gabinetem na górze a konfliktem na dole. Trzeba będzie zachować w tej celi rozwagę, pilnować się. Dobrze sobie z tego zdawałem sprawę i gdy u drzwi mego szpitalika zabrzmiał głos, byłem przygotowany. Szybko pożegnałem się z Chylińskim, uściśnąłem mu rękę (co może miało charakter pewnej nadmierności) i wyszedłem na korytarz. Nie szliśmy długo — dyżurny i ja — otworzyły się przede mną drzwi nowej celi, do której wszedłem krokiem chwiejnym, ale samodzielnie. Za mną wrzucono do celi mój materac, mały, wąty, cieniutki, ale materac. To wywołało poruszenie moich nowych współwięźniów. Więzień, za którym niosą materac jest czymś niezwykłym w więzieniu.

Okna nowej celi wychodziły na ulicę Ofiarną. Po pierwszym zamieszaniu więźniowie usadowili się na swoich tobołkach pod ścianami. W celi oprócz stołu i paraszy nie było umeblowania. Życie odbywało się tu na podłodze.

Z zainteresowaniem oglądałem nowych współtowarzyszy. Przede wszystkim wpadł mi w oko mężczyzna w dojrzałym wieku z brodą budzącą zaufanie. Był to pułkownik litewski Piotr Masiulis, pułkownik nie liniowy ale techniczny, który w tymże więzieniu miał syna, młodego studenta uniwersytetu. Masiulis nie był typowym oficerem litewskim, nie był niemieckim kolaborantem, jak przeciętny oficer litewski w czasie okupacji niemieckiej. Był więźniem Stutthofu, łagru niemieckiego pod Gdańskiem, skąd trafił do sowieckiego więzienia. Z Masiulisem żyłem się w tej celi najbardziej, chociaż byli tam moi współrodacy. Do tych należeli: dość miły Eugeniusz Dawidowicz — inteligent kowieński, prawnik, człowiek młody, psychicznie nieprzystosowany do więzienia. Byłem tu znacznie spokojniejszy, mimo że pobyt mój był jeszcze bardzo krótki i tak burzliwie rozpoczęty.

Drugi Polak — bardzo sympatyczny Edwin Bielawski — szczupły, fizycznie słaby, starszy od nas. Jak się później okazało, był burmistrzem miasta Mołodeczno, a poprzednio był oficerem polskim z czasów kampanii 1920 roku. Podczas „cudu nad Wisłą” był ranny, gdy wojska sowieckie wdzierały się prawie na Pragę, bronioną przez szczupłe oddziały generała Żeligowskiego. Za te walki otrzymał krzyż *Virtuti Militari*, ale zapłacił kalectwem — był kulawy. W tej chwili Bielawski był bardzo osłabiony

przez bicie i głód. Fizycznie był wyczerpany, jednak był to człowiek utrzymujący swą godność. W stosunkach więziennych zachowywał wielką powściągliwość. Broń Boże niczego od nikogo nie oczekiwał, jeżeli przyjmował jakieś wsparcie, to z zachowaniem ceremoniału wzdrażania się, wymawiania, co w więzieniu nie zawsze jest taktyką najgorszą. Owszem tacy powściągliwi, tacy bardzo skrepowani są często przez to właśnie skwapliwiej obdarzani przez współwięźniów. Tak było z Bielawskim, budził instynkt opiekuńczy.

W gronie naszym był również młody Żyd — Abram Szabad, sympatyczny i ruchliwy. Sprawę miał niewyraźną, o to, że w łagrze niemieckim palił trupy w krematorium. Zniknął szybko z celi i więcej go nie spotkałem.

Litwini, których było kilku, byli osobistościami bezbarwnymi. Pamiętam Kibickasa, młodego chłopca spod Uciany. Znał on słabo język polski, ale modlił się po polsku.

Jeszcze jeden Polak był między nami, Czesław S. Był on wyraźnym szpiclem, i to na mnie nastawionym. Kiedy wychodził już z celi, zapewne na wolność lub na jakieś nowe zadanie, nie podszedł do mnie w obawie, że nie podam mu ręki. W tej fazie już było pewne, jakie miał zadanie w naszej celi.

Cela nasza znajdowała się dokładnie w tym miejscu, gdzie w swoim czasie stały szubienice Murawiewa. To od strony Ofiarnej. Z boku przy ulicy Jakuba Jasińskiego widać było trzypiętrową kamienicę, w której mieszkałem. To było przyjemne. Natomiast przykre było, że cela nasza okazała się bardzo akustyczna. Codziennie o godzinie 9-tej wieczorem musiał prze-maszerować jezdnią głośnym krokiem, z głośną rosyjską pieśnią, zawsze ten sam oddział wojskowy. Rytm tego marszu, takt tej pieśni wydawał się być wybijany potęgą arcypałki nad naszymi głowami (cela była poniżej poziomu ulicy). To maszerowali „alumni” tak zwanej *barbosu mokyła*, czyli szkoły barbosów, dozorców więziennych. Tak przynajmniej ją wtedy określano. Ten cowieczorny marsz nad naszymi głowami i śpiew denerwował mnie i przygnębiał.

W ciągu pierwszych dni pobytu w tej celi nastąpił psychiczny zwrot. Mój stan fizyczny poprawił się i nastąpiło odwrócenie. O ile przedtem byłem w nastroju samobójczym, to teraz zwróciłem się ku życiu. Życiem było przede wszystkim jedzenie. W ciągu minionych trzech tygodni właściwie nie jadłem nic. A więc jeść. Z dwóch przesyłek żywnościowych, które otrzymałem w celi szpitalnej, zjadłem tylko cukier. Resztę pochłoniął Chyliński. Teraz sprawa jedzenia wyszła na pierwszą linię frontu.

Odczuwałem niepowstrzymany głód. Pewną ulgę stanowiła zupa, gdyż *miedziestra* wystąpiła z nową interwencją i wyrobiła mi dwutygodniowy przydział podwójnej porcji zupy i jakichś pszen-nych sucharów. Warowałem koło tego skarbu jak brytan, stojąc u karmuszki ze słowami *mnie sup dwójnoy*. Skarb trafiał do mojej miski regularnie przez dwa tygodnie, które szybko minęły. *Sup* stanowił bardzo niewiele w zestawieniu z aspiracjami mego organizmu. Zbawieniem byłaby bogata posyłka z domu. W miarę jak dni mijały, stawało się jasne, że posyłki dla mnie nie będzie, jest zabroniona przez *sledowatiela*. Wydany zatem byłem na pastwę głodu, który był jednym ze środków łamania ludzi przy śledztwie. Żeromski w „Popiołach” mistrzowskim piórem opisał napady głodu potyfusowego. Mój głód nie miał nic wspólnego z tyfusem, ale był na pewno równie ostry i nieodparty. Nie będę sięgał do Hamsuna czy do Londona po jego zilustrowanie.

Badania swistunowskie, przeważnie nocne, trwały nieprzerwanie. Już samo *decorum* było uciążliwe: kajdanki, schody, talerz z czymś apetycznym stojący na widoku. Ogromnym moim atutem było to, że nie paliłem. Bose, opuchnięte nogi pakowałem w trzewiki, których nie mogłem zasznurować. Kiedy ku końcowi nocy wracałem do celi, kiedy u drzwi zdejmowano mi kajdanki i zrzucałem buty — odprężenie nerwowe przerzucało się w głód. Wtedy musiałem coś wziąć w usta, coś gryźć, ssać, coś przełknąć. Wpychałem się do czyjegós worka, najczęściej do worka Masiu-lisa i stamtąd w trybie rabunku, kradzieży czy pożyczki wycią-gałem kawał suchara, pakowałem go do ust i z tym sucharem zasypiałem.

Badania nocne powodowały, że do udręki głodu dołączyła się jeszcze przemożna chęć snu. Sen w celi w ciągu dnia był zabro-niony. Minęły słodkie czasy „szpitalika” z wylegiwaniem się w kojce. Tu trzeba było pilnować się i maskować. Bielawski, który również przechodził nocne badania, urządzał się w ten sposób, że chował się za któregoś z więźniów siedzących pod ścianą. Mnie było trudniej ukryć się. Znosiliśmy z Bielawskim wspólnie ten tandem plag więziennych, zaprzęzonych do maszyny śledczej: głód i zakaz snu.

Swistun był sędzią śledczym bezwzględny, ale inteligentniej-szym od innych. Był to kapitan, miał pewne wykształcenie, miał też poczucie humoru. O ileż łatwiej było mieć z nim do czynie-nia, niż z osobnikiem typu Diewiatucha, który był znieprawdzonego przeze mnie i taki zapewne pozostanie do końca moich dni.

Swistun nadłamał mi żebro, ale zrobił to z pewną samoironią, demonstrując swój *sledowatielski* kunszt kopania. Występowały jeszcze inne odcienie humoru: Swistun jako aniołek, Swistun

jako gołąbek pocztowy, przynoszący mi w dzióbku *billets doux* od Komarowej.

Oboje z Komarową trafiliśmy do grupy obejmującej polską wywiadowczą organizację o nazwie Auszra, zresztą grupy prowokacyjnej. Komarowa rzeczywiście miała z tą grupą do czynienia, otrzymując za jej pośrednictwem lewe karty ewakuacyjne, tak bardzo potrzebne w Wilnie dla ludzi spalonych. Miałem o tym niejasne pojęcie. Z Komarową łączyły mnie sprawy Bazy, jeśli nie liczyć czysto osobistych kontaktów. Sprawy Bazy były w owym czasie ograniczone prawie wyłącznie do broni, tej broni, której ceną była mogiła Fregaty. Stanowiliśmy we dwoje twardą i trudną do rozłupania jednostkę, nad którą biedziło się śledztwo, doszukując się jakichś niezgodności w naszych zeznaniach. W ten tylko sposób można było zeznania te rozsadzić. Wierzyłem, że niezgodności tej nie będzie, nasza pozycja wyjściowa była utwierdzona mocno. Komarowa była zbyt inteligentna, zbyt twarda, by ustaloną pozycję osłabić bez jakichś przyczyn kardynalnych. Ta kardynalna przyczyna w postaci arcypałki jak dotąd nie okazała się skuteczna. Gdyby jednak coś miało trzasnąć czy ustąpić u Komarowej, to pierwszą o tym wiadomość przyniosłby mi właśnie Swistun. Wyobrażałem sobie jego filuterny głosik, odczytujący mi z nowego protokołu badania odpowiedni ustęp. Brak tego rodzaju protokołu to był właśnie ten swistunowski *billet doux* doręczany mi niezmiennie w gabinecie na górze. Zawierał treść krótką, że wszystko jest w porządku.

Niezależnie od tego, a może właśnie dzięki temu, następowało moje zdrowienie. Gorączka ustąpiła, opuchnięcie nóg stopniowo opadło, stopy jakoś się kształtowały. Gdyby nie głód, szalony głód, niepowstrzymany głód, reszta byłaby do wytrzymania.

Swistun trzymał swój poprzedni fason. W gabinecie zastałem go za biurkiem, zatopionego w gazecie. Dalej demonstrował brak pośpiechu. W istocie daleko mu było do tego braku: śledztwo spieszyło się, miało swoje terminy, jak zwykle „na wczoraj”.

I tak czas płynął aż do chwili, gdy wezwano mnie na badanie, ale kajdanków nie założono. Zdziwione ręce zaznały komfortu trzymania się poręczy przy wchodzeniu na schody. W gabinecie za biurkiem miejsce Swistuna zajął inny oficer, który również czytał gazetę, obyczajem zapewne wszystkich *śledowatieli* sowieckich. Był to, jak się okazało, kapitan Szczurow.

Szczurow, jak sądziłem, został skierowany na miejsce Swistu-
na dlatego, że śledztwo weszło już w fazę zelzoną. Można było odciążyć ostrego, wymagającego *śledowatiela* przez innego, który

miał ostre zadania na innych odcinkach, a tu zajmował pozycję wypoczynkową.

Szczurow wykazywał tendencję zajmowania wobec mnie pozycji humanitarnej. W wielkich śledztwach sowieckich często występuje specjalny gatunek *sledowatiela* humanitarnego, który osiąga nieraz więcej efektów niż renomowani kaci. Ten sam *sledowatiel* odgrywa różne role. Zapewne Szczurow w innych śledztwach, w stosunku do innych ludzi był równie okrutny jak Diewiatuch i przebiegły jak Swistun. U mnie był na odpoczynku. Stopniowo doszliśmy do pewnego porozumienia i spokojnie mówiliśmy ze sobą. Doszło nawet do tego, że wchodząc do gabinetu wypuszczałem słowo *zdrawstwujcie*, które poprzednio nie pojawiało się w moich ustach. Mówiłem z nim nawet o jego miejscu rodzinnym, którym była Ałma-Ata w Kazachstanie. Wspominał nawet kazachstańskie jabłka. Był to człowiek niewielkiego wykształcenia, nie miał sprytu ani inteligencji Swistuna. W mojej pamięci został jako *sledowatiel* humanitarny, co bynajmniej nie zachodziło w pamięci innych więźniów, wobec których występował jako bestia. Musiał nią być — inaczej nie byłby *sledowatiel*em.

Każdy seans nocny kończył się tym, że dawano mi do podpisania świstek urzędowy, na którym była podana godzina zakończenia seansu danej nocy.

W więzieniu sowieckim istniał niewątpliwie system tortur. Nie wszystko jednak w nim było jednolite. Mnie traktowano jako egzemplarz pokazowy. Przesuwano mnie z celi do celi, pokazywano różnym więźniom, co miało mi wskazać, że bicie i tortury są sprawą zwykłą, która może każdego oczekiwać. Niezupełnie tak było. Nie wszyscy byli torturowani. Jednakże nastrój strachu był tworzony.

Z jednej strony była to rzecz akcentowana, zaś z drugiej ukrywana. Rewizje, które przebiegały periodycznie w naszych celach, przede wszystkim zabierały i paliły w piecu na korytarzu moją pokrwawioną i pokrytą ropą bieliznę. Odbite paznokcie, w miarę schodzenia, były skrzętnie niszczone. Wydawano mi czystą i w dobrym stanie bieliznę, która jednak zawierała wszy. Przeszły one przez katusze prania i piekło obróbki cieplnej, skryte w zakątkach szwów. Mimo że były to istoty podobnie jak ja uciśnione — niszczyłem je bezwzględnie, nie zważając na żadne analogie.

Ale z drugiej strony innych więźniów z mojej celi pytano na górze podczas badań:

— Ty Krzyżanowskiego żopu widał?

— Da, widał.

— *Nu i szto, czioraj?*

— *Da, czioraj.*

— *Tvoja takaja-że budiet.*

Czy nie była to reklama swego rodzaju specjalności? Również trzymanie więźniów, zwłaszcza kobiet, w pomieszczeniach przylegających do pokojów tortur dla wysłuchania „koncertów”, szerzyło przekonanie o ogólnym ich stosowaniu. Spotykani przeze mnie w celach niektórzy więźniowie bywali ofiarami wielkich brutalności. Jednakże zdarzali się chwalący się mękami, których wcale nie przeszli, albo znacznie zwiększali ich rozmiary. Tak właśnie przedstawiała się sprawa z Chylińskim. Manifestował on swoje pobicie w sposób nie bardzo prawdopodobny, skarżył się na bóle ucha, wynikające z tego pobicia. Bicie po głowie nie wchodziło, o ile orientuję się, w zakres tortur. Opowiadania o wymyślnych przyrządach i systemach torturowania sowieckiego nie budziły mej wiary. W każdym razie tego rodzaju tortur nie znałem.

Pobyt mój w tej celi trwał długo, ciągnął się blisko półtora miesiąca. Wśród różnych dyskusji, pogadanek, wykładów, ku końcowi mojego tam pobytu wygłosiłem dwa odczyty: jeden na temat walk morskich na południu Pacyfiku i Atlantyku między siłami angielskimi i niemieckimi na początku pierwszej wojny światowej, zakończonych zniszczeniem koło Wysp Falklandzkich niemieckiej eskadry admirała hr. von Spee w grudniu 1914 roku. Znałem ten temat z pamiętników Churchilla. Drugi odczyt — to były dzieje zamachu na cara Aleksandra II w roku 1881, co znałem z lektury dzieła „Od białego caratu do czerwonego” Kucharzewskiego, które czytałem dość szczegółowo. W czasie tych odczytów najmniejsze brzęknięcie na korytarzu bidonu, w którym jechała zupa południowa, niweczyło zupełnie uwagę moich słuchaczy. Jak tylko z daleka brzęknęła zapowiedź obiadu, to już nikt nie rozumiał nic z przebiegu bitwy falklandzkiej ani z zamachu na rosyjskiego cara.

Był między nami prelegent, który bardziej od innych przykuwał uwagę słuchaczy. To był Edwin Bielawski. Jego oracje (rzeczywiście był bardzo wymowny) dotyczyły po prostu przepisów różnych potraw, przedstawianych obszerniej i ozdobniej, niż to robi książka kucharska. Prelegent przeszedł samego siebie w poemacie o kołdunach, w którym łączył znajomość rzeczy z po-
lotem. Pozostał na długo w pamięci słuchaczy, którzy doznawali od niego podniesienia na duchu.

Tak nam czas płynął, dochodziło już do połowy września. Upały letnie ustąpiły, w celi było więcej powietrza. Pewnego

przedpołudnia u drzwi zabrzmiały słowa *sobirajsia z wieszczami* i znalazłem się w innej celi, pożegnawszy moich towarzyszy. W tej nowej celi wychodzącej na ulicę Mickiewicza zastałem młodego Masiulisa, syna pułkownika, którego dopiero pożegnałem. Byłem kordialnie przyjęty, przyniosłem wiadomość o ojcu. W celi tej mniej było więźniów, co rokowało lepsze powietrze, zwłaszcza że w drzwiach była szczelina, przez którą cela była dodatkowo wentylowana. Jedynym Polakiem w celi był Józef Staszałek, wychudzony brunet z silnymi brwiami, z twarzą zagadkową, wpadającą w oko. Jako Polak cieszył mnie w celi. Zadziwiająca była jego znajomość łaciny, zbyt dokładna jak na sekretarza adwokackiego, który to fach sobie przypisywał. Wyszło potem na jaw, że jest to były alumn seminarium duchownego. Był bardzo wygłodzony, nie miał żadnych widoków na posyłkę, bo w Wilnie był samotny. W ogóle cela nasza była zamorzona. Ja, który miałem wciąż szczególne potrzeby żywnościowe, który wlokłem za sobą ciągle koronę moich poprzednich niedojadów, w celi tej rzeczywiście bardzo cierpiałem, szczególnie, że przebiegały wówczas ostre badania nocne, męczące i dotkliwe.

Później znalazłem się w jeszcze innej celi — zawierała ona przeważnie Litwinów, wśród których był ksiądz Kaszczukas. Jedyny w tym gronie Polak, przyjął mnie kwaśno. Okazało się, że dotychczas siedział on wyłącznie między Litwinami, pojawienie się nowego Polaka i to Polaka z materacem, bardzo deprymowało go. Był to Stanisław Jaroszewicz, z fachu, zdaje się, oficer ułański, co znajdowało potwierdzenie w jego kawaleryjskiej fantazji. Był oskarżony o Auszrę, czyli o wywiad. Nie bardzo wiedziałem, co o tym sądzić. Był bardzo wymowny. Miał świetny dar recytatorski. To co mówił lub deklamował miało nieraz posmak sceny. Był utalentowany pod tym względem, ale z drugiej strony zdawał się blagierski, nieco teatralny, a nawet może komediancki. Wszystko to nadawało mu pewną barwność, tak że interesował mnie ten jedyny w celi mój kompatriota. Jaroszewicz był skłonny do fantazjowania w kwestii swych przeżyć i tortur. W zestawieniu ze mną, który miałem bardziej oczywiste ślady tych tortur na skórze, czuł się jak gdyby upośledzony. Głód oczywiście nie ustawał. Jaroszewicz dostawał jakieś bardzo nędzne posyłki, którymi nie był skłonny dzielić się z towarzyszami. Po tej celi zachowuję pamięć jednego wielkiego głodu.

Wkrótce wraz z Jaroszewiczem i nowoprzybyłym do nas Polakiem z Kowna, Jerzym Borysewiczem, trafiliśmy jeszcze do innej celi u zbiegu ulic Mickiewicza i 3-go Maja. (W gabinecie nad tą celą odbierałem mój chrzest bojowy zaraz po aresztowaniu). Kiedy tam weszliśmy — Jaroszewicz jako przywódca, a

my dwaj jako asystenci — ustawiła się przed nami także trójka mężczyzn. Byli to Litwini. Przywódcą był Statys Grodeckas, inteligent kowieński, pozostali dwaj podrzędniejsi, ale również dość wykształceni. Ponieważ nie było na czym usiąść poza podłogą, przystąpiliśmy na stojąco do dłuższego dyskursu politycznego na tematy polsko-litewskie, przy czym Grodeckas okazał się rozmówcą ze skłonnością do perorowania. Jaroszewiczowi też nie brakowało swady. Dyskusja była tym bardziej gorliwa ze strony litewskiej, że byli oni suto zaopatrzeni w posyłki, a myśmy byli wygłodzeni, tak że w dyskusji politycznej byliśmy gotowi do ustępstw — wiadomo, że argumentacja człowieka o grubym worku sucharów, w więzieniu, zawsze ma przewagę nad argumentacją głodomora.

Nastąpiła wkrótce ostra scysja między Jaroszewiczem a Borysewiczem, który zarzucał Jaroszewiczowi, że zbyt czarno i zbyt dramatycznie maluje obrazy bicia, którego sam zapewne nie przechodził, albo przechodził w małym stopniu, że w ten sposób działa na korzyść śledztwa, bo potwierdza to, co śledztwo chce w więzieniu zademonstrować. Ostro sformułowane zarzuty doprowadziły do kłótni zajadłej, choć krótkiej.

W następnej jeszcze celi, w której przebyłem prawie cały listopad, nasza polska trójka (Borysewicz, Jaroszewicz i ja) zetknęła się z ilościową przewagą litewską. Pamiętam z nich Algisa Bilinisa (z zawodu nauczyciela) a przede wszystkim Zigmasa Małunawiciusa, którego uważam za najbardziej może inteligentnego Litwina, jakiego spotkałem w więzieniu. To nic, że wykształcenie miał z pewnością bardzo liche. Ten duży, silny chłop miał specjalność więzienną bardziej jeszcze atrakcyjną niż zawód znachora albo nawet wróżbity — był interpretatorem posyłek. Z zawartości rozpakowanej posyłki, z zespołu produktów, ze znaków, plam, kresek, zamazań, zygzaków, przybrudzeń na opakowaniu, ze sznurków, węzłów — Małunawicius odczytywał stan rodziny, która posyłkę fundowała, odczytywał z uwagą, spostrzegawczością i intuicją, której tylko w więzieniu można oczekiwać w takim wyostrzeniu. Dopatrywał się chorób czy nawet pogrzebów. Posyłka stawała się listem. Nie można tego nazwać inaczej niż inteligencją wrodzoną, niezależną od jego skromnego wykształcenia. Z zawodu mienił się być gajowym, i to spod Jewja, blisko Ponaryszek, po drugiej stronie przedwojennej granicy polsko-litewskiej. Jednak Małunawicius nie wyglądał na mego autentycznego krajana — nie znał polskiego. W Jewju mówi się lepiej po polsku niż po litewsku. Musiał pochodzić z głębi Litwy. Pewnego ranka Małunawicius wrócił do celi z badań w stanie gruntownego spękania (skopania) żeber. Kurowaliśmy go przy

pomocy ręczników zszytych za końce (igły drewniane, wyrobione z zapalek miały chód w więzieniu), którymi owijaliśmy go mocno, tak żeby ruchy klatki piersiowej możliwie ograniczyć. Twardy chłop litewski musiał być trudny do rozgryzienia podczas badań. Nie tracił ducha, a kiedy Jaroszewicz, w sposób nietaktowny, wypytywał go o sprawę, nie miał żadnej ochoty dzielić się tym i ostro uchylał jego indagacje. Wspomniał tylko mimochodem, że zarzucają mu w śledztwie, że jest *bataliono vadas*, to znaczy dowódca batalionu. To przyłgnęło do niego jako przezwisko.

Głód w tej celi był nieco bardziej umiarkowany. Moje zapotrzebowanie głodowe było wciąż daleko większe niż u innych, dlatego że wlokłem za sobą moje niedojady lipcowe i sierpniowe — wciąż niezaspokojone. Dobre posyłki Borysewicz miał i dla mnie wagę.

W moim śledztwie, jak gdyby uspokojonym, nastąpił gwałtowny obrót, kiedy zostałem wezwany przez Swistuna i Danilcewa do złożenia zeznań w kwestii śmierci Fregaty. To był właśnie słaby punkt, tu właśnie skrzyłem się jak przydeptany. Rzecz była przewidziana i omówiona zawczasu z Komarową, ale teraz, kiedy trzeba było ją wziąć na warsztat — wydawała się groźna. Oczywiście pozycję moją trzymałem i utrzymałem — w dalszym ciągu byłem oficjalnie zdania, że Fregata wyjechała do Polski.

Ale ten seans z dwoma *śledowatielami* to nie był koniec. W parę dni potem znów poszedłem na górę, okazało się, że chce mnie widzieć jakiś prokurator, nieduży, łysy podpułkownik. Również był zdania, że Fregata nie żyje. Na moje zaprzeczenie odpowiedział: *Ty wied' jejo choronił* (Ty przecież ją grzebałeś). Choć taka znajomość faktów zdeprymowała mnie nieco, odpowiedziałem spokojnie, że żywych się nie grzebie. Groził biciem.

W dzień czy dwa potem nastąpiła *ocznaja stawka*, tj. konfrontacja z kobietą o nazwisku Skalska. Nie znałem jej, ale słyszałem o niej. Była bardzo wynędzniała, bardzo wygłodniała. Trzymała się spokojnie. Przedstawiliśmy każdy swoją wersję, przy czym moja miała tę przewagę, że przecież inna osoba posługując się dokumentami nieżyjącej Fregaty, rzeczywiście do Polski wyjechała i to można było sprawdzić u władz ewakuacyjnych, podać pociąg, datę. Skalska nie podawała żadnych innych szczegółów, zeznała tylko, że słyszała o śmierci Fregaty. Jedna rzecz była bardzo groźna. Utrzymanie naszej (z Komarową) wersji było konieczne — to był sam rdzeń. Jeżeli przyznamy się do śmierci Zosi, to wynika z tego, że posiadamy broń, czyli potwierdzimy główną tezę oskarżenia. Jeżeli potrafimy odeprzeć ten zarzut, to jesteśmy górą. Dotychczas oskarżenie nie zdołało nam

nic wykazać, broni u nas nie znaleziono i w żaden sposób nie podważono naszego twierdzenia, że broni tej nie mamy. Przyznanie, że Fregata zginęła wykazałoby, że broń była. W takim razie trzeba by było powiedzieć, gdzie ta broń jest obecnie, ujawnić gdzie jest grób Zosi. To wszystko oznaczałoby naszą klęskę, toteż dla mnie była to niesłychanej wagi sprawa i niesłychanej wagi walka. Nie tyle chodziło mi o to, że przyznanie się do śmierci Fregaty łamie nasz główny szaniec, ale przede wszystkim o to, że ponieśliśmy klęskę na szerszym jeszcze froncie: ta broń miałaby być wydobyta niejako z grobu Fregaty, która dała za nią życie. Biłoby w oczy, jak bardzo za darmo to życie było oddane.

To wszystko byłoby niewspółmiernie boleśniesz niż policzek, który otrzymałem na początku śledztwa.

Zupełnie epizodycznie, bez związku z narastającą właśnie sprawą główną, w celi wynikła scysja między Jaroszewiczem a mną. Chodziło o drobnostkę: obaj w drugiej połowie okupacji niemieckiej ocieraliśmy się o Jaszuny, w których Jaroszewicz rezydował w siatce terenowej, a nasz Frycz rozkręcił daleko posunięte akcje zdobywania broni z istniejących na miejscu magazynów niemieckich. To wywoływało lekką moją ironię, wyrażoną w pytaniu „co właściwie robił pan w Jaszunach?”. Jaroszewicz reagował ostro, tym ostrzej, że byliśmy obaj wygłodzeni.

W każdym razie mówiąc o Jaroszewiczu, wytykając mu pewną powierzchowność, a może nawet błagę, trzeba podkreślić, że był to człowiek pełen fantazji i miał pewne ułańskie cechy. Wyrażało się to w udanym żarcie. Kiedy ciężko zбитy Małunawicius gotował się do następnej przeprawy na górę jako domniemany *bataliono vadas* — Jaroszewicz upilnowawszy moment, kiedy *vadas* zasnął, porwał jego wysokie buty na grubych drewnianych podeszwach i do obcasów przymocował ostrogi wyrobione z jakiejś tektury. *Vadas* nic nie zauważył, wdział buty i został zabrany w nich na badanie na górę. Nie umiem odmówić temu ułańskiemu żartowi pewnego wdzięku.

Szła głęboka jesień i zaciskała poczucie beznadziejności. W celi wyzutej z pożywienia i z mebli krzewiło się dalej życie przypodłogowe, między stołem a paraszą. Siedząc czy leżąc na podłodze, jadło się, szyło (drewnianymi igłami) „ganiało kota” dla doprowadzenia do tlenia zwitka wełny podsypywanego popiołem tytoniowym (co stanowiło swojego rodzaju krzesanie ognia), wyciągało nitki z płóciennych szmatek i splatało z nich sznurki, tak potrzebne w więzieniu. Dwie narodowości, Polacy i Litwini, ścierały się ze sobą w złagodzonej formie.

4 To wszystko jednak nie posuwało sprawy Fregaty, która wplątana w zakamarki śledztwa, nie mogła ani umrzeć, ani nie umrzeć. Pewien ratunek można było jeszcze widzieć w odwróceniu sytuacji śledczej, która tu zachodziła. *Sledowatiel* przyjmuje z największą rezerwą wiadomość, że ktoś związany z prowadzoną przez niego sprawą nie żyje. Jeśli ktoś taki akurat pozbył się kłopotliwego życia, to przypadek ten powinien być skrupulatnie sprawdzony... Tu jednak (patrząc okiem *sledowatiela*) sytuacja jest odwrotna: obrona wykazuje — i to wykazuje z pewną skrupulatnością — że osoba związana ze sprawą, a uśmiercona przez urzędowy punkt widzenia — żyje. Ale czy można w odwróconej sytuacji dawać temu wiarę? Czy nie należy dotrzeć do jądra sprawy, by *razobrat' dieło po kostoczkam?* Jest to może kłopotliwe, ale możliwe.

Czy na podłodze celi, między stołem a paraszą, wytrzymamy ten oczekujący nas długotrwały napór, uczepleni z Komarową na tym cyplu śledztwa, uczepleni razem, a jednak tak bardzo oddzieleni. Cofać się już nie mamy dokąd. Jeżeli nawet unikniemy bicia, to rozłożą nas przyszłe konfrontacje z osobami, które znają prawdę, a przecież takie są w Wilnie. Nie darmo trzeba im było prośbą i groźbą przycinać języki. Jest w Wilnie prawdopodobnie ojciec Fregaty.

Rankiem 28 listopada zostaliśmy my dwaj — Jaroszewicz i ja — wywołani na korytarz. Coś mi się tu nie podobało. Cóż to za parę mamy tworzyć w więzieniu? Przebyliśmy długi czas we wspólnej celi, bez śladu jakiegoś związku między nami. On oskarżony o Auszurę, ja o Bazę. W jaki sposób mamy teraz być powiązani?

Na górze wprowadzono nas do dużego pokoju, raczej sali z ustawionymi ławkami, co dawało charakter jakby odczytowy. W ławce siedział tylko jeden, mocno pochylony mężczyzna. Parę słów zamienionych z nim wskazało na polską narodowość, ale nie objaśniało charakteru szykującego się zebrania. Zasługiwało na uwagę, że nowy nasz towarzysz palił dobry tytoń, którego miał pod dostatkiem. Nazwisko Ambroszkiewicz nic mi nie mówiło. Drzwi otworzyły się i wszedł ksiądz — szczupły, błydy ksiądz w wyszarzałej sutannie. Za nim stapał — nareszcie ktoś znany — Edwin Bielawski z mojej pierwszej celi po „szpitaliku”, wyniszczony przez głodowanie, bicie i bezsenność. Ci dwaj, przy swojej drobnej budowie ciała i przy podobieństwie rodzinnym, dawali się określić jako bracia. Za nimi sunął Józef Staszałek, znany głodomór, z czaszką kościotrupa nałożoną na normalną ludzką szyję.

Co to wszystko znaczy? Co ja tu robię? Trafiłem do jakiejś

polskiej grupy pachnącej Auszrą, z którą nie mam przecież nic wspólnego. Czyżby przewidziano przerwę w kipiącym śledztwie dla wygłoszenia odczytu o marksizmie-leninizmie? Nie można przecież brać na serio szeptów dookoła, że może to być *dwieście szestaja* — artykuł 206 kodeksu karnego, mówiący o zakończeniu śledztwa i odczytaniu aktu — to jeszcze nie dla nas. Ten docelowy port osiągniemy po wielu jeszcze sztormach na pełnym morzu, które nami oto miota. Na teraz zadowolimy się widokiem Edwina Bielawskiego, który uprzejmie zaproszony przez Ambroszkiewicza, chciwie pali jego dobry tytoń z pełnego kapszuka.

Drzwi otworzyły się i stanęła w nich Komarowa. Więc i ona tutaj? Na pierwszy rzut oka wyglądała normalnie, błada i wychudzona, jednak nie było widać na niej śladów obróbki równoległej do mojej. Okazało się, że w ogóle nie była bita. Za nią szła poznana przeze mnie niedawno na *ocznej stawce* Barbara Skalska, wynędzniała i zmaltretowana. Dalej nieznana mi dotąd Zuzanna Kozodój i Zofia Rymkiewicz.

Odlóżmy na bok osobiste wzruszenia wywołane widokiem Komarowej, wywołane materializacją Komarowej w murach więzienia, gdzie przez szereg miesięcy była wysublimowaną wizją, Orszulą Jana z Czarnolasu, do której ten wołał:

*Pociesz mnie jako możesz a staw się przede mną,
Lubo snem, lubo cieniem lub marą nikczemną.*

Drzwi otworzyły się po raz ostatni. Stanęli w nich notable śledztwa: kpt. Czerwiakow, st. lejtnant Danilcew, st. lejtnant Tumancew, kpt. Borowikow, gdzieś dalej kpt. Swistun i kpt. Szczurow. Z ich autorytatywnych ust padły słowa *dwieście szestaja*, słowa tak magiczne i irrealnie osadzone w dotychczasowym kontekście, że nie zdołały one przebić się przez jakieś nasze psychiczne nawarstwienia mózgowe, ustawione na sztywno. Cały pierwszy dzień odczytywania aktów przesiedzieliśmy na ławie, przedzieleni Jaroszewiczem, którego tam usadzono jako wkładkę izolacyjną między nami, słuchając jednym uchem odczytywanych tekstów, ale głównie doszukując się, wychwytyjąc, przewidując jakieś nowe manewry śledztwa. No i doczekaliśmy się groźnej zapowiedzi lejtn. Danilcewa, twierdzącego, że pomimo zakończenia śledztwa „arsenały” nasze zostaną odnalezione. Mimo groźnego tonu tego oświadczenia, mimo rozdęcia naszych beczek i skrzyń do roli arsenałów, widoczna była słabość tej tuby urzędowej, mającej pokryć urwanie śledztwa w „kipiącym” jego punkcie. Ja też tę scenę rozegrałem słabo, nie było z mojej strony gruntownego, energicznego odparcia inwektywy. Moje zachowanie wskazywało,

że Danilcew być może ma rację. Mimo to nie można było negocjować, że *dwieście szóstaja* jest realnością. Grób Fregaty — naszej Zosi — nie miał być zhańbiony. Można było zachłysnąć się świadomością, że nastąpił oto najbardziej jaskrawy w moim dotychczasowym życiu akt radosnej niespodzianki. Używam określeń superlatywnych, ale z pewnością mają one pokrycie.

Ale czy rzeczywiście taki obrót sprawy stanowi tej miary olśniewającą nadzwyczajność? Czy rzeczywiście stanowi on „zjawisko nadprzyrodzone”? Czy nie można tego ująć prościej? Trafiłem do polskiej grupy, mechanicznie do niej włączony, wobec moich osobistych powiązań z Komarową. Z Komarową, a nie z Auszrą, z którą (w przeciwieństwie do Komarowej) nie miałem nic wspólnego. Teraz, po kilku miesiącach śledztwa, sprawa polskiej grupy wywiadu była na ukończeniu. Sprawa nie była trudna jako prowokacyjna — można było mieć ją już z głowy. Opory nastąpiły jedynie na tym cyplu, który odnosił się do broni Bazy. Śledztwo nie miało czasu na drobiazgi, którymi w istocie były te „arsenały”. Z natury rzeczy zawierały one uzbrojenie na pewno nie dla dywizji, a raczej dla plutonu, może nieco więcej. Zbliżał się koniec roku kalendarzowego — jak zwykle gilotyna na wszelkie terminy. Trzeba było wykonywać plan. W tych warunkach zdecydowano się na wyjście ulgowe i utopiono w szklance wody niewczesnie rozpętaną drobną sprawę.

Ale dla mnie w owej chwili było to „zjawisko nadprzyrodzone”.

W końcu trzeba było porzucić emocje, a wziąć się do słuchania. Było czego słuchać. Same tylko protokoły długomiesięcznych, długonocnych badań naszej ścisłej dziesiątki — to był trzon. Tu pod gładkimi zdaniami i eufemistycznymi ujęciami odczuwało się, jak przebiegała „argumentacja”. Moje protokoły wypadły twardo — nie tylko dla ich treści, ale i z przyczyn lektora, którym był nieznany mi z nazwiska starszy lejtnant o dobrej rosyjskiej dykcji i pewnym oratorskim zacięciu.

A inne materiały: tasiemcowe, natarczywe zbiory donosów głównego prowokatora, Tadeusza Sikory, sprawiały, że przerzucaliśmy się zdumionym wzrokiem. To nie były poszczególne wiadomości wyargumentowane (wypałowane) od udręczonych ludzi (jak np. wiadomości Chylińskiego podane o mnie), to była płynąca swobodnie rzeka donosu, wzdęta od treści, piętrząca się gotowością.

Wieczorem, kiedy wróciliśmy do cel, napłynęła na mnie ponownie fala wzruszenia. Ukłękliśmy do wieczornej modlitwy, przy której miałem twarz zasłoniętą dłońmi, a przez moje palce przeciekały łzy, obfite łzy, którymi płynęła moja modlitwa dzięki-

czynna. Modlitwa dziękczynna ma tę przewagę nad błagalną, że nie stawia Opatrzności w kłopotliwe położenie, gdy dwie strony wnoszą jednocześnie błagania w dwóch przeciwnie skierowanych sprawach, np. o zwycięstwo w prowadzonej ze sobą wojnie.

I tak od końca listopada do celi naszej spłynął błogostan. Przede wszystkim otrzymałem obfitą posyłkę z domu — po ukończeniu śledztwa cofnięto zakaz przesyłek. Głodzenie, brak snu uważano za stymulatory śledztwa. Rysowały się nowe przesyłki. Teraz przyszła pora wyrównania zaległości powstałych podczas długiej choroby, nazwanej przeze mnie „wielka ropa”. Byłem nie tylko syty ale i zdrow — co w więzieniu często stanowi jedno. Siostra zapomniała o moich nowych zabliznieniach. Z lipcowych objawów pozostała mi tylko nadzwyczajna kruchość paznokci — skoro tylko uniosły się chociaż milimetr poza opuszki palców, już się kruszyły.

Trudno przedstawić sobie odwrócenie bardziej korzystne, przemieniające tę samą celę więzienną w siedlisko szczęścia materialnego i duchowego. Zosia jak gdyby przebudziła się bezpieczna w swoim grobie pod Jaszunami.

Zacząłem gwałtownie przybierać na wadze. Ludzie dostrzegali na mojej twarzy z dnia na dzień ślady polepszenia. Czy w tym błogostanie było miejsce na drobne spory? Na widok moich zasobów zaopatrzeniowych Jaroszewicz był bardziej skłonny do zgody i nastały stosunki przyjazne. Naturalnie zaprosiłem go do korzystania z mojego zaplecza bez ograniczeń.

W ten sposób posuwał się grudeń, zbliżały się święta, i to święta sute, w przestrzennej celi, bo wkrótce zabrano Jaroszewicza i Borysewicza. Na kilka dni przed wigilią, pewnego popołudnia klucz zazgrzytał we drzwiach. O tej porze doby mógł to być tylko ktoś nowy. Podnieśliśmy się z miejsc. Osobistość, która ukazała się, był to duchowny, wysoki, szczupły, siwy duchowny. Okazało się po chwili, że był wysoki nie tylko wzrostem, ale i godnością — biskup. Biskup koszedarski Teofil Matulonis.

Od tej chwili cela zabłysła. Cela stanęła na usługi biskupa. Ja oddałem mój słynny materac, robiący furorę w mojej wędrówce po celach „podwału” pod sądem, jedyny materac, z którym tam się zetknąłem. Miałem już własne boki ładnie zaokrąglone. Cela zrywała się w alarmie, kiedy od karmuszki zagrzmiał głos *na bukwu me*, wzywający biskupa na badanie — trzeba go było wtedy ze stanu negliżowego (pierwszy raz w życiu widziałem biskupa w kalesonach) przestawić w stan wyjściowy. Każdy podawał mu w kolejności określoną część jego stroju. Do mnie należała koloratka, mająca się znaleźć szybko na jego szyi. O szczegółach swojej sprawy biskup nie mówi; zapewne nie był

bity. W obcowaniu biskup okazał się interesujący. Chociaż rdzenny Litwin, był pasterzem raczej Polaków niż Litwinów. Życie spędził w Rosji, przeważnie w sowieckich więzieniach, gdzie z natury rzeczy Polaków było więcej niż Litwinów, znał więc polski język i polską psychikę. Był znawcą sowieckiego życia więziennego. Podczas przygotowań wigilijnych powiedział nam, że będzie to jego ósma wigilia w sowieckim więzieniu. Z Rosji do Litwy trafił w drodze wymiany więźniów.

Nie był to człowiek wielkich aspiracji ani nadmiernych ambicji. Z Litwy został wezwany czy zaproszony do Rzymu. W Watykanie traktowano go z szacunkiem należnym jego martyrologii. Mówił mi z uczuciem głębokiej satysfakcji, że jego długoletnie upokorzenia więzienne w Rosji zostały wyrównane z nadmiarem przez szczególnie zaszczyt, którego doznał w Watykanie: podczas pewnej uroczystości był jednym z biskupów niosących baldachim nad papieżem. Czy to było wyrównanie adekwatne?

Do wigilii zasiedliśmy w pięciu: poza biskupem i mną byli policjant Lunis Mesauskas i ulubiony przeze mnie Małunawicius. Nie zasiedliśmy, ale raczej przycupnęliśmy koło stołu z braku miejsc siedzących. Nastrój był podniosły. Jedyną gafą było położenie przeze mnie na stole wigilijnym kawałka masła z mego worka, który to tłuszcz nie jest dostatecznie postny na taką okazję. Biskup nie potrzebował interweniować, bo baczny policjant Lunis w lot naprostował gafę.

Mile rozpoczęty rok 1947 skrzywił się w grymasie — trafiłem do karceru. Chodziło o drobnostkę. Chodziło o to, że na cegle wystającej spod tynku ostrzyłem na płask trzonek mojej drewnianej łyżki, by otrzymać z niej łopatkę do smarowania masła. Dostałem za to 5 dni karceru, które okazały się dużo gorsze niż karcer lipcowy, który przeszedłem na początku. Karcer zimowy, który trzeba było odbywać w białiznie, bez ubrania wierzchniego, był pod każdym względem cięższy — te pięć dni stanowiło silną porcję głodu i chłodu. Ostatecznie wypracowałem sobie pozycję ciała dającą najmniejsze straty ciepła. Trwałem długie godziny w pozycji kucznej, obejmując ramionami kolana, przyciśnięty pierś i brzuchem do ud. Potem znów szukałem rozgrzewki w chodzeniu, co stanowiło inną trudność. Ta bardzo męcząca pięciodniówka była jednak do wytrzymania bez rozpacy, skoro wiedziało się, że gdzieś niedaleko znajduje się moja „rodzinna cela” a w niej mój worek, będący *nota bene* pod okiem biskupa.

Oczekujący nas sąd oczywiście budził pewne niepokoje, jednak do tego sądu ja osobiście mogłem iść w lepszej pozycji niż poprzednio przypuszczałem. To samo odnosiło się do Komarowej.

Rozdział IV

S A D

Na sąd wezwano nas 4 stycznia 1947 roku. W identycznym jak na „206” składzie zostaliśmy przewiezieni hermetycznie uszczelnionym samochodem, tzw. *czarnym woronem*, na ul. Arse-
nalską. Tu w kamienicy mieszkalnej, na najwyższym piętrze, mieścił się „Trybunał Wojenny”. Na schodach oczekiwało nas kilka osób. Była moja matka i ciotka Eufemia, była pani Wę-
ławowiczowa — opiekunka Komarowej. Zamieniłem z nimi kilka zdań.

Wprowadzono nas do małego pokoju, którego okna wycho-
dziły na podwórze. Ściany pokryte były informacjami przez tych, którzy byli tu przed nami. Nareszcie można było pomówić. Komarowa bita nie była, lecz śledztwo, również prowadzone przez Swistuna i Szczurowa, miała ciężkie. Tak jak i ja przed samym zakończeniem śledztwa, tuż przed „206”, z układu pytań Szczurowa uważała, że wszystko stracone. Zestawienie pytań o p. Węławowiczową i Fregatę wydawało się nieprzypadkowe. Mogliśmy oboje być zadowoleni. Nie wyszło od nas nic poza tym, co powiedział Szkolnik, a ten znał sprawy z czasów niemieckich. Jedyną pewną informacją, jakiej mógł dostarczyć, było moje nazwisko, pseudonim i adres. Do zasypania Komarowej nie przyznał się. Dla niej dość było Auszry. Ogólniki Sikory nie miały znaczenia. Nie zasypaliśmy nic i nikogo. Niezwykle zgnę-
biony był Ambroszkiewicz. Od dłuższego czasu nie miał wiadomości od żony. Nie wierzył w jej wyjazd do PRL. Podjąłem się powiadomienia go, że żona jego zginęła potrącona przez sowiecki samochód, ale to zrobiłem już po sądzie. Ta tragedia poruszyła nawet aparat śledczy, wcześniej zezwolono mu na otrzymywanie paczek, które podawała krewna żony.

Na sąd wprowadzono nas do większego pokoju. Okna wy-
chodziły na ośnieżony Cieletnik i Górę Zamkową. Zasiadliśmy rządkiem w ławkach. Tym razem znowu oddzielony byłem od Komarowej Jaroszewiczem. Ambroszkiewiczza i mnie miał bronić adwokat. Dołączyła do nas Komarowa.

Trzech sędziów i adwokat siedziało za stołem naprzeciw nas. Nie był to zestaw sędziów poważnych. Jeden z nich co pewien czas splotał w kąt pokoju. Linia obrony naszego śmiesznego adwokata sprowadzała się do stwierdzenia: „Nie mówię, że po-
zostali są przestępcami, ale moja trójka jest zupełnie niewinna”.

Komedia ta trwała kilka godzin. Dwukrotnie mieliśmy przerwę, którą spędzaliśmy w sąsiednim pokoiku. Już dobrze po południu odczytano nam wyroki Trybunału Wojennego. Mieliśmy ciężkie, polityczne paragrafy: zdrada ojczyzny, szpiegostwo, przygotowanie zbrojnego powstania, itd. Kazimierz i Edwin Bielawscy, Magda Kozodój, Teresa Skalska i Jaroszewicz dostali po 10 lat. Komarowa i Ambroszkiewicz po 7, ja — 5, Rymkiewiczówna — 4, Staszulek — 3 lata.

Komarowa puszyła się tym swoim siedmioleciem wobec moich mizernych pięciu lat.

Wyroki były stosunkowo pomyślne. W tej salce od 1944 roku tenże Wojenny Trybunał nie skąpił katorgi, 25 lat i śmierci. Mogliśmy być zadowoleni.

Już w ciemności znów upchani zostaliśmy w absolutną ciemność do *worona* i przewiezieni z powrotem do gmachu, w którym spędziliśmy ostatnie półrocze. Po kilku godzinach, pieszo, pod eskortą wyprowadzono nas w głęboką, zimową, mroźną noc. Przecieliśmy Plac Łukiski i znaleźliśmy się w centralnym więzieniu na Łukiszkach. Wraz z innymi kolegami z sądu trafiliśmy do dużej, przepełnionej sali. Większość stanowili Litwini. Do kwietnia prowadziłem żywot w błogości i dostatku. Obfite paczki nadchodziły regularnie. Miałem dwukrotne widzenie z matką. Kwitła korespondencja między więźniami. Z ulgą przyjąłem wiadomość o wyjeździe mej żony z dziećmi do PRL. Byłem spokojniejszy o ich los. Nalegałem, by matka jechała w ich ślady.

W tym stanie prawie radosnego odprężenia, bez troski i odjadania się przyszła niespodzianka: prokurator zakwestionował nasze wyroki. W Wielki Czwartek czterech spośród naszej grupy wezwano na ponowny sąd, a właściwie na jego jeszcze większą niż w styczniu parodię. Bez żadnych nowych materiałów, bez żadnego (na szczęście) śledztwa, łupnięto nam tym razem znacznie mocniej: obaj Bielawscy i Ambroszkiewicz — karę śmierci, ja — 25 lat.

Po kilku miesiącach przyszło zażalenie, nasze podania o kasację (za mnie pisała matka) dały skutek. Wszyscy czterej obdarzeni zostaliśmy równo, po 10 lat.

Tkwiłem na Łukiszkach do końca października, po czym na krótko znalazłem się w nowo utworzonym więzieniu przesyłkowym na ulicy Śniegowej, w pobliżu rampy kolejowej. Wreszcie w listopadzie w grupie ponad 1.000 więźniów załadowano nas po 40 mężczyzn do okratowanych wagonów bydłych.

Starałem się wejść do wagonu jako jeden z pierwszych. Zająłem miejsce na górnej półce przy zakratowanym okienku. Był

wieczór jesienny, pochmurny. O świcie pociąg zwolna ruszył. Przywarłem do okna, żegnając wyłaniające się w świetle poranka zarysy miasta, a potem już wzgórza i lasy w mgłach. Jeszcze błysnęła mi willa w Santoce. Potem już Dźwina i Dyneburg. W stukocie kół na północ, na północ, a po kilku dniach skręt na wschód i znów na północ. Przetarty to szlak tysiącami Polaków przede mną, a zapewne i po mnie. Teraz pasażerami byli w głównej masie Litwini.

Tak pożegnałem swą najbliższą Ojczyznę. W duchu moim nigdy Wilna nie opuściłem.

Po przeszło ćwierć wieku udało mi się odwiedzić to dziwne, wierne Polsce miasto nad Wilią.

Bronisław KRZYŻANOWSKI
„BAŁTRUK”

DOKUMENTY

Jerzy J. LERSKI

SOCJALIŚCI POLSCY DO BRYTYJSKICH

Pośmiertny wybór artykułów Adama Ciołkosza w opracowaniu Witolda Rysera-Szymańskiego podkreśla w ramach relacji „Attlee a sprawy polskie (1)”, że „obszerne pismo z Warszawy, datowane 10 stycznia 1944 roku, podpisane... przez Centralne Kierownictwo Ruchu Mas Pracujących i adresowane... do Zarządu Brytyjskiej Partii Pracy na ręce wicepremiera Attleego” to „jeden z najdonioślejszych dokumentów Polski Podziemnej, dotychczas nigdzie w całości nie opublikowany^{1...}”.

Przewiozłem ten dokument przez okupowaną Europę zimą 1944 roku w mikrofilmie, sprytnie podklejonym pod nalepkę na ampułce niemieckiego lekarstwa Antigrippin, o czym piszę obszerniej w swych wojennych wspomnieniach².

Faktyczny autor tego ważnego dokumentu, poseł Zygmunt Zarembo („Marcin”), który wręczał mi w imieniu swych towarzyszy tę partyjną pocztę, w następujący sposób opisuje jej znaczenie i okoliczności przekazu:

Kierownictwo partii poleciło mi przygotować list do Labour Party, przedstawić w nim bez obłonek nasze położenie i groźne konsekwencje pozostawienia Polski sam na sam z Rosją w ostatniej rozgrywce z Sowietami, ciężkie konsekwencje nie tylko dla nas, ale dla całego Zachodu. List przy-

1. Adam Ciołkosz, *Walka o prawdę; wybór artykułów 1940-1978*. (Polska, Londyn 1983), str. 197.

2. Jerzy Lerski, *Emisariusz „Jur”* (Polska Fundacja Kulturalna, Londyn 1984), str. 126-127.

gotowałem z wielką starannością; kierownictwo centralne partii przeprowadziło nad nim dyskusję, trwającą dość długo, niezwykle długo, jak na przyjęte obyczaje. Po zmianie kilku wyrażen i retuszu niektórych myśli oddałem tekst na warsztat „czarowni”, i zaraz potem na „szlak pocztowy”, wiodący do Londynu.

List kierownictwa PPS do Labour Party, datowany dnia 1 stycznia (*sic*) 1944 roku, zawierał wyznanie naszych ideałów, które dały nam siłę do przetrwania w walce, a które teraz zostały śmiertelnie zagrożone. Zwracaliśmy się do brytyjskiej Partii Pracy z prośbą, by stała się ona na arenie światowej polityki rzeczniką naszych dążeń i pragnień³.

W innym miejscu swych wspomnień wojennych pisze Zaremba o „poczuciu osamotnienia” na tle „ogromu okrucieństw niemieckich”, czego wyrazem był ów list CK Ruchu Mas Pracujących do Labour Party, wystosowany „na początku 1943 roku” (*sic*), z żądaniem:

przyspieszenia działań wojennych i, co najistotniejsze, zastosowania wobec Niemców represji specjalnych za planowane wyniszczenie narodu polskiego. Wyobrażaliśmy sobie, że zagrożenie Niemcom, w odwet za każdą masową łapankę albo masowe morderstwo, zbombardowaniem jakiegoś, z góry określonego, miasteczka niemieckiego, musiałoby osłabić krwiożerczość okupanta. Pisałem ten list, chociaż bez wiary w wynik naszej interwencji, ale z całym przekonaniem o słuszności naszego żądania. Zdawałem sobie sprawę że Zachód nie wyobraża sobie właściwego rozmiaru niemieckiej zbrodni i dla „przesadzonych opowieści” Polaków nie będzie stwarzać specjalnego toru bombardowania Niemiec. Miałem jednak nadzieję, że list ten zaalarmuje naszych przyjaciół na Zachodzie i zwiąże ich bliżej z naszym losem. Ten skutek został chyba osiągnięty⁴.

Mylił się niestety autor powyższych słów, gdyż losy dokumentu, do którego istotnie przywiązywaliśmy wielką wagę, okazały się z różnych przyczyn bardzo skomplikowane. Po pierwsze nie mogłem spełnić roli sugerowanej w drugim zdaniu odrębnego pisma do Komitetu Zagranicznego PPS: „Sądzimy, że byłoby dobrze wziąć ze sobą Jerzego, aby służył żywym komentarzem do listu⁵”. Porwały się bowiem na skutek wsyp konspiracyjne szlaki pomiędzy Paryżem a Londynem, otrzymałem więc poprzez „Antoniego” (rtm. Skarbek) rozkaz z Oddziału VI Sztabu Naczelnego Wodza w Londynie, by oddać za jego pośrednictwem pocztę akowską, Delegatury Rządu oraz socjalistyczną brytyjskiej komórkę, która przerzucić ją miała tajną łodzią podwodną do Anglii. Sam dotarłem tam poprzez Pireneje, Hiszpanię i Gibraltar dopiero 21 marca 1944 roku. Według relacji Ciołkosza list PPS-WRN wręczony został przez niego i wicepremiera Rządu R.P. Jana Kwapińskiego dnia 24 marca wicepremierowi Wielkiej Brytanii Attleemu:

3. Zygmunt Zaremba, *Wojna i konspiracja*, (S. Świderski, Londyn 1957), str. 229-230.

4. *Ibidem*, str. 191.

5. Cf. *infra*.

Zgodnie z przyjętymi obyczajami i w porozumieniu z Kwapińskim oświadczyłem też, że nie opublikujemy treści listu, dopóki nie otrzymamy na to zgody adresata. Procedura taka była konieczna nie tylko z uwagi na obowiązujące obyczaje, ale także z uwagi na bardzo delikatną treść listu. Chodziło o przyjęcie postawionych wniosków najpierw przez Partię Pracy, potem rząd angielski, a nie o efekty propagandowe. Attlee zachował wręczone mu dokumenty przy sobie i zakomunikował ich treść egzekutywie Partii Pracy na jej posiedzeniu w dniu 3 kwietnia⁶.

Chociaż byłem już od paru dni na miejscu w Londynie, życzliwy mi skądinąd przewodniczący Komitetu Zagranicznego PPS Jan Kwapiński, postanowił według późniejszej ustnej relacji Ciołkosza pójść do Attleego beze mnie. Nosił się ponoć z myślą zabrania na moje miejsce jako tłumacza innego Jerzego, mianowicie ówczesnego redaktora *Robotnika* tow. Szapirę. A to było jednak zupełnie co innego, gdyż Szapiro nie miał zielonego pojęcia o życiu Polski Podziemnej i nie grzeszył dyskrecją, należąc już wówczas do jednolito-frontowej grupy, zerkającej na współpracę z komunistami i Rosją Sowiecką. Nie pamiętam, do jakiego stopnia był *au courant* poufnych spraw partyjnych.

Polski Londyn spenetrowany był już w tym czasie przez sowieckich agentów, usiłujących popsuć naszą dobrą opinię u Anglosasów także w kręgach socjalistycznych. Oczywiście sprawa krajowego apelu nabrała więc z miejsca niewłaściwego rozgłosu, gdy kierowana przez Stefana Litauera Polska Agencja Telegraficzna (PAT), działająca pod auspicjami Ministerstwa Informacji i Dokumentacji ujawniła 25 marca poufną treść krajowej korespondencji. Oto co pisze na ten temat rozgoryczony Adam Ciołkosz:

O liście powiadał PAT: „Komitet Wykonawczy PPS w Kraju apeluje do anglosaskiej Partii Pracy, by przeciwstawiła się ustępstwu na rzecz rosyjskiego imperializmu oraz by zagwarantowała prawa Polski na terenach Rzeczypospolitej, zajętych przez wojska sowieckie, ścigające uciekających Niemców”... Tego samego dnia zatelefonował do mnie p. Izaak Deutscher z redakcji *Observer'a*, zawiadamiając, że ma przed sobą kopię listu CKW PPS i prosi o pozwolenie na jego przedrukowanie; oczywiście, pozwolenia odmówiłem. Nie miałem jednak wpływu na innych dziennikarzy, zresztą nie wiedziałem, kto kopie listu PPS otrzymał — i od kogo. W dniu 29 marca wielki dziennik nowojorski *PM* opublikował depeşe swego londyńskiego korespondenta Fredericka Kuh z przekręconym i zniekształconym brzmieniem listu PPS z Warszawy. Tegoż dnia wielki dziennik sztokholmski *Dagens Nyheter* opublikował wyjątki z tego listu, pod nagłówkiem „Socjaliści polscy protestują przeciwko okupacji rosyjskiej”. W dniu

6. Ciołkosz, *op. cit.*, str. 199. Nie jest dla mnie jasne, dlaczego — jak pisze Ciołkosz — musiano „przełożyć list z Warszawy na język angielski”, skoro uczyniliśmy to już wraz z panną Marią Dziewulską w mieszkaniu jej szwagra Jana Rosnera, członka WRN, przy Alei Róż w styczniu przed moją eskapadą na Zachód. Jakby nie było, tekst tego dokumentu powinien być zostać jak najrychlej ujawniony właśnie w angielskim języku, oczywiście nie wówczas, lecz natychmiast po wojnie.

31 marca tygodnik londyński *New Statesman and Nation* opublikował wyjątki z tegoż listu, opatrząc je złośliwymi komentarzami...

Przez sam fakt ujawnienia list ten, pomyślany jako wewnętrzna interwencja w ramach ruchu robotniczego, obrócił się przeciwko polskim interesom⁷...

Istotnie, wyrwane z kontekstu zdania, opatrzone do tego zjadliwymi uwagami zwolenników ugody z Moskwą polskim kosztem, przyniosły skutek wręcz odwrotny od zamierzonego. Słusznie uczulony na tego rodzaju niedyskrecje Ciołkosz, który przez cztery lata planowo pracował nad wzmocnieniem stosunków PPS z Labour Party, w następujący sposób komentuje owo zamieszanie:

Tymczasem jednak trzeba było przełknąć gorzką pigułę upokorzenia i wystosować do Attleego list z zapewnieniem, iż ujawnienie listu nastąpiło bez naszej, tj. mojej i Kwapińskiego wiedzy i zgody. Attlee odpowiedział mi tego samego dnia, w którym otrzymał mój list. Zapewnił, że niedyskrecja nie wyszła z jego biura i doradził, by szukać winowajców w naszych polskich biurach. Attlee miał rację. Okazało się później, że Kwapiński — rzecz nie do wiary u starego konspiratora! — dał kopię listu prof. Kotowi jako ministrowi informacji, prof. Kot dał kopię dyrektorowi PAT-a Stefanowi Litauerowi, a reszty już można się domyślić⁸...

Nawet w okupowanym kraju przywódcy Podziemia zdawali sobie sprawę, że Litauer utrzymywał ścisłe, robocze kontakty z londyńskim korespondentem TASS-a Andrzejem Rotsteinem, więc nie miał przed nim tajemnic. Dopiero po paru miesiącach nacisków i awantur, włącznie z rękoczynami, udało mi się przy poparciu Prezydenta Raczkiewicza doprowadzić do usunięcia tego szkodnika z państwowego aparatu⁹. W międzyczasie major Attlee przekazał 14 kwietnia 1944 roku następującą odpowiedź na list krajowego PPS:

Dla całego ludu brytyjskiego słowa wasze są podniecią do coraz większego wysiłku... Nasze naloty na Niemcy, w których lotnicy polscy biorą udział z taką odwagą i z takim powodzeniem, dają odczuć Niemcom na ich własnej skórze okropności tej wojny. Celem naszym jest przyspieszenie porażki państw osi i ataki te z konieczności muszą być skierowane na najważniejsze obiekty strategiczne. Wzmagają się te ataki z dniem każdym... Z dniem każdym hufce wolności rosną w potęgę... Siły te zjednoczone są w walce o wolność, która jest naszą i waszą wolnością¹⁰...

Zaremba, który był nie tylko autorem, ale bodajże także i inicjatorem listu krajowego do Labour Party, ze zrozumiałą gorczyzą kwituje powyższe frazesy:

Miłe i ważne słowa. Nie mogły one jednak mieć takiego znaczenia, jak spełnienie naszego postulatu bombardowań odwetowych. O ileż bardziej

7. *Ibidem*.

8. *Ibidem*, str. 200.

9. Cf. Lerski, *op. cit.*, str. 157-160, a w sprawie powiązań Litauera także Jan Nowak, *Kurier z Warszawy* (Odnowa, Londyn 1978), str. 232.

10. Zaremba, *op. cit.*, str. 191.

więzałoby to naród polski i podnosiło jego samopoczucie wobec nie tylko dzisiejszej grozy, ale i jutrzejszej groźby¹¹.

Podobnie skomentował ten cały epizod ówczesny londyński *alter ego* (drogi ich rozeszły się dopiero 10 lat po wojnie) „Marcina” — Adam Ciołkosz, konkludując na ten temat:

Pozostał tylko przyczynek do smutnej historii owych czasów na londyńskim bruku i wspomnienie zmarnowanej inicjatywy polskiego ruchu podziemnego¹².

Starając się wypełnić ze swej strony mą krajową misję w tej dziedzinie, nawiązałem bliskie kontakty z bardziej i mniej wpływowymi labourzystami. Niezależnie od doskonałych kontaktów pośła Ciołkosza, zwłaszcza z sekretarzem generalnym Partii Pracy Jimem Middletonem, widywałem przywódcę parlamentarnej Labour Party Arthura Greenwooda¹³, prezesa Partii George Dalasa, burmistrza Glasgow Sir Patrick Dollana, posłów Ivor Thomasa oraz Aneurin Bevana¹⁴ oraz działaczy partyjnych Margaret McKay, Denis Healey i Frederick Millara. Wykazywali oni duże zrozumienie krajowych postulatów oraz aktywną życzliwość dla polskiej sprawy. Pozostali wierni w przyjaźni dla polskich towarzyszy.

Gdy po raz ostatni miałem okazję na wiosnę 1975 roku dłużej rozmawiać z prezesem Ciołkoszem na temat mej wojennej misji socjalistycznej, wydobyl ze swych archiwów poniższe dokumenty z prośbą, bym je w pełni opublikował. Jestem mu za to szczerze zobowiązany.

Jerzy J. LERSKI

Przesyłka 1/44
List Nr K. 70

Otr. 4. 3. 1944

Do
Komitetu Zagranicznego PPS
na ręce tow. Kacpra i tow.
Kromerowskiego

Całość przesyłki:

11 stron listów oraz 40 okienek wydawnictw

Szanowni Towarzysze,

Jednocześnie przesyłamy Wam nasz list do Zarządu Brytyj-

11. *Ibidem*, str. 192.

12. Ciołkosz, *op. cit.*, str. 200.

13. Nowak, *op. cit.*, str. 275.

14. Aneurin Bevan dał najlepszy wyraz swym antysowieckim poglądom na temat dominacji naszego rejonu w przedmowie do cennej książeczki, zredagowanej przez Denis Healey pt. *The Curtain Falls; The Story of the Socialists in Eastern Europe*, a wydanej w Londynie przez Lincolns-Prager Publishers w 1951 roku.

skiej Partii Pracy, który prosimy wręczyć adresatowi. Sądzymy, że byłoby dobrze wziąć ze sobą Jerzego, aby służył żywym komentarzem do listu. Z treści listu wywnioskujecie o panujących o nas nastrojach. Musimy stwierdzić, że pod wpływem konferencji grubej Trójki nastroje te uległy znacznemu pogorszeniu. Z jednej strony wzmożone wybijanie naszego narodu, które może być ukoronowane egzekucją, będącą prowokacją przedwczesnego powstania, z drugiej zaś strony przemilczanie naszych spraw i obawa przed okupacją sowiecką — dostatecznie tłumaczy stan naszych umysłów. Obok tego wszystkiego pozbawieni jesteśmy poważnych i źródłowych informacji o położeniu politycznym w ogóle, a Polski w szczególności. Naprawdę tego traktowania Kraju przez Rząd zupełnie nie rozumiemy. Jest to wojna nerwów, która powinna nam być oszczędzona. Musi to zrozumieć nasz Rząd i wytłumaczyć komu należy, że pozostawienie narodu będącego w takiej sytuacji jak my i żyjącego w tak potwornych warunkach systematycznego wyniszczania, bez wyraźnych perspektyw przyszłości, zdanego na żer propagandy niemieckiej równa się współdziałaniu w niszczeniu naszej morale i osłabianiu tętna naszej walki.

Aby sprawę tę postawić na oczach całego świata, prócz listu do Partii Pracy zainicjowaliśmy wydanie rodzaju manifestu przez Krajową Reprezentację Polityczną, mając nadzieję, że odezwa ta w ręku Rządu może się stać czynnikiem wzmożenia naszej propagandy, a zarazem narzędziem naszego nacisku na rządy Wielkiej Brytanii i Ameryki w kierunku wyraźnego sprecyzowania stosunku do nas.

Rozumiemy konieczność gry sojuszników z Rosją sowiecką, ale nie możemy tolerować stanu, w którym my jesteśmy piłką w ręku obu kontrahentów. Mamy wszystkie prawa do stanowczej i jasnej odpowiedzi na kwestie:

1) w jaki sposób zabezpieczone zostanie Rządowi Polskiemu odbudowanie administracji polskiej na tych terenach Polski, które ewentualnie po wyparciu Niemców i przekroczeniu granicy polsko-rosyjskiej zostaną zajęte przez Sowiety.

2) W jaki sposób ludność tych ziem zostanie zabezpieczona przed niszczycielską działalnością NKWD i próbą stworzenia znów faktów dokonanych.

3) W jaki sposób sojusznicy mogą nam okazać pomoc, aby zapobiec wykonaniu postanowień Himmlera o ewakuacji, a jeżeli nie mogą dać pomocy, to w jaki sposób mogą zabezpieczyć nam jak największe uzbrojenie i pomoc techniczną.

Jasne postawienie dwóch pierwszych spraw jest kardynalnym

warunkiem zachowania duchowej siły naszego społeczeństwa. Inaczej wiara w sojuszników będzie załamana i w duszy mas ugruntuje się już dziś kiełkująca gorzka myśl o zbędności poniesionych ofiar. Gdy ludzie myślą i porównują sytuację naszą i naszą niezłomną walkę z sytuacją Czech, które stworzyły doskonałe warunki współżycia z okupantem, a mimo tej asekuracji na dwa fronty stały się beniaminkiem aliantów, gdy o nas coraz bardziej głucho — nie dziwny się takim nastrojom. Ani nie chcemy, ani nie możemy się już cofnąć z linii naszego postępowania. Nawet hr. Roniker zdobył się na bohaterstwo odmówienia rozkazowi udziału w manifestacji gospodarczej współpracy narodu polskiego z Niemcami. Mamy obowiązek domagania się od sojuszników, by idealizm wykonany przez nasz naród nie stał się w wyniku tej wojny symbolem nienawiści politycznej.

Piszemy tak, bo nie chcemy ukrywać przed Wami naszego nastroju. Zapewniamy Was, że nastroje przeciętne są daleko gorsze. Trzeba dziś kolosalnego wysiłku politycznego i propagandowego, ażeby utrzymać nasze społeczeństwo w formie. My tutaj już niewiele możemy zrobić. Niestety odgłosy informacji z Londynu nie świadczą o tym, by Rząd wykorzystywał wszelkie możliwości, a czasem wprost odnosimy wrażenie, że nastąpiło jakieś sparaliżowanie wewnętrzne jego aktywności. Nie oznacza to bynajmniej chęci krytykowania Rządu, przeciwnie, zdajemy sobie sprawę, że wobec knoń niemieckich i ogólnych trudności politycznych społeczeństwo nasze musi możliwie bez reszty skupić się przy Rządzie i udzielić mu stuprocentowego poparcia. Ale nie możemy przemilczeć w liście do Was tych refleksji, które się stale w nas rodzą.

Wielokrotnie mówiliśmy o brakach informacji. Wszystko na próżno! Więcej! W ostatnich serwisach radiowych z Londynu widzimy pogłębienie się niezrozumienia i tego, co się dzieje w Kraju, i tego, co stanowi najgłębsze zadania naszej propagandy. Kiedy w audycji radiowej mówi się o obecnych masowych mordach w Polsce jako o czymś podobnym do zburzenia jednej wsi czechosłowackiej, to przecież jest monstrualne. U nas takich wsi już od dawna liczymy na tysiące — rozstrzeliwanie po sto osób dziennie publicznie w Warszawie, lub tysiąca osób naraz w Białostocczyźnie i wszystko to traktowane jako system jest zdaje się zjawiskiem zupełnie innej kategorii. Należy przy tym tu może podkreślić, że te rozstrzeliwania publiczne wcale nie zamykają listy faktycznie co dzień ginących z rąk okupantów, bowiem te jak gdyby „normalne” morderstwa trwają w swym nasileniu bez zmiany, przy tym wybór ofiar i przeznaczenie ich na śmierć nie ma nic wspólnego z jakąkolwiek procedurą sądo-

wą, czego wrażenie chcą sprawić ogłoszenia niemieckie. Po prostu jest to grą przypadku lub humoru oprawcy. Na przykład w jednym ustalonym imiennie przypadku gestapowcy urządzili sąd w rodzaju wyścigów po korytarzu, aby silniejszego zakwalifikować na śmierć.

Powracając do kwestii propagandy musimy podkreślić, że gdy tutaj bronimy się przed penetracją komunizmu, zamieszczenie w ciągu jednego dnia pięciu notatek w serwisie londyńskim przedstawiających politykę sowiecką w przychylnym świetle to również zjawisko, którego nie potrafimy już zakwalifikować. Najwyższy już czas, aby rozbrzmiała uczciwa polska propaganda i informacja w sprawie stosunku do Sowietów. Dlaczego dotychczas nasz postulat o stworzenie takich placówek poświęconych temu zadaniu w Szwecji i Turcji nie został spełniony? Nie wyobrażamy sobie, by przeszkody były nie do pokonania, gdyż w tej samej Szwecji ulokował się Komitet Państw Bałtyckich i propagandę taką rozpoczął. Turcja z całą życzliwością jest usposobiona do Polski w jej konflikcie z Sowietami. Jak ta sprawa jest pilna, wynika choćby z tego, że właśnie 15 grudnia PPR ogłosiła manifest o powołaniu do życia Krajowej Rady Narodowej, mającej jedyne prawo reprezentować kraj. W tymże manifestcie PPR wraz ze swymi przybudówkami ogłosiło, że działalność Rządu Polskiego i jego reprezentacji krajowej równa się zdradzie narodu i państwa. Widzimy w tym przygotowanie do stworzenia u nas sytuacji jugosłowiańskiej. Nasza propaganda musi paraliżować tego rodzaju przejawy, wyraźnie wykazując motywy tej akcji i jej moskiewskie źródło.

Prosimy o wyjaśnienie. Jakie są przeszkody stojące na drodze do spełnienia naszych w tym zakresie próśb. Przypominamy nasze życzenie stworzenia u nas specjalnej komórki informacyjnej, o czym pisaliśmy w listach K. 66 i K. 69. Załączamy serdeczne pozdrowienia dla wszystkich Towarzyszy i Towarzyszek

CKR

Mas Pracujących Polski

10 stycznia 1944 r.

List K. 70

P.S. Przesyłamy z prośbą o jak najszerze wykorzystanie raportu naszego towarzysza z Oświęcimia. Towarzysz ten doniósł nam, że tylko dzięki akcji propagandowej, przeprowadzonej zwłaszcza w krajach neutralnych, nastąpiła zmiana kursu w obozie.

Załączniki:

- 1) list do Zarządu Brytyjskiej Partii Pracy
- 2) Raport z Oświecimia
- 3) WRN Nry 23/129, 24/130, 25/131, 1/138
- 4) *Robotnik w Walce* Nry 7, 8, 9

Koniec listu Nr K. 70

Smętnym epilogiem tej sfuszerowanej w Londynie sprawy był poniższy list Komitetu Zagranicznego PPS do Profesora Stanisława Kota, podpisany przez posła Adama Ciołkosza i dr. Ludwika Grosfelda. Jest on wymowną ilustracją pogarszających się stosunków na wiosnę 1944 roku w naszej emigracyjnej stolicy.

PPS — Wielka Brytania.
Londyn, 9 maja 1944 r.

Do Pana Ministra Informacji i Dokumentacji RP

w Londynie

Szanowny Panie Ministrze,

W prasie polskiej, nadeszłej obecnie ze Stanów Zjednoczonych, znajdujemy depeszę Polskiej Agencji Telegraficznej z dn. 25. III. 1944 r. z Londynu z wiadomością o złożeniu przez pp. Jana Kwapińskiego i Adama Ciołkosza pisma ruchu robotniczego w Kraju na ręce p. C. R. Attlee. Depesza ta zawiera sformułowania tego rodzaju, że zmuszają nas one do zażądania od Pana Ministra wyjaśnień, kto i z czyjego upoważnienia depeszę tę nadał.

Tekst umieszczony w *Dzienniku Polskim* w Londynie z dn. 25. III. br. w artykuliku pt. „Socjaliści polscy u p. Attlee” był tekstem uzgodnionym z nami i czyniącym zadość zarówno wymogom bezpieczeństwa ruchu krajowego, jak i służby informacyjnej. Wszystkie dalsze dodatki jak i przeinaczenia noszą znamiona wręcz karygodne zarówno ze względu na ogólną sytuację polityczną, jak i na wymogi bezpieczeństwa ruchu krajowego.

Depesza PAT-a podaje, że na ręce wicepremiera gabinetu angielskiego Attlee złożony został memoriał komitetu wykonawczego PPS w Kraju, zawierający poglądy Polskiej Partii Socjalistycznej na bieżącą sytuację międzynarodową oraz problemy powojenne. Tymczasem uzgodniony z nami komunikat zaznaczał, iż memoriał został złożony p. C. R. Attlee jako przywódcy Partii Pracy w Izbie Gmin i członkowi egzekutywy tej partii oraz iż

pismo było sygnowane przez Centralne Kierownictwo Mas Pracujących w Kraju. Różnice są oczywiste.

Komunikat uzgodniony z nami tak streszczał owe pismo: „Obszerne to pismo omawia bieżącą sytuację międzynarodową i określa punkt widzenia polskiego ruchu socjalistycznego na bieżące sprawy polityczne i na zagadnienie ustroju powojennego Europy”. Depesza zaś PAT-a streszcza pismo krajowe tymi słowami: „Komitet Wykonawczy PPS w Kraju apeluje do angielskiej Partii Pracy, by przeciwstawiła się ustępstwom na rzecz rosyjskiego imperializmu oraz by zagwarantowała prawa Polski na terytoriach Rzeczypospolitej, zajętych przez wojska sowieckie, ścigające uciekających Niemców”. Zapytujemy: kto i jakim prawem upoważnił podległe Panu Ministrowi organy do takiego streszczenia krajowego pisma?

Wreszcie, uzgodniony z nami komunikat informował o doręczeniu p. Attlee depeszy, która nadeszła dnia 22 marca br. do Londynu, a nadesłana została z Kraju przez Kierownictwo Ruchu Mas Pracujących w związku z przemówieniem premiera Churchilla w Izbie Gmin w sprawie polsko-rosyjskiej. Depesza PAT-a informuje natomiast: „Wręczyli oni również min. Attlee depeszę Komitetu Wykonawczego PPS, zawierającą protest z racji ostatniej mowy Churchilla oraz stanowcze odrzucenie żądań Rosji wobec Polski”. I tu różnica jest oczywista.

Pisma i depesze ruchu robotniczego z Kraju nie są własnością Ministerstwa Informacji ani PAT-a. Dysponuje nimi adresat, a więc Komitet Zagraniczny PPS. W danym wypadku adresatem była brytyjska Partia Pracy, co jeszcze bardziej podkreśla konieczność ostrożności we wszelkich wypowiedziach zewnętrznych co do treści dokumentu. Jedyńm jego dysponentem jest bowiem brytyjska Partia Pracy.

Wypadku tego nie możemy potraktować jako sprawę błahą ani jako wykołnienie lub przypadek. Wszystkie okoliczności związane z tą sprawą, rozgłos, jaki jej nadano, i to nadano celowo — wszystko to skłania nas do zażądania zupełnie szczegółowych i konkretnych wyjaśnień. Zastrzegamy sobie zarazem dalsze kroki w tej sprawie, po otrzymaniu odpowiedzi Pana Ministra.

Łączymy wyrazy poważania

Sekretarz

A. C.
Zast. Przewodniczącego

Do
Zarządu Brytyjskiej Partii Pracy
na ręce Wice-Premiera Attlee

Szanowni Towarzysze,

Postanowiliśmy raz jeszcze zwrócić się do Was w tej chwili, gdy według wszelkich oznak konkretyzują się i ustalają programy powojennej organizacji świata. Przyjaźń Wasza stanowiła dla nas źródło otuchy i podniety do trwania w walce w toku tej wojny. Do Was zwracamy się i prosimy, byście zechcieli stać się wobec świata rzecznikiem naszych dążeń i pragnień. Jesteśmy głęboko zaniepokojeni tendencjami, które ujawniają się w dyskusjach politycznych Wielkiej Brytanii, tendencjami, które dla nas oznaczają fatalne wprost skutki w Europie i świecie musiałyby przynieść nową epokę wrzenia i niepewności. Niepokój o dalsze losy naszego narodu i środkowoeuropejskiego rejonu Europy przybiera jeszcze na sile z powodu grozy, która wisi nad nami i z każdym dniem potężnieje.

Piszemy ten list wśród targającego trzewiami łoskotu strzałów masowych egzekucji publicznych, przeprowadzanych przez Niemców na ulicach naszego miasta. Od października, kiedy po raz pierwszy zastosowano tę metodę terroru i wyniszczenia, do dn. 1 stycznia r.b. 950 zakładników, wychwyconych z ulicy lub mieszkań rozstrzelano w samej tylko Warszawie w partiach po dziesięć do stu osób, publicznie, na placach i ulicach miasta. To samo dzieje się w wielu innych miastach i osiedlach wiejskich. Jednocześnie też trwają dawne po kryjomu dokonywane morderstwa więźniów. Nie ma wątpliwości, że co dzień aż do końca wojny będą tak Niemcy mordować naszą młodzież, naszą inteligencję, chłopów, robotników, wybierając elementy co silniejsze, co bardziej energiczne, by doprowadzić nasz naród do jak największego osłabienia. A obok tych morderstw co dzień na ulicach łapanek, a w nocy najazdy na mieszkania i wychwytywanie setek mężczyzn, kobiet i młodzieży. Co kilka dni odchodzą też transporty do obozów, gdzie pastwienie się nad więźniami doprowadzili Niemcy do szczytów bestialstwa, kończącego się z reguły śmiercią więźnia. Krematoria obozowe dymią dniem i nocą.

W tej walce z nami używa się wszystkich środków, nie wyłączając gazów. W Oświęcimie, Bełżcu, Majdanku, Treblince pobudowali Niemcy specjalne komory gazowe, w których masowo truje się więźniów. Tak, gazy Niemcy stosują już w tej wojnie. Jeszcze nie na wojnie, ale co dzień setki naszych współobywateli

ginie w komorach gazowych, służąc zarazem jako materiał doświadczalny w zakresie prób z poszczególnymi rodzajami gazów.

Straty nasze sięgają już co najmniej 5-6 milionów zabitych. W liczbie tej jest ponad 2,5 milionów obywateli polskich narodowości żydowskiej, wymordowanych w ciągu ubiegłego roku jedynie za to, że się urodzili jako Żydzi.

Hekatomba z milionów ludu polskiego objęła ogromną większość działaczy społecznych, uczonych, techników, przywódców politycznych i masy szarych ludzi pracy, których jedyną winą było to, że pozostali Polakami. Dodajmy do tego ponad 2 miliony robotników i chłopów wywiezionych w głąb Niemiec i 1,5 miliona osób wywiezionych do Rosji, z których garstka tylko uratowała się, uchodząc na Bliski Wschód, a ogromna większość ginie stopniowo w warunkach najcięższych robót w karnych obozach sowieckich. Byli to znów przede wszystkim ludzie najbardziej cenni, najbardziej energiczni, najbardziej potrzebni w Polsce. I ci zginęli lub giną dlatego tylko, żeby nie zawadzać w urzeczywistnieniu zamierzeń drugiego, odwiecznego zaborcy naszych ziem i naszej wolności.

Oto cena, którą już zapłaciliśmy za swoją decyzję walki z tyranią.

Wiemy, rozumiemy, że trudno Wam uwierzyć w to wszystko. Okrutne, biologiczne tępienie narodów jest Wam tak dalece obce, że wyobraźnia Wasza nie chwyta nawet tego okrutnego obrazu, który my niestety mamy wciąż przed oczyma, który każdemu z nas pojedynczo mówi, że tylko przypadek może tego czy innego z nas zachować przy życiu. A czeka nas zapewne jeszcze ostatni akt. Himmler wydał już decyzję, a Frank rozesłał już instrukcje wykonawcze w sprawie ewentualnego ewakuowania terenów polskich. Inteligencja i wszyscy niezdolni do pracy mają być przy tej okazji wyniszczeni. Ludzie zaś nadający się do pracy fizycznej mają być wywiezieni jako niewolnicy wraz z cofającą się armią niemiecką. Wiemy, jak podobne rozkazy zostały wypełnione na Ukrainie. Nie mamy złudzeń, że z całą dokładnością będą Niemcy starali się wykonać ten rozkaz i u nas.

Nie skarżymy się. Chcemy jednak, by świat wiedział o naszym losie, a ofiara, którą nasz naród składa nie była daremna. Nie załamujemy rąk z rozpacz, lecz przystosowujemy się do stawienia czoła nowej groźbie. Świat może być pewny, że nie będziemy umierać bez walki. Ale też nie powinien mieć złudzeń, że umierać będziemy masami, dziesiątkami tysięcy, stawiając czoło hitlerowskiemu hordom, ich automatycznym karabinom i pistoletom, ich czołgom i samolotom — uzbrojeni w jakąś prymitywną broń. Jesteśmy rozbrojeni. O dostarczenie broni wołamy

do świata. Od stopnia uzbrojenia zależeć będzie stopień skuteczności organizowania przez nas oporu. Tylko od Was, od Anglii, spodziewać się możemy tej pomocy. Gdy niemożliwe się okazało, jak stwierdziliście w piśmie nam przedstawionym, sparaliżowanie morderczej akcji niemieckiej przez odwetowe działanie lotnicze, pozostaje nam tylko oczekiwać ratunku od szybkości działań wojennych i od szybkości dostarczenia nam broni. To, co Armia Krajowa, z którą bezpośrednio współpracujemy, otrzymała — stało się poważnym czynnikiem obrony. Ale wszystkiego tego mało, szczególnie w obliczu niemieckich planów ewakuacyjnych. Spowodowanie wzmożenia dostaw broni dla naszej Armii Krajowej jest pierwszą naszą do Was prośbą.

Pozwólcie jednak, że na tym nie poprzestaniemy. Pomimo wszystkie straty, żyjemy jeszcze politycznie i musimy chociażby dla historii stwierdzić, że klasa robotnicza Polski zachowuje cały swój hart duchowy i że każdą wyrwę spowodowaną terrorem najeźdźcy natychmiast wypełnia nowymi ludźmi, którzy ofiarnie stają do pracy. Organizacja nasza nadal i to w stopniu potęgującym się jest wszędzie i przenika całe życie robotnicze i pracownicze. Polityczne, wojskowe i specjalne komórki partii i związków zawodowych działają bez przerwy. Reprezentując ten ruch żywy i niezłomny, czujemy się w prawie i obowiązku przedstawić też Wam nasze stanowisko polityczne.

Dotąd mimo tragicznych warunków przyświecała nam pewność, że ofiary, które ponosimy, prowadzą do zwycięskiego i dla nas końca: do odbudowy państwa niepodległego i wzmocnionego, w którym robotnicy i chłopci w braterskim sojuszu z pracownikami umysłowymi będą mogli realizować ideały wolności i sprawiedliwości społecznej. Dzisiaj niestety nadzieja ta jest zachwiana. Ona dawała siłę spokojnego patrzenia w oczy śmierci. Dzisiaj coraz powszechniej dostrzec można w spojrzeniu naszych współobywateli błysk trwogi, wywołany coraz bardziej jaskrawymi demonstracjami powrotu do imperialistycznych metod w stosunkach międzynarodowych. Coraz częściej padają wyrazy wątplenia. Coraz częściej rodzą się dokuczliwe myśli, że wprowadzie naród nasz stał się „natchnieniem ludzkości w walce z hitleryzmem”, lecz dziś, gdy w walce tej został osłabiony, gdy jutro być może całkowicie będzie wycieńczony, wielkie mocarstwa złożą nas w ofierze nienasyconej żarłoczności Rosji. Jeśli gdzie nawet odezwie się sumienie, to konserwatywne żywioły uspokoją je frazesami o racji stanu, a żywioły tak zwane postępowe znajdą rozgrzeszenie we wspólnictwie z Rosją Sowiecką, która przecież dla snobów różnego rodzaju stała się symbolem postępu.

Jakże dobrze my Polacy znamy tę sytuację. Historia nasza

jest pełna analogii. Przecież trzy pierwsze rozbiory Polski przed laty przeprowadzały Prusy z Rosją do spółki, tak samo jak przeprowadzony został czwarty rozbiór z roku 1939 przez Niemcy hitlerowskie pospołu z Rosją sowiecką. Przecież mimo pierwszych trzech rozbiorów u schyłku XVIII wieku dla snobów europejskich Katarzyna caryca rosyjska również była urzeczywistniającą postać „Semiramidą Północy” i obrończynią dysydentów. Dyplomacja patrzyła obojętnie na niszczenie żywego narodu, bo taka była racja stanu.

Wy jednak znacie komunizm i komunistów. Wiecie, jak usiłowali oni zniszczyć wolę ludu angielskiego do walki z hitleryzmem. Jak we Francji rozszerzając tchórzostwo walnie przyczynili się do kapitulacji. Wiecie, że komunizm w Rosji jest przykrywką dla starego imperializmu, pełnego żarłoczności w stosunku do wszystkich narodów. Czujemy się członkami rodziny zachodnioeuropejskiej. Chcemy żyć i rozwijać się wraz z ludami Europy. Wydobyliśmy się spod jarzma moskiewskiego i gotowi jesteśmy oddać życie, by z powrotem pod jarzmo to się nie dostać w żadnej postaci, na żaden przejściowy nawet okres. Chwilowa nawet okupacja ziem polskich przez Sowiety musiałaby przynieść pogłębienie tych nieszczęść, które dała nam już okupacja niemiecka. Nieznany, niezrozumiały jest dla Was być może tragiczny los naszych oficerów, przeważnie rezerwistów, którzy złożyli broń w ręce Sowieców po klęsce wrześniowej. Ale znacie los Altera i Erlicha i nie uznacie chyba za przesadę, gdy nauczeni wieloletnim doświadczeniem stosunków z Rosją od okupacji takiej oczekujemy tylko dopełniającej rozprawy z aktywnymi elementami naszego narodu, przede wszystkim z elementami ruchu socjalistycznego, które nie pójda na żaden kompromis z tyranią sowiecką, bo nie zdradzą swoich ideałów wolności.

Możecie nam wierzyć. Nie ma w nas nienawiści do Rosji jako takiej. Chcielibyśmy najbardziej przyjaznych na przyszłość z nią stosunków. Nasze interesy gospodarcze, poczucie spokoju i normalny wszechstronny rozwój naszego kraju wymagają pokojowego i przyjaznego współżycia z Rosją. Lecz bodajby jedno wyrosło pokolenie, które by nie zaznało wrogości Rosji w stosunku do Polski. Niestety nasze pokolenie pamięta jeszcze ciągle niczym nie nasycone apetyty carskie na russyfikowanie naszych ziem, a tuż zaraz po krótkim okresie danego nam przez rewolucję wytchnienia od opieki rosyjskiej znów стоимy wobec złamania uroczystych umów o nieagresji i jawnych dążeń do zagarnięcia części lub całej Polski.

Warunkiem przyjaznego i pokojowego ułożenia się stosunków Polski i Rosji jest stworzenie dla Rosji i dla Polski całko-

witej pewności, że suwerenność tych dwóch państw jest nienaruszalna. Póki tej pewności nie będzie, nacjonalizm i imperializm rosyjski będzie wiecznie patrzył na Polskę jako na swój łup, leżący na drodze do dalszych podbojów na zachodzie i południu Europy. Nie tylko więc dla dobra Polski, ale i dla dobra Rosji, by wykorzenić z niej imperializm i zaborczość, dla dobra Europy, by zapewnić jej bezpieczeństwo przed rosyjskim imperializmem, koniecznym jest zbudowanie pewności i trwałości stosunków na wschodniej rubieży zachodniej Europy. Los Estonii, Łotwy, Litwy i Polski, całość tych państw i zapewnienie im w drodze międzynarodowej organizacji bezpieczeństwa, będzie decydował o losie przyszłej Europy. Każde ustępstwo dane imperializmowi rosyjskiemu będzie tylko zachętą, premią dla nacjonalizmu i szowinizmu rosyjskiego.

Wiemy, jak małą niestety rolę grają pobudki moralne w układzie stosunków międzynarodowych. Ale pozostawienie w rękach Rosji najdrobniejszego choćby kawałka ziemi, którą Rosja zdobyła przez sojusz z Hitlerem, przez sojusz zwrócony przeciwko całemu demokratycznemu światu, byłoby rozgrzeszeniem polityki ZSSR w okresie 1939-1940 i zatwierdzeniem jej przez świat.

Jeśli Rosja nie ugnie się teraz przed wolą świata do restytuowania państwa i narodów zgwałconych przez Hitlera również i na tym odcinku, gdzie gwałt ten został dokonany do spółki z Rosją Sowiecką, przyszłość może nam przynieść spotęgowanie grozy idącej od tego największego mocarstwa.

Dlatego też z całą stanowczością odrzucamy plany aneksyjne Rosji w stosunku do naszych ziem wschodnich i domagamy się uszanowania istniejącej przed wojną granicy polsko-rosyjskiej. Dlatego też w całkowitej zgodzie z naszym stronnictwem Pełnomocnik Rządu Rzeczypospolitej Polskiej na Kraj zarządził w razie wejścia wojsk rosyjskich na ziemię Rzeczypospolitej nie tylko pozostawienie ludności na terenie i przeciwdziałanie planom ewakuacyjnym Niemców, ale również ujawnienie wobec wojsk sowieckich faktów istnienia podziemnej administracji polskiej na wszystkich terenach należących prawnie do Polski.

Wiemy, że organy naszego państwa nie będą rozporządzały tutaj dostateczną siłą fizyczną, by swoje stanowisko wywalczyć. Ale już tylko od Sowietów zależeć będzie, czy ich wojsko [...] zgodnie z odezwą Pełnomocnika Rządu na Kraj będziemy spotykać jako „aliantów naszych sprzymierzeńców”, czy będziemy zmuszeni traktować ich jako nowych okupantów. Poza granicami Rzeczypospolitej zostawiliśmy, zawierając pokój w Rydze, około 2 milionów narodowości polskiej, która od wieków osiadła na terenach Białorusi i Ukrainy. Gdzież dziś ta ludność. Szczątki

jej tylko zostały w oficjalnych statystykach sowieckich, szczątki rozrzucone w najdalszych zakątkach sowieckiego imperium. A jednak milczeliśmy dla dobra pokojowego współżycia z Rosją. I dziś nie chcemy niczego od Rosji, ale nie może uzyskać naszej zgody żadna tendencja do osłabienia nas dzisiaj, kiedy i tak jesteśmy do głębi zdewastowani przez biologiczną wojnę, jaką prowadzi z nami Hitler.

Na naszych ziemiach kresowych przez wieki żyje naród polski pospołu z narodem ukraińskim i białoruskim. W czasie istnienia państwa polskiego lud ukraiński i białoruski miał w naszej partii zawsze najbliższych przyjaciół, broniących go przed nadużyciami biurokracji. Nieraz też obdarzał nas swym zaufaniem, wybierając naszych towarzyszy jako swoich przedstawicieli w parlamencie i dzisiaj możemy śmiało, zarówno w imieniu ludu polskiego jak i obywateli polskich narodowości ukraińskiej czy białoruskiej, stwierdzić wobec świata, a przede wszystkim wobec Was, towarzysze, że masy ludowe tych ziem z trwogą myślą o możliwości wcielenia ich do ZSSR. A przecież oszukańczą komedię odegrano na tych terenach tzw. wyborami „samookreślającymi”, gdzie przymusem pchano ludzi do urn wyborczych — nikt prócz komunistycznej partii nie miał prawa do stawiania kandydatów; winno [to] budzić tylko obrzydzenie dla cynizmu jej autorów i aktorów. Możemy tym śmielej zajmować takie stanowisko, że najpoważniejsze stronnictwa polskie popierające Rząd i współpracujące z nim zarówno w Kraju, jak i na emigracji przyjęły uroczystie zasadę całkowitego równouprawnienia wszystkich obywateli bez różnicy wyznania i narodowości, co znalazło wyraz w deklaracji Rządu i zabezpiecza na przyszłość współżycie mniejszości narodowych z Polakami na zasadach „równi z równymi, wolni z wolnymi”.

Obowiązkiem naszych sprzymierzeńców winno być przeto zabezpieczenie praw państwa polskiego na terenach, które odpychając Niemców będą ewentualnie zajmować Sowiety. Ogólnie tylko znamy postanowienia konferencji moskiewskiej o obowiązku wycofywania wojsk z obcych terenów z chwilą, kiedy ustaną działania wojenne. Jeśli to postanowienie nie ma być czczym słowem, winny być stworzone warunki dla działania i rozwoju administracji, powołanej przez rząd danego państwa. Wobec tego zaś, że Sowiety, chcąc mieć łatwiejszą drogę do stworzenia faktów dokonanych, zerwały stosunki dyplomatyczne z naszym Rządem i tworzą marionetkowe formacje polskie w Moskwie, jest rzeczą równie konieczną, by z chwilą przekroczenia granicy wschodniej Rzeczypospolitej wraz z wojskami sowieckimi znalazły się na terenie polityczne misje sojusznicze, mające za zadanie współ-

działanie w lojalnym ukształtowaniu stosunków między wkraczającymi wojskami sowieckimi a odbudowaną administracją polską, ochronę życia i wolności obywateli polskich i zapobieżenie stworzeniu dalszych „faktów dokonanych”.

Jest to sprawa, która stoi na porządku dziennym w całej aktualności. Należyte jej rozwiązanie będzie podstawą i precondensem dla przyszłych generalnych rozwiązań politycznych.

Jeśli chodzi o przyszłe rozwiązanie, to zmuszeni jesteśmy też z całą stanowczością zaprotestować i przeciwstawić się wszelkim tendencjom do stworzenia jakichkolwiek sfer wpływów Rosji, obejmujących całe kraje bałtyckie, Polskę i Bałkany. Kraje te chcą i mogą rozwijać się samodzielnie. Najbardziej zacofane z tych krajów są jeszcze w stosunku do Rosji krainami szczytów cywilizacji. Tworzenie „sfer wpływów” oznaczałoby cofnięcie tej pości Europejskiej w rozwoju cywilizacyjnym co najmniej o 100 lat. Doceniamy wysiłek Rosji do dźwignięcia się wzwyż. Życzymy jej jak najszybszego postępu i dlatego również świat powinien zrozumieć, że oddawanie pod wpływy Rosji jakichkolwiek terenów nierosyjskich mogłoby tylko spowodować powstrzymanie wewnętrznego rozwoju Rosji, bowiem stwarzając nowe źródła antagonizmów narodowych (a żaden z tych narodów supremacji rosyjskiej nie podda się bez walki), podsycaliby nacjonalizm rosyjski i odwracało to państwo od problemów wewnętrznej przebudowy i postępu na tory walki z burzącymi się narodami, oddanymi pod wpływ Rosji.

Nie tego oczekuje ludzkość od zwycięstw sojuszników. Ludzkość tęskni do życia w pokoju, do zorganizowania społecznej twórczości, do rozwijania kultury poszczególnych narodów i łączenia jej owoców w ogólnoludzkiej kulturze. Dlatego też dążymy do najbliższego zjednoczenia się na zasadach wolny z wolnym, równy z równym, z naszymi sąsiadami z północy i południa. Dlatego pielęgnujemy ideę federacji Europy Środkowej, której podwaliny rzucił nasz rząd w umowie o polsko-czechosłowackiej konfederacji. Patrzcie. Zaledwie idea ta się wyklęła, już znalazła wroga w Rosji Sowieckiej. Czyni Rosja wszystko, by tej idei nie dać się zrealizować. Atakuje ją przez dywersję oddziałów komunistycznych w Polsce, gdzie prowadzą one walkę z Polakami raczej niż z Niemcami, torpedują federację za pomocą części emigracji czeskiej. Czy to nie wymowne? I czyżby dlatego tylko, że zabezpieczyć może całkowitą niezależność środkowej Europy od Rosji i od Niemiec, niezależność, która jest warunkiem współdziałania międzynarodowego, ta idea nowego układu życia Europy nie miałaby być urzeczywistniona? My będziemy walczyć o tę ideę do ostatka. Przekonani jesteśmy, że walczyć o nią będzie

ruch socjalistyczny całej Europy, że Wy będziecie najpotężniejszym filarem tej walki.

Takie dobrowolne federacje regionalne powinny się stać fundamentem, na którym zostanie dźwignięty Związek Wolnych Ludów Europy, współpracujących z sobą w przyjaźni i poczuciu całkowitego bezpieczeństwa, rozporządzający też wspólną siłą militarną, która zabezpieczy to poczucie. W tym związku winna znaleźć miejsce i Rosja i inne wielkie mocarstwa. W jego ramach rozwinąć się winna najdalej idąca współpraca międzynarodowa i wykuwać się świadomość europejskiej łączności i światowego obywatelstwa.

Pisząc ten list do Was, zdajemy sobie sprawę w pełni z zarzutu, który nas może spotkać, że przecież tak mało dziś możemy fizycznie zrobić dla realizacji naszych idei. Ale dlatego właśnie, że stoimy wciąż oko w oko ze śmiercią, że w najbliższej przyszłości grozi nam większa jeszcze tragedia, chcemy wobec Was wypowiedzieć nasze pragnienia, nasze ideały, które dają nam siłę trwania i podejmowania nierównej walki, a przecież nikt lepiej od nas nie może znać naszej sytuacji i sytuacji tego pasa Europy, na którym historia naszego narodu rozwija się od tysiąca lat.

Tylko świadomość, że ideały nasze będą w tej wojnie zrealizowane, pewność, że ofiary nasze nie pójdą na marne, może uczynić drogę naszą łatwiejszą i siły nasze udziiesięciokrotnieć w walce, którą prowadzimy. Tę świadomość i pewność może nam dać wyraźna postawa Rządu Wielkiej Brytanii i Stanów Zjednoczonych w sprawie naszych podstawowych postulatów, jak:

Zabezpieczenie naszych terenów przed ewentualną okupacją sowiecką.

Uwzględnienie w planach operacyjnych i wojskowych takiego udziału naszych Sił Zbrojnych, znajdujących się na emigracji, by jak najszybciej znalazły się na terenie Kraju.

I wreszcie zaopatrzenie nas w broń, byśmy mogli dać odpór niemieckim planom ewakuacyjnym.

Stworzyłoby to znów atmosferę zaufania i pewności, tak niezbędnej narodowi niszczonemu co dzień w okrutny sposób.

Pisząc do Was jesteśmy przekonani, że nasze myśli i pragnienia znajdą u Was żywe echo i wyraz w Waszej akcji politycznej.

Centralne Kierownictwo
Ruchu Mas Pracujących Polski

Warszawa, dnia 10 stycznia 1944 r.

ARCHIWUM PROF. STANISŁAWA KOTA

W 1984 roku, podczas mojego pobytu w Polsce, celem zbierania materiałów do mojej pracy doktorskiej, pod tytułem „Stosunki Wewnętrzne w Rządzie Generała Władysława Sikorskiego, 1939-1943”, którą robię na London School of Economics and Political Science, miałam możliwość zapoznać się ze zbiorem dokumentów, zgromadzonych w ciągu swej długoletniej pracy politycznej przez Profesora Stanisława Kota, stanowiących tak zwaną „Kolekcję Profesora Kota”, która jest przechowywana w archiwum Naczelnego Komitetu Zjednoczonego Stronnictwa Ludowego w Warszawie, dokąd została przywieziona z Londynu w 1969 roku.

Stanisław Kot (1885-1975) był historykiem, politykiem i działaczem ruchu ludowego. W latach 1914-1918 był działaczem NKN. Od 1920-1936, profesorem Uniwersytetu Jagiellońskiego. W latach 1936-1939 był ściśle związany z Frontem Morges. W latach wojny (1939-1945) w gabinecie Generała Sikorskiego pełnił funkcję Ministra Spraw Wewnętrznych (1939-1942). W latach 1941-1942 był ambasadorem w ZSSR. W latach 1943-1944 Ministrem Propagandy w rządzie Stanisława Mikołajczyka. W roku 1945 powrócił do kraju i był ambasadorem PRL w Rzymie (1945-1947). Potem przebywał na emigracji, gdzie przez wiele lat był bardzo aktywnym członkiem PSL. W tym okresie ogłosił szereg ciekawych książek po polsku i po angielsku, dotyczących jego działalności jako ambasadora rządu polskiego w Kujbyszewie: *Rozmowy z Kremlm* (Londyn 1959); *Conversations With The Kremlin And Dispatches From Russia* (Oxford 1963) i *Listy z Rosji do Generała Władysława Sikorskiego* (Londyn 1956) oraz przyczynił się wydatnie do wydania wspomnień Witosa. Seria chorób w 1964 roku zakończyła się paralizem, który bardzo ograniczył działalność polityczną i pisarską Kota. Zmarł w Londynie 26 grudnia 1975.

Kolekcja Kota zawiera 220 jednostek archiwalnych, obejmujących dokumenty z lat 1919-1921, 1921-1924, 1929-1930, 1930-1933 oraz 1935-1947. Dokumenty pochodzą z rozmaitych części świata, z Ameryki Północnej i Południowej, Bliskiego Wschodu oraz Europy. Zespół nie jest kompletny. Osiemdziesiąt procent materiału pochodzi z lat 1939-1943. Pewna część materiałów znajdowała się w posiadaniu przyjaciela profesora Kota, profesora Jana Hulewicz, które po jego śmierci stały się własnością p. Hulewiczowej, drugiej żony profesora, mieszkającego w Krakowie. Te akta nie są, niestety, dostępne. Druga część znajduje się w archiwach Muzeum Polskiego i Instytutu Generała Sikorskiego w Londynie. Spuścizna naukowa profesora Kota była przekazana do Biblioteki Jagiellońskiej w Krakowie w 1964 roku.

Pod względem charakterystyki, zespół dokumentów jest bardzo obszerny i zróżnicowany, np. korespondencja urzędowa i prywatna Kota; propaganda przeciw-rządowa; protokoły Rady Ministrów; tajne wiadomości z Kraju; biuletyny informacyjne, itd. Pierwsza część materiałów dotyczy bezpośrednio osoby profesora Kota, zawiera m.in. korespondencję osobistą i urzędową, przemówienia, wycinki z prasy i sprawy prywatne. Druga, obszerniejsza część odzwierciedla sytuację w Kraju pod okupacją hitlerowską — sytuację polityczną, militarną, ekonomiczną i społeczną i stanowi większą część aktów, zawierającą 73 teczek. Trzecia grupa dotyczy sytuacji Polaków na wschodnich terenach R.P. lub w Związku Sowieckim, np. warunków bytowych w obozach

jenieckich i w głąbi Rosji; sytuacji katolików we wschodnich województwach II R.P.; zagadnień narodowościowych ZSSR itd. Niestety, dostęp do tych materiałów jest ograniczony. Czwarta grupa zajmuje się losami Polaków na emigracji, w Rumunii, na Węgrzech, we Francji, w Anglii i na Bliskim Wschodzie. Jest to grupa bardzo zróżnicowana, pokrywająca cały szereg tematów, np.: sprawy uchodźców; łączność z krajem; odbudowa wojska we Francji i Anglii; instytucje społeczne na emigracji; ewakuacja do Anglii, itd.; odtwarza ona dosyć wyraźnie obraz życia Polaków na wygnaniu.

Piąta część archiwum zawiera akta związane z organizacją i działalnością aparatu rządowego na emigracji, włącznie z aktami Prezesa Rady Ministrów, Rady Narodowej, Prezydenta, Prezydium Rady Ministrów, komisji i komitetów różnego rodzaju, ministerstw w rządzie — np.: Ministerstwa Informacji i Dokumentacji, Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, Ministerstwa Opieki Społecznej, itd. oraz placówek dyplomatycznych na całym świecie. Te dokumenty nie są efektem pracy jednej, lecz kilku samodzielnych kancelarii. Następną część zawiera raporty i sprawozdania o sytuacji w kraju, szczególnie wiadomości od i o ludowcach: o przyszłym ustroju w powojennej Polsce z punktu widzenia poszczególnych stronnictw i rządu i o sytuacji i stosunkach panujących wśród Polaków na wygnaniu (gdzie stosunek opozycyjny do Sikorskiego jest bardzo wyraźnie podkreślony). Siódma grupa dotyczy polskiej prasy emigracyjnej, przedstawiając mnóstwo komunikatów radiowych, biuletynów informacyjnych, wycinków z gazet, itd. Ostatnie dwie kategorie zajmują się kolejno sytuacją Polaków wywiezionych na roboty, jeńcami wojennymi, Żydami w Polsce, w ZSSR i na emigracji, i stosunkiem Polonii w Ameryce Północnej i Południowej do Polski i Polaków podczas drugiej wojny światowej.

Reszta archiwum, ok. dwadzieścia procent, dotyczy okresu międzywojennego i pokrywa rozmaite tematy, m.in.: umowy międzynarodowe; partie polityczne w Polsce; działalność Państwowego Banku Rolnego w Warszawie, itd. Jest to stosunkowo mała i bardzo rozproszona grupa, w porównaniu do aktów z okresu wojennego.

W sumie, jest to bardzo bogate i urozmaicone archiwum*, wymagające dokładnego przejrzania i zapoznania się.

Bernadetta TENDYRA

1985

P.S. Dziękuję doktorowi Janowi Ciechanowskiemu za pomoc w przygotowaniu tych dokumentów do druku.

Bukareszt, 24. X. 1939.

426/X/39

Kochany i Drogi Generale!

Raz wreszcie zyskawszy pewność przesłania Ci listu bez kontroli (przez min. Szumlakowskiego), korzystam z tego, by Ci najpierw powinszować Twego odpowiedzialnego stanowiska, tra-

* Zamieszczamy kilka dokumentów z tego archiwum. Dalsze materiały będą publikowane później (*Red.*).

giczne że w takich okolicznościach dopiero przez los nasuniętego. Wierzmy wszyscy, że nikt inny tak sobie nie dałby rady jak Ty, mimo nieopisanych trudności. Po przejściu granicy 13-go i wszelkich przytrzymaniach siedzieliśmy tu ponad tydzień, wczoraj dopiero przyszło pozwolenie na francuską wizę. Marian [Szumla-kowski] odjeżdża jutro na noc, ja muszę inne zezwolenia (łatwe) zdobywać, co zajmie dni parę i uważam za konieczne zboczenie do Budapesztu dla skontrolowania (według doświadczeń tu nabytych) możliwości kontaktu z okupacją niemiecką.

W kraju pod Sowietami

Rozpacz nieprzytomna. Polskość jakby zapadła się. Wszystko ujęli Ukraińcy spod znaku Konowalca, częścią Undowcy oraz Żydzi (nie burżuazja, ci w rezerwie), ale i ci wszyscy są w rękę elementu stalinowskiego z Kijowa. Polacy zniknęli z obszarów dworskich, z leśnictw, itp., stłoczeni w miastach z widmem śmierci głodowej. Skupieni, trzymają się w solidarności, ale bez organizacji. Straszna gorycz, więcej: nienawiść do tych co zguby winni, do dowództw wojskowych i władz państwowych, nikt z nich pokazać by się nie mógł, pozdzierali ze ścian uśmiechnięte twarze bufonów. Ale od razu znikły wszelkie różnice partyjne i dziś nikt w nieszczęściu nie pyta, kim kto był, trzeba się trzymać po cichu razem. Powstanie rządu w Paryżu stało się jedyną iskrą nadziei. Każde radio donoszące szczegóły (niestety dochodzi tylko via Londyn, francuskie za słabe, nie dają się chwycić) wywołuje wzruszenie. Twoje przemówienie było wśród płaczu słuchane (to że każdy wszędzie jest żołnierzem itp.). Od chwili powstania rządu, każdy by chciał lecieć do legionu w nadziei, że wreszcie skończyły się rządy zbrodniczej klikki. Ja — jak wielu — byliśmy zdecydowani nie ruszać się ze Lwowa i tkwić mimo ryzyka, dopiero świadomość, że już nie trzeba będzie włączyć się i żebrać o ofiarowanie swych sił dla ojczyzny (tak to było we wrześniu w kraju) pchnęła nas do ucieczki przez Czeremosz (wśród ryzyka żona omal nie utonęła). Dziś w kraju moc ludzi, mimo niebezpieczeństwa i GPU, czeka na Twoje rozkazy z całkowitym poświęceniem.

Wybory niedzielne były oczywiście, mimo pozornego liberalizmu ordynacji, komedia; kto by się ośmielił wysuwać kandydatów nie aprobowanych przez GPU dla tego koniec. Pośtom każą w parę godzin, bez dyskusji, uchwalić wcielenie do Kijowszczyzny. Wszystkie meetingi są z góry aranżowane a sprawozdania z przemówień fałszowane, np. Czekanowskiego na wiecu uniwersyteckim i Goraszpica na wiecu inteligencji; powiedzieli parę frazesów obojętnych, ale przywoitych, a ogłoszono przez radio, że witali czerwoną armię itp. Muszę podnieść, że najwięcej godności okazują właśnie lewicowcy, ci których poprzednio ściągano za sympatie komunistyczne.

Granica

Znika ostatnia placówka, konsulat rumuński, która ułatwiła wyciekanie ludzi, ale tu na granicy, przy pomocy przyjaciół zorganizowałem sieć i dla ściągania ludzi, i dla przesyłania wskazówek. Z przerwami, ale będzie działać. Jest to instrument delikatny, nieco oparty o władze graniczne rumuńskie. Stawna „dwójka” nudząc się w Rumunii przez miesiąc nic nie potrafiła pod tym względem, mimo przechwałek i wydatków hojnych. Niestety, znów ci ludzie, już pod Waszą egidą, chcą opanować tę sieć. Najpierw, wskrzeszone przez Rydza (około 27 września) POW z Schätzlem (ten zaprzysięgał ludzi) i Drymmerem, pragnie się odbić za hańbę niby tą pracą w kraju, w oczywście wrogim czy dywersyjnym stosunku do Rządu. Teraz już widzę, że się im na to nie pozwoli (min. Szum[lakowski] nie dopuścił do użycia na to sum państwowych, ale mają dość ich jeszcze), wsuwając swoich ludzi do „dwójki” rządowej. Zdaje się, że gen. Kleeberg to gołębia prawosć ale nieznamość ludzi; wskazani przez niego dwójkarze wydają się raczej zaufanymi tamtej strony. Użycie Skindera, Niezbrzyckiego itp. to by potwierdzało; już się organizuje placówkę czerniowiecką z ludzi wątpliwych — czyż my mamy swoją sieć im oddawać? Płk Zakrzewski umywa od tego ręce, twierdząc, że się nie może mieszać do ludzi dobranych przez Smoleńskiego z mandatu Kleeberga, ale jak sądzę im nie ufa. Tu w ogóle ludzie dwójki roztasowali się wszędzie i usiłują kontrolować ambasadę. Musi tu, dla tych spraw, być człowiek obrotowy i znający ludzi, który by się oparł intrygom kilku-set spryciarzy dawnego systemu.

Ambasada

Ambasada, zwłaszcza w osobach amb. Raczyńskiego i radcy Ponińskiego, zasługuje na zaufanie i poparcie. Ostatecznie nie kto inny, ale oni zmusili stary rząd do zniknięcia i stworzyli warunki powstania nowego. Są przedmiotem dzikiego obstrzału całej grupy Becka itp. Jeśli dotąd ma się tu względy dla uchodźców (mimo całego nacisku Niemców) i uznaje faktycznie nasz rząd, to rezultat osobistego autorytetu amb. Racz[ynskiego] a zręczności Ponińskiego. Im trzeba dać poparcie i cofnąć zbyt rygorystyczne zakazy pieniężne min. Koca, bo to tutaj nie do wykonania (wobec 50 tys. masy uchodźczej, na oczach Rumunów, rząd polski nie może dopuścić do głodzenia itp. uchodźców, to by tu zaszkodziło politycznie) zapewne z początku, zwłaszcza Bank Polski zdaje się porobił ogromne błędy i rozrzutności, ale to dziś pohamowane, czuwa nad tym Kajetan Morawski i inni. Amb. Raczyńskiego koniecznie trzeba wezwać do Paryża, jest ogrom spraw do omówienia z nim, których się nie da przez pocztę załatwić. On tu ma taniec wśród mieczów. Podkreśla on bardzo konieczność zlikwidowania sprawy Rydza pod względem prawnym: musi wyjść dekret Prezydenta usuwający go ze stano-

wiska gen. Inspektora (i na wojnie Nacz. Wodza) a mianujący innego, nie na Francję ale w ogóle. Nieznane są tu wyniki jazd Piaseckiego, który złożywszy u płk. Zakrzewskiego deklarację, że wstępuje do wojska, wrócił tu (twierdząc, że ma mandat od prez. Racz[kiewiczza]) i coś znów z Rydzem pertraktował.

Płk Zakrz[ewski] jest lojalny, prostolinijny, ale zaorany sprawą transportów itp. i nie chce się mieszać do spraw ogólniejszych, uważając je za polityczne. Jest on zresztą ambasadą w ambasadzie, zdałby się ściślejszy jego kontakt jeśli nie z amb. R[aczyńskim], to z radcą Ponińskim.

Intrygi

Beck nie rezygnuje. Pod pretekstem chorób obaj z Romanem chcą wymknąć się. Pani Beckowa rozbija się tu po salonach, zwłaszcza u Anglików, składa jakieś deklaracje w imieniu męża. Gra się na Anglię przeciwko Rządowi jako kreacji francuskiej. Beck zresztą wciąż pije w Brassow. Min. Szum[lakowski] ma obliczenia ile walut utonęło ostatnio w jego kieszeni, w ogóle trzeba by te dochodzenia pieniężne sprecyzować, ludzi przycisnąć, ciało prokuratorskie należycie upełnomocnić i wyinstruować (zaczyna to robić prok. Bieńkowski; kto wie czy Żeleński nie byłby twardszy, on się przeorientował przyzwoicie, idzie do Legionu i stamtąd, nie stąd teraz, winien być tu z powrotem przysłany, to człowiek z charakterem, nie kryjący błędów przeszłości). Trzeba skończyć z POW, oni się powołują na gen. Sosnkowskiego, czy słusznie? Czy ich organizacja będzie jego więcej słuchać niż Schätzla-Drymmera? Zresztą powołanie się na te sfery wzbudzi zaraz w kraju nie tylko nieufność ale wściekłość u ich własnych ludzi. Siedząc tu we własnym gronie i wielbiąc się wzajem, ludzie samego reżimu nie zdają sobie sprawy, że ich kraj znienawidził i jako sprawców klęski, i jako tchórzów. Zresztą ci ludzie utyli i raczej ciągną fundusze nie zdolni do pracy. Czy p. Wasilewski z Belgradu to człowiek do rzeczy i zdolny to wszystko opanować? Ludzie obdarzeni mandatem, jak Arciszewski, nie umieją się od nich odciąć, to dawni współpracownicy (tutejsi przyjaciele Francji nie mogą zapomnieć panu Ar[ciszewskiemu] jego przeszłości narzędzia Becka, obalenia Titulesco itp.). W ogóle, 2-3 ludzi bystrych winno tu siedzieć i pilnować kontaktu z krajem oraz tępić intrygi. Np. wciąż tajemnicze siły (czy stare formularze paszportów dypl.) przemycają do Paryża ludzi, jak Roupert-Skonieczny, Englisch (też pod fałsz. nazwiskiem), Ścieżyński (ma wzię do Belgii), pewno pojedzie też Miedziński?

Sejm i Senat

Makowski wystosował pismo do prezydenta Racz[kiewiczza] o wezwanie go do jego boku a potem (cały Ozon) do propagandy. To byłby skandal utrzymywanie tej reprezentacji. Dlaczego do-
tąd nie rozwiązani? Kraj ubolewa, że za trwożliwe są kroki rzą-

du, że dawne indywidua wciąż na powierzchni. Likwidacja każdego z tych ogniw wzmocni zaufanie do rządu. Natomiast, chyba trzeba przygotować jakąś formę rady narodowej, a w niej byłoby miejsce dla osób reprezentacyjnych, które zbytnie rozszerzają gabinet.

W dyplomacji

Spotkałem się tu z nuncj. Cortesim, pytałem dlaczego nie jest u boku Rządu. Oświadczył, że Wy się o to musicie postarać w Rzymie. Sądzę, że należy tego pilnować.

Listę internowanych tu dobrych urzędników MSZ, nie z szafki Drymmera, wręczyłem panu Szum[łakowskiemu].

Kładę nacisk na należyte użytkowanie Drohojowskiego (mimo że go min. Zaleski nienawidzi) albo jako radcy w Waszyngtonie, albo jako szefa propagandy w Stanach.

Na gwałt trzeba placówki oczyścić ze szkodników i to wszystkie. Czy by się nie udało w Londynie u Racz[kiewiczza] zabezpieczyć szyfrów Becka (o ile już ich nie spalił), aby znać jego instrukcje — wszystkie raczej spalone. Niech Ci min. Sz. zreferuje skandal i łajdactwo z porzuceniem najtajniejszych archiwów MSZ w Krzemieńcu na łup Sowietów, które natychmiast wzięły się do fotografowania etc. Woleli — pp. Drymmer, Sokołowski i Pobóg-Malinowski — ocalać swoje bagaże (Rząd przywiózł 14 camion'ów, wysłał je 3. IX z Warsz[awy] do granicy rum[uńskiej], nie przez Lwów, Fabrycowa zwiozła tu nawet cały zapas konfitur).

Obawiam się z tego co słyszę, że w dziedzinie wydawnictwa i propagandy naciera na rząd moc osób nie najlepszych. Czy by się ważniejszych decyzji nie dało przeciągnąć, aż ja przyjadę. Wszak trzeba dobra ludzi i uczciwych, i oszczędnych, i zręcznych, i pewnych. Nie wiem czy Zygm[unt] Nowakowski zdołał się wymknąć (szedł via Bolechów na Węgry). Różne wnioski będę miał, też co do Radia, PAT-a etc. Czy ma sens używanie ludzi jak Kirken (Trans-Continental Press)?

Urywam, bo p. min. Sz[umłakowski] jedzie. Serdeczne i gorące uściski Ci ślę.

W piątek zapewne stąd wyjadę. 2 dni — Budapeszt (może tam mi przyslesz wskazówki, około 28-30) a stąd do Paryża jadę, chciałbym po drodze zatrzymać się dzień w Morges.

27. X. 39, Bukareszt

43/X/39

Drogi Generale!

Podobno jedzie kurier, więc w pośpiechu kreślę parę słów w najpilniejszej sprawie.

Gen. Kleeberg, zgodnie z wnioskiem p. Smoleńskiego, ustano-

wił tu działaczy dwójki dla kontaktu z krajem. Kilku z nich niby się wzięło do tej pracy, na czele pp. Skinder, na Czerniowie Nitecki itp. Wprost boję się, że bez zastanowienia się wzięło ludzi podsuniętych. Czyż można bez doboru oddawać tak stosunki najdrażliwsze z krajem. Dwójka spotyka się tu z zarzutami a) niedołęstwa i blagi, b) trzymania gdzieś w swym łonie szpiegów, c) zagrabienia funduszków, d) mafijności i nielojalności wobec rządu. Gdyby przebrać ludzi, można by uczciwych i niezuciżyżtych użyć gdzie indziej, ale tu, w ich rękach zostanie kontakt z krajem, to absurd. Odmówiłem oddania im naszej organizacji (w której są wszyscy, od PPS do Ozonu i ND) dopóki nie będę miał z Paryża wyraźnej wiadomości, że zbadano krytycznie kwalifikację wszystkich z dwójki i dobrano lojalnych. Dwójka jest w organizacji Rydza, która sobie za cel postawiła jego rehabilitację, ale niektórzy (Haraszkiewicz) są w organizacji Becka stworzonej tu przez Schätzla-Drymmera. Są to jady i miazmaty nie do zniesienia. Np. Arciszewskiemu wsunięto do boku dwóch z tej ostatniej mafii (Samborskiego i Czyżewskiego), aby trzymali w rękę uchodźstwo. To się musi przeczyścić. W kraju lękają się, że w nowym rządzie będą kontynuacją dawnego systemu pewni ludzie. A jakież wrażenie robi fakt, że tu wciąż wszystko opanowują ciż ludzie (i organizacje i fundusze, o ile ich nie rozkradli) — to budzi wściekłość i gorycz u ogółu, nawet sanacyjnego.

Proszę o wyjaśnienie, że 1) dobór osób dwójki do kontaktu z krajem musi być ponownie dokonany i żeby do tego czasu wstrzymali działalność wyznaczeni przez Smoleńskiego (to do *attaché*), 2) żeby Samborskiego i Czyżewskiego nie używano do pracy w Komisariacie dla uchodźców (to do Arciszewskiego).

Jadę w sobotę rano do Budapesztu, we wtorek chciałbym do Zagrzebia ściągnąć płk. Wasilewskiego, potem zatrzymam się w Morges i stanę w Paryżu.

Serdeczne uściski.

LIST JERZEGO KURCJUSZA* DO PROFESORA STANISŁAWA KOTA

Stambuł, dnia 18 listopada 1940 roku.

Wielce Szanowny Panie Profesorze,

Niezależnie od memoriału uzgodnionego między podpisami pod nim, skierowanego pod adresem Pana gen. Sikorskiego, który stanowi materiał i argumenty, że się tak wyrażę, oficjalne i po-

* J. Kurejusz był kierownikiem Akeji Kontynentalnej w Tureji.

parte dowodami, dającymi się sprawdzić, pozwałam sobie od siebie zakomunikować Panu Profesorowi przebieg zdarzeń na terenie Stambułu, opierając się nie tylko na faktach dających się udowodnić, ale również na podejrzeniach i wycieczkach, które miałem możność poczynić w ciągu blisko 3-miesięcznego borykania z trudnościami w Stambule.

W końcu sierpnia, kiedy na podstawie polecenia Pana Profesora przyjechałem tutaj, placówka w Bukareszcie była jeszcze całkowicie bezpieczna i stanowiła niewątpliwą centralę sanacji na Bałkanach. Dlatego wystarczało im utrzymanie w Stambule jedynie ośrodka łącznikowego dla spraw technicznych raczej, niż politycznych. Rolę tego ośrodka odgrywał tu w tym czasie p. Winiewicz, b. redaktor *Dziennika Poznańskiego*, człowiek grupy Sławka, który udając, że po wypadkach wojennych przeżył wielki przełom wewnętrzny, uzyskał (jak twierdzi) poparcie p. min. Seydy i dzięki niemu początkowo prowadził w Budapeszcie *Więści Polskie*, następnie zaś nawet, rzekomo, wezwany do Angers, gdzie nie dojechał z powodu załamania się Francji, i po krótkim pobycie w Atenach, gdzie nawiązał stosunki z tamtejszym posłem Günterem i pozostawił swoją komórkę, przybył do Stambułu, gdzie spotkał się ze swym dobrym znajomym z Budapesztu, p. Kunickim¹. P. Winiewicz jest człowiekiem zdolnym, zręcznym i fałszywym. Pozostawał zawsze w bliskich stosunkach z p. Giedroyciem, który robi obecnie wrażenie jego szefa lub pośrednika pomiędzy właściwym szefem, którym jest Beck, a ośrodkiem stambuńskim. Przez okres września i października rola p. Winiewicza, jak zaznaczyłem, polegała jedynie na przyjmowaniu sanatorów przyjeżdżających tutaj, opiekowaniu się nimi i odpowiednim kierowaniu ich dalej. Równocześnie p. Winiewicz, dużo sprytniejszy i lojalniejszy od Kunickiego, opłatał go w ten sposób, że wprost wydawało się rzeczą niepojętą uleganie Kunickiego Winiewiczowi we wszystkim. Prawdopodobnie bez wiedzy i zgody MSZ Winiewicz został ustanowiony tu rodzajem *attaché* prasowego, urzęduje w jednym pokoju z Kunickim, zręcznie utracą każdą inicjatywę, która nie jest jego, i kieruje faktycznie wszystkimi sprawami zza pleców Kunickiego, który jego polecenia posłusznie wypełnia. Sam Kunicki, który jest człowiekiem niezwykle ambitnym i żądnym władzy, nie wyrobił sobie jeszcze poglądu co do tego, czy sanację należy uważać za skończoną bezpowrotnie, czy też jest to tylko jej chwilowy impas. Winiewicz zręcznymi posunięciami wierę w odrodzenie sanacji przez okres 2 miesięcy w nim podsycił, równocześnie obstawiając swą pozycję na wszystkich możliwych terenach dających tutaj wpływy. A więc w Komitecie obywatelskim, przyznającym uchodźcom zapomogi, posiada swego człowieka, niejakiego Styburskiego, przy pomocy którego reguluje dawanie zasiłków sobie do-

1. Tadeusz Kunicki — zastępca naczelnika wydziału wschodniego MSZ, internowany w Ślanie.

godnym i utrącanie niewygodnych, przez stosunki z *attaché* wojskowym z Bukaresztu, płk. Zakrzewskim, gdzie jest rodzajem referenta politycznego, dociera do spraw wojskowych i II-ki. Przez podtrzymywanie dobrych stosunków z niektórymi naiwnymi przeciwnikami sanacji stara się wytworzyć opinię o swym lojalnym do rządu nastawieniu politycznym itd. Ponieważ Kunicki jest człowiekiem ostrożnym i afiszować się nie lubi, wszelkie stosunki z Drymmerem, który tu, jak doniosłem, siedział przez parę miesięcy, załatwiał Winiewicz. Oczywiście z chwilą, gdy w Rumunii stało się niebezpiecznie i rozpoczęła się masowa ucieczka do Stambułu lub przez Stambuł, ośrodek tutejszy nabrał pierwszorzędnego znaczenia i według mnie zamierzano tu stworzyć centralę pracy sanacyjnej. W tym to czasie, gdy na skutek mego wniosku przyszło polecenie ewakuowania na Cypr Poniatowskiego², który w organizacji sanacyjnej gra bez wątpienia znaczną rolę, ten ostatni odmówił wyjazdu, twierdząc, że nie czuje się zagrożony i ma zamiar pracować zarobkowo w Turcji, na co posiada już duże widoki i przyrzeczenia. P. Kunicki pomimo niedwuznacznego polecenia nie tylko go nie ewakuował, ale przeciwnie, łącznie z Poniatowskim przeprowadzał badania, kto mógł się ośmielić zawiadomić rząd polski o tym, pod jakim pseudonimem p. Poniatowski tutaj przebywa. Po upływie paru tygodni, pomimo, że zagrożenie w Stambule nie powiększyło się ani trochę, a widoki na uzyskanie pracy zarobkowej nie zmniejszyły się także, p. Poniatowski, za namową i na pisemną propozycję p. Kunickiego, postanowił wyjechać i siedzibę swoją przenieść do Palestyny, w czym mu naturalnie Ambasada miejscowa skwapliwie dopomogła. Równocześnie niemal z nim wszystkie figury sanacyjne wyemigrowały również do Palestyny. Pojechał więc Drymmer, Waleski, Grabowski, Jędrzejewicz i inni. Pozostał w Stambule obecnie tylko Składkowski, który zachowuje się z największą godnością i powagą spośród nich wszystkich i robi wrażenie całkowitego odsunięcia się od pracy politycznej. Jedynek, b. wice-marszałek sejmu (nieszkodliwy dureń) oraz agent Becka, wicedyrektor jego gabinetu Sokołowski. Jestem przekonany, iż centrala, wobec nieudania się ucieczki Becka, została przeniesiona do Palestyny, gdzie w tej chwili jest już zbiorowisko niesłychane. Proszę mi wybaczyć, Panie Profesorze, wtrącanie się [do] nie-swoich spraw i rzeczy, ale pozwolę sobie zadać pytanie, czy Pan Profesor i pan generał Sikorski pewni są całkowicie obsady wojskowej naszej w Palestynie i Egipcie? Skład osobowy oficerów tam jadących robi przygnębiające wrażenie. Są to wszystko starzy zawodowcy, ludzie, którzy swoim niedołęstwem i głupotą, a często wręcz zbrodniczym postępowaniem bądź co bądź przegrali wojnę, oni odsuwają na drugi i trzeci plan młodych, na których generał Sikorski mógłby się śmiało oprzeć, oni otrzymują przydziały i funkcje, oni szerzą dalej, jak za najlepszych lat sanacyjnych, kult Piłsudskiego, o którym słowa nie można pisać

2. Juliusz Poniatowski — były minister rolnictwa, internowany.

ujemnie, oni swą głupotą, nietaktem i typową sanacyjną butą wywołują rozgoryczenie i rozżalenie w elemencie młodszym, ideowym i stale upośledzonym, bo miejsca jemu należne są zajęte. Masowy wyjazd wodzów sanacyjnych do Palestyny, niewątpliwe kontakty nawiązywane przez nich w armii, posiadanie większości oficerów sobie oddanych lub ze sobą konspiracyjnie związanych, zmuszą do snucia nieco alarmujących obaw.

Na tym tle rola Kunickiego i jego pomocników jest jeszcze bardziej jaskrawa. Rząd jest daleko, prawdopodobnie w piwnicach i schronach, jak się tu z lubością powtarza. Rząd nie odpowiada miesiącami na depesze w najważniejszych sprawach, rząd nie potrafi na wewnątrz u siebie przeprowadzić swych postulatów, a tu blisko jest sprężysta organizacja, posiadająca ludzi na wszystkich stanowiskach w dyplomacji, popierająca się wzajemnie i dająca swoim ludziom pomoc i poparcie rzeczywiście szybko i sprawnie. To są przesłanki, które człowieka niezdecydowanego w ustosunkowaniu się do przyszłości muszą odpowiednio nastrojać. Kunicki też, któremu Winiewicz i inni w ten sposób argumentują bez ustanku, coraz bardziej przechodzi na stronę organizacji Becka i coraz wyraźniej zwalcza, wykorzystując swą kluczową pozycję w Stambule, wszystkich przeciwników sanacji.

Argumenty ze sprawy z Kuźniarzem, z Aleksandrowiczem, z wizami dla Zaleskiego i Kisielewskiego przytoczone są w memoriale do gen. Sikorskiego. Ja pragnę dodać do tego to jedynie, że ani p. Kunicki, ani p. Winiewicz pozostać tutaj w żadnej roli absolutnie nie mogą, choćby byli podporządkowani komukolwiek. Również jest rzeczą wykluczoną, żeby na miejsce Kunickiego przyjść mógł ktokolwiek z dygnitarzy bukareszteńskich. Na wszystkich nich ciąży bardzo poważne podejrzenie denuncjacji najbardziej uczciwych i pozytywnych ludzi, jacy w Bukareszcie byli i spowodowanie ich aresztowania, co było podyktowane z jednej strony zemstą za uniemożliwienie ucieczki Becka, z drugiej zaś strony porachunkami z Giedroyciem, za którym twardo stał Raczyński razem z całą swoją kompanią. Ani Poniński³, ani Arciszewski⁴ nie mogą wchodzić w rachubę, na podstawie tego co wiem o nich od Zaleskiego, Kuźniarza, Aleksandrowicza, Kisielewskiego, którego uważam za człowieka wielkiej klasy i wartości, nie szafującego absolutnie gołostownymi zarzutami, współpraca z nimi nie byłaby nic a nic lepsza niż z Kunickim, Sokolnickim lub Szczerbińskim⁵. Placówka stambulska wymaga dokładnej czystki. Proszę mi wierzyć, Panie Profesorze, że przez 8-miesięczny pobyt na 3 placówkach nabrałem głębokiego przekonania, że prowadzenie, a tym więcej urzędowanie na naszych placówkach zagranicznych obecnie wymaga jedynie uczciwości, sumienności i lojalności, żadna specjalna wiedza czy nawet wiel-

3. Alfred Poniński — radca ambasady R.P. w Bukareszcie.

4. Mirosław Arciszewski — delegat Rządu d/s uchodźców polskich w Rumunii.

5. Zdzisław Szczerbiński — radca ambasady R.P. w Ankarze.

kie wyrobienie lub rutyna nie są warunkami niezbędnymi. Dlatego uważam, z sumieniem zupełnie spokojnym, że w razie zdecydowania się przez rząd na zmiany personalne tutaj, można śmiało dobrać ekipę młodą i z dawnym sanacyjnym (ani z jeszcze dawniejszym MSZ p. Zaleskiego) wcale nie związaną. Oczywiście zdaję sobie sprawę, że poza zmianami najważniejszymi w stosunku do miejscowych dygnitarzy, byłyby konieczne przesunięcia i zmiany podyktowane całkiem innymi już względami. Łapówki tu kwitną. Opowiada się o tym niestworzone historie. Są to jednak, wobec powagi politycznej tamtych spraw, raczej drobiazgi drugorzędne, na które przyjsć może kolej w odpowiedniej kolejności. Liczę się z tym także, że zmiany personalne nie będą może mogły nastąpić od razu. To jednak także już raczej kwestia techniczna.

Przechodząc do innych zupełnie zagadnień, zgodnie z tym co komunikowałem telegraficznie, z p. Mik[icińskim] jestem w stałym kontakcie. Propozycja robiona mi przezeń jest niezwykle nęcąca, nie mniej jednak zdaję sobie sprawę z wielu poważnych niebezpieczeństw z nią związanych. Dlatego ośmieliłem się prosić o pozostawienie mi ostatecznej decyzji w zależności od przebiegu wypadków,

Z bazą wojskową stosunki moje układały się do niedawna znakomicie na płaszczyźnie wzajemnego całkowicie porozumienia i zaufania. Było to wynikiem wysokiego poziomu lojalności i uczciwości stosunku do pracy dotychczasowego kierownika bazy. Obecnie, po ewakuacji Bukaresztu, trudno mi jeszcze powiedzieć jak się rzeczy ułożą, mam jednak pewne obawy, czy stan dotychczasowy będę mógł utrzymać.

Zagadnieniem palącym jest kwestia stacji r. Dotychczas posługiwałem się stacją bazy, gdyż p. Kunicki odmówił mi nadawania moich depesz na swojej stacji, a nawet oświadczył, że nie życzy sobie wraz z ambasadorem posiadać w ambasadzie nieznanego sobie szyfru (ładnie byśmy wyglądali bez tego szyfru teraz). Obecnie są i z tym pewne trudności, a dochodzi konieczność zastąpienia Bukaresztu i prowadzenia rozmów również z domem. Jest tu stacja kol. Kań[skiego] z Bukaresztu, bardzo dobra i dotąd nie używana. Nie mogę jej jednak ruszyć bez wyraźnego polecenia rządu zarówno do Kańskiego, który uważa, że może się jedynie dysponować, i do ambasady, która nie zgadza się na jej uruchomienie. Bardzo proszę o załatwienie i rozstrzygnięcie tego problemu.

Łącznie z bazą, która się zajmuje tylko wykonaniem technicznym, wydaję komunikat, którego parę numerów Panu Profesorowi przesyłam. Komunikat idzie bardzo dobrze i pomimo oporu i trudności robionych przez Kunickiego, który widzi w tym konkurencję dla Winiewiczza, rozchodzi się dobrze, a ja dostaję nawet podziękowania z Kairu *via* bazy.

Proszę o nominację dla Zaleskiego i Kisielewskiego i przydzielenie ich do mojej placówki, bo dotychczas sytuacja ich formal-

nie jest niejasna. Są mi konieczni. Także i budżetu dla nich nie ma. Będę wdzięczny za polecenie wstawienia do budżetu placówki po 150 funtów miesięcznie na każdego. Jest prawdopodobne, że skład placówki może ulec powiększeniu jeszcze o 1 lub 2 osoby, których nazwiska podam telegraficznie.

Ostatnio od dłuższego czasu nikt z zaborów niem[ieckiego] i rosyjsk[iego] nie przyjechał. Dziś dopiero mam awizowanego kogoś ze Lwowa, z którym rozmawiać będę w czwartek.

Na tle ponurej atmosfery, jaka tu panuje, rzeczą naprawdę godną podkreślenia jest całkowita harmonia, jaka panuje wśród grupy wysłanników rządu, rekrutujących się z różnych partii politycznych. Z jednej strony Kuźniarz i Aleksandrowicz, z drugiej Zaleski i Kisielewski, poza nimi zaś Macieliński tworzą wraz ze mną grono najzupełniej jednolite i pracujące z całkowitym wzajemnym zaufaniem, lojalnością i sympatią, co stanowi naprawdę przyjemną i cenną płaszczyznę do snucia optymistycznych przypuszczeń na przyszłość, a z drugiej strony jest wyraźnie zaprzeczeniem stosunków bukareszteńskich, gdzie, o ile wiem, były pod [tym] względem duże niedociągnięcia.

Jeśli chodzi o moją prośbę natury technicznej do Pana Profesora, to bardzo proszę o wydanie zarządzenia, aby mi jak najszybciej odpowiadano na moje depesze i możliwie skracano rozwiękły styl telegramów, gdyż przy wielkiej ilości pracy jaką tu teraz posiadamy, często na próżno tracimy czas na cyfrowanie ogromnych depesz, które można zredukować o połowę krócej.

Z min. Baderem jestem w kontakcie listownym. O ile wiem, daje sobie bardzo dobrze radę. Przy sposobności łączę wyrazy szczerego szacunku i prawdziwego poważania.

Jerzy KURCJUSZ

POLSCY SOJUSZNICY

Anna M. CIENCIAŁA

POLSKA W POLITYCE BRYTYJSKIEJ I FRANCUSKIEJ W 1939 ROKU: WOLA WALKI CZY PRÓBA UNIKNIĘCIA WOJNY?

Historycy wciąż różnie interpretują sprawę gwarancji brytyjskich udzielonych Polsce 31 marca 1939 roku, w pełni popartych przez Francję, jak również politykę, która była ich następstwem. Zasadniczo różnice sprowadzają się do tego, czy gwarancje należy uważać za zerwanie z polityką ustępliwości, której symbolem był układ monachijski, czy też za kontynuację tej polityki. Historycy zachodni w pracach ogłoszonych w latach 1945-1961 potępili Monachium i uznali, że gwarancje stanowiły początek nowej polityki stawienia czoła Hitlerowi. Jednakże A. J. Taylor w 1961 roku zakwestionował ten pogląd, twierdząc, że gwarancje były w istocie dalszym ciągiem polityki ustępliwości, ponieważ przewidywały kolejne rewizje terytorialne we wschodniej Europie. Taylor uważał, że taką politykę usprawiedliwiał cel — ratowanie pokoju¹. Otwarcie w latach 1969-1970 archiwów brytyjskich za lata 1938-1939 (na mocy nowej ustawy o 30-letniej klauzuli) sprawiło, że większość historyków zachodnich zajęła przychylne stanowisko wobec ówczesnych twórców polity-

1. A. J. P. Taylor, *The Origins of the Second World War*, Londyn 1961, str. 189 i następane.

ki brytyjskiej, którzy działali pod przymusem szczególnych okoliczności gospodarczych, wewnętrznych i strategicznych. A zatem publikacje oparte na nowych badaniach prowadziły do ogólnie przyjętej tezy, wedle której Wielka Brytania nie miała innego wyboru jak pójść na ustępstwa². Co więcej, niektórzy historycy, interpretując politykę ustępliwości w klasycznym rozumieniu, to jest rozstrzygania sporów na drodze rokowań, doszli do wniosku, że jest to tradycyjna polityka brytyjska uprawiana od połowy XIX wieku, a dyktowana globalnym zaangażowaniem się Wielkiej Brytanii (Imperium), potrzebą utrzymania pokoju w celu kontynuowania handlu, wewnętrznymi naciskami ekonomicznymi oraz wpływem opinii publicznej przeciwnej wojnie. W tym kontekście Monachium uważa się za ostatni przejaw tradycyjnej polityki, która załamała się po tym układzie. Wedle innej interpretacji tej polityki — w 1939 roku chodziło o zabezpieczenie pokoju przez zawarcie nowego paktu czterech, a więc z pominięciem Związku Sowieckiego³.

Chociaż uważa się powszechnie, że marzec 1939 roku oznacza początek nowego kursu polityki zagranicznej, istnieją również odmienne opinie na temat tego, co właściwie zamierzano osiągnąć przy pomocy gwarancji. I tak Sidney Aster twierdzi, że celem gwarancji było wzmocnienie pozycji Polski w rokowaniach, aby mogła negocjować z Niemcami „na równej stopie, bez obawy o użycie siły”. Jego zdaniem, nie był to przejaw ustępliwości⁴. Jak zobaczymy w dalszej części niniejszej pracy, była to faktycznie interpretacja Halifaxa podzielana przez Chamberlaina i większość Foreign Office. Jednakże Simon Newman w książce na temat

2. Pożyteczny przegląd do 1975 roku, patrz Donald C. Watt, „The History of Appeasement” w: *Crisis and Controversy. Essays in Honour of A. J. P. Taylor*, pod redakcją Alana Skeda i Christophera Cooka, Londyn 1976, rozdział 6.

3. Patrz szczególnie: Paul Kennedy, *Strategy and Diplomacy 1870-1945*, Londyn 1983, str. 13-39. Jego rozprawa została po raz pierwszy ogłoszona w 1976 roku, jak i artykuł Paula Schroedera z tą samą tezą: „Munich and the British Tradition”, *The Historical Journal*, tom 19, nr 1, 1976, str. 223-243. Gottfried Niedhart twierdzi, że polityka brytyjska zmierzała do rozwiązania kryzysu przy pomocy następnego paktu czterech, a więc z wykluczeniem Związku Sowieckiego. Celem było zabezpieczenie statusu Wielkiej Brytanii jako wielkiego mocarstwa, patrz Gottfried Niedhart, „Appeasement: Die britische Antwort auf die Krise des Weltreichs und des internationalen Systems vor dem zweitem Weltkrieg”, *Historische Zeitschrift*, tom 225, nr 1, 1978, str. 67-88. Jest to rozwinięcie tezy przedstawionej w jego: „Die britisch-französische Gerantieerklärung für Polen vom 31 März 1939: Außenpolitischer Kurswechsel der Westmächte?”, *Francia: Forschungen zur westeuropäischen Geschichte*, nr 2, 1974, str. 597-618.

4. Sidney Aster, 1939, *The Making of the Second World War*, Nowy Jork 1972, str. 359-360, także 14-16.

gwarancji uważa, że był to dalszy ciąg starej brytyjskiej polityki równowagi sił, która, jego zdaniem, obejmowała również utrzymanie *status quo* w Europie wschodniej. Co więcej, Newman twierdzi, że celem gwarancji było *niedopuszczenie* do pokojowego rozwiązania konfliktu niemiecko-polskiego, a zatem *sprawokowanie* wojny, w której Polska musiałaby walczyć po stronie Wielkiej Brytanii. Zgodnie z tezą Newmana Wielka Brytania musi choćby częściowo ponosić odpowiedzialność za wybuch wojny⁵. Jak się dalej okaże, trudno uzasadnić taką interpretację na podstawie dokumentów archiwalnych, łącznie z tymi, które autor sam cytuje. W mojej książce wydanej w 1968 roku — a zatem, prócz polskich dokumentów archiwalnych, opartej na opublikowanych źródłach — oceniłam gwarancje jako głównie dyplomatyczny środek odstrasżający wobec Hitlera. Wiele lat później, po przeczytaniu brytyjskich dokumentów archiwalnych za rok 1939, doszłam do wniosku, który jest najbliższy tezie A. J. P. Taylora⁶. Historycy niemieccy ogłosili sporo wartościowych rozpraw na temat koncepcji ustępliwości w polityce brytyjskiej⁷, istnieje też jedna praca polska poświęcona gwarancjom brytyjskim udzielonym Polsce, której autor nie mógł widocznie wykorzystać brytyjskich materiałów archiwalnych⁸.

W większości tych prac minimalną uwagę poświęcono polityce zagranicznej Francji w latach 1938-1939. Powodem tego stanu rzeczy było założenie, że Francja jedynie poszła w ślady Wielkiej Brytanii. Założenie to umacniał fakt, że archiwa francuskiego Ministerstwa Spraw Zagranicznych były z nielicznymi wyjątkami niedostępne dla badaczy aż do początku lat 70-tych. Od tego jednak czasu wydano wiele tomów dokumentów oraz ogłoszono dwa poważne studia dotyczące ówczesnej polityki zagranicznej Francji. Są one oparte na francuskich źródłach archiwalnych, które uwiadcniają, że w owych latach rządy Francji w równym stopniu zabiegały o osiągnięcie ugody z Hitlerem, co rządy Wielkiej Bry-

5. Simon Newman, *March 1939, The British Guarantee to Poland*, Oxford 1976, str. 136, 195-196, 220-223.

6. Anna M. Cienciąła, *Poland and the Western Powers 1938-1939. A Study in the Interdependence of Eastern and Western Europe*, Londyn-Toronto 1968, oraz ten sam referat na temat gwarancji brytyjskich dla Polski w 1939 roku wygłoszony na zjeździe American Historical Association w grudniu 1979 w Nowym Jorku.

7. Patrz recenzja Paula Kennedy'ego „The Logic of Appeasement”, *Times Literary Supplement*, Londyn, 28 maja 1982, str. 585-586.

8. Henryk Jackiewicz, *Brytyjskie gwarancje dla Polski w 1939 roku*, Olsztyn 1980. Wcześniejsza praca, patrz Henryk Batowski, *Kryzys dyplomatyczny w Europie. Jesień 1938 — wiosna 1939*, Warszawa 1961, str. 267-309.

tanii — mam tu na myśli książki Anthony'ego Adamthwaite'a⁹ i J. B. Duroselle'a.¹⁰ Istnieje także pożyteczny zbiór referatów przedstawionych na sesji poświęconej stosunkom francusko-brytyjskim, w tym krótkie studium Henri Michela na temat Francji, Wielkiej Brytanii i Polski w 1939 roku¹¹.

W niniejszej pracy przedstawię moje stanowisko w następujących kwestiach: jaki był prawdziwy sens brytyjskich gwarancji udzielonych Polsce oraz jaka była polityka brytyjska i francuska, będąca ich konsekwencją. Moim zdaniem tak zwana polityka stawienia czoła Hitlerowi była w gruncie rzeczy starą polityką w nowym przebraniu; krótko mówiąc, była wyraźnie wzorowana na tej, którą zastosowano wobec Czechosłowacji w 1938 roku. A zatem moje wnioski są następujące:

1. *Celem* tej „nowej” polityki było doprowadzenie do „wynegocjowanej” ugody Polski z Niemcami. Oznaczało to *de facto* oddanie Gdańska Niemcom, z zagwarantowaniem tam praw Polski, oraz ustanowienie niemieckiej komunikacji eksterytorialnej przez tzw. Korytarz Polski (na polskim Pomorzu). Wszystko to miało nastąpić za „dobrowolną” zgodą Polski, w celu uniknięcia piętna nowego „Monachium”, gdzie z Czechosłowacją nie konsultowano się i którego postanowienia została zmuszona przyjąć.

2. *Metodą*, która miała prowadzić do tego rozwiązania było dla mocarstw zachodnich *zagrożenie* Hitlerowi wojną na dwu frontach, z jednoczesnym kuszeniem sugestią, że może osiągnąć co chce na drodze negocjacji. Odnotujemy w tym miejscu, że w 1938 roku Francja zagroziła wypowiedzeniem wojny, gdyby Czechosłowacja została zaatakowana, podczas gdy Wielka Brytania napomknęła, że w obliczu takiej sytuacji być może nie będzie mogła zająć biernej postawy. Także w apogeum kryzysu 1938 roku, 27 września rząd brytyjski ogłosił oświadczenie w którym stwierdził, że gdyby Czechosłowacja została zaatakowana i Francja udzieliła jej pomocy, to wówczas Wielka Brytania *oraz* Rosja sowiecka poparłyby Francję. (Nie było wówczas wiadome, że Wielka Brytania nie uzyskała w tym czasie zgody Sowietów na takie oświadczenie).

3. W 1939 roku, jak i w 1938, groźbie państw zachodnich o wypowiedzeniu wojny nie towarzyszyły żadne plany zaatakowa-

9. Anthony Adamthwaite, *France and the Coming of the Second World War, 1936-1939*, Londyn 1977.

10. Jean-Baptiste Duroselle, *La Décadence, 1932-1939*, Paryż 1979.

11. Henri Michel, „France, Grande Bretagne et Pologne (Mars-Août 1939)” w: *Les Relations franco-britanniques de 1935 à 1939*, (CNRS), Paryż 1975, str. 383-401.

nia Niemiec od zachodu, chociaż zarówno Francja jak i Wielka Brytania podjęły takie zobowiązania wobec Polski w maju 1939 r.

4. W 1939 r., w odróżnieniu od 1938 r., mocarstwa zachodnie *przeprowadziły* rokowania z Rosją sowiecką na temat sojuszu przeciwko Niemcom; tę politykę zapowiedziano w oświadczeniu brytyjskim z 27 września 1938 roku.

5. Mediacji w celu rozwiązania sporu użyto w 1938 roku (Ruciman), choć jej celem było oddanie Niemcom regionu Sudetów. W 1939 roku mocarstwa zachodnie popierały bądź proponowały negocjacje z udziałem państw skandynawskich (nie podjęte), papieża, Mussoliniego, oraz Wysokiego Komisarza Ligi Narodów w Gdańsku, doktora Carla J. Burckhardta. Celem tych mediacji było oddanie Hitlerowi tego, co żądał.

6. Tak jak układ monachijski miał być zabezpieczony międzynarodowymi gwarancjami udzielonymi przez Francję, Wielką Brytanię, Niemcy i Włochy, tak i w 1939 roku rząd polski miał otrzymać międzynarodowe gwarancje, tym razem złożone przez wszystkie państwa wymienione powyżej, ZSSR (po 23 sierpnia) oraz samą Polskę. W sumie, jak w 1938 roku tak i w 1939 usiłowano utrzymać pokój albo przynajmniej odroczyć wybuch wojny kosztem ofiary. Różnica polegała na formie. Ani rząd brytyjski, ani francuski nie mogły otwarcie zmusić Polski do postuśszeństwa, ponieważ nie mogły sobie pozwolić na piętno nowego Monachium, a zatem Polska miała grać rolę „partnera” albo w dwustronnym układzie z Niemcami lub w wielostronnym układzie międzynarodowym. W obu tych wypadkach rezultat był z góry przewidziany. Sęk w tym, że Polska odmówiła odegrania wyznaczonej jej roli.



Zachodni historycy nie zawsze są w pełni świadomi faktu, że dalsza egzystencja Wolnego Miasta Gdańska i Korytarza były kwestiami żywotnymi dla interesów Polski. W 1937 roku 78 % towarów w obrotach zagranicznych Polski transportowano drogą morską. Masa towarowa szła przez Gdańsk, natomiast drobniejsze towary ekspediowano *via* Gdynia. Teoretycznie Polska mogła się oczywiście zgodzić na oddanie Gdańska Niemcom, mając zagwarantowane prawa do portu i miasta. W każdym razie koniunktura miasta zależała od handlu zagranicznego Polski. Jeśli jednak Niemcy miały mieć władzę i nad Gdańskiem i nad pasem eksterytorialnym przez Pomorze, zamieszkałym przez ludność w większości polskojęzyczną, miałyby również kontrolę nad dostępem Polski do portu gdyńskiego, a zatem cały handel zagra-

niczny drogą morską oraz komunikacja morska ze światem zewnętrznym zależałyby od dobrej woli Niemiec. Pomijając złe wspomnienia rządów niemieckich w zaborze pruskim oraz gwałtowny sprzeciw polskiej opinii publicznej wobec tych dwóch ustępstw, należy sobie uświadomić, że Hitler, stawiając takie żądania publicznie — już po ostatecznym rozbiórze Czechosłowacji i po zajęciu Kłajpedy — zmierzał do całkowitego podporządkowania gospodarczego i politycznego Polski Niemcom. Domagał się tego w celu uniknięcia wojny na dwóch frontach oraz by zdobyć sojusznika przeciwko ZSSR¹².

Polską politykę utrzymywania dobrych stosunków z Niemcami, zapoczątkowaną polsko-niemiecką deklaracją o nieagresji ze stycznia 1934 roku, uważano wówczas, a niekiedy i dziś, za stanowisko proniemieckie. W rzeczywistości jednak celem polityki zagranicznej Polski było utrzymanie dobrych stosunków z obu wielkimi sąsiadami, jak świadczy o tym polsko-sowiecki układ o nieagresji z 1932 roku, przedłużony na 10 lat w 1934 roku. Co do polityki dobrych stosunków z Niemcami, przypisywanej ministrowi spraw zagranicznych Józefowi Beckowi, była ona *de facto* zapoczątkowana przez Józefa Piłsudskiego, w odpowiedzi na ugodową politykę Francji i Wielkiej Brytanii wobec Niemiec¹³.

Chociaż Polska zajęła Zaolzie w październiku 1938 roku, nie oznaczało to wcale, że pragnęła zostać satelitą Berlina. Dlatego żądania Niemiec, aby rząd polski zgodził się na przyłączenie Gdańska do Rzeszy oraz na zbudowanie eksterytorialnej autostrady i linii kolejowej przez Pomorze, postawione już początku stycznia 1939 zostały przez rząd polski odrzucone. Należy zaznaczyć, że już na początku stycznia 1939 roku, ścisła „Rada na Zamku” uznała, że Polska nie może podejmować rokowań na warunkach stawianych przez Hitlera, ponieważ zakładano, że po ich spełnieniu, nastąpią dalsze, które doprowadzą ostatecznie do utraty nie-

12. W sprawie poglądu, że utrzymanie Wolnego Miasta Gdańska nie stanowiło dla Polski żywotnego interesu w 1939 roku, patrz Desmond T. Williams, „Negotiations leading to the Anglo-Polish Agreement of 31 March 1939”, cz. II, *Irish Historical Studies*, tom X, nr 38, wrzesień 1956, str. 187. W sprawie poglądów Polaków, przedstawionych przez ambasadora francuskiego w Warszawie, patrz Leon Noël, D. 289 z 17 maja 1939, *Documents Diplomatiques Français*, druga seria, (odtąd: DDF), tom XVI, nr 196. W sprawie pełnej zapału zgody Brytyjczyków z polskim punktem widzenia, patrz memorandum Foreign Office na temat Gdańska, 5 maja 1939, *Documents on British Foreign Policy*, trzecia seria, (odtąd: DBFP) tom VI, zał. II.

13. Patrz Anna M. Cienciąża, *Poland and the Western Powers, The Background*, str. 1-29, i na ten sam temat, „Polish Foreign Policy, 1926-1939. 'Equilibrium', Stereotype and Reality”, *Polish Review*, Nowy Jork, tom XX, nr 1, 1975, str. 42-58.

podległości. Wobec tego, kontropropozycje polskie przewidywały wspólne gwarancje polsko-niemieckie dla Wolnego Miasta Gdańska oraz rozszerzenie istniejących już praw niemieckich na liniach kolejowych idących przez Pomorze. Rozmowy na ten temat były tajne, ponieważ zarówno Berlin i Warszawa liczyły, że z czasem osiągną swe cele. Tym niemniej, pamiętać należy, że decyzja rządu polskiego, aby odrzucić ostatecznie żądania niemieckie, a więc by w razie potrzeby stawzić opór zbrojny, zapadła 24 marca 1939 roku, a więc na sześć dni przed udzieleniem gwarancji brytyjskich¹⁴.

Sprawy te są znane historykom polskim oraz czytelnikom, którzy się nimi bliżej interesują. Należy jednak pamiętać, że nie są one dobrze znane historykom zachodnim.



Przejdźmy teraz do genezy gwarancji brytyjskich dla Polski. Na pierwszy rzut oka, gwarancje te wydają się dość dziwne, skoro rząd brytyjski zawsze zakładał, że Gdańsk oraz Pomorze — a przynajmniej część Pomorza — muszą kiedyś powrócić do Niemiec. Założenie to podzielali również czołowi politycy francuscy, poczynawszy od Aristida Brianda w 1925 roku.

W istocie, Wielka Brytania nie udzieliła gwarancji ani dla utrzymania Wolnego Miasta ani też dla nienaruszalności terytorialnej Polski — a tylko dla utrzymania jej *niepodległości*. A zatem Wielka Brytania nie wyrażała sprzeciwu przeciwko rewizji terytorialnej, lecz przeciw dokonaniu rewizji *przy użyciu siły*. Zajęcie tego stanowiska było wymuszone oburzeniem opinii brytyjskiej wobec rozbioru Czechosłowacji 14-15 marca 1939 roku. Oburzenie to nie pozwalało rządowi brytyjskiemu na otwarte kontynuowanie starej polityki ugody¹⁵. Chociaż Chamberlain miał na to ochotę, polityka ta została całkowicie wykluczona gdy

14. Co do polityki Becka wobec Czechosłowacji w 1938 roku, patrz Anna M. Cienciąła, *Poland and the Western Powers*, rozdz. II-IV, a w okresie styczeń-kwiecień 1939, *ibidem*, rozdz. VII, VIII.

15. Na temat Aristida Brianda i rewizji ugody w sprawie Gdańska oraz granicy polsko-niemieckiej w 1925 roku patrz Anna M. Cienciąła i Titus Komarnicki, *From Versailles to Locarno. Keys to Polish Foreign Policy, 1919-1925*, Lawrence, Ks., 1984, str. 240-245. W sprawie reakcji twórców brytyjskiej polityki zagranicznej na zajęcie przez Hitlera ziem czeskich patrz nota Olivera Harveya z 14 marca 1939 roku w: John Harvey, opr., *The Diplomatic Diaries of Oliver Harvey 1937-1940*, Londyn 1970, str. 261-262. Patrz także przemówienie Chamberlaina z 15 marca 1939, *Parliamentary Debates. House of Commons*, piąta seria, tom 345, szp. 438-440 (odtąd: *Parl. Deb. H. C.*).

rozeszły się pogłoski o rzekomym ultimatum Niemiec wobec Rumunii. Pod naciskiem Halifaxa, Chamberlain ostrzegł więc Hitlera 17 marca, że Wielka Brytania nie będzie tolerowała ze strony Niemiec żadnej akcji, zmierzającej do dominacji nad światem¹⁶. Nikt zdaje się nie zauważył, że była to tylko nieco ostrzej sformułowana wersja ostrzeżenia wobec Niemiec, zawartego w mowie Premiera z dnia 27 września 1938 roku¹⁷.

Pierwszy krok mający na celu zahamowanie dalszej agresji Niemiec bynajmniej nie był śmiały. Chamberlain zaproponował, aby Wielka Brytania, Francja, Rosja i Polska podpisały deklarację o wzajemnych *konsultacjach* na wypadek ponownej groźby agresji ze strony Niemiec. Dopiero na skutek nalegań ambasadora Francji Charlesa Corbina dodano słowo „akcja”. Projekt deklaracji upadł, nie tylko z powodu sprzeciwu Polski, choć jest prawdą, że Józef Beck oświadczył, iż Polska nie może jej podpisać, ponieważ w oczach Hitlera znalazłaby się wówczas po stronie ZSSR, co mogłoby sprowokować Niemcy do agresji. (Beckowi chodziło konkretnie o coś innego, ale o tym dalej). Stała temu na przeszkodzie również nieufność Wielkiej Brytanii do Związku Sowieckiego, podzielana przez dominia brytyjskie i państwa neutralne. Najważniejszy był jednak fakt, że Chamberlain pragnął pokojowego rozwiązania, a nie wojny z Niemcami. Z tych samych powodów Wielka Brytania odrzuciła sowiecką propozycję zwołania konferencji z udziałem państw zainteresowanych, w tym i Polski¹⁸.

Należy pamiętać, że jeszcze zanim zgłoszono projekt deklaracji, Chamberlain uważał, że Polska stanowi „wielce prawdopodobny klucz do sytuacji¹⁹”. Z początku, jak się wydaje, zakładano, że udział Polski w deklaracji doda odwagi państwom bałkańskim, a ich niepodległość uważano z kolei za najważniejszą barierę przeciw ekspansji Niemiec we wschodniej części basenu Morza Śródziemnego, co zagrażałoby utrzymaniu niezbędnych szlaków morskich Wielkiej Brytanii z krajami Dalekiego Wschodu przez Kanał Sueski²⁰. Ponadto niepodległość Rumunii była sprawą

16. Keith Feiling, *The Life of Neville Chamberlain*, Londyn 1946, str. 362.

17. *DBFP*, II, nr 1111.

18. W sprawie stanowiska Becka patrz: Cieniała, *Poland and the Western Powers*, rozdz. VII; w sprawie innych reakcji oraz propozycji Sovietów patrz Aster 1939, rozdz. 3, 4.

19. Public Record Office, Londyn, (Kew Gardens) Cabinet Conclusions, 18 marca 1939, CAB 23/98, str. 59 (odtąd: PRO).

20. Patrz uwagi szefa lotnictwa, marszałka Sir Cyrila L. Newalla z 17 marca 1939, cytowane przez Astera w 1939, str. 119.

wielkiej wagi dla Wielkiej Brytanii, bowiem w wypadku jej utraty rumuńska ropa naftowa i zboże dostałyby się w ręce Niemców. Ponieważ Polska graniczyła z Rumunią i zawarła z nią sojusz obronny przeciwko Rosji, Wielka Brytania i Francja pragnęły, ażeby został on przekształcony w sojusz przeciwko Niemcom. Jednakże Beck stanowczo temu oponował twierdząc, że popchnąłby on Węgry w objęcia Hitlera²¹ — to było więcej niż możliwe, zważywszy na spór terytorialny między Rumunią a Węgrami (Transylwania). Wreszcie — najważniejsze z brytyjskiego punktu widzenia było to, że Polska miała długą granicę z Niemcami i była uważana za najsilniejsze wojskowo państwo w tej części Europy — oczywiście z wyjątkiem Rosji, której możliwości *ofensywne* nie były po czystkach stalinowskich wysoko oceniane. Tak więc Chamberlain uważał, że jeśli Polska przystąpi do sojuszu z Francją i Wielką Brytanią, to Niemcy staną w obliczu wojny na dwóch frontach i nie wierzył, aby Hitler i jego generałowie pozwolili sobie na ryzyko powtórzenia scenariusza z lat 1914-1918, to jest na ponowną klęskę Niemiec²².

A zatem propozycja Józefa Becka w sprawie tajnego porozumienia brytyjsko-polskiego na temat konsultacji w zamian za obietnicę Wielkiej Brytanii udzielenia Polsce pomocy (złożona przez Becka ambasadorowi H. Kennardowi w dniu 22 marca wraz z odmową podpisania deklaracji o konsultacji, a oficjalnie przez ambasadora Edwarda Raczyńskiego Halifaxowi dwa dni później)²³ dobrze pasowała do istniejącej już koncepcji Chamberlaina, że Polska stanowi „klucz do sytuacji”. Co więcej, propozycja Becka ułatwiała zasadnicze decyzje podjęte 27 marca przez rządowy komitet do spraw polityki zagranicznej, a potwierdzone przez gabinet dwa dni później, w sprawie udzielenia gwarancji Polsce. Ta oferta zawierała warunek udzielenia przez Polskę gwarancji pomocy Rumunii oraz odwzajemnionych gwarancji Polski wobec Wielkiej Brytanii. Gdyby jednak Polska nie chciała lub nie mogła zaakceptować powyższych warunków, zaoferowano by

21. Patrz instrukcja Becka do Juliusza Łukasiewicza, ambasadora RP w Paryżu, z 20 marca 1939 roku, patrz A. Cienciąła, *Poland and the Western Powers*, str. 214, n. 25.

22. David Lloyd George przekazał ambasadorowi sowieckiemu Iwanowi Majskiemu, co Chamberlain oświadczył mu 31 marca 1939 roku: „... zgodnie z informacją którą dysponuję, ani niemiecki sztab generalny, ani Hitler nigdy nie zaryzykują wojny, jeśli będą wiedzieli, że muszą walczyć jednocześnie na dwóch frontach — na zachodzie i na wschodzie” — patrz raport Majskiego z 31 marca 1939 roku, *Soviet Peace Efforts on the Eve of World War II*, II wyd., Moskwa 1976, nr 138.

23. Patrz Cienciąła, *Poland and the Western Powers*, str. 216-217.

jej *jednostronne* gwarancje brytyjskie, ponieważ bez niej nie mógłby istnieć żaden „front wschodni²⁴”. A zatem to nie „wiadomość” podana przez Iana Colvina wieczorem 29 marca o zbliżającym się ataku Niemiec na Polskę („wiadomość” znana wywiadowi brytyjskiemu na miesiąc przedtem) doprowadziła do udzielenia gwarancji, lecz obawy rządu o *reakcję społeczeństwa* na nią wpłynęły na datę ich ogłoszenia, przyspieszyły realizację już ustalonego planu. Dodać trzeba, że choć Chamberlain postanowił wieczorem 29 marca, że gwarancji należy udzielić natychmiast²⁵, zastanawiano się nad przełożeniem terminu, gdy okazało się, że informacje o grożącym ataku Niemiec na Polskę nie zostały potwierdzone. Ponadto wieczorem 29 marca ambasadorowie Wielkiej Brytanii i Francji w Warszawie przekablowali treść żądań Hitlera wobec Polski, odrzuconych przez rząd polski²⁶. Jednakże po krótkich wahaniach gabinet postanowił zatwierdzić gwarancję, ponieważ brytyjska opinia publiczna domagała się przejawów stanowczości wobec Hitlera²⁷.



Czy gwarancje brytyjskie dla Polski miały rzeczywiście na celu *niedopuszczenie* do pokojowego rozwiązania konfliktu polsko-niemieckiego, a zatem *sprovokowanie* wojny z Niemcami, jak uważa S. Newman? Czytelnik może sam wyrobić sobie opinię po zapoznaniu się z warunkami dołączonymi do gwarancji przez rządowy komitet do spraw zagranicznych rankiem 31 marca oraz po przeczytaniu oświadczenia Chamberlaina przedstawionego członkom gabinetu w południe tego samego dnia (oba są cytowane przez Newmana). Komitet do spraw zagranicznych posta-

24. Cabinet Committee on Foreign Policy, F.P. (36), 38-e posiedzenie, 27 marca 1939, godz. 17.00, CAB 27/624, str. 199-204, częściowo cyt. przez Astera w 1939, str. 92 i Newmana *March 1939*, str. 151-152.

25. Patrz David Dilks, opr., *The Diaries of Sir Alexander Cadogan, 1938-1945*, Londyn 1971, zapis pod datą 29 marca 1939, str. 165.

26. Kennard do Halifaxa, 29 marca 1939, *DBFP*, IV, nr 564 (22.10) i Noël do Bonnetta tego samego dnia, *DDF*, nr 188.

27. Chociaż ambasadorowi Edwardowi Raczyńskiemu powiedziano rankiem 30 marca, że nie ogłosi się żadnego publicznego komunikatu, chyba że byłyby powody do obaw, że Niemcy rozważają natychmiastową akcję, później tego samego dnia ambasador Kennard otrzymał instrukcje, aby uzyskać zgodę Becka na deklarację, która miała zostać sporządzona 31 marca. Po południu 30 marca Sir Orme Sargent powiedział Raczyńskiemu, że szybka odpowiedź Polski jest konieczna z uwagi na rosnące ataki na Chamberlaina za brak inicjatywy w obliczu agresji Niemców, cyt. za Ciencią, *Poland and the Western Powers*, str. 225-226.

nowił, że gwarancje nabiorą mocy tylko wówczas, gdy: 1. Polska stawi opór wobec zagrożenia jej niepodległości; 2. Że nie będzie sobie pozwalała na prowokacyjny lub głupi upór ani w sprawach generalnych, ani szczególnie w odniesieniu do Gdańska²⁸. Ponadto w południe Chamberlain zakomunikował członkom gabinetu: „Od nas, oczywiście, będzie zależało, jaką akcję uznamy za grożącą niepodległości Polski. To ustrzeże nas przed wpłataniem się w wojnę wskutek jakiegoś incydentu granicznego²⁹”. Trudno dopatrzeć się w tych warunkach i w oświadczeniu Chamberlaina zamiaru sprowokowania Niemiec do wojny.

Pierwszy warunek wprowadzono by podkreślić, że Polska w razie zagrożenia musi stawić opór przy pomocy „sił narodowych”. Jak Halifax wyjaśnił przywódcom francuskim pod koniec maja, takie sformułowanie miało *pohamować* Polskę. Mówiąc jego słowami, „jeśli chodzi o Polskę bezpieczeństwo polega na tym, że w razie kłopotów Polska oczywiście ucierpi pierwsza, i to ucierpi katastrofalnie³⁰”. Należy też odnotować, że gdy Chamberlain ogłosił gwarancje w Izbie Gmin po południu 31 marca, powiedział najpierw, że nie ma takiej kwestii, której nie dałoby się rozwiązać pokojowymi metodami. Dopiero potem przeszedł do oświadczenia zasadniczego mówiąc, że jeśli Polska stawi opór zagrożeniu swojej niepodległości, to rząd brytyjski „poczuje się zobowiązany do natychmiastowego udzielenia wszelkiego poparcia będącego w jego mocy” oraz dodał, że Francja przyłączyła się do tej propozycji³¹. Co owo poparcie rzeczywiście oznaczało, będzie przedmiotem dalszych rozważań.

Bezpośredni cel gwarancji brytyjskich był dwojaki: ostrzec Hitlera przed użyciem siły w realizowaniu swoich dążeń, i przygotować grunt pod dwustronne porozumienie o pomocy między Wielką Brytanią i Polską. Ten układ zawarto w Londynie 6 kwietnia 1939. Towarzyszyło mu poufne porozumienie, które przewidywało pomoc brytyjską Polsce w razie jakiegokolwiek zagrożenia jej niepodległości ze strony Niemiec — czemu Polska miałaby stawić opór zbrojny — także w razie zagrożenia statusu Gdańska. Należy tu jednak podkreślić fakt, że Gdańsk nie był wymieniony *expressis verbis*, ale strona polska wywalczyła takie

28. Cabinet Committee on Foreign Policy, F.P. (36), 40 posiedzenie, 31 marca 1939, godz. 9.45, CAB 27/624, cytowane u: Newman, *March 1939*, str. 202.

29. Protokoły gabinetu, 31 marca 1939, CAB/98, cyt. *ibidem*.

30. Wyciąg z zapisu rozmów między ministrem spraw zagranicznych a Daladierem i Bonnetem w Ministerstwie Wojny w Paryżu 20 maja 1939 r. *DBFP V*, nr 569, str. 610, cf. *DDF XV*, nr 243, str. 481-483.

31. 31 marca 1939 r., *Parl. Deb. H. C.*, piąta seria, tom 345, szp. 2421-2442 cyt. u Astera 1939, str. 112-113.

zredagowanie akapitu 2 b porozumienia, że przynajmniej z polskiego punktu widzenia sprawa ta nie ulegała żadnej wątpliwości. Wkrótce potem Beck poinformował rząd brytyjski, że stosownie do jego życzenia, Polska przyjdzie Wielkiej Brytanii z pomocą, jeśli ta ostatnia zaangażuje się w wojnę udzielając pomocy Belgii, Holandii i Danii³². Mimo powyższego porozumienia formalne podpisanie układu opóźniono aż do 25 sierpnia. Powodem tej zwłoki były nadzieje Wielkiej Brytanii na pokojowe uregulowanie sporu z Niemcami i na towarzyszące temu negocjacje ze Związkiem Sowieckim. W tym ostatnim przypadku pierwotnym zamiarem było uzyskanie pomocy sowieckiej dla Polski i Rumunii; później, pod naciskiem Sowietów, chodziło o przekształcenie sojuszu francusko-sowieckiego (1935) w sojusz angielsko-francusko-sowiecki. Francuzi uważali taki sojusz za najlepszy środek odstraszający wobec Hitlera, ale Anglicy byli jednak dość sceptyczni. Zasadniczy problem polegał na tym, że ani Polska, ani Rumunia, ani państwa bałtyckie, którymi specjalnie interesowała się Moskwa, nie chciały gwarancji sowieckich lub wkroczenia wojsk sowieckich, choć zarówno Polska jak i Rumunia były gotowe wyrazić zgodę na dostawy wojskowe³³.

32. Dobrze streszczenie celów brytyjskich przedstawił Cadogan, patrz *Diaries*, str. 166; co do tekstu porozumienia brytyjsko-polskiego z 6 kwietnia 1939, patrz *DBFP*, V, nr 16; tekst polski w: Józef Żarański, opr., *Diariusz i teki Jana Szembeka*, tom IV, Londyn 1972, str. 716-718; w sprawie deklaracji Becka o dodatkowej pomocy polskiej dla Wielkiej Brytanii, p. Kennard do Halifaxa, 14 kwietnia 1939, *DBFP*, V, nr 164. Część II art. 2, par. (b) układu z 6 kwietnia, stwierdza, że jeśli Niemcy będą próbowali podkopać niepodległość Polski poprzez penetrację gospodarczą albo w jakikolwiek inny sposób, rząd brytyjski będzie popierał opór Polski. Jeśli Niemcy zaatakowałyby wówczas Polskę, to Wielka Brytania udzieliłaby jej natychmiastowego poparcia. W wypadku innej akcji niemieckiej, która wyraźnie zagrażałaby niepodległości Polski i była takiego rodzaju, że rząd polski mógłby uznać, że w jego żywotnym interesie jest stawienie jej zbrojnego oporu, rząd brytyjski udzieliłby mu natychmiastowej pomocy. Józef Potocki, który wchodził wtedy w skład delegacji Becka prowadzącej negocjacje w Londynie i był szefem departamentu d/s państw zachodnich w polskim MSZ, napisał do Raczyńskiego w 1957 roku, że w czasie trzygodzinnej sesji Polacy zdołali uzyskać pewne zmiany redakcyjne, aby nie ulegało kwestii, że, przykładowo, atak Niemiec na Gdańsk będzie uznany za równoznaczny z atakiem na Polskę, patrz Edward Raczyński, *W sojusznictwie Londynie*, II wyd., Londyn 1974, nota 1, str. 412-413; tłumaczenie angielskie *In Allied London*, 1962.

33. Przeglądu sowiecko-brytyjskich negocjacji dokonał Aster w 1939, rozdz. 6, 10, 11; na temat wysiłków francuskich patrz Duroselle, *Décadence*, rozdz. XIII, XV, na temat strony polskiej patrz: „Polish Diplomatic Documents Concerning Negotiations Between Great Britain, France, and the Soviet Union Before the Outbreak of the Second World War” (po polsku), Instytut Historyczny Gen. Sikorskiego, Londyn 1955, nadbitka z *Bellona*, Londyn, styczeń-marzec 1955.

Spójrzmy teraz, jak rząd brytyjski i francuski wyobrażały sobie rozwiązanie konfliktu polsko-niemieckiego na drodze rokowań. Od samego początku Halifax wyraźnie odróżniał zmianę statusu Gdańska od zagrożenia niepodległości Polski. Swoje zasadnicze stanowisko w tej sprawie przedstawił ambasadorowi Związku Sowieckiego w Londynie Iwanowi Majskiemu w dniu 19 marca. Halifax powiedział mu wówczas, że *jeśli* kwestia Gdańska przekształci się w *zagrożenie niepodległości Polski*, to wtedy „ta sprawa zainteresuje nas wszystkich”³⁴. Dziewięć dni później Halifax oświadczył ambasadorowi Francji Charlesowi Corbinowi, że nie należy Polski zmuszać do wyboru między dwiema ewentualnościami, to znaczy do porozumienia albo z Niemcami albo ze Związkiem Sowieckim. Trzecim wyjściem byłyby rokowania Polski z Niemcami, za aprobatą państw zachodnich, *jeśli* żądania Niemiec posuną się *dalej* niż sprawa Gdańska³⁵. 1 kwietnia londyński *Times* ogłosił artykuł redakcyjny, w którym stwierdzono, że brytyjskie gwarancje dla Polski nie oznaczają ślepej akceptacji istniejących granic Polski, lecz że są to gwarancje *niepodległości* Polski. Jak redaktor Geoffrey Dawson odnotował w swoim dzienniku dwa dni później, zarówno Chamberlain jak i Halifax uważali początkowo, że interpretacja *Times’a* jest „właściwa” a dopiero potem zmartwili się reakcją Polaków i innych³⁶. Istotnie, wcześniejsze komentarze w innej gazecie zgodne ze stanowiskiem Dawsona przedstawionym w artykule redakcyjnym, zmusiły Becka do zagrożenia, że odwoła zbliżającą się wizytę. Chociaż brytyjski Foreign Office wydał oświadczenie, że *Times* nie wyrażał opinii rządu³⁷, to jednak z dziennika Dawsona wynika jasno, że było akurat na odwrót.

Tego samego dnia kiedy zawarto układ brytyjsko-polski, można było zaobserwować logiczne rozwinięcie oświadczenia złożonego przez Halifaxa Corbinowi kilka dni przedtem. W dniu 6 kwietnia Frank Roberts z Centralnego Departamentu Foreign Office zauważył, że skoro pozycja Becka została „wzmocniona”, on sam nie byłby przeciwny przedyskutowaniu z Niemcami sprawy Gdańska i autostrady niemieckiej³⁸. Dwa tygodnie później

34. *DBFP*, IV, nr 432.

35. Corbin do Bonneta, 28 marca 1939, *DDF*, XV, nr 176.

36. Dziennik Goeffreya Dawsona, 3 kwietnia 1939, cytata za: Franklin Reid Gannon, *The British Press and Germany, 1936-1939*, Oksford 1971, str. 22 i dalsze.

37. Patrz Anna M. Cienciała, *Poland and the Western Powers*, str. 226-227, E. Raczyński, *In Allied London*, str. 14.

38. Notatka Franka Robertsa, 6 kwietnia 1939, (PRO), F.O. 371/23016/C4870/54/18.

Sir Alexander Cadogan, stały sekretarz spraw zagranicznych, oświadczył ambasadorowi Raczyńskiemu, że Polacy nie powinni być „bezkompromisowi” w sytuacji, gdy Wielka Brytania udzieliła im gwarancji³⁹. Jednocześnie Halifax przekablował Kennardowi w Warszawie, że gwarancje powinny umocnić pozycję Becka w rokowaniach i że należy uczynić wszystko, by uniknąć wrażenia, że utrudniły one zawarcie rozsądnej ugody⁴⁰.

Oświadczenia te, wespół z oświadczeniami ambasadora brytyjskiego w Berlinie, Sir Neville’a Hendersona oraz najbliższego doradcy Chamberlaina, Sir Horace Wilsona⁴¹, jasno wskazują, że politycy brytyjscy dążyli do układu polsko-niemieckiego — jak twierdzi Aster — ale miało to być rozwiązanie korzystne dla Hitlera. Należy odnotować w tym miejscu, że podczas gdy Beck przewidywał rokowania polsko-niemieckie, to nie przyjąłby dla nich podstawy niezgodnej z żywotnymi interesami Polski. 23 kwietnia stanowczo ostrzegł Kennarda, że Polska nie będzie prowadziła rokowań w oparciu o żądania Niemiec, już przedtem przez nią odrzucone — bez względu na to, co zechce uczynić Wielka Brytania⁴². Jednakże to ostrzeżenie przeszło bez echa.

A co na to Francuzi? Jak zauważono powyżej, większość francuskich mężów stanów od dawna zakładała, że Gdańsk będzie musiał kiedyś wrócić do Niemiec i sojusz z Polską traktowano bardziej jako brzemię niż jako korzyść. Wreszcie Quai d’Orsay żywiło głęboką antypatię do Józefa Becka, którego oskarżało wręcz o sympatie proniemieckie⁴³. Nastawienie to wynikało głównie z niezależnej postawy Becka wobec Francji — chociaż zauważmy, że Francuzi pozostawili Benesza swemu losowi, mimo jego zawsze służalczej postawy w stosunku do Paryża. Publicz-

39. Cadogan, *Diaries*, 20 kwietnia 1939, str. 176.

40. Halifax do Kennarda, 20 kwietnia 1939, *DBFP*, V, nr 237.

41. Patrz list Hendersona do Sir H. Wilsona, 9 maja 1939, (PRO) PREM I/331A, i oświadczenie do członków gabinetu z 26 sierpnia 1939 r., cyt. u Astera 1939, str. 342. Co do H. Wilsona, patrz niżej.

42. Patrz raport Kennarda dla Halifaxa, 23 kwietnia 1939, *DBFP*, V, nr 274; w sprawie pełnego tekstu rozmowy Beck-Kennard patrz: Józef Potocki do Edwarda Raczyńskiego, 24 kwietnia 1939, nr 49/WB/tj, zał. 1, cz. I, Archiwa ambasady RP, Londyn, w Polskim Instytucie i Muzeum Sikorskiego (PISM), Londyn.

43. Tak więc Alexis Léger, sekretarz generalny francuskiego MSZ uważał, że oddanie Niemcom Gdańska „było sprawą przesądzoną i Francja oraz Wielka Brytania nie miały powodu, aby podejmować akcje w celu niedopuszczenia do tego”, Phipps do Halifaxa, 18 marca 1939 r., *DBFP*, IV, nr 418, zał. str. 382. Tego samego dnia Léger oświadczył Phippsowi, że wie z „zaufanego” źródła, że Beck zamierza się zwrócić do Londynu z wnioskiem o sojusz brytyjsko-polski, wiedząc, że jest to niemożliwe. Miałby on wtedy wykorzystać odmowę Wielkiej Brytanii do usprawiedliwienia zbliżenia z Niemcami, nawet za cenę zostania ich wasalem, *ibidem* nr 405, str. 373.

nie jednak Francja zawsze popierała Polskę, szczególnie gdy to czyniła Wielka Brytania. A zatem pod wrażeniem brytyjsko-polskiego układu gwarancyjnego z 6 kwietnia, znanego tylko w streszczeniu z uwagi na decyzję Halifaxa i Becka o nieprzekazywaniu pełnego tekstu w obawie przed przeciekami — rząd francuski zareagował pozytywnie na wniosek Polski o aktualizację sojuszu z 1921 roku, a więc dostosowanie go do układu brytyjsko-polskiego. Rząd francuski wyraził też zgodę na deklarację, którą w momencie podpisywania dokumentu miał wygłosić ambasador Juliusz Łukasiewicz, że Gdańsk „jest żywotnie ważny dla interesów Polski”⁴⁴. Uzgodniono, że protokół polityczny zostanie podpisany 19 maja, tj. w dniu, gdy miano również podpisać protokół wojskowy ustalający interpretację francusko-polskiej konwencji wojskowej z 1921 roku. Mieli go podpisać szef francuskiego sztabu generalnego, generał Maurice G. Gamelin i polski minister wojny generał Tadeusz Kasprzycki. Tymczasem minister spraw zagranicznych Georges Bonnet zażądał nagle krótkiej zwłoki w podpisaniu protokołu politycznego, a następnie dalszego przesunięcia terminu. Co się stało?

Przede wszystkim Bonnet postanowił zapytać Londyn czy układ polsko-brytyjski z 6 kwietnia zawierał oświadczenie, że „Gdańsk jest żywotnie ważny dla interesów Polski”. Choć reakcja Foreign Office na to pytanie była pozytywna, Bonnet zdecydował się poczekać na ostateczną odpowiedź Lorda Halifaxa, który miał przybyć do Paryża 20 maja⁴⁵.

Halifax oświadczył wówczas Bonnetowi oraz premierowi Daladier, że układ polsko-brytyjski z 6 kwietnia nie uznaje Gdańska za „żywotnie ważny dla interesów Polski”. Choć w sensie dosłownym Halifax mówił prawdę, to zataił przed Francuzami specyficzną redakcję ak. 2 b, który głosił, że Wielka Brytania udzieli pomocy Polsce w razie zagrożenia jej niepodległości ze strony Niemiec. Ale to jeszcze nie koniec. Halifax naszkicował wobec Francuzów plan ugody. Powiedział, że Gdańsk może powrócić do Niemiec, ale z zachowaniem charakteru Wolnego Miasta, to znaczy nie miałyby ani fortyfikacji, ani nie stacjonowałyby tam wojska niemieckie. Istniałby w nim samorząd jak w innych

44. Na temat zgody Becka-Halifaxa w sprawie nieujawniania tekstu porozumienia brytyjsko-polskiego z 6 kwietnia Francuzom, patrz szyfrowany telegram do Ministra Jego Królewskiej Mości, Paryż, 7 kwietnia 1939, F.O. 371/23016/C5063/18. Co do rezolucji gabinetu francuskiego z 11 maja, patrz list Bonnetta do Daladiera, 18 maja 1939, DDF, XVI, nr 22; w sprawie strony polskiej negocjacji z Francją patrz: *Diplomat in Paris 1936-1939. Memoirs of Juliusz Łukasiewicz, Ambassador of Poland*, opr. Wacław Jędrzejewicz, Nowy Jork - Londyn 1970, str. 202-210.

45. Patrz DDF, XV, nr 211, 217, 226, 228.

miastach niemieckich, a może nawet miałby swojego przedstawiciela w *Reichstagu*. Wreszcie układ taki, w którym zastrzeżono by prawa Polski w Gdańsku, byłby zabezpieczony gwarancjami udzielonymi przez Francję, Wielką Brytanię, Niemcy i samą Polskę. (Należy odnotować, że propozycja stanowiła wariant gwarancji proponowanych Czechosłowacji w 1938 roku).

Gdy Daladier zapytał co zrobić z żądaniem niemieckim eksterytorialnej komunikacji przez Pomorze, Halifax odparł, że ta kwestia nie może być na razie przedmiotem negocjacji; później, kiedy nadejdzie odpowiedni moment, będzie się można zwrócić o mediację w tej sprawie albo do papieża, albo do rządu Włoch. Daladier wysunął obiekcje, twierdząc, że Włochy są zbyt blisko związane z Niemcami, wobec czego wołał mediację z udziałem Watykanu⁴⁶. W istocie Watykan podjął próby w tym kierunku już w początku maja, a pod koniec sierpnia zarówno papież jak i Mussolini wystąpili z podobnymi propozycjami „zachowania pokoju”.

W świetle ujawnień i sugestii Halifaxa trudno się dziwić, że Francuzi zdecydowali się odłożyć podpisanie francusko-polskiego protokołu politycznego na późniejszy termin. Ponadto Gamelin wystosował pismo do Kasprzyskiego oświadczając, że protokół wojskowy podpisany poprzedniego dnia *nie* nabierze charakteru umowy między dwoma sztabami generalnymi, póki nie podpisany zostanie protokół polityczny⁴⁷. Jak się okazało, nastąpiło to dopiero 4 września, gdy Francja była już w stanie wojny z Niemcami. (Treść i znaczenie protokołów wojskowych omówię, gdy przystąpię do oceny brytyjsko-francuskich zobowiązań wojskowych wobec Polski).

Tak więc już 20 maja politycy Francji i Wielkiej Brytanii ustalili między sobą ramy układu polsko-niemieckiego, mającego „zachować pokój”. Premier Chamberlain wspominał o takim rozwiązaniu grupie posłów labourzystowskich w czerwcu oraz generałowi Sir Edmundowi Ironside tuż przed jego wizytą w Polsce w lipcu⁴⁸.

46. Patrz nota 30 powyżej.

47. Patrz protest Polski, 20 maja 1939, i list Gamelina do Kasprzyskiego, *DDF*, XVI, nr 244, 245.

48. Hugh Dalton, ekspert Labour Party w dziedzinie spraw zagranicznych powiedział Raczyńskiemu, że Chamberlain mówił o możliwym polsko-niemieckim kompromisie w sprawie Gdańska, co mogłoby być przedmiotem mediacji ze strony Wysokiego Komisarza Ligi Narodów dra Carla J. Burckhardta, a następnie byłoby zabezpieczone międzynarodowymi gwarancjami, raport Raczyńskiego do Becka, 30 czerwca 1939, ER/MR nr 49/WB/tj, Ambasada RP, Londyn, PISM. Na początku lipca Chamberlain oświadczył generałowi Sir Edmundowi Ironside, inspektorowi generalnemu zamorskich

Nie sposób w krótkim opracowaniu prześledzić wszystkie szczegóły i niuanse polityki brytyjskiej wobec Niemiec w ciągu lata 1939 roku. Wystarczy stwierdzić, że wciąż ponawiane ostrzeżenia pod adresem Hitlera i deklaracje pomocy dla Polski, były więcej niż zrównoważone przez nieoficjalne kontakty i rozmowy angielsko-niemieckie. Nawet jeśli wysłannik Göringa, Helmuth Wohlthat *nie* otrzymał z rąk Sir Horace Wilsona memoriału, zawierającego szczegółowy projekt porozumienia brytyjsko-niemieckiego (lipiec), to takie porozumienie mogło być z powodzeniem tematem ich wspólnej dyskusji⁴⁹. W każdym bądź razie 3 sierpnia Wilson napomknął o nim ambasadorowi niemieckiemu Herbertowi von Dirksen. Wilson oświadczył wówczas, że jeśli Niemcy wyrażą zgodę na rokowania i podpiszą deklarację o nieagresji z Wielką Brytanią, to rząd brytyjski *cofnie gwarancje* udzielone Polsce, Grecji i Rumunii⁵⁰. Należy się domyslać, że ta propozycja nie zachęciła Hitlera do namysłu, lecz przeciwnie, potwierdziła wrazenie, że Wielka Brytania nie ma zamiaru wywiązać się ze swych zobowiązań wobec Polski.

Innym pomysłem dla Hitlera znakiem było stanowisko brytyjskie w rokowaniach finansowych z Polską. Zamiast przychylenia się do żądań polskich i udzielenia jej w ten sposób poparcia moralnego — bez względu na sumę, jakiej zamierzano jej ewentualnie udzielić — Chamberlain i Halifax pozwolili na to, by rokowania prowadził doradca finansowy rządu, Sir Leith Ross, który reprezentował stanowisko Skarbu, przeciwne udzieleniu poważnej pomocy finansowej Polsce. Co więcej, warunki pożyczki brytyjskiej stawiane przez Leith Rossa — np. dewaluacja złotego, zniesienie lub zmniejszenie subsydiów rządu R.P. dla eksportu

sił zbrojnych, że przewiduje powrót Gdańska do Niemiec w charakterze Wolnego Miasta, patrz Roderick MacLean i Denis Kelly, opr., *Time Unguarded. The Ironside Diaries 1937-1940*, Londyn 1962, str. 77.

49. Patrz Helmut Metzmacher, „Deutsch-englische Ausgleichsbemühungen im Sommer 1939”, *Vierteljahreshefte für Zeitgeschichte*, XIV, nr 4, październik 1956.

50. Nota Sir Horace Wilsona na temat rozmowy z ambasadorem Dirksenem, 3 sierpnia 1939, *DBFP* VI, nr 533. Zgodnie z raportem Dirksena z 3 sierpnia 1939 r., Wilson potwierdził dokładność sporządzonych przez Dirksena not na temat rozmów Wilson-Wohlthat w lipcu, patrz *Documents and Materials Relating to the Eve of the Second World War*, tom II, Moskwa 1948, nr 24. Zgodnie z notą redakcyjną w *Documents on German Foreign Policy*, D. VI (odtąd: *DGFP*) nr 766, memorandum Dirksena z 3 sierpnia 1939 r. nie znaleziono w archiwach niemieckiego MSZ (które wpadły w ręce aliantów i zostały przez nich później oddane rządowi RFN). Dokument wydany w Moskwie należał zapewne do tych, które wpadły w ręce sowieckie i których autentyczności nie można potwierdzić. Jakkolwiek było, jest on przedrukowany w *Soviet Peace Efforts on the Eve of World War II*, nr 302.

węgla (a więc konkurencji z węglem brytyjskim) — były zupełnie nie na miejscu latem 1939 roku. Prawdą jest, że Skarb odgrywał kluczową rolę we wszystkich brytyjskich rokowaniach finansowych w czasach *pokoju*; prawdą też jest, że Wielka Brytania musiała sprawować ostry nadzór nad swymi zasobami finansowymi; wreszcie, prawdą jest, że można było uważać Polskę za duże ryzyko inwestycyjne — stąd też m.in. warunek, by złoto Banku Polskiego umieścić za granicą na wypadek wojny⁵¹. Niemniej jednak wiadomości o stanowisku Wielkiej Brytanii w sprawie udzielenia pomocy finansowej Polsce po raz kolejny utwierdziły Hitlera w przekonaniu, że Wielka Brytania nie zamierza ryzykować wojny w imię Polski.

Wracając do propozycji wysuniętych przez H. Wilsona wobec ambasadora Dirksena 3 sierpnia, należy zwrócić uwagę, że Wilson dość długo czekał na odpowiedź — na co wpłynęły zapewne tak zawiści między Göringiem a Ribbentropem, jak i rozmowy niemiecko-sowieckie. Odpowiedź doręczył mu wreszcie 20 sierpnia wieczorem Fritz Hesse, *attaché* prasowy ambasady niemieckiej w Londynie. Na mocy instrukcji Ribbentropa Hesse oświadczył, że Hitler obstaje przy swych roszczeniach do Gdańska i eksterytorialnej komunikacji przez Pomorze, ale gotów jest „negocjować” z Polską na tych samych „zasadach” co w marcu⁵². Hitler nawiązywał tu prawdopodobnie do swego oświadczenia z 28 kwietnia, że uznaje niepodległość Polski. Być może w związku z deklaracją Hessa Göring planował złożenie wizyty w Anglii *incognito*. Propozycję tę przyjęto. Wizyta miała się odbyć 23 sierpnia i nawet wysłano po niego do Berlina pilota z wywiadu lotnictwa królewskiego. Jednakże 22 sierpnia świat dowiedział się, że następnego dnia Niemcy i ZSSR podpiszą pakt o nieagresji, co też się stało. Wobec tego wizytę Göringa odwołano⁵³.

Należy w tym miejscu odnotować, że kiedy w połowie sierp-

51. W sprawie doskonałego krótkiego przeglądu brytyjsko-polskich negocjacji finansowych, patrz David E. Kaiser, *Economic Diplomacy and the Origins of the Second World War. Germany, Britain, France and Eastern Europe, 1930-1939*, Princeton 1980, str. 500-509.

52. Patrz nota Horace Wilsona z 21 sierpnia 1939, PREM I/331 A, oraz Aster, 1939, str. 258-259.

53. Patrz Cadogan, *Diaries*, 21 sierpnia 1939, nota str. 199; Cotton, australijski specjalista od fotografii lotniczych i pilot pracujący dla wywiadu RAF, został wysłany do Berlina by przewieźć Göringa samolotem do Anglii; p. Worman w nocy z 23 sierpnia, *DGFP*, D, VII, nr 221; patrz także: F. H. Hinsley, E. E. Thomas, C. F. G. Ransom, i R. C. Knight, *British Intelligence in the Second World War. Its Influence on Strategy and Operations*, tom I, Cambridge, Nowy Jork 1979, ap. II, str. 496-499, gdzie wspomniano o wizycie Cottona w Berlinie, ale nie o jej celu.

nia w Moskwie — gdzie toczyły się francusko-brytyjsko-sowieckie rozmowy wojskowe — strona sowiecka zażądała zgody Polski i Rumunii na przemarsz swych wojsk przez ich ziemie, którą to zgodę potraktowała jako warunek *sine qua non* dalszych rokowań, to Stalin już wiedział, że Hitler gorąco pragnie zawrzeć z nim porozumienie. Gdy Polacy odrzucili żądania sowieckie, Daladier poinstruował szefa delegacji francuskiej w Moskwie, aby przystał na ten warunek. Naciski francuskie w Warszawie wymogły na Polsce oświadczenie które, aczkolwiek bardzo oględne w formie, jednak nie zamykało drzwi przed ewentualnymi rozmowami. Ale zgoda Francji okazała się dla Stalina niewystarczająca. Brytyjsko-francuska misja wojskowa znajdowała się wciąż w Moskwie, gdy przybył tam Ribbentrop i podpisał z Molotowem 23 sierpnia pakt o nieagresji⁵⁴.

Ogłoszenie paktu wywołało potężny szok opinii światowej. Nie zmieniło jednak dwutorowej polityki brytyjskiej, która ostrzegała Hitlera przed użyciem siły, a jednocześnie zabiegała o wynegocjowaną ugodę na warunkach niemieckich. Tyle tylko, że po 23 sierpnia rząd brytyjski skierował cały nacisk na drugi aspekt swej polityki. Francja ze swej strony zachowywała się biernie, z wyjątkiem zdumiewającego listu Daladiera do Hitlera z 26 sierpnia — w którym premier oraz minister obrony Francji (i sojusznik Polski) oferował Hitlerowi „pomoc” w uzyskaniu układu polsko-niemieckiego. Hitler jednakże z oferty nie skorzystał⁵⁵.

25 sierpnia podpisano wreszcie w Londynie układ o wzajemnej pomocy polsko-brytyjskiej. Nawet wówczas jednak Halifax oświadczył ambasadorowi Raczyńskiemu, że jest niezbędne aby odróżniać Wolne Miasto Gdańsk od terytorium Polski. Ostrzegł go zarazem, że byłoby nierozsądne ze strony rządu polskiego, gdyby odrzucił możliwość wszelkich rozmów na temat Gdańska. Na koniec stwierdził, że interesy polskie w Gdańsku mogą być zabezpieczone przez „gwarancje międzynarodowe”⁵⁶. Znaczenie tego oświadczenia można właściwie ocenić, jeśli się będzie pamiętało, że dzień przedtem *Gauleiter* Gdańska Albert Forster ogłosił

54. W sprawie brytyjsko-sowieckich negocjacji w Moskwie w sierpniu 1939, patrz Aster, 1939, rozdz. 10 i Duroselle, *Décadence*, rozdz. XIII, 5; w sprawie polskich dokumentów patrz nota 33 powyżej, w sprawie niemiecko-sowieckich rozmów od maja do sierpnia 1939 roku patrz Gerhard L. Weinberg, *The Foreign Policy of Hitler's Germany. Starting World War II, 1937-1939*, Chicago - Londyn 1980, str. 602-608.

55. *Le Livre Jaune Français*, Paryż 1939, nr 253, 261.

56. Halifax do Kennarda, 25 sierpnia 1939, *DBFP*, VII, nr 309. W sprawie angielskiego tekstu sojuszu patrz *Command Paper*, nr 6616, Londyn 1945; tekst angielski i polski, patrz *Diariusz i teki Jana Szembeka*, IV, str. 767-768, tajny protokół (po angielsku) str. 769, *tamże*.

się „głową” miejscowego rządu. Ponadto w mieście znajdowało się już kilka tysięcy żołnierzy niemieckich udających turystów. Rząd brytyjski doskonale o tym wiedział. Wiedział o tym też rząd polski, który na zbrojenie Gdańska oraz nękanie polskich urzędników celnych zareagował sankcjami gospodarczymi i ostrzeżeniem, że nie dopuści do otwarcia granicy celnej między Gdańskiem a Prusami Wschodnimi. Tak więc w momencie deklaracji Halifaxa, złożonych ambasadorowi polskiemu w dniu podpisania sojuszu polsko-brytyjskiego, sytuacja w Gdańsku była napięta prawie do ostateczności.

Innym faktem zasługującym na odnotowanie było pismo Halifaxa do Raczyńskiego z 25 sierpnia z wnioskiem aby układ podpisano nie później niż o godz. 17.00 tegoż dnia, z uwagi na „skutki polityczne”⁵⁷. Jest wielce prawdopodobne, że ten termin miał się zbiec w czasie z nadejściem spodziewanego listu Mussoliniego do Berlina: Duce informował w nim Führera, że jeśli dojdzie do wojny między Niemcami a mocarstwami zachodnimi, to Włochy nie będą w stanie do niej przystąpić⁵⁸. Termin mógł być uzgodniony z Mussolinim, z którym — bez względu na okoliczności — Chamberlain i Halifax byli w stałym kontakcie poprzez ambasadora brytyjskiego w Rzymie, Sir Percy Loraine’a. Ten ostatni widywał się niemal codziennie z włoskim ministrem spraw zagranicznych, hr. Galeazzo Ciano (zięciem Mussoliniego). Wiadomo, że na dzień przed podpisaniem sojuszu polsko-brytyjskiego Halifax przekazał Loraine’owi oraz Ciano sugestie dotyczące wynegocjowania ugody polsko-niemieckiej, która miała być zabezpieczona przez gwarancje międzynarodowe⁵⁹. To odpowiadało Mussoliniemu, ponieważ wojna z zachodnimi mocarstwami była ostatnią rzeczą, jakiej sobie życzył. Nadal uważał, że wojnę taką Niemcy muszą przegrać.

Podwójny cios w postaci układu brytyjsko-polskiego i listu Mussoliniego sprawił, że Hitler odwołał rozkaz ataku na Polskę wyznaczonego na 26 sierpnia. Teraz zgodził się „negocjować”. Ale nie było to w żadnym wypadku wynikiem „stanowczości” Zachodu, jak twierdził wobec Raczyńskiego Halifax, gdy doradzał mu, aby rząd polski nie odrzucał negocjacji, jeśli Hitler wyrazi na nie zgodę. Rację miał Raczyński, gdy odparł, że celem

57. Raczyński do ministra spraw zagranicznych, zaszyfrowana depeza nr 176, 25 sierpnia 1939 roku, archiwa ambasady RP w Londynie, PISM.

58. W sprawie listu Mussoliniego do Hitlera patrz *Documenti Diplomatici Italiani* (odtąd: *DDI*), seria ósma, XIII, nr 250, *DGFP*, D, VII, nr 271

59. Patrz nota Sir Percy Loraine’a do ministra spraw zagranicznych G. Ciano, 24 sierpnia 1939, *DDI*, seria ósma, XIII, nr 205; Halifax do Loraine’a, *DBFP*, VII, nr 222.

Hitlera jest złamanie „stanowczości” państw zachodnich⁶⁰. Dla-
czegoż zresztą Hitler miałby się obawiać tej tzw. stanowczości?
Prócz rozmów Wilson-Wohlthat-Dirksen i gotowości do przyję-
cia Göringa w Anglii, przywódcy brytyjscy używali teraz Birgera
Dahlerusa, szwedzkiego przemysłowca, przyjaciela Göringa, w
charakterze tajnego łącznika między marszałkiem a gabinetem bry-
tyjskim. Chamberlain i Halifax liczyli na to, że Göring, którego
uważali za polityka „umiarkowanego”, zdoła namówić Hitlera
do przyjęcia rozwiązania pokojowego.

Po otrzymaniu obietnicy Hitlera w sprawie „negocjacji” wez-
wano do Londynu ambasadorów Hendersona i Kennarda, aby
pomogli w wypracowaniu odpowiedniej podstawy do rokowań.
Podobnie jak przedtem, propozycja ich była oparta na warun-
kach postawionych przez Hitlera 21 marca, a odrzuconych wów-
czas przez Polskę. W jednej z wielu roboczych wersji listu, jaki
Chamberlain wystosował do Hitlera 28 sierpnia, można nawet
znaleźć datę 21 marca, którą jednak usunięto, nawiązując do
przemówienia Hitlera z 28 kwietnia. Chociaż oświadczył on wów-
czas, że warunki z 21 marca już go nie obowiązują, to stwierdził
zarazem, że uznaje prawa Polski oraz jej niepodległość. Dlatego
też Chamberlain w swym liście zapytywał, czy Hitler nadal po-
twierdza swoją deklarację z 28 kwietnia — była to zamaskowana
aluzja do warunków z 21 marca. W jeszcze innym projekcie
listu można znaleźć propozycję zorganizowania w Gdańsku ple-
biscytu, opartego na wzorze plebiscytu przeprowadzonego w Za-
głębiu Saary w 1935 roku pod nadzorem komisji międzynaro-
dowej. (Należy też wspomnieć, że po konferencji monachijskiej
powołano fasadową komisję, która miała wdrażać jej postano-
wienia, ale Niemcy wykorzystali ją do własnych celów). Tę pro-
pozycję usunięto jednak z ostatecznej wersji listu premiera. Tak-
że w ostatnim momencie Cadogan zdołał usunąć opracowane przez
Halifaxa i Hendersona propozycje angielsko-niemieckiego paktu
o nieagresji⁶¹.

Istotę proponowanej ugody przedstawił Chamberlain gabi-
netowi 27 sierpnia. Stwierdził wówczas, że według Dahlerusa Hi-
tler domaga się nie tylko Gdańska, ale całego Pomorza. W związ-
ku z tym premier oświadczył, że największe ustępstwa na jakie
mogliby pójść Polacy, to zwrócenie Niemcom Gdańska i zgoda
na niemieckie eksterytorialne linie komunikacyjne przez Pomo-

60. Halifax do Kennarda, 26 sierpnia 1939, *DBFP*, VII, nr 354.

61. W sprawie tych projektów patrz PREM I/331 A; patrz również
Kaiser, *Economic Diplomacy*, str. 311-312 oraz Cadogan, *Diaries*, 28 sierpnia
1939, str. 203. List Chamberlaina do Hitlera z 28 sierpnia, patrz *DBFP*,
VII, nr 498.

rze⁶². Z Polakami rzecz jasna nie konsultowano się w tych sprawach. Co więcej, nie wspomniano o przestrodze Becka wobec Kennarda z końca kwietnia, że Polska odmówi spełnienia takich warunków bez względu na to, co uczyni Wielka Brytania.

Tym niemniej, mając taką właśnie ugodę na myśli, rząd brytyjski zwrócił się do Becka z prośbą, aby zgodził się on w zasadzie na negocjacje oraz by w wypadku osiągnięcia porozumienia przyjął gwarancje międzynarodowe. Beck zgodził się, ponieważ nie mógł postąpić inaczej. Zarazem jednak postawił jasno sprawę, twierdząc, że punkty dla Polski „zasadnicze” nie mogą być przedmiotem kompromisu — w przeciwnym razie ogłosi on publicznie proponowane warunki⁶³. Należy też odnotować, że Beck udzielił zgody na podstawie *streszczenia* listu Chamberlaina do Hitlera z 28 sierpnia. Kiedy Raczynski otrzymał pełny jego tekst 31 sierpnia, poinformował Becka, że nosi on „piętno ustępliwości”. Przekazał mu również wiadomość, że Churchill i jeszcze ktoś zapewnili go, iż będą się sprzeciwiać wszelkim próbom Chamberlaina powrotu do starej polityki ustępstw wobec Niemiec⁶⁴. Wreszcie, mimo, że Beck szereg razy prosił o wyjaśnienie, co oznaczają gwarancje międzynarodowe — odpowiedzi nigdy nie otrzymał.

Hitler tymczasem prowadził zręczną grę wobec Brytyjczyków. W pierwszej swej odpowiedzi na list Chamberlaina, udzielonej ustnie ambasadorowi Hendersonowi, Führer oświadczył, że domaga się nie tylko Gdańska i Pomorza, ale również polskiego Górnego Śląska. Następnie jednak wystosował odpowiedź na piśmie, wyrażając zgodę na rokowania i na gwarancje międzynarodowe, pod warunkiem wszakże, iż Związek Sowiecki będzie jednym z sygnatariuszy gwarancji. Zażądał zarazem, aby polski pełnomocnik przybył do Berlina nie później niż 30 sierpnia w południe⁶⁵. Na to ostatecznie żądanie gabinet brytyjski nie mógł przy-

62. Cabinet, 27 sierpnia 1939, Cabinet 44 (39), CAB 21/100; także *DBFP*, VII, nr 649. W sprawie dyskusji gabinetowych w dniach 26-27 sierpnia patrz Aster, 1939, str. 342-344.

63. Patrz *DBFP*, VII, nr 411, 443; depesza Becka ze stwierdzeniem, że nie może być kompromisu w sprawie podstawowych dla Polski punktów, patrz szyfrowany telegram nr 254 z 28 sierpnia, otrzymany przez ambasadę RP w Londynie *via* ambasada polska w Paryżu, archiwa ambasady RP w Londynie, PISM. Następnego dnia Beck oznajmił amb. Kennardowi, że musi się „przeciwstawić” wszelkim wnioskom o zaakceptowanie przez Polskę warunków Hitlera, patrz Kennard do Halifaxa, 29 sierpnia, *DBFP*, VII, nr 487.

64. Raczynski do ministra spraw zagranicznych, zaszyfrowana wiadomość nr 191, 31 sierpnia 1939, archiwa ambasady RP w Londynie, PISM.

65. W sprawie rozmowy Hitler - Henderson 28 sierpnia rano, patrz *DBFP*, VII, nr 455, 490, 501, i *DGFP*, D, VII, nr 384; późniejsza odpowiedź Hitlera na piśmie, patrz *DBFP*, *ibidem*, nr 502 i *DGFP*, D, *ibidem*, nr 21.

stać, bo zbyt przypominało znaną wizytę prezydenta Hachy w Berlinie w dniu inwazji jego kraju.

Jednakże członkowie gabinetu brytyjskiego, podnieceni propozycją Hitlera, sądzili, że jego zgoda na rokowania oznacza, iż zmusili go do wycofania się. Zarówno Halifax jak i Cadogan uznali, że Hitler znajduje się w „tarapatach”⁶⁶. Tymczasem raczej miał Ribbentrop, uważając, że list Chamberlaina wskazuje na to, iż Anglicy szukają wyjścia⁶⁷. Halifax mylił się, sądząc, że Hitler jest w „tarapatach” i, że jeśli dojdzie do rokowań, a mocarstwa zachodnie zajmą bardzo sztywne stanowisko — to Hitler będzie pokonany⁶⁸. W bardzo trzeźwym tonie Halifax zauważył, że chociaż nie należy oczekiwać trwałego pokoju w Europie, póki istnieje reżym nazistowski, to jednak fakt ten nie powinien przemawiać przeciwko „działaniom na rzecz pokojowego rozwiązania teraz, na odpowiednich warunkach”⁶⁹. (Miał oczywiście na myśli warunki Hitlera z 21 marca). A zatem w odpowiedzi na propozycje niemieckie Brytyjczycy zapytali, czy Hitler mógłby w pełni zaaprobować ich propozycje. Co więcej, rząd brytyjski uczynił „wyraźne zastrzeżenie” w kwestii Gdańska i Pomorza, która ma być przedmiotem rokowań oraz oświadczył, że w jego rozumieniu rząd niemiecki przygotowuje ze swej strony propozycje celem rozwiązania konfliktu⁷⁰. Atmosferę panującą w siedzibie premiera zasygnalizował prezydentowi Rooseveltowi ambasador Stanów Zjednoczonych, Joseph Kennedy, gdy stwierdził w raporcie, że Chamberlain bardziej martwi się tym, aby nakłonić do „rozsądku” Polaków aniżeli Niemców⁷¹.

Odpowiedzi na propozycje brytyjskie udzielił Ribbentrop, gdy wezwał do siebie ambasadora Hendersona o północy 30 sierpnia.

Cadogan uważa, że wyglądała „całkiem inaczej i znacznie lepiej”, *Diaries*, str. 204; Sir Horace Wilson zanotował, że nie robiła „już tak złego wrażenia” jak odpowiedź ustna, PREM I/331 A, 29 sierpnia. Daladier jednakże uważał, że wyraźnie wskazuje ona na intencje rozczłonkowania Polski i odmówił przybycia do Londynu celem jej przedyskutowania, *DBFP*, *ibidem*, nr 533.

66. Patrz uwagi Halifaxa, na podstawie raportu Dahlerusa, Gabinet, 29 sierpnia, 11.30, Cabinet 45 (39), CAB 23/100, częściowo cyt. u Astera 1939, str. 356-357; patrz także Cadogan, *Diaries*, str. 205.

67. Ribbentrop do ambasadora Włoch Bernardo Attolico, 29 sierpnia, *DGFP*, D, VII, nr 411.

68. Harvey, *Diaries*, 29 sierpnia, str. 309.

69. Uwaga Halifaxa na memorandum sporządzonym przez Ivona Kirkpatrick i nota Orme Sargenta, 30 sierpnia, *DBFP*, VII, nr 455, str. 354.

70. *DGFP*, D, VII, nr 461; *DBFP*, VII, nr 534, 538, 547, 548; Cadogan, *Diaries*, str. 205.

71. Telegram Kennedy’ego, 30 sierpnia, *Foreign Relations of the United States*, 1939, I, str. 392. (odtąd: *For. Rels. U.S.*).

Odczytał mu szybko tekst, który miał przedstawiać „ostatnią ofertę” Hitlera. Składał się on z 16 punktów, których istotą było żądanie przyłączenia Gdańska do Niemiec i zorganizowanie plebiscytu na Pomorzu. W tym jednak przypadku głos mieli mieć tylko ci, którzy zamieszkiwali te ziemie w 1918 (Hitler widać nie wiedział, że nawet wówczas Polacy stanowili tam większość). Strona zwycięska zgodziłaby się przyznać przeciwnej eksterytorialne linie komunikacyjne do morza⁷². Była to zresztą wykalulowana oferta, mająca sprawić wrażenie „uczciwej”, a zatem wprowadzić w błąd opinię publiczną na Zachodzie. W przypadku odrzucenia oferty przez Polskę „wina” za wybuch wojny spadałaby na nią.

Tymczasem jednak, w odróżnieniu od 1938 roku, ani rząd brytyjski ani francuski nie mógł otwarcie wymóc na Polakach przyjęcia tych warunków. Jakiegokolwiek otwarte próby nacisku groziły wybuchem oburzenia brytyjskiej opinii publicznej, nie tylko ze strony Churchilla i jego popleczników, ale i wszystkich innych — których było wielu i którzy nie godzili się na „nowe Monachium”. Wobec tego czyniono naciski innego rodzaju. Rząd brytyjski nie wstrzymywał ambasadora Hendersona przed wywieraniem maksymalnego nacisku na ambasadora Lipskiego w Berlinie, by namówił rząd polski do „zwrócenia się” do rządu niemieckiego o przekazanie mu warunków. Podczas gdy Henderson był w kontakcie telefonicznym z niemieckim wiceministrem spraw zagranicznych, Ernstem von Weizsäckerem, i ze swymi zwierzchnikami w Londynie⁷³, Halifax nalegał na rząd polski, by liczył się z „opinią światową” i przygotowywał się do „rokoowań”⁷⁴.

Beck nie miał innego wyjścia, jak poinstruować ambasadora Lipskiego, aby spotkał się z Ribbentropem i poinformował go, że rząd polski „rozważa” propozycje niemieckie — tj. treść 16 punktów, które ambasador otrzymał od Hendersona. Istotnie, Lipski spotkał się z Ribbentropem 31 sierpnia o godz. 18.30, ale kiedy ten ostatni zorientował się, że ambasador nie posiada

72. *DBFP*, VII, nr 622; *DGFP*, D, VII, nr 458.

73. Patrz *Diplomat in Berlin 1933-1939. Papers and Memoirs of Józef Lipski, Ambassador of Poland*, opr. Wacław Jędrzejewicz, Nowy Jork - Londyn 1968, str. 569-573; Ernst von Weizsäcker w nocy z rozmowy telefonicznej z Hendersonem, 31 sierpnia, 10.14, *DGFP*, D, VII, nr 466; także *DBFP*, VII, nr 510, 537, 597, i patrz również Aster, 1939, str. 360-362.

74. Halifax do Kennarda, *DBFP*, VII, nry 539, 552, 566, 576, 596, 600, 608, 609; także odręczna nota polska o tym, że pierwszy sekretarz ambasady brytyjskiej Robin Hankey telefonował do biura Becka o godz. 8.00 31 sierpnia, szyfry, archiwa ambasady RP w Londynie, PISM; patrz również *For. Rels. U.S. 1939*, I, str. 390-391.

pełnomocnictw do prowadzenia rokowań, przerwał rozmowę⁷⁵. (Mało znany jest fakt, że gdyby jednak doszło do rokowań, to minister Beck przewidywał, że będzie je prowadził Antoni Roman, ówczesny minister Przemysłu i Handlu. Roman był bardzo bliskim człowiekiem Becka. Wiedziałem o tym przewidywanym wariacie Becka, będąc urzędnikiem politycznym i naczelnikiem wydziału Prezydzialnego ministerstwa, a jednocześnie osobistym przyjacielem Romana. — J. Giedroyc).

Należy nadmienić, że swego rodzaju presję wywierały też na Polskę liczne apele o pokój, ogłaszane m.in. przez prezydenta Roosevelta i króla Belgów. Wreszcie tego samego dnia (31 sierpnia) nuncjusz papieski w Warszawie, monsignore Filippo Cortesi, nalegał na rząd polski, aby zadeklarował gotowość do przyjęcia warunku o powrocie Gdańska do Rzeszy i do przystąpienia do negocjacji na temat Korytarza oraz spraw dotyczących mniejszości. Była to *de facto* propozycja, jaką zasugerował Watykanowi Mussolini⁷⁶.

Bez względu na to, jak bardzo Chamberlain pragnął pokoju, nie mógł przystać na taką procedurę. W propozycjach brytyjskich Gdańsk miał być bowiem przedmiotem „negocjacji”, tzn. oddanie go Niemcom miało nastąpić na tej właśnie drodze. Z tego też powodu Halifax odrzucił sugestię Mussoliniego z 31 sierpnia, aby Gdańsk powrócił do Niemiec przed zwołaniem konferencji międzynarodowej, mającej rozstrzygnąć pozostałe roszczenia Niemiec wobec Polski oraz inne problemy europejskie⁷⁷.

Tym niemniej nawet gdy rząd niemiecki zakomunikował treść 16 punktów dyplomatom zagranicznym w Berlinie i gdy radio niemieckie podało je do wiadomości publicznej (wraz z komentarzem, że zostały przez Polskę odrzucone) — Halifax dalej nalegał na rząd polski, by wyraził zgodę na negocjacje na tej właśnie podstawie. Co więcej, Halifax proponował aby dr Carl J. Burckhardt, Wysoki Komisarz Ligi Narodów w Gdańsku, pełnił rolę mediatora⁷⁸. Ale ostatni telegram Halifaxa z apelem o negocjacje został rozszyfrowany w ambasadzie brytyjskiej w Warszawie w momencie, gdy Niemcy zaatakowały Polskę z powietrza, lądu i morza 1 września 1939 roku o godzinie 4.30 rano.

75. *Diplomat in Berlin*, str. 610, *DGFP*, D, VII, nr 526.

76. *Patrz Actes et Documents du Saint-Siège relatifs à la Seconde Guerre Mondiale. I. Le Saint-Siège et la Guerre en Europe, Mars 1939 - Août 1939*, Watykan, 1970, nr 148, 152-154, 165-167, patrz także *Diariusz i teki Jana Szembeka*, IV, str. 704-705, i *DBFP*, VII, nr 526.

77. Rozmowa telefoniczna Halifaxa z Ciano, 31 sierpnia po południu, *DBFP*, VII, nr 627.

78. Halifax do Kennard, 31 sierpnia, 23.00, *DBFP*, VII, nr 627.

Jaskrawy akt agresji ze strony Hitlera nie powstrzymał wysiłków mocarstw zachodnich na rzecz pokoju. W notach przekazanych tegoż dnia w Berlinie rządy Francji i Wielkiej Brytanii zaprotestowały przeciw agresji i zagroziły wojną — ale tylko wówczas, jeśli rząd niemiecki „zgodzi się” na wycofanie swoich wojsk z terytorium Polski i „nie wyrazi natychmiastowej gotowości” do podjęcia rokowań. Poza tym nie wyznaczono Niemcom żadnego terminu na odpowiedź. Przeciwnie, gdy zapytali czy noty mają charakter ultimatywny — odpowiedź była przecząca⁷⁹.

Treść tych not została zresztą ustalona pod koniec sierpnia w ten sposób, by wyraźnie zostawić Hitlerowi szansę na wycofanie się. Wydawało się, że istniała tak możliwość, ponieważ — jak wspomniano powyżej — 31 sierpnia Mussolini zaproponował zwołanie konferencji w celu rozstrzygnięcia polsko-niemieckiego sporu na temat Korytarza oraz innych sporów terytorialnych wynikających z traktatów pokojowych, aczkolwiek Halifax wyraził sprzeciw w sprawie powrotu Gdańska do Niemiec przed rozpoczęciem rokowań. Wstępnej reakcji gabinetu francuskiego na propozycje Mussoliniego nie da się w pełni ustalić z braku dokumentacji. Wiadomo, że pewni członkowie gabinetu błagali ambasadora włoskiego w Paryżu, Guariglię, by Włochy, tj. Mussolini, wystąpiły ponownie w roli zbawiciela pokoju. Natomiast wydaje się, że gabinet francuski, a zwłaszcza Daladier, ofertę odrzucił w nocy z 31 sierpnia na 1 września. Jednakże w kilka godzin później, a więc gdy już wiadano o ataku niemieckim na Polskę, gabinet francuski poinformował Mussoliniego, że gotów jest zaakceptować jego propozycje. Przebieg dyskusji w rządzie francuskim jest nam nieznany, ponieważ nie istnieją żadne protokoły, a jedynie pamiętniki niektórych jego członków⁸⁰. Wydaje się jednak, że podczas gdy rząd brytyjski obstawał przy uprzednim wycofaniu się wojsk niemieckich z Polski, to rząd francuski na ten warunek nie nalegał.

Niektórzy historycy twierdzą, że zwłoka Wielkiej Brytanii w przystąpieniu do wojny spowodowana była apelami Francji, aby dać jej więcej czasu⁸¹. Choć z pewnością był to jeden z czynników, jednak jest również jasne, że przywódcy brytyjscy nadal

79. *DBFP*, VII, nr 699, oraz raport Hendersona z 2 września, nr 707.

80. W sprawie dyskusji i dokumentów patrz Duroselle, *Décadence*, str. 481-486, i Adamthwaite, *France and the Coming of the Second World War*, str. 344-349.

81. R. A. C. Parker, „The British Government and the Coming of the War with Germany, 1939”, w: M. R. D. Foot, opr., *Historical Essays in Honour and Memory of J. R. Western*, Londyn 1976, str. 1-14.

żywili płonne nadzieje, iż Hitler cofnie się przed groźbą wybuchu nowej wojny światowej. W każdym razie gdy gabinet brytyjski zebrał się w niepełnym składzie 2 września o godz. 16.00, Halifax przedstawił ofertę włoską i odpowiedź brytyjską i zwrócił się o zaaprobowanie terminu jakiego Hitler zażądał od Mussoliniego, by odpowiedzieć mu na jego projekt konferencji, tj. najdalej do 3 września wieczorem. Halifax zaproponował, by ten sam termin przyjął rząd brytyjski. Gabinet jednak odmówił, ustalając termin na północ tego samego dnia, czyli 2 września, lecz zarazem wyraził zgodę, aby Halifax spróbował skoordynować ten termin z rządem francuskim, wreszcie zaaprobował tekst oświadczeń, które tego wieczoru mieli wygłosić w izbach parlamentu Halifax i Chamberlain⁸².

Rząd francuski ze swej strony zwrócił się o 48-godzinną zwłokę, co Chamberlain i Halifax wykorzystali aby nie ogłaszać ostatecznego terminu na odpowiedź Hitlera na notę z 1 września. Przemawiając odpowiednio w Izbie Gmin i w Izbie Lordów wkrótce po godz. 19.00 w dniu 2 września, obaj wyjaśnili, że odpowiedź Hitlera na notę brytyjską jeszcze nie nadeszła, a to zapewne w związku z projektem konferencji zgłoszonym przez Mussoliniego. Następnie odczytali oświadczenie zaaprobowane przez gabinet tego popołudnia, w którym stwierdzili, że *jeśli* rząd niemiecki zgodzi się wycofać swe wojska z Polski i *jeśli* wyrazi gotowość do podjęcia negocjacji, to wówczas rząd brytyjski potraktuje sytuację „tak, jakby nic się nie zdarzyło”. Dalej pod warunkiem, że *status quo ante* zostanie przywrócony, rząd brytyjski będzie gotów poprzeć bądź bezpośrednio rokowania polsko-niemieckie, bądź konferencję z udziałem innych państw, o ile obie strony będą sobie tego życzyły⁸³. Oświadczenie to, zaaprobowane przez gabinet a złożone ustami sojuszników Polski pod koniec drugiego dnia totalnej agresji niemieckiej na Polskę, trudno zrozumieć inaczej niż jako ostatnią, rozpaczliwą próbę uratowania pokoju — kosztem ofiary agresji.

Aczkolwiek oświadczenie Halifaxa zostało przyjęte spokojnie w Izbie Lordów — która darzyła go wielkim szacunkiem — to w Izbie Gmin wybuchło przeciw Chamberlainowi oburzenie. Co więcej, część członków gabinetu zbuntowała się przeciwko premierowi. Nie ulegało wątpliwości, że jeśli Chamberlain nie zdoła

82. Gabinet, 2 września 1939, 16.15, 48 (39), CAB 23/100; także Aster, 1939, str. 376-378.

83. Patrz *Parl. Deb. H. C.*, piąta seria, tom 351, szp. 280-285; *House of Lords*, tom 114, szp. 952-954.

wyjaśnić stanowiska swego rządu do godz. 11.00 dnia następnego — kiedy miało się odbyć następne posiedzenie Izby — to będzie musiał ustąpić. Dlatego też poinformował on Daladiera, że Wielka Brytania nie może czekać na odpowiedź Hitlera dalszych 48 godzin⁸⁴. Zarazem przepadły nadzieje na bunt generałów niemieckich. Henderson przekazał, że nie sposób przekonać niemieckiego sztabu generalnego do wycofania wojsk z Polski — chyba, że najpierw upadłby reżym nazistowski⁸⁵. Wobec tego 3 września o godz. 9.00 wystosowano ultimatum brytyjskie z żądaniem odpowiedzi niemieckiej na notę z 1 września do godziny 11.00. Gdy odpowiedź nie nadeszła, Wielka Brytania znalazła się w stanie wojny z Niemcami. Francja poszła w jej ślady o godzinie 17.00.



Halifax twierdził później, że ani rząd polski, ani rumuński nie łudziły się, że mogą otrzymać konkretną pomoc od Wielkiej Brytanii⁸⁶. Istotnie, historycy zachodni przeważnie uważają, iż Wielka Brytania i Francja wypełniły swe zobowiązania wobec Polski przez samo przystąpienie do wojny z Niemcami. Tymczasem niezależnie od tego, że Hitler nie pozostawił im wyjścia, należy przecież pamiętać, że oba mocarstwa podjęły zobowiązania wojskowe wobec Polski. Tak więc w trakcie rozmów angielskich i polskich sztabów sił powietrznych, które odbyły się w Warszawie w maju 1939 roku, Anglicy zobowiązali się do zbombardowania niemieckich obiektów wojskowych, o ile Niemcy pierwsi uczynią to w Polsce. W razie gdyby Niemcy zbombardowali tam obiekty cywilne, Anglicy oświadczyli, że przed podjęciem tej samej akcji przeciwko Niemcom najpierw skonsultują się z Francją. Jeśli okaże się że taka akcja niemiecka miała miejsce, to Anglicy podejmą odwet w tej samej formie. Uzgodnione protokoły tych rozmów podpisano w Warszawie 1 czerwca 1939 roku⁸⁷. Brytyjczycy jednak *nie* poinformowali Polaków, że zo-

84. W sprawie przyjęcia oświadczeń w parlamencie, patrz Aster, 1939, str. 382-388; Rozmowa telefoniczna Chamberlain-Daladier z 22 września, 22.50, *DBFP*, VII, nr 740.

85. Henderson do Halifaxa, 2 września, *DBFP*, VII, nr 725.

86. Cyt. w: Earl of Birkenhead, *Halifax, The Life of Lord Halifax*, Londyn 1965, str. 437.

87. Patrz *Protocols of the Polish-British General Staffs Conversations in Warsaw, May 1939*, (po francusku), *Bellona*, Londyn 1957, nry III-IV, i nadbitka, *Polish Institute and Sikorski Museum*, 1958, str. 32.

bowiązania te zostały zarzucone z obawy przed niemieckimi atakami powietrznymi na Wielką Brytanię i Francję⁸⁸.

Zobowiązania wojskowe Francji wobec Polski szły o wiele dalej. Wedle protokołów wojskowych podpisanych w Paryżu 19 maja 1939 roku przez gen. Gamelina i gen. Kasprzyckiego, w razie ataku niemieckiego na Francję Polska miała jej przyjść z pomocą, atakując Niemcy ze wschodu. Jeśli natomiast Niemcy zaatakowałiby Polskę, to Francuzi mieli podjąć natychmiast ograniczoną akcję na lądzie i w powietrzu, a począwszy od 15 dnia ataku niemieckiego na Polskę — tj. z chwilą zakończenia mobilizacji francuskiej — Francja miała *wszcząć ofensywę przeciwko Niemcom z udziałem przeważającej części swych wojsk*⁸⁹.

Należy w tym miejscu zapytać, dlaczego Francja podjęła takie zobowiązania, skoro w rozmowach sztabowych z Brytyjczykami uzgodniono wspólną strategię czysto defensywną — z wyjątkiem ewentualnego ataku francuskiego na Włochów w Libii?⁹⁰ Zdaniem Duroselle'a podjęcie zobowiązań francuskich wobec Polski jest „trudne do wyjaśnienia”. Adamthwaite natomiast składa je na karb „bałaganiarstwa” francuskiego. Robert Young uważa, że skoro Polacy dobrze wiedzieli, że Francja dawno przyjęła strategię defensywną, to mogli winić tylko samych siebie za to, że zobowiązania francuskie potraktowali na serio⁹¹. Sam Gamelin daje w swych pamiętnikach sprzeczne wyjaśnienia. Najpierw twierdzi, że w protokołach *nie* precyzowano ofensywy z udziałem przeważającej części sił francuskich, a następnie, że gdy wojska polskie zostały rozbite — nie było powodu rozpoczynać ofensywy francuskiej⁹².

Wszystkie te argumenty należy uznać za wykrętne. Polski

88. 12 sierpnia francuski i brytyjski sztab generalny zdecydowały, że jedyną możliwością udzielenia pomocy Polsce byłaby ofensywa powietrzna na zachodzie, ale następnie to odwołano, patrz płk P. Goyet, „Le théâtre d'opérations du Nord-Est”, *Relations Franco-britanniques*, 1975, str. 326.

89. W sprawie protokołów z francusko-polskich rozmów wojskowych, podpisanych w Paryżu 19 maja 1939 roku, patrz DDF, XVI, nr 233, i *Bellona*, 1958, II, także nadbitka, PISM, 1958, str. 12-13.

90. Patrz płk le Goyet, „Les conversations de 1939 sur la coopération franco-britannique en temps de guerre”, oraz ppłk B. R. Neave-Hille, „Franco-British Strategic Policy, 1939”, *Relations Franco-britanniques*, 1975, str. 136-137, 338-349.

91. Duroselle, *Décadence*, str. 460; Adamthwaite, *France and the Coming of the Second World War*, str. 319; Robert J. Young, *In Command of France. French Foreign Policy and Military Planning, 1933-1940*. Cambridge, Mass. i Londyn 1979, str. 233.

92. Patrz Maurice G. Gamelin, *Servir*, II, Paryż 1946, str. 418-419 i III, 1947, także Wacław Stachiewicz, *Pisma*, II, *Zeszyty Historyczne* nr 50, Paryż 1979, str. 267, 288.

sztab generalny doskonale wiedział, że przed podpisaniem protokołów z maja 1939 roku strategia francuska zakładała utrzymanie linii Maginota oraz — jeśli by Niemcy dokonali inwazji Belgii i Belgia zwróciła się o pomoc — wkroczenie wojsk francuskich do Belgii. Jednakże sztab polski miał prawo sądzić, że podpisanie przez Francuzów protokołów z 19 maja 1939 roku oznacza odstępienie od dawnej strategii defensywnej na rzecz ataku na linię Zygfryda. W każdym bądź razie Polacy słusznie uważali, że wszczęcie takiego ataku w momencie, gdy przeważająca część sił niemieckich jest związana w Polsce, leży w interesie Francji. W tej sprawie istnieje na piśmie opinia szefa polskiego sztabu generalnego generała Wacława Stachewicza. Można więc z pewnością przyjąć, że generał Kasprzycki, podpisując protokoły majowe, nie działał „na niby”. Przecież polski plan obrony zakładał, że wojska polskie muszą powstrzymać Niemców na całej linii frontu, cofając się tylko w razie konieczności — do czasu, gdy nastąpi ofensywa francuska na zachodzie.

Ofensywa ta miała odciążyć Polaków, pozwalając im na przegrupowanie sił do kontrataku. Przyznać trzeba, że polski Wódz Naczelny, marszałek Edward Śmigły-Rydz żywił obawy, iż politycy francuscy mogą przyjąć ofertę pokojową Hitlera — po zajęciu przez niego Gdańska, Pomorza i Górnego Śląska. Z tego też powodu, prócz zobowiązań wojskowych w sprawie powstrzymywania Niemców na całym froncie, Śmigły-Rydz podjął walkę o zachodnie ziemie polskie, zamiast wycofania się na linię Wisły. Ale przecież nigdy nie wątpił — podobnie jak i minister Spraw Zagranicznych Józef Beck — że wojskowi francuscy wypełnią swoje zobowiązania wobec Polski⁹³.

Na nieszczęście dla Polaków Gamelin jednak wcale nie planował totalnej ofensywy na linię Zygfryda — chociaż gdyby to był uczynił miałby duże szanse przedarcia się przez słabo obsadzone niemieckie pozycje obronne i wkroczenia do Zagłębia Ruhry. To samo mógł był osiągnąć szybkim atakiem przez Belgię, nie zważając na opór Belgów. Tymczasem Gamelin zamierzał zmusić Polaków do jak najdłuższego oporu, tylko po to, aby Francja mogła zyskać na czasie. Strategia ta wynika całkiem jasno z jego wypowiedzi podczas pierwszego posiedzenia Najwyższej Rady Sojuszniczej w Abbeville 12 września. Gdy jeden z Anglików zapytał, czy Gamelin zmieniłby swą strategię, gdyby Polacy walczyli przez dwa lub trzy miesiące — generał odpowie-

93. W sprawie interpretacji przez polski sztab generalny protokołów wojskowych, patrz *ibidem*, str. 273-274, także Leszek Moczulski, *Wojna polska*, Poznań 1972, str. 96-98.

dział, że *nie*. Jego zdaniem Polacy mieli zapewnić aliantom ceny czas, niezbędny do przygotowania się na moment, gdy Niemcy przerzucą większość swoich sił na zachód⁹⁴.

Można oczywiście twierdzić, że z technicznego punktu widzenia protokoły wojskowe nie miały mocy obowiązującej przed podpisaniem umowy politycznej, które nastąpiło 4 września. Trudno jednak oprzeć się wrażeniu, że Francuzi z premedytacją wprowadzili w błąd sojusznika, nie mając najmniejszego zamiaru wypełnić swych zobowiązań.



Wydaje się jasne, że brytyjskie gwarancje udzielone Polsce, w pełni poparte przez Francję, *nie* miały na celu ani przywrócenia równowagi sił w Europie, ani sprowokowania Hitlera do wojny. Ponadto oszukiwaniem samego siebie był pogląd, jaki głosili w owym czasie Chamberlain, Halifax i ich poplecznicy (zresztą poszczególni historycy zachodni wyznają go i dziś), że gwarancje miały pozwolić Polsce na rokowania z Niemcami „na równej stopie, bez obawy przed użyciem siły”. Było to mało prawdopodobne w obliczu faktu, że większość sił niemieckich zmasowano wzdłuż granicy zachodniej Polski. A. J. P. Taylor był najbliższy prawdy, uważając gwarancje za dalszy ciąg polityki ustępliwości, ponieważ przewidywały one dalsze rewizje terytorialne w Europie środkowo-wschodniej. Należy jednak zaznaczyć, iż usprawiedliwienie przez Taylora tej polityki argumentem, że jej celem było zachowanie pokoju, było skutkiem przekonań osobistych autora, nabytych znacznie później⁹⁵. Wreszcie pogląd, że Wielka Brytania dążyła do rozwiązania kryzysu polsko-niemieckiego dzięki nowemu paktowi czterech, a zatem z wykluczeniem Związku Sowieckiego, można uznać za technicznie poprawny — z tym wszakże, iż w klimacie 1939 roku nie żywiono nadziei na ustanowienie trwałego pokoju — tak jak to było w 1934 roku — lecz na odroczenie wojny.

W sumie więc tak zwana nowa polityka wynikająca z gwarancji brytyjskich dla Polski była w istocie starą polityką z 1938

94. Patrz François Bedarida, *La stratégie secrète de la drôle de guerre. Le Conseil Suprême Interallié, Septembre 1939 - Avril 1940*, Paryż (CNRS), 1979, str. 95 oraz nota J. *ibidem*.

95. Obrona przez Taylora Monachium i usprawiedliwianie przez niego dalszej polityki ustępliwości wynikały z jego zaangażowania się w brytyjski ruch jednostronnego rozbrowienia nuklearnego, CND, w latach pięćdziesiątych. Nie był on zwolennikiem Monachium w czasie podpisania tego paktu i uważał, że Wielka Brytania musi walczyć z Hitlerem, patrz A. J. P. Taylor, *A Personal History*, Nowy Jork - Londyn 1983, str. 225-230, 234.

roku ubraną w nowe szaty. Jednakże w 1939 roku upatrzona ofiara, Polska, odmówiła wzięcia udziału w tak zwanych rokowaniach na warunkach niemożliwych dla niej do przyjęcia. Hitler zaś odmówił czekania na pomyślniejszą koniunkturę. Miał przecież za pasem pakt o nieagresji ze Związkiem Sowieckim i był przekonany, że jeśli nie zaatakuje Polski do 1 września, to jesienne słoty zamienią ją w jedno wielkie trzęsawisko, tak że wojnę trzeba będzie odłożyć — a tego zdecydowanie chciał uniknąć.

Biorąc pod uwagę świadomość Francuzów i Anglików ich własnej słabości, ich przemożne pragnienie zachowania pokoju oraz ich podstawowe założenie, że ograniczona ekspansja niemiecka kosztem Polski, zalegalizowana przez rokowania i gwarancje międzynarodowe, pozwoli im uniknąć wojny lub przynajmniej zyskać na czasie, można dziś uznać — czego nie mogli wówczas przewidzieć Polacy — że inna polityka ze strony mocarstw zachodnich była bardzo mało prawdopodobna.

Tym niemniej już najwyższy czas, aby rozwiązać mity, wedle których gwarancje udzielone Polsce zapoczątkowały nową politykę stanowczości wobec Niemiec, lub że celem tych gwarancji miało być stworzenie dla Polski warunków do „swobodnych negocjacji” z Niemcami „bez obawy przed użyciem siły”, czy też, że mocarstwa zachodnie istotnie wywiązały się ze swych zobowiązań wobec Polski przez sam fakt, że przystąpiły do wojny z Niemcami, lub wreszcie, że Polacy sami ponoszą winę za to, że zaufali swym sojusznikom.

Jedna rzecz nie ulega jednak kwestii. Polityka ustępliwości, dzięki której w 1938 roku zdołano uniknąć wojny — do wojny tej doprowadziła w rok później, z tym, że w znacznym stopniu przyczyniła się też do tego polityka ZSSR.

Anna M. CIENCIAŁA

RECENZJE

Tymoteusz KLEMPSKI

„ICH” DROGI DO NIKĄD

Powiadano przed wojną: „To Żyd — ale uczciwy, a to Polak — ale inteligentny”. Jak w każdym tego rodzaju powiedzonku bałamuctwa mnóstwo, ale i żdźbło prawdy też da się uchwycić. To powiedzonko przypominało mi się wielokrotnie w czasie lektury zbioru wywiadów Teresy Torańskiej z prominentami epoki bierutowskiej. Ta książka — „Oni” — stanowi niewątpliwie jedną z najciekawszych pozycji edytorskich drugiego obiegu w roku bieżącym, obok tego znakomitego „kawałka” prozy literackiej, jakim jest powieść „Przyznaję się do winy” Bugajskiego.

Można by na tym tle snuć rozważania o tak już dawno wieszczonym zmierzchu powieści i o zwycięstwie literatury faktu, ale pozostawmy to znawcom literatury (czyli koneserom, a nie literaturoznawcom), zwracając uwagę jedynie na jedną sprawę: na głód prawdy, zwłaszcza z tego odcinka najnowiejszej historii, którą prezentują w tym wypadku rozmówcy Torańskiej. Ale z kolei Jan Bujnowski — autor wstępu — podchodzi do sprawy chyba nadmiernie historycznie, to znaczy wyłącznie od strony faktów, stopnia ich przekręceń, stopnia wiarygodności poszczególnych wypowiedzi. Oczywiście: to bardzo ważne, ale niemniej ważne wydaje mi się obserwowanie tych ludzi, tych żywych eksponatów przeszłości, którzy jeszcze, czasem tuż przed

rzeczywistą śmiercią (jak Berman) starają się przybliżyć ku nam z ich nicości, w którą zapadli po 1956 czy 1968 roku.

Reprezentują jedną generację: wszyscy urodzili się na samym początku naszego wieku i wszyscy przed pierwszą wojną światową: Julia Mincowa i Jakub Berman w 1901 roku, Roman Werfel, Edward Ochab i Stefan Staszewski w 1906 roku, Wiktor Kłosiewicz w następnym, a najmłodszym okazuje się (też już w międzyczasie zmarły) Leon Chajn, urodzony w 1910 roku. A więc ten cały bukiet polskiego komunizmu, bukiet KPP, ZPP, PPR, PZPR, a wreszcie w części b. członków PZPR, to ludzie, którzy rodząc się jakby obdarowani zostali przez epokę (bo chyba nie przez naturę) czerwonymi genami. Rodzili się więc, aby burzyć, niszczyć, a potem na pobojuwisku coś nowego budować. Do pierwszej części zadania mieli niejaki kwalifikacje, względnie dokładne dyspozycje. Do drugiej pozostawały im tylko własne kwalifikacje. Jakie — o tym świadczy to, co pozostawili po sobie. Wystarczy się rozejrzeć. Był kiedyś, przed wojną także, zbiorek erotyków francuskich: „Le bouquet inutile”. No tak...

W tym gronie „ostańców”, które reprezentuje zadziwiającą jednomysłność dziś (dawniej inaczej to było), tylko jeden zaparł się swych dawnych przekonań i potrafił przyznawać do rozmaitych win — Stefan Staszewski. Cała reszta, jak jeden mąż (plus jedna „dama”), od win się uchyla i próbuje dyskutować okres powojennej odbudowy. Ale kto, ja się pytam, kto odbudowywał tę Polskę? Czy ci decydenci uwikłani w partyjne rozgrywki i zatrudnieni przede wszystkim walką, czyli niszczeniem? Odbudowa wynikała stąd, że nastąpił społeczny zryw, kiedy to ludzie, którzy wojnę przeżyli, zabrali się do upartej, twardej, ale obiecującej pracy — usunięcia śladów koszmaru. To było pokolenie narodzone w przeważającej mierze w okresie międzywojennym, w tej II Rzeczypospolitej, której tak bardzo wszyscy rozmówcy Torańskiej nienawidzą. To było pokolenie zdziesiątkowane, ale pełne wciąż jeszcze energii, pełne nadziei, nie zdemolowane psychicznie. To zdemolowanie przejawiać się miało w następnych pokoleniach, wychowanych i „ukształtowanych” już w PRL. To właśnie „oni” zadbali o taki właśnie kształt tych następnych pokoleń. „Po owocach ich sądźcie je” — ale nie po tych, które oni chcieliby dyskutować.

Wypada, zastanawiając się nad tymi ludźmi, którzy nam przez kilkanaście lat najgorszego stalinizmu zagrażali, zacząć od jedynej w tym zespole „damy”. Julia Mincowa, jak sama nazwa wskazuje, jest wdową po Hilarym (czy kto pamięta jeszcze młodocianą mini-powieść Iwaszkiewicza: „Hilary syn buchaltera”?). Legenda pogrobowców stalinizmu głosi, że był to człowiek inteligent-

ny, posiadał w każdym razie wyższe wykształcenie (oto jak okrutnie „sanacyjna Polska” pastwiła się nad agentami obcych mocarstw!), może był nawet elegancki, ale tego wszystkiego nie potwierdza osobowość małżonki. Ta potworna KPP-owska dulszczyzna, którą nam ona zaprezentowała w rozmowie z Torańską jest czymś zaskakującym. Ostatecznie nikt, lub prawie nikt z nas — Polaków nie znał tej komunistycznej *high society* z bliska i chyba trudno było sobie wyobrazić to, co przejawia się z wypowiedzi wdowy Minc. A przecież to przeraźliwie głupie babsko było przez kilka lat we Francji (aż ich stamtąd przegoniono), w latach wojny pełniło funkcje propagandowe, a ostatecznym uwieńczeniem nepotycznej kariery było stanowisko naczelnego redaktora Polskiej Agencji Prasowej (czyli osławionego PAP-u).

Propaganda wprawdzie za żadnej ekipy nie stała wysoko i zawsze dzieliła się na czarno-białą, bowiem była czarną w jej „rozprawach z siłami imperializmu”, a białą w „propagandzie sukcesu”, ale mimo wszystko z tych środowisk wyszło sporo ludzi zdolnych i przygotowanych do zawodu, a spora ich część przeszła później, zwłaszcza za „Solidarności”, na patriotyczne pozycje: ostali się dziś najgłupszy, ale i najcyniczniejsi, którym rozumem odmówić skądinąd nie można. Ale — wciąż powtarzam — na tym tle bełkot tej sędziwej komunistki, tej prowincjonalnej Dolores Ibarruri jest i tak wstrząsający. Być może działa skleroza, ale ona zwykle atakuje pamięć a w mniejszym stopniu przeobraża mentalność, więc wdowa Minc chyba zawsze była taką dulską idei, jak się i dziś prezentuje. To może chamstwo pisać tak o starej kobiecie, ale uważam, że żaden wiek nie ma „swoich praw”, a zwłaszcza podeszły i sąd swój opieram na zbyt wielu publicznych striptizach godności, wykonywanych przez starzejących się i całkiem już starych ludzi. Może być litość dla kalectw i schorzeń, ale dla podłości? Chyba, że — jak w przypadku Julii Mincowej — przyjmujemy, iż głupota jest kalectwem.

Właściwie każdy fragment jej wypowiedzi nadaje się do cytowania, jako nie tyle czarny co czerwony humor. Oto fragment dotyczący rekrutacji do PAP-u”:

„Kogo przyjmowaliście?

Wszystkich, którzy się nadawali, a więc umieli pisać, reprezentowali odpowiedni stopień inteligencji i wiedzieli, co to socjalizm, związki zawodowe, partia polityczna.

Ja bym się nadawała?

Na pewno nie, bo pani nie rozumie podstawowych rzeczy

i za dużo pyta. Tylko wtedy pani by nie pytała. Wtedy był ład i porządek, i ludzie zajmowali się pracą, a nie gadaniem, z którego nic nie wynika”.

Jakże to lapidarne stwierdzenie na temat dziennikarstwa w socjalizmie: nie myśleć, nie pytać, spełniać powierzone mu obowiązki. Mincowa powiada nieco dalej: „Miałam takiego jednego, który bez przerwy pytał, co to za plan, który się ciągle przekracza. Znudziło mi się i go wyrzuciłam, bo co to za redaktor, który nie rozumie idei współzawodnictwa pracy?”. A Jaruzelski na przykład rozumie i wciąż wzdycha do tamtych stachanowskich czasów.

Inny przykład komunistyczno-burżuazyjnego bełkotu starszej pani: twierdzi, że brak pracy „to poniżenie kobiet. Przed wojną siedziały w domu, gniły i gadały o kieckach”, ale to, że sama po przeniesieniu na przedwczesną emeryturę już prawie 30 lat żyje na nie tyle łaskawym, co obfitym chlebie i „gnije” w domu, wcale nie budzi jej sprzeciwu. Czuje się całkowicie godna takiej chlubnej emerytury — spełniała przecież swój partyjny obowiązek ogłupiania społeczeństwa. A co do kiecek, to pamięta jednak dokładnie jaką miała przed trzydziestu laty na przyjęciu u Bieruta: „Miałam własną krawcową. Minc też, ale jego krawiec przydzielony z Bezpieczeństwa szył niespecjalnie”.

Podczas przygotowywania procesu norymberskiego czołowych przedstawicieli hitleryzmu testował w więzieniu amerykański psycholog. Z jego ustaleń wynika, że byli oni w większości powyżej średniej przeciętnej, a taki Speer czy Schacht znacznie ją przewyższali. O ile mnie pamięć nie myli, to poniżej owej średniej znaleźli się tylko Ribbentrop i Streicher. W pierwszym wypadku fakt zdumiewający, dający się chyba wytłumaczyć głęboką pogardą Hitlera do innych narodów (co go na szczęście dla ludzkości dość szybko zgubiło), w drugim — zupełnie prawidłowy: jeżeli bowiem uzna się propagandę za działalność ogłupiającą, to niechże ją robi maksymalnie toporny, prymitywny ale bezwzględnie posłuszny facet. Młodszy warto przypomnieć, że Streicher był propagandystą antysemityzmu i wydawcą osławionego *Stürmer’a*, przy którym błędnie nawet *Krokodil*, a *Dikobraz* i *Szpilki* to wręcz szkoła subtelności i wyrafinowania.

Więc w przypadku p. Julii Minc może też działała konsekwencja partyjnych desygnat? Może właśnie na czele PAP-u był potrzebny ktoś taki, jak ona? Do problemu „punktów za inteligencję” przyjdzie jeszcze wrócić w skali teoretycznej, pozostawmy w tym kręgu zagadnień od strony faktograficznej.

I tu trzeba nawiązać do zacytowanego na wstępie powiedzonka. Otóż, ku memu sporemu zdziwieniu, w niżu intelektualnym nie przodują bynajmniej „rdzenni” Polacy — ci razowi komuniści proveniencji chłopskiej, jak Ochab, czy robotniczej, jak Kłosiewicz. Owóż wcale nie znaczy to, by dało się ich zwać intelektualistami, bo nie da. Pierwszy to doktryner, który gra rolę „swojego chłopą” (ktoś wspomina go zresztą, jako tego co w towarzystwie lubił śpiewać stare rewolucyjne piosenki), a także ucieka się do tonów paternalistycznych (do Torańskiej, im bardziej go ona przyciska, tym częściej zwraca się per „córúś”). Jego doktrynerstwo jest tym bardziej zakute, im bardziej pompatyczne, a cała rozmowa przypomina trochę mówienie do obrazu, bowiem do tej świadomości, w której właśnie dogmatyzm wziął się pod rękę z uwiadem, nie trafia nic, absolutnie nic. Ochab żyje w świecie schematów w których został wychowany, w których zresztą chciał być wychowany. On nigdy nie chciał mieć wątpliwości, skoro wszelkie wątpliwości rozstrzyga partia. Partia go wyrzuciła poza nawias „gry” i też dobrze, też musiała mieć rację.

Drugi „rdzenny” — czyli Wiktor Kłosiewicz — w punktacji na inteligencję opada jeszcze niżej, znacznie niżej. Mówi okropnie, jego wypowiedzi to klasyczny bełkot nowomowy. Raz się jej nauczył, raz ją w życiu zastosował na wielką skalę, kiedy dano mu „dowodzić” związkami zawodowymi i tak już zostało. Dożywa dni swoich w tym bełkocie, który niczego nie znaczy (chyba że dla niego samego). Demonstruje nam ten styl „nawijania”, którym zwykło się było raczyć „masy”. Kłosiewicz właśnie potrzebny był w takim a nie innym wymiarze inteligencji — dulszczyna Mincowej była potrzebna propagandzie, kłosiewiczowskie „nawijanie” w tzw. ruchu związkowym. Może on nawet jest w tym jakoś uczciwy, bo niczego zrozumieć nie może (u Ochaba ma się wrażenie, że nie chce). Uczciwy, bo głupi — powiedziałby cynik. No właśnie: czy można karać za głupotę? Wydaje mi się, że tak, ale może nie samych jej nosicieli, ale tych, którzy im powierzyli jej masowe powielanie.

W tej sytuacji mogłoby się zdawać, że po stronie „niearyjskiej” nie może już być gorzej. A jednak jest. Roman Werfel — przecież przez wiele lat główny ideolog i najpierwszy redaktor prasy oraz wydawnictw partyjnych, odstąpił się przed Torańską w sposób o wiele drastyczniejszy od „robociarskiego” Kłosiewicza. Cała nędza jego umysłowości wychodzi na jaw przy każdej niemal okazji. Rozumuje w oparciu o klisze, które dawno zostały skompromitowane, powtarza banalne twierdzenia, które dziś są już banalnie obalone.

W miarę czytania wywiadu z nim narastał we mnie gniew

i oburzenie, ale — zupełnie niespodziewanie — zaczęło pojawiać się obok tamtych jeszcze jedno uczucie. Współczucie. To nie dlatego, że jestem dobrym chrześcijaninem, bo pewnie nie jestem, ale dlatego, że okoliczności stanowiące tło tej rozmowy są okropne. Werfel bowiem to człowiek, który tak bardzo zrosł się z partią, że już żyć poza jej ramami nie potrafi, a więc wyrzekł się ludzkiej kondycji na rzecz instytucjonalnej. Wedle Torańskiej mieszka w jednym, zarzuconym książkami pokoju, a więc nie przelewa mu się. W roku 1968 został wyrzucony z partii, wkrótce potem jego żona wyemigrowała wraz z córką. Obie żyją za granicą, daleko od siebie i od męża oraz ojca, także w sensie poglądów. Werfel pozostał sam, całkowicie sam, ale na emigrację się nie zdecydował. Patriotyzm? Tylko jaki? Z jego życiorysu i z jego słów wynika jedno: nienawidził II Rzeczypospolitej, nienawidził państwa, które Polacy odzyskali po tylu, tylu pokoleniach niewoli. Działał na jego szkodę, czyli na szkodę Polaków. Siedział w polskim więzieniu i jeszcze bardziej nienawidził, choć wyrok, jakkolwiek surowy, nie był przecież bezpodstawny: za to co on robił wbrew państwu, państwo socjalistyczne po prostu zabijało lub na wymarcie zsyłało do najgorszych kołymskich łagrów. Werfel bodaj też i w sowieckim więzieniu siedział, a jeśli nie, to żył w tym ogromnym więzieniu, którym jest cały Związek Sowiecki i pokochał to więzienie, a ową miłość próbował przeschepiać gdy wrócił do Polski, nadal nienawidząc tego wszystkiego co było polskie, a przez to było antykomunistyczne.

Można by powiedzieć: to czemu, kiedy już PZPR przestał tu korzystać z jego usług, nie wrócił do tej prawdziwej ojczyzny: do wspaniałego „kraju robotników i chłopów”? Pytanie oczywiście naiwne. Nawet gdyby chciał, to nie mógłby wrócić, bo Związek Sowiecki go już nie chciał. Nie potrzebował jego usług ani tu, ani u siebie. Werfel nie mógł zrozumieć, że się zgrał, lub — jeśli kto woli — został zgrany. Pozostał w Warszawie, ten nieszczęsny Żyd znad Pełtwi i przez piętnaście lat kołatał na progu PZPR. Wreszcie w roku 1983 legitymację odzyskał. Czy jest dzięki temu szczęśliwszy? Zapewne tak. Ale czy nie zdaje sobie sprawy ze swej samotności, ze swego zawieszenia w próżni? Mówi „my”, ale jest tylko „on” — jeden z gromadki „onych”, którzy zdecydowali się odpowiadać Torańskiej, chyba właśnie dlatego że pozostali sami, że mówiąc „my” mówią bez żadnego pokrycia. Więc element głupoty ujawnia jeszcze jedno swoje oblicze: jest ukojeniem, jest środkiem przeciwbólowym i środkiem nasennym. Jest łaską dla niepotrzebnych.

W porównaniu z Werflem Stefan Staszewski olśniewa inteli-

gencją. Specyficzną: kawiarniano-warszawską. Słonimski powiedziałby może o Werflu: „Żyd pełtewny”, a o Staszewskim — „Żyd wiślany”. Bo Staszewski ma w swojej inteligencji sporo ze Słonimskiego. Myślę, że mi Pan Antoni eschatologicznie to zestawienie wybaczy, ale ten były sekretarz warszawskiej partii też ogromnie lubi opowiadać swe dowcipne riposty, swe wypuentowanie przeciwnika, choć czasem wczuwa się w żargon wewnętrzno-partyjny i mówi bezwzględnie. Oto przykład — na posiedzeniu Biura Politycznego, kiedy to wylewano Staszewskiego z sekretarstwa (konkretnie: Gomułka wylewał), w przerwie Ochab zwrócił się doń: „Ze współczuciem szepnął mi po rosyjsku: *dierżys sołdat* — trzymaj się żołnierzu. Mnie to, za przepraszaniem, wkurwiło tak, iż myślałem, że go lunę. Facet siedział cały czas cicho, jak nie wypominając Rapacki i Zambrowski, którzy byli ze mną klawo, a teraz wyjeżdża do mnie ze współczuciem. Edek — powiedziałem głośno, by Gomułka też słyszał — czyś ty zwariował? Zapamiętaj sobie, *ja wam bolsze nie sołdat*, a po przyjacielsku mogę ci powiedzieć jedno: on was wszystkich powysztrela jak kaczki, pojedynczo...”

Staszewski to zresztą jedyny z klanu, który zdecydował się odejść całkowicie od swych młodościowych miłości. Czy może, w jego wypadku — fascynacji, bowiem nie robi wrażenia człowieka uczuciowego, podczas gdy tamci tak: im głupszy, tym bardziej uczuciowy. Staszewski mówi inteligentnie, chwilami błyskotliwie, chwilami też szuka dla siebie może za tanich usprawiedliwień, chwilami się lekko gloryfikuje, ale nie tai, co było błędem, nie obnosi się ze swą wiernością. Wręcz przeciwnie — jest chyba, nieco snobistycznie — dumny ze swych kontaktów z opozycjonistami i dysydentami, podobnie jak o byłych towarzyszach z wierchuszki mówi po imionach, podobnie po imionach mówi o Janie Józefie — czyli Lipskim, i o Adasiu — czyli oczywiście Michniku. A jednak podpisałbym się pod słowami Torąńskiej, którymi kończy ona swą rozmowę ze Staszewskim: „... i po roku spotkań wciąż zadaje sobie pytanie: kim pan właściwie jest?”

Najmniej ciekawa wydała mi się rozmowa z Leonem Chajnem. Facet niewątpliwie niegłupi, chyba nieco ponad średnią przeciętną, a równocześnie dziwnie śliski, dziwnie nieuchwytny. I to znów konsekwencja — Chajn odgrywał rolę szczególną — był pierwszym (czy może drugim, zważywszy rangę obu „stronnictw koalicyjnych”) lokajem PZPR: przez szereg lat sekretarzował Stronnictwu Demokratycznemu. Czy można z lokajem inte-

resując konwersować? Z pewnością tak — o jego np. *hobby*, czyli o masonerii. Ale o nim samym? Wątpliwe.

Okrasą tomu, dlatego umieszczoną na końcu cyklu, miała być i chyba rzeczywiście jest rozmowa z Jakubem Bermanem. To niewątpliwie człowiek inteligentny, ale czy znów aż tak bardzo? Chajn smakuje powiedzonko, które kiedyś, w okresie „Solidarności” przemycił Putrament: że Bierut był ograniczony, ale miał dobrych doradców, Gomułka był bardzo zdolny, ale miał złych doradców, a Gierek był ograniczony i miał głupich doradców. Otóż chciałbym zakwestionować ten mit. Bo Putrament niczego nie pisze bez partyjnego „ale” i chciałby nam wmówić że byli w minionych ekipach (nie mówiąc o obecnej) ludzie zdolni. Byłbym raczej skłonny sądzić, że byli, ale... zdolni do wszystkiego. Podtrzymują mnie w tym przekonaniu wyznania (i zarazem zeznania) Bermana. Wynika z nich jedno — to nie był człowiek mądry, to był co najwyżej człowiek sprytny. W tym sprycie mieściły się inne jeszcze jego kwalifikacje, które pozwalały mu tak długo utrzymywać się na czubku, stanowić — wraz z Bierutem i Mincem — triumwirat rządzący naszym krajem w latach najgorszych, w latach, kiedy wielki zryw społeczeństwa zderzył się czołowo z falą terroru.

Napisałem już, że w przypadku Werfla uderzył mnie brak poczucia ojczyzny w może nie tyle narodowo-geograficznym, ale przede wszystkim w jego społecznym wymiarze. Jeżeli „oni” patriotyzm utożsamiają po dziś dzień z klasą robotniczą, koniecznie: polską klasą robotniczą, to dlaczego byli od niej tak całkiem, tak beznadziejnie odcięci? Jeżeli tylko — co prawdopodobniejsze — wyłącznie z aparatem władzy, to gdzie są dziś, nawet jeżeli po latach Canossy odzyskali legitymację? Oto jak Berman mówił o Gomułce: „Jeżeli nawet mnie nie lubił (trudno, nie każdy musi mnie kochać), na tyle mnie jednak znał, że nie powinien był robić z mojego biletu partyjnego kwestii na wieki wieków, a zrobił! W dotyczącej mnie uchwale znalazła się klauzula, że w okresie trzech lat po wydaleniu mogę się zwrócić o przywrócenie praw partyjnych. Uchwyciłem się jej i zwracałem dwa razy, i Gomułka dwa razy odpowiadał, że czas jeszcze nie dojrzał”.

Warto zwrócić uwagę na określenie „bilet partyjny”. To może mieć dwojakie znaczenie — raz jako bilet wizytowy, który jest symbolem przynależności do *high society* czerwonego *establishment*’u, a może także znaczyć bilet na jazdę wzwyż. Tak czy siak oto znaczenie podstawowe: *bumaga* otwierająca dostęp do uczestnictwa we władzy i wszystkich stąd płynących dodatkowych korzyści. Jakże to dziwne, że pomimo tylu doświadczeń:

dawniej — rozwałek, obecnie — odesłania w pustkę nieuczestnictwa, żaden z tych ludzi nie potrafi sobie wyobrazić jednego: życia bez biletu. Żaden z wyjątkiem Staszewskiego, bo ten był jednak z nich wszystkich najinteligentniejszy. Pozostali wciąż jeszcze mówią „my” chociaż dawno przestali być „nimi”, a są już tylko „onymi”. Więc oni wszyscy zostali bez żadnej więzi społecznej, sami, osobni.

Sowietyzm ma dwa wymiary: politycznie i geograficznie jest rozpostartą na ogromne obszary potęgą, a zarazem zagrożeniem ludzkości, jakże często zagrożenia tego nieświadomej, więcej — spragnionej go poprzez jego miraże. To jest wymiar globalny. Ale jest także drugi: indywidualny, jednostkowy i to jest właśnie ów sartre'owski *néant*, w który kiedyś sam filozof wpadł i utopił się, żyjąc fizycznie jeszcze wiele lat. Kisielewski napisał kiedyś powieść o ludziach w akwarium: to bardzo trafna metafora. Dostrzegamy ich, zarówno tych, którzy jadą ze swymi biletami, jak i tych, którzy już dojechali, jakby za przeźroczystą, ale wcale nie całkowicie przeźroczystą szybą. Widzimy, jak otwierają usta, jak poruszają płetwami, czasem nawet ze skrzeli wydobywają się banieczki i płyną w górę. Jak w boksie — tyle że banieczki są puste, bowiem ich wypowiedzi są też nieme, są... nigdzie.

Przypomina się anegdota z serii o milicjantach: w nocy stoi przed witryną sklepu rybnego, gdzie znajduje się oświetlone akwarium, jakiś jegomość poruszający głową, jakby obserwował mecz tenisowy. Podchodzi milicjant: „Obywatel co tu robisz?” — „Ja tu prowadzę badania nad siłą sugestii: o — niech pan spojrzy, kiedy patrzę w lewo, to ryby płyną w lewo, a kiedy w prawo, to one płyną w prawo”. Milicjant z oburzeniem każe dziwaczному jegomościowi „rozejść się”, ale ten, zafascynowany swymi badaniami wraca za godzinę pod sklep i widzi milicjanta, który stojąc *vis-à-vis* znieruchomiłego akwarium rytmicznie otwiera usta, tak że się z nich tworzy okrągły, ciemny krążek.

To właśnie „oni” — ludzie, którzy dojechali już albo dojeżdżają do stacji końcowej, gdzie obowiązuje już taki postępek, że się nie idzie do piachu, ale otrzymuje *posielenie* z pewną ilością wygód i z całkowitym odcięciem od świata. To ostatnie nie wydaje się przeszkadzać w tych późnych dniach, skoro i we wcześniejszych byli zawsze — i to samochłąc — wyobcowani. Z wynurzeń wszystkich niemal rozmówców Torańskiej wynika, że „życie towarzyskie” czerwonej *high society* zamknięte było w malusieńkim kręgu wydzielonej i strzeżonej pilnie przez ubeków dzielnicy, i to raczej nie tej miejskiej, ale tej drugiej — z willami. Można też zauważyć, że u niektórych istniało coś w rodzaju

snobizmu kulturalnego, ale ich kontakty z artystami były efemeryczne i zawsze na platformie oficjalnej.

Chyba tak właśnie partia postanowiła rozgrywać „walkę klas”: utworzyła własną, nomenklaturową, odciętą bardziej niż jakakolwiek feudalna od społeczeństwa. A ponieważ musiała istnieć walka, więc ją niejako tworzone, stosując pomieszanie doktryny Clausewitza i Lenina: należy atakować pierwszemu, zawsze atakować, nawet wtedy, gdy nie istnieje żadne zagrożenie. Bo jeśli nie istnieje, to je trzeba stworzyć. A kto jest tym przeciwnikiem? Imperialiści? Kosmopolici? Trockiści? — Nie, po prostu całe społeczeństwo, na którym się klasa nomenklaturowa zajmowała.

W tym punkcie wszyscy rozmówcy Torańskiej są zgodni: mają doskonałą świadomość, jak „oni” — ówczesnie dorywający się do władzy komuniści — byli w Polsce niechciani, jak zdecydowana większość narodu była przeciwko nim. Stwierdzenia, że jednak zdobywali coraz większą popularność, że zjednywali sobie — poprzez podległe partie fasadowe — partnerstwo, że stale zwiększali „stan posiadania”, to już tylko esy-floresy, ozdobniki analizy stanu rzeczywistego. Więc buduje się konstrukcję o zaślepieniu Polaków, o tym, że trzeba ich było ratować wbrew nim samym, że trzeba się było liczyć z rzeczywistością, z realiami politycznymi powojennej Europy. Berman, gdyby żył, byłby znów niewygodny, bo nie na tyle inteligentny i nie na tyle sprytny, by nie powiedzieć otwarcie: w Jaście podzielono świat. Więc może to szczęście dla niego, że umarł, bowiem dziś głosi się oficjalnie, że żadnego handlu narodami w tamtym, haniebnym przetargu nie było!

Więc nieuchronnie powrócić trzeba do zagadnienia patriotyzmu w komunistycznym półświatku. Łatwo powiedzieć: „oni” wyrzekli się wszelkiego patriotyzmu, bowiem będzie to tylko aktualne w odniesieniu do tradycyjnych definicji pojęcia. Może „oni” — odrzuciwszy patriotyzm geograficzno-językowy przyjęli inny — językowo-klasowy? Proszę pamiętać, że patriotyzm rozumiany najszerzej — jako więź społeczna, jest ludziom potrzebny niezbędnie. I nie przeczy temu fakt, że niezmiernie rozbudzenie intelektualne człowieka może go prowadzić niejednokrotnie do samoizolacji. Więc ta przestaje być niezbędna. Ale to są tylko przypadki potwierdzające regułę.

Komuniści są jednak zbyt ograniczeni, by móc dojść do intelektualnej samoizolacji. Co więcej — głoszą prymat więzi społecznej. Ale ten niszczyielski i pełen nienawiści prymat podbudowują tym, co starają się tworzyć na uzyskanych w wyniku swej działalności ruinach i zgłiszczach: nowej więzi elit zamkniętych. Więc cokolwiek deklamowaliby o „Polsce”, o „Polakach”, czy

o „narodzie” (osławieni „patrioci” spod sztandarów Moczara i Grunwaldu) jest tylko kamuflażem: chodzi zawsze o nich i tylko o nich. A więc właśnie: „oni” i my. Po przeczytaniu książki Torańskiej traci się w tym względzie wszelkie złudzenia.

Na marginesie: jakże „oni” potrafili zbrzydzić swymi manipulacjami piękne słowo patriotyzm. W rozgrywce z Kościołem posługiwano się po równi PAX-em i „księżmi-patriotami”, w wyniku czego reprezentanci tej „millenarnej” instytucji, tak bardzo zasłużonej dla polskiego patriotyzmu (a czasem, przynajmy szczerze, i dla jego dewiacji: szowinistycznego nacjonalizmu), otrząsali się z obrzydzeniem, stwierdzając, że „nie są patriotami”. Ale to znaczyło tylko, że nie są poputczykami reżimu.

Więc czy „oni” — tak jak Werfel — miłości do własnego kraju nie zastąpili miłością do „państwa robotników i chłopów”? Otóż nic podobnego. U wszystkich przejawia się fascynacja tym kolosem, ale trudno powiedzieć, by się ona łączyła z miłością czy uwielbieniem. W gruncie rzeczy wszyscy oni, i to od pierwszego momentu czystek, zdawali sobie sprawę, czym jest naprawdę ten kolos. Uzasadnienia „przyznań się” są tylko w części prawdziwe, a koestlerowskie próby wyjaśniania, że uzyskane zostały na zasadzie poświęcenia dla partii i jej idei — świadomą naiwnością. „Oni” dobrze wiedzieli, jak łamało się i unices-twiało ludzi, zwłaszcza, że zagrożenie ogarniało ich także w okresie likwidacji KPP. Może to była jakaś swoista miłość, ale przede wszystkim strach, ten wielki strach, który — na własnym przykładzie — opowiedział przed kilku laty Julian Strykowski. Ich wierność idei, to przede wszystkim wierność sowietyzmowi, zwierzchnictwu „państwa robotników i chłopów nr 1”, nad innymi, kolejnymi w numeracji państewkami, oczywiście także klasy pracującej. Te ich deklaracje o wierności, o przynależności ideowej (nawet w braku rzeczywistej), to podpieranie się słowem „my”, słowem bez pokrycia, bo są już tylko „onymi”, ludźmi spoza gry, ludźmi zakończonej podróży i to nie w sensie wieku, tylko w sensie partyjnego wyroku — bezkrwawej czystki.

Berman opowiadał Torańskiej, kto z nich był „zwerbowany” (oczywiście do NKWD) i w ten sposób podzielił swych towarzyszy na lepszych i gorszych. Tylko czy w ogóle taki podział istnieje? Czy przyjmując więzy partyjne (nazywa się to: dyscypliną) nie jest się równocześnie automatycznie „zwerbowanym”? W moim przekonaniu to, że pracowali bezpośrednio lub pośrednio dla aparatu policyjnego nie wynikało z werbunku, tylko z wyboru. Oni wybrali i byli tym samym WSZYSCY zwerbowani, tak jak są zwerbowani ich dzisiejsi następcy w klasie „władzy”. Bo czyż to nie to samo donosić nie jakiemuś pułkownikowi, ale

ambasadorowi? Na kolegów, na towarzyszy, na przyjaciół, a zwłaszcza na cały naród?

I tu po raz trzeci i ostatni powracam do wstępnego powiedzonka: „Żydzi — ale uczciwi?”.

Ja w jakimś stopniu wierzę, że należą do narodu wybranego. Ale nie można być bezkarnie wybranym, trzeba się nim jeszcze stać i stąd biorą się te odwieczne kompleksy i pogmatwania żydowskie. Stąd bierze się też pewnego rodzaju dogmatyzm. Jestem pewnie dość kiepskim chrześcijaninem, ale...

... ale między innymi wynika to wszystko ze Starego Testamentu, który jest pomnikiem wspaniałym, pomnikiem całej ludzkości, ale zawiera w sobie złoża dogmatyzmu, a stąd już prosta droga do doktrynerstwa. W ogóle w tym wyjątkowym zakątku naszego świata, w tym krwawym wówczas jak i obecnie trójkącie Azji, Afryki i Europy, były zawsze tradycje nie tylko mono-teizmu, ale i monoideologii. I dlatego wspaniałość chrześcijaństwa oraz wszelkie jego słabości, polega — w moim skromnym przekonaniu — na tym, że naukę Jezusa, nie zaakceptowaną przez Jego rodaków, uczniowie przenieśli w głąb basenu śródziemnomorskiego, gdzie ufundowana już była kolebka europejskiego: tak — właśnie europejskiego pluralizmu. Bazą dlań była greckorzymska miszkulacja, a później doszły inne jeszcze domieszki. I znów — kiedy ów chrystianizm powracał wielką falą na Wschód, natychmiast zespalał się tam z monoideologiami służącymi władzy. Właśnie: władzy!

Współczuję Żydom, zwłaszcza polskim, nie tylko z powodu ich tragedii hitlerowskiej eksterminacji, ale także z powodu ich zagubienia w swym wybraństwie i w tym świecie, który go nie uznaje. Żydzi mieli za sobą ogromną tradycję diaspory i narodowej solidarności, a więc szczególnego patriotyzmu w rozproszeniu. Żyli w izolacji, która też należała do ich wybraństwa. Potem, im bardziej naród Izraela zaczął się zbliżać do społeczeństw, w obrębie których żył, zaczynały powstawać konflikty i urazy.

A tymczasem Żydzi, też z racji swego wybraństwa, a także prastarych tradycji intelektualnych, uważali się za „lepszych” w otaczających ich środowiskach. Tymczasem te społeczeństwa owej „lepszości” nie uznawały i nie tylko nie radowały się z tego, że Żydzi nareszcie postanowili się zasymilować, ale jeszcze odpląciły im obrzydliwym antysemityzmem. Nie było więc radosnego przyjęcia do „rodziny”, wręcz przeciwnie — raz jeszcze ich wybraństwo nie zeszło się z wybraństwem nie-Żydów. I w tym momencie zaczęły się rodzić fobie, kompleksy, a zarazem poszukiwania innych dróg.

Oczywiście byłoby czymś śmiesznym oskarżać wszystkich Ży-

dów o antypolskość, ale nie jest ona właściwością tylko żydowskich komunistów (co dostatecznie ujawniają wywiady To-rańskie). Czyż nie znamienny jest ten fragmencik rozmowy z Bermanem? Ideolog bierutowskiego triumwiratu opowiadając o walce z kosmopolityzmem (bo za taką fasadą słowną ukrył Stalin fałę sowieckiego antysemityzmu), skomentował, że ta propaganda:

„Padła zresztą na dobry grunt, bo społeczeństwo polskie jest w swojej konsystencji bardzo antysemityczne.

Pan to mówi? Pan?

Bo taka jest, niestety, prawda. Moją córkę wielokrotnie przezywano w szkole śledziarą.

I nie rozumie pan, dlaczego?

Nie, bo byłem, podobnie jak Bierut, przeciwko zbyt wielkim skupiskom Żydów w pewnych ośrodkach, uważając to za niesłuszne, za zło konieczne, na które zostaliśmy skazani w momencie obejmowania władzy, kiedy inteligencja polska nas bojkotowała (...).

A zamykanie? Na przełomie 1948/1949 aresztowaliście członków AK-owskiej Rady Pomocy Żydom „Żegota”.

No tak, objęło się szeroką gamą wszystkie organizacje związane z AK.

Proszę pana! UB, w którym wszyscy lub prawie wszyscy dyrektorzy byli Żydami, aresztuje Polaków za to, że w czasie okupacji ratowali Żydów, a pan twierdzi, że Polacy są antysemitami, nieładnie.

Źle się stało. Na pewno źle się stało...”.

Proszę zwrócić uwagę na to eufemistyczno-metaforyczne sformułowanie: „objęło się szeroką gamą”. Głęboki jego cynizm wyłazi na wierzch tak bardzo, że zaiste trudno uwierzyć w inteligencję, a już szczególnie dobrą wolę eks-prominenta.

Ja nie twierdzę, że antysemityzmu w Polsce nie było. Po-wiem więcej — on po dziś dzień istnieje w swej paranoicznej recydywie, bowiem w kraju, w którym Żydów właściwie nie ma, skoro albo się całkowicie wtopili w społeczeństwo, albo związali z partią, czyli funkcjonują już jako „ostańce”, albo są kandydatami na takowe. Co więcej — będę się zawsze upierał, że Polacy

Żydom zawdzięczają wiele, nie umiem powiedzieć ile w dawnych stuleciach w dziedzinie gospodarczej, ale od XIX wieku, to znaczy od momentu rozpoczęcia się na szerszą skalę asymilacji, obdarzyli nas cenną intelektualną pożywką, wszczepili nam te geny inteligencji, bez których nie bylibyśmy, tak jak jesteśmy dziś — inteligentni.

Ale przecież właśnie w UB...

No tak. Sądzę, że Żydzi stali się od zarania naszego stulecia szczególnie gorliwymi rewolucjonistami. I też jestem w stanie zrozumieć to zjawisko, było bowiem wynikiem owego — wspomnianego już przeze mnie — zawodu z powodu nieprzyjmowania się owej asymilacji. Najpierw bowiem mieli tę swoją — wymarzoną, nieistniejącą realnie, mesjaniczno-chasydzką ojczyznę wybraństwa. Później zdecydowali się wybrać inną: ziemską. I tu spotkało ich nieprzychylnie przyjęcie. Poza tym Żydzi, wbrew rozpowszechnionemu wśród nieinteligentnych Polaków przekonaniu, wcale nie stanowili społecznej śmietanki. Tylko nielicznym udało się wspiąć wysoko w hierarchii społecznej, masy natomiast były biedne jak myszy synagogalne. I z tych mas rekrutowali się bojownicy „światlanej przeszłości”, a także ze średniej inteligencji, wśród której też fermentowały nastroje anty-antysemickie. I oni wszyscy dostrzegli nadzieję w wizji nowego, całkowicie odmienionego świata. Wybrali znów ojczyznę — tym razem ojczyznę utopii. A kiedy się opamiętali, było już za późno. Albo też wcale się nie opamiętali, jak ci rozmówcy Torańskiej, którzy wprawdzie deklamują o Polsce i Polakach, ale na tyle przy tym fałszują, że ten fałsz usłyszeć może nawet głuchy.

Powstało rozdroże niespełnionych miłości i wielkiego strachu. Przestali kochać państwo zwycięskiego komunizmu, ale nie przestali się go bać. A Polski tak naprawdę to wcale nie przestali nienawidzić, ale przestali się bać. Bo Polskę oddano w ich ręce. Jestem wrogiem antysemityzmu, ale jestem także wrogiem Żydów, którzy nienawidzą mojej ojczyzny. Nie muszą jej koniecznie kochać, ale aż nienawidzić? I oni, i ich polscy współtowarzysze nie zasługują u nas na nic innego, jak tylko na to jedno: na staranną i pełną surowości pamięć. Bowiem ci wszyscy komuniści, którzy się od swej przeszłości nie odzegnali, którzy do nas nie przyszli z uczciwym słowem: tak, byliśmy w błędzie, czy możemy oczekiwać wybaczenia? — są nadal ubabrani w krwi komunistycznego ludobójstwa, chociażby nie brali w nim czynnego udziału.

Ja nawet gotów jestem uwierzyć Bermanowi, że wraz z Bie-rutem starali się, wedle ówczesnych swoich możliwości (które wyraźnie zaniżał), by jak najmniej stosowano wyroków śmierci.

Ale starali się o ich niestosowanie wobec współtowarzyszy, których wyjęto z obiegu. Wątpię czy interweniowali w losy niekomunistów, a nawet jeżeli czasem to robili, to przecież krew lała się w tej udręczonej Polsce codziennie. Polska krew. I nie chodzi o to, że były to tysiące i dziesiątki tysięcy, skoro u ich wielkiego mocodawcy ofiarami były miliony, bowiem każde życie jest cenne. A jeśli się dorwało do władzy, to trzeba niezbędnie pamiętać o tym, że się odpowiedzialność ponosi właśnie za życie obywateli (a w komunistycznym ustroju — poddanych) i deklamacje o tym, że trzeba było ofiar na ołtarzu idei, to już skandaliczna beczelność: właśnie za ideę nie wolno ludzi mordować.

Już zapomniałem o tamtych ubeckich ludobójcach: Radkiewiczach, Różańskich, Romkowskich, Mietkowskich, a także takich „patriotach” jak Moczar. I nagle, przy lekturze Torańskiej wszystkie te nazwiska powróciły na ekranie pamięci. A nawet posłyszałem zaciągający głos Zarako-Zarakowskiego, bo przecież i sędziowie, i prokuratorzy zaliczają się do tego grona w pełni „majestatu prawa”. Ich prawa. Ludzi z akwarium.

W stosunku do hitlerowskich, stalinowskich i post-stalinowskich zbrodniarzy winnych ludobójstwa proponuję nieprzedawnienie pamięci. Nie może być przedawnienia za to co zrobili. Czy należy ich karać? Ponurych starców? Jeżeli nie ukarano ich dotychczas, to czy należy robić to dziś, kiedy już pojawiają się liczni ich następcy w zawodzie katów? Czy w tej sytuacji warto skracać ich i tak kończące się życie, lub zamykać do więzień? Niechby im największą karą było to, że właśnie egzystują, że poruszają się wśród nas nie przestając być poza nami, za przezroczystą ścianą. Torańska wspomina w którejś z rozmów, że Radkiewicz nie chciał z nią rozmawiać. Więc żyje? Może i żyje, choć naprawdę to już dawno przeżył samego siebie i pływa w tym akwarium pełnym krwi wspomnień. A Berman? Torańska podaje, że zmarł w czasie autoryzowania wywiadu. Pamiętam nekrolog w *Życiu Warszawy*. Jakub Berman — nikt — pustka. A przecież do ostatka mówił: „My”. Arcylokaj Chajn też zmarł już po udzieleniu wywiadu. Werfel odzyskał legitymację: I co? I też pływa w tym pokoju zarzuconym książkami? W czym? W szarej cieczy kłamstw, które wytwarzał, które przez całe życie wydalał ze siebie? A niechże sobie żyją w swym donikąd, ale my dłużni jesteśmy im pamięć. Pamięć godną ich życiorysów.

Najbardziej zdumiewały mnie w wypowiedziach wszystkich „onych” pochwalne oceny kolegów, dawnych dygnitarzy. Nawet Staszewski ocenia ich w kategoriach podniosłych. Mogą być różnice co do stopnia inteligencji, ale każdy stamtąd, z zamkniętej historii, to towarzysz „uczciwy”, „prawy”, a przynajmniej „szla-

chetny". Wszyscy byli „dobrymi towarzyszami”, a w UB... no przecież do UB skierowywano „najlepszych”, „wypробowanych”, tyle że praca była ciężka, pacyła charaktery. Właściwie to tylko Gomułka oceniany jest krytycznie, chociaż nikt mu nie odmawia cnót partyjnych. Ale był awanturnikiem, despota, mściwym, upartym itd. Trudno się dziwić. Przecież to on „wyslizgał” wszystkich rozmówców Torańskiej, powystrełał pojedynczo — jak kaczki (wedle Staszewskiego). Czytając te ociekające miłością ojczyzny, wielkimi ideałami (i słowami) enuncjacje, czytelnika ogarnia mróz tamtych czasów: niczego się nie nauczyli, niczego nie zrozumieli. Berman pochwalił się, że to on wymyślił określenie „zniczulica” i jeśli tak jest naprawdę, to ma dużą zasługę dla języka polskiego. Ale chwalać się nie zdawał sobie sprawy z tego, że określenie to przylega jak ulał do symptomów jego schorzenia i schorzenia pozostałych „onych”.

Upierać się przy swoim, to znaczy także — w wypadku partyjniaka czy ekspartyjniaka — kłamać. „Oni” chwilami wywołują wrażenie, jakby już zdążyli uwierzyć w swoje kłamstwa. Im kto był z nich bardziej ubabrany polską krwią i niedolą, tym mocniej podkreślał wszelkie zagrożenia, wszelkie ataki na ich „suwerenną” (bo otrzymaną od sowieckiego suwerena) władzę. Prymitywizm tych obron jest tak ogromny, że musi automatycznie znacznie obniżać „punkty za inteligencję”. I znów na czoło wysuwa się Berman, co oczywiście jest konsekwencją jego szczególnego ubabrania. Ileż to razy nawraca do zagrożenia ZSSR przez Amerykę w okresie zimnej wojny i ani razu nie przychodzi mu, nie chce mu przyjść do głowy pytanie: komu naprawdę na tym zaostrozaniu sytuacji międzynarodowej zależało? Kto atakował w Korei? Kto oblegał Berlin Zachodni? Kto uprawiał kłamliwą i chamską propagandę? Czy Fadiejew, wygłaszający na osławionym wrocławskim Kongresie Pokoju obrzydliwe i napastliwe przemówienie, był obywatelem USA?

Wszyscy, ale przede wszystkim Berman, powracają bez przerwy do tego hasła wywoławczego: do nas strzelano. Ale czy którykolwiek z nich zastanowił się, kto pierwszy zaczął strzelać? I to już 17 września 1939 roku. A także zaraz po tym drugim „wyzwoleniu”. Czyimi trupami wypełnione są katyńskie groby, północne strefy łagrów, w Polsce organizowane przez „doradców” katownie UB? Bujnowski słusznie wytyka we wstępie te prymitywizmy dawnego uczestnika bierutowskiego triumwiratu. Berman nie był, jak się dowodnie okazuje, aż tak bardzo mądry. Był „obkuty” doktrynalnie i na tyle sprytny, by się długo trzymać na czubku. Potem już tylko mówił „my” i „pan Piłsudski”. Dobrze, że tak mówił, bo tak powinien był mówić o tym wielkim

człowieku, gdyż ani o nim, ani o Bierucie nie powie nikt „pan”, natomiast ci co zgodzą się ze mną co do postulatu nieprzedawnienia pamięci, powiedzą: ludobójca Bierut i ludobójca Berman. I przejdą mimo grobów, które ich pochłoneły, ale od zapomnienia nie ustrzegą, niezależnie od tego, czy będą je na Żaduszki ubecy przystrajać kwiatami, czy też pozostaną nagie.

Nie dajmy się zwariować mitologią PZPR.

Stopień inteligencji u prominentów (a właściwiej byłoby powiedzieć desygnentów) reżimów komunistycznych jest konsekwencją działania komunizmu w jego gigantycznym stożkowym układzie. Ten czerwony Quincunx zbudowany jest u dołu z „demoludów”, w zwieńczeniu z centrali sowieckiej nabudowanej na poszczególnych republikach. Niskie usytuowanie Polski w strefie republik kolonialnych, wyznacza też stopień inteligencji jej gubernatorów i policmajstrów. Sowietom nie zależy i nigdy nie zależało na tym, by przewidziana dla ekspozytur część władzy dostała się w ręce ludzi inteligentnych. Sprytnych — tak, bezwzględnych — oczywiście, posłusznych — to najpierwsza kwalifikacja. I takimi się nam oni przedstawili: spryciarze, nie na tyle wszelako, by nas wywieść w pole, deklamujący — ale doskonale wiadomo, że nie z miłości i wierności idei, ale wskutek „wielkiego strachu”.

Torańska dokonała rzeczy wielkiej — sprowokowała ich do przyznania się do samych siebie. A chociaż to moralne obnażenie zacuchniało i powiało grozą, książka ta winna stać się kanonem lektur obowiązkowych naszej młodzieży. Niech wiedzą, przeciwko komu buntowali się ich ojcowie i dziadkowie. I niech wiedzą co znaczy komunistyczne słowo, skoro znaczy to tylko: „wbrew komu zostało użyte”.

Tymoteusz KLEMPSKI

Kajetan BIENIECKI

CICHOCIEMNI

Opublikowana ostatnio w kraju książka¹ inż. Jędrzeja Tucholskiego zasługuje na wyróżnienie nie tylko ze względu na temat,

1. Jędrzej Tucholski, *Cichociemni*, Instytut Wydawniczy Pax, Warszawa 1985, wyd. II, str. 562.

który był przez blisko czterdzieści lat na indeksie cenzury, ale również ze względu na ogrom włożonej w nią mrówczej pracy. Autor poświęcił dziesięć lat na tę pionierską monografię o 316 żołnierzach zrzuconych z Zachodu do Polski.

Książka oparta jest na ponad 200 ustnych i pisemnych relacjach uczestników omawianych faktów, w tym 136 relacji stanowią relacje samych cichociemnych. Autor korzystał również z dokumentów, które zostały mu udostępnione w archiwach krajowych, jak Centralne Archiwum KC PZPR, oraz w archiwach polskich w Londynie, jak Instytut Polski i Muzeum im. gen. Sikorskiego i Studium Polski Podziemnej. W poszukiwaniu dowodów Tucholski sięgnął również do rejestrów parafialnych i cmentarnych. Książka zawiera ponad pół tysiąca fotografii.

Jędrzej Tucholski podzielił swą pracę na trzy części. W pierwszej przedstawił kształtowanie się koncepcji niesienia pomocy drogą lotniczą walczącemu Krajowi, pracę sztabów, szkolenie ochotników, formowanie „Eskadry Naczelnego Wodza” do specjalnych działań, pracę radiotelegrafistów i kurierów w nawiązaniu łączności i organizowanie placówek odbiorczych w Polsce do przyjęcia ludzi i sprzętu. Na podstawie zebranych dokumentów polskich i niemieckich autor opisuje również przebieg poszczególnych operacji lotniczych i wyszczególnia ekipy skoczków.

W drugiej części książki autor omawia udział cichociemnych w walce podziemnej na różnych szczeblach. Opisuje pracę cichociemnych w sztabach, w referatach lotniczym i broni pancernej, w łączności radiowej, w służbie wywiadu, w komórce legalizacji dokumentów oraz dywersji na dalekim zapleczu frontu niemieckiego, w oddziałach partyzanckich, w „Burzy” i Powstaniu Warszawskim.

Ostatnią część książki stanowią zwięzłe biografie z fotografiami 316 cichociemnych. Zawierają one stopień i rodzaj broni, imię i nazwisko, nazwiska przybrane, używane pseudonimy, odznaczenia, datę i miejsce urodzenia, przebieg służby wojskowej, szlak wędrówki do PSZ, specjalność cichociemnego, datę skoku, przebieg służby w Armii Krajowej, okoliczności śmierci, jeśli zginął, powojenne losy i adnotacje, dotyczące opracowań wydanych drukiem na omawiany temat.

Załączniki stanowią dokumenty, dobrane celem zobrazowania czytelnikowi całokształtu pracy, związanej z przerzutem cichociemnych, jej przebieg i osiągnięcia. Nie brak w tych załącznikach i dokumentów niemieckich. Książkę zamyka selektywna bibliografia, spisy, wykazy i indeksy.

Pisząc recenzję „Cichociemnych” pozwolę sobie na uzupełnienie wiadomości, podanych przez Tucholskiego w jego doskonałej

książce, oraz na kilka poprawek, czym nie zamierzam umniejszyć walorów ani autora, ani samej książki.

W pierwszych rozdziałach Tucholski omawia kształtowanie się koncepcji przerzutu lotniczego i zorganizowania samodzielnej „Eskadry Naczelnego Wodza”. Ten ostatni nie został nigdy urzęczywistniony. Początkowo kilka polskich załóg przydzielono do dywizjonu brytyjskiego. Warto przytoczyć fragment listu z dnia 2 lutego 1942 roku 29-letniego nawigatora kpt. Antoniego Voellnagla² do gen. Ujejskiego, ówczesnego Inspektora Polskich Sił Powietrznych. List ten, zamieszczony wprawdzie nie w książce Tucholskiego, ale w książce Franciszka Kalinowskiego³, ułatwia zrozumienie ówczesnych problemów, z jakimi spotykali się polscy lotnicy.

„(...) Eskadra ta miała wykonać zadania specjalne, jak utrzymanie łączności z krajem przez zrzucanie ludzi w Polsce, dostawę potrzebnego do dywersji materiału, bombardowanie o specjalnym znaczeniu. (...) Eskadra ta miała oczekiwać na rozkazy Naczelnego Wodza, miała służyć bezpośrednio Rządowi Polskiemu. (...) Wygląd tego co pozostało z projektów, przewidywań i marzeń — jest pożałowania godny. (...) Z tego jak Anglicy odnoszą się do nas, i jak obsługują maszyny nam przydzielone, nie można wysnuć innego wniosku jak ten, że jesteśmy wśród nich intruzami, że łaskę wyświadczone nam dając Halifaxy, że nasze zadania nie są tej wagi, jak się nam to wydaje. Z powodu ograniczonego zasięgu samolotu loty do Polski muszą być zaniechane w marcu-kwietniu. Zadania wykonywane obecnie są zwykłym hazardem, gdzie stawką są ludzie i maszyny, drogocenny sprzęt przekazywany do kraju i zdemaskowanie organizacji współpracy z krajem. (...) Polacy jednak ze złością pokonują codzienne trudności w dążeniu do gotowości bojowej, protestują przeciw wysyłaniu ich do Norwegii czy Francji, nie mogą zrozumieć wyrzucania ich poza nawias Lotnictwa Polskiego, a podporządkowani Anglikom, buntują się przeciw wysyłaniu ich do roboty nieprzygotowanej i nieprzemyślanej, do roboty w nieokreślonych ramach — ale na razie pełnią swoją służbę bez zarzutu. (...) Mając na myśli dobro sprawy Polski i oszczędzanie ludzi i ich dorobku fachowego, przypuszczam, że należałoby zbadać sprawę Halifaxów i odwołać wszystko — zaczął⁴ od zorganizowania planowanej niegdyś 'Eskadry Naczelnego Wodza', dysponując własnymi samolotami innego typu, zakupionymi w Ameryce. Jest na to czas do września 1942 roku”.

Nawet już później, gdy powstała polska Eskadra 1586, nigdy

2. J. Tucholski wymienia załogę kpt. naw. A. Voellnagla, która poległa w locie nad Austrię 20 kwietnia 1942 roku (str. 93) i podaje cmentarz, gdzie została pochowana. Wśród wymienionych członków załogi opuścił dwóch Brytyjczyków: W/Cdr W. R. Farleya, dowódcę 138 Dywizjonu i F/O Fultona. Autor mylnie podał pierwszą literę imienia K zamiast R(y-szard) F/O Zygmunowiczowi. Również jest błąd w nazwisku Wilimański, gdyż powinno być Wilmański.

3. Franciszek Kalinowski, *Lotnictwo Polskie w Wielkiej Brytanii 1940-1945*, Instytut Literacki, Paryż 1969, str. 251-252.

4. Winno być zacząć (K.B.).

nie działała ona samodzielnie. Przydzielona została do brytyjskiego dywizjonu i o wszystkim decydowali Anglicy. Zarys historii Eskadry 1586 ze względu na ścisłą tajemnicę jej działania zawiera mało szczegółów, dotyczących załóg. Nie zachowały się pełne listy załóg, które zrzucały cichociemnych i zaopatrzenie do kraju.

Sporządzając imienną listę skoczków, przerzucanych w kolejnych operacjach lotniczych do Polski, Jędrzej Tucholski podaje nawigatora jako dowódcę samolotu o załodze polskiej. Dodać należy, że zgodnie z tradycją polskiego lotnictwa sięgającą 1920 roku dowódcą samolotu był nawigator. Natomiast w lotnictwie brytyjskim dowódcą był pilot, bo on decydował o losach załogi, gdy sekundy dzieliły życie od śmierci, i on wyskakiwał ostatni. Wszyscy członkowie załogi bez względu na stopień mieli te same książki lotów (*log book*) z wyjątkiem pilotów. W każdej zaś książce lotu była rubryka na nazwisko pilota. Dla historyka i szperacza ta różnica stanowi dodatkową przeszkodę w odtwarzaniu załogi, bo w aktach brytyjskich kluczem do wszystkiego jest nazwisko pilota, a nie nawigatora. Wielka też szkoda, że autor nie odtworzył załóg. Było ich przecież niewiele — polskich 22, brytyjskich 9. Uniknąłby takiego błędu jak napisanie, że kpt. Edmund Ladro był nawigatorem (str. 178). Był on pilotem. Chciałbym dodać, że w lotnictwie polskim w Anglii były używane podwójne stopnie: polskie i brytyjskie. Niekoniecznie musiały się one pokrywać. W artykule niniejszym używam stopni brytyjskich, ponieważ takie figurują w książkach lotu i w dokumentach⁵.

Autor, próbując zbilansować działalność lotnictwa specjalnego w lotach do Polski, pisze:

„Operacje lotnicze zostały zapoczątkowane w nocy z 15/16 lutego 1941 roku, a zakończyły się 28/29 grudnia 1944 roku. Trwały więc niecałe 4 lata. (...) Straty polskie wyniosły 30 samolotów i 112 lotników, z których 28 trafiło do niemieckiej niewoli, a 6 uratowała AK. Poległo 78” (str. 108).

Lotników jednak przed niewolą niemiecką ratowali nie tylko żołnierze Armii Krajowej, ale również Jugosłowianie i Duńczycy. O pomocy Duńczyków⁶ Tucholski wprawdzie pisze, ale dopiero 46 stron dalej.

5. Skróty stopni: Sgt (sierż.), F/S (st. sierż.), W/O (chor.), P/O (ppor.), F/O (por.), F/L (kpt.), S/L (mjr), W/Cdr (ppłk), A/C (gen. bryg.), A/VM (gen. dyw.).

6. Pisze o tym również historyk duński Anders Bjornvad, „De fandt en vej”, Odense 1970, str. 205. Recenzja Adam Bielnicki, „Lotnicy polscy w Danii w latach drugiej wojny światowej”. *Zeszyty Historyczne* nr 56, Instytut Literacki, Paryż 1981.

Cytowane w „Cichociemnych” straty samolotów odnoszą się do czteroletniego okresu, natomiast straty lotników ograniczone są chyba tylko do okresu Powstania Warszawskiego i nie są nawet ścisłe. Bowiern groby lotników polskich z tego okresu można znaleźć na cmentarzach w Polsce, na Węgrzech, w Jugosławii i we Włoszech. Spoczywają oni: 15 na cmentarzu Rakowickim w Krakowie, 35 w Solymar k/Budapesztu, 19 w Belgradzie, 7 w Brindisi, a 7 pochłonał Adriatyk. W sumie w tym okresie zginęło 83. Przed niewolą uratowali Polacy: sześciu⁷, Jugosłowianie czterech⁸.

S/L Eugeniusz Arciuszkiewicz⁹, nawigator i ostatni dowódca Eskadry 1586, podaje ogólne straty operacyjne polskie w lotach nad Polskę: poległo 48 oficerów, 119 podoficerów, razem 167 lotników.

Zachodzi więc pytanie, jakie były rzeczywiste straty Eskadry 1586? Aby na to odpowiedzieć, trzeba sięgnąć do archiwów brytyjskich, do czego potrzebne jest właśnie nazwisko pilota, bo trudno korzystać z polskiego wykazu poległych¹⁰, który nie zawiera przydziału do jednostki w chwili śmierci lotnika. Depesze zaś o losach zestrzelonych lotników, wysyłane przez radiostacje krajowe, nie zawsze docierały do właściwej jednostki lotniczej i nie zawsze też były ścisłe. Przykład: A/VM Mateusz Iżycki, ostatni dowódca Lotnictwa Polskiego w Anglii, składał kondolencje macosz kanadyjskiego pilota F/S R. Petersona¹¹ w 7 tygodni

7. Była to załoga Halifaxa JP-220 strąconego 16/17 sierpnia 1944 koło Bochni, którą stanowili: naw. F/O Władysław Schöffler, bomb. P/O Włodzimierz Bernhardt (walczył w oddziale partyzanckim III/16 pp, którego dowódcą był cc ppor. „Meteor”), 2-gi naw. P/O Witold Korwin-Łopuszański, 2-gi pilot Sgt L. Kretowicz, mech. F/S G. Denisienko i strz. F/S J. Lück. Pilot W/O Leszek Owsiany dostał się do niewoli, a radioteleg. W/O Stefan Bohanes poległ i spoczywa na cmentarzu Rakowickim w Krakowie.

8. Była to załoga Halifaxa JN 889 zestrzelonego 1/2 września 1944 nad Jugosławią, którą stanowili: naw. F/O J. Abczyński, strz. Sgt. T. Michałkiewicz, r/o W/O W. Sibiński, mech. Sgt J. Frąckowiak. Polegli wtedy: pilot Sgt Rejnhold Tyrol, 2-gi pilot F/S Zbigniew Bar i strzelec Sgt Mieczysław Marynowski.

9. Eugeniusz Arciuszkiewicz, „Polskie lotnictwo w działaniu na rzecz Kraju”, Jednodniówka, The Royal Canadian Air Force Association Nr 431 „Kraków” Wing, September 1976 — Hamilton, Ontario — XI Zlot Światowy, str. 49-53.

10. Wykaz poległych i zmarłych żołnierzy Polskich Sił Zbrojnych na obczyźnie w latach 1939-1946, Instytut Historyczny im. gen. Sikorskiego, Londyn 1952, str. 370.

11. Robert Orlando Peterson zmarł w Edmonton, Alberta, Kanada 17 listopada 1978 roku.

po otrzymaniu przez nią listu, że jej pasierb żyje. Inny przykład to fragment depeszy k-dta Okręgu Kraków do Bazy we Włoszech z dnia 27 sierpnia 1944 (Oddz. VI. L.dz. 7494/44):

„Dnia 17/18. VII spadł samolot polski w m. Olszyny pldn. Tarnów. Załoga 5 Polaków i Anglik zginęła. Amunicja częściowo uratowana”.

A jak było? Pięciu członków załogi zginęło w nocy z 16/17 sierpnia 1944, skacząc na spadochronach z niskiej wysokości koło Olsztyn (pow. gorlicki). Liberator EW-275 cały w płomieniach runął o 35 km dalej, koło miejscowości Banica (pow. gorlicki) nad granicą czechosłowacką. Poległ wtedy pilot i mechanik pokładowy¹².

Omawiając loty w nocy z 29/30 października 1942 roku Tucholski pisze:

„Wreszcie trzeci, dwutorowy Whitley kpt. naw. S. Króla miał obłożyć sześcioma bombami siedzibę Gestapo przy alei Szucha w Warszawie po to, by zdezorientować Niemców i odwrócić ich uwagę od samolotów wykonujących zrzuty. Załoga obawiała się jednak, że wskutek rozrzutu bomb mogą zostać porażone pobliskie polskie domy i ostatecznie zdecydowano się zbombardować lotnisko Okęcie. Ładunek spadł na chytrze ustawiony przez Niemców pozorowany cel, położony 3 km na południowy wschód od właściwego lotniska. Powracający po wykonaniu zadania samolot zatonął przy wybrzeżu Anglii. Załogę zdołano uratować” (str. 140-141).

W przypisie autor przytacza depeszę ppłk. Protasewicza Nr 2601/KKP z dnia 28 maja 1943 roku. Nie może ona być uważana za dowód nalotu, który miał miejsce 7 miesięcy wcześniej.

W rzeczywistości był to czteromotorowy Halifax Nr 7774, pilotowany przez P/O Kazimierza Szrajera. Był to jego trzeci z kolei lot nad Polskę. P/O Szrajer znał Warszawę od dziecka i dlatego przypuszczalnie powierzono mu bombardowanie gmachu Ministerstwa Wyznań i Oświecenia Publicznego przy alei Szucha 25, gdzie mieściła się siedziba warszawskiego Gestapo, którego zbombardowania domagał się gen. Rowecki. W depeszy z dnia 29 sierpnia 1942 roku gen. Rowecki omawiając sowiecki nalot na Warszawę w nocy z 20/21 sierpnia 1942 roku tak pisał:

„(...) Oczekiwaliśmy i oczekujemy nalotów, liczymy się z naszymi ofiarami, ale chodzi o naloty planowe, dające straty niemieckie. Niech bombar-

12. Załogę stanowili: pilot F/L Zygmunt Pluta, naw. F/O Tadeusz Jencka, 2-gi pilot W/O Brunon Malejka, mech. Sgt Jan Marecki, radioteleg. F/S Józef Dudziak, strzel. F/S Jan Florkowski, strzel. F/S Bernard Wichrowski. Spoczywają oni na cmentarzu Rakowickim w Krakowie.

dują sprzymierzeni czy bolszewicy, ale Okęcie, Bielany, Szucha, stację rozrządową, dzielnicę niemiecką itp. i to z pułapu dającego szanse trafienia. Kalina 673”¹³

P/O Szrajer podchodził do bombardowania nad samymi dachami trzykrotnie. Ale za każdym razem siedziba Gestapo ukazywała się za późno, by w nią na pewno trafić. Czwartej próby zaniechano i bomby zrzucone zostały na lotnisko Okęcie, aby nie razić rodaków, gdyż załoga wtedy nie wiedziała, że siedziba Gestapo mieściła się w dzielnicy niemieckiej. W drodze powrotnej nad Danią Halifax 7774 dostał się pod ogień niemieckiego Flak’u. Benzyna zaczęła wyciekać. Radiotelegrafista F/S Wasilewski nadawał do ostatniej chwili położenie Halifaxa i SOS, a przed wodowaniem na Morzu Północnym spał klucz. Halifax szybko zatonął. Woda była lodowata. Po paru godzinach nadeszła pomoc i całą załogę wyłowiono z *dinghy*. Wszyscy zostali uratowani¹⁴.

Autor w przypisie 228 pisze:

„8/9. IV. 1944 skierowano 2 samoloty na „Polanę”¹⁵ (Halifax „V”¹⁶ kpt. Daniel oraz Halifax „Z” por. Błazewski). (...) (Halifax „S” kpt. Wünsch oraz Halifax „U” mjr Król) (str. 161).

Szkoda, że nie wyjaśnia jednak czytelnikowi, że przytoczone litery samolotów nie były numerami samolotów, tylko kodami samolotów w dywizjonie, używanymi również w korespondencji radiowej z bazą. Nawigator na karcie lotu za każdym razem wypełniał w rubryce „ORDERS” literę samolotu i litery ziemi. Np. samolot „D”, ziemia „K” - „Z”. Kryptonimy te podawane na odprawie przed odlotem były hasłem samolotu i odzewem placówek, na które miał być dokonany zrzut. Pierwszym celem dla samolotu w tym wypadku była placówka o odzwie „K”, drugim zaś celem, gdy pierwszy zawiódł, była placówka o odzwie „Z”. Sygnalizowano alfabetem Morse’a za pomocą świateł.

Na str. 164 wkradł się chochlik drukarski, bo tej samej nocy z 12/13 kwietnia 1944 roku dowódca operacji lotniczej por. naw.

13. „Armia Krajowa w dokumentach 1939-1945”, tom II, Studium Polski Podziemnej, str. 300, depesza część III, O. VI. L.dz. 3557/42, przyjeta 30 sierpnia 1942, odczytana 31 sierpnia 1942.

14. Załogę stanowili: pilot P/O Kazimierz Szrajer, naw. F/L Stanisław Król, 2-gi pilot W/O Stanisław Kłosowski, radioteleg. F/S Wasilewski, F/S Sołtysiak, F/S Mól.

15. Kryptonim placówki odbiorczej Okręgu Wołyńskiego, 17 km na południowy wschód od Lubombla, na którą dokonano zrzutu z jednego tylko samolotu podczas walk 27 DP AK.

16. Halifax Nr JP-180 (na kadłubie koło ogona), taki sam numer notował w książce lotu każdy członek załogi.

Antoni Błazewski miał jakoby zrzucać dwie ekipy, mianowicie ekipę XL i XLI. W rzeczywistości zrzucał jedną XLI w operacji lotniczej „Weller 14”. Ekipę XL w operacji lotniczej „Weller 3” zrzucał dowódca nawigator F/L Stanisław Daniel. Był to Halifax JP-180, pilotowany przez F/O Kazimierza Szrajera, godz. lotu 11.05.



W drugiej części książki Tucholski omawia przebieg służby cichociemnych w Armii Krajowej. Większość, bo około 75 % cichociemnych przydzielonych zostało do dywersji prowadzonej nie tylko w kraju, ale sięgającej terenów ZSSR na dalekim zapleczu frontu niemieckiego. Dywersja na wiosnę 1943 roku przerosła się w Polsce w partyzantkę. Cichociemni stali się dowódcami oddziałów partyzanckich. Byli to młodzi żołnierze w wieku od 19 do 34 lat o niskich stopniach wojskowych. Tucholski wylicza ich funkcje, przydziały i wysiłek żołnierski. Rozdział o Kedywie i partyzantce jest bogato ilustrowany wymownymi fotografiami i dokumentami, np. fotokopią listu cc por. Jana Piwnika „Ponurego” z 12 września 1943 roku do żandarmerii niemieckiej w powiecie koneckim, zapowiadającego akcje odwetowe za represje na bezbronnej ludności polskiej.

Niestety zdjęcia są mało wyraźne z powodu złego papieru, ale to już nie jest winą autora. Jest sporo zdjęć cichociemnych z partyzantki i z „Burzy”. Na str. 221 opisując fotografię (ryc. 188) autor pisze:

„Oficerowie kompanii 'Ewa' I baonu 16 pp AK. Od lewej: por. 'Krzyk', zastępcą dowódcy kompanii, cc por. 'Radomyśl', dowódca I plutonu, (...).

Winno być: (...) por. „Krzyk”, dowódca I plutonu i zastępcą dowódcy kompanii, cc por. „Radomyśl”, dowódca II plutonu, (...). — co jest zgodne z informacją podaną 144 stron dalej w życiorysie cc por. Zbigniewa Matuli pseudonim „Radomyśl”.

Cichociemni przeszkoleni w służbie wywiadowczej wnieśli wiele fachowości do techniki pracy w wywiadzie. Byli na różnych stanowiskach i łącznie z komórką legalizacyjną pracowało ich w wywiadzie 40-tu. Straty jakie ponieśli sięgały 30 %.

Stosunkowo małą grupę stanowili cichociemni ze specjalnością broni pancernej. Było ich zaledwie 13-tu. Saperów trochę więcej, bo 25-ciu. W grupie pancerno-saperskiej najstarszy wiekiem i stopniem był gen. Tadeusz Kossakowski, „Krystynek”, który z chwilą lądowania w Polsce miał 56 lat i walczył w Śródmieściu przez pierwsze trzy tygodnie powstania jako strzelec w drużynie szturmowej pchor. „Blizny”.

W sztabach pracowało 25 cichociemnych. Jednym z nich był generał Leopold Okulicki „Kobra 2”, „Termit”, „Niedźwiadek”, ostatni dowódca Armii Krajowej.

Co trzeci cichociemny był w Powstaniu Warszawskim. W samej Warszawie brało ich udział w powstaniu 91, a w Puszczy Kampinoskiej walczyło 4. W sumie 95 cichociemnych na ogólną liczbę 316. Poległo w powstaniu 18.

Na końcu drugiej części książki Jędrzej Tucholski zamieścić zdjęcie tablicy poświęconej „pamięci żołnierzy Armii Krajowej, cichociemnych-spadochroniarzy z Anglii i Włoch, poległych za niepodległość Polski”. Można odczytać stopnie, nazwiska i pseudonimy 108 cichociemnych. Tablicę tę umieszczono w Warszawie na Starym Mieście w kościele O.O. Dominikanów św. Jacka przy ulicy Freta 10. Tablica ta została poświęcona w roku 1980. Po porównaniu nazwisk, zamieszczonych na tej tablicy, z nazwiskami i życiorysami cichociemnych w trzeciej i ostatniej części książki Tucholskiego, wynika, że brakuje na tej tablicy dwóch cichociemnych: rtm. Andrzeja Czykowskiego „Garda”, straconego w 1953 roku, i por. Zbigniewa Piaseckiego „Orlika”, który zginął w obozie koncentracyjnym Gross-Rosen na początku 1945 roku. Ciekawe, dlaczego zostali opuszczeni?

Trzecią i ostatnią część książki wypełniają życiorysy z fotografiami 316 cichociemnych. Pisane są zwięźle i zawierają suche informacje. Autor używa określeń takich jak „internowany” lub „przebywał” w ZSSR, co po prostu znaczy, że cichociemny przed skokiem do Polski był jeńcem lub więźniem w ZSSR, a po skoku do Kraju był w łagrach sowieckich. Autor pomija milczeniem fakt, że większość skoczków mieszkających w Polsce siedziała w więzieniach. Życiorysy te są zwierciadłem wędrówki i szlaku bojowego, tak charakterystycznego dla polskiego żołnierza podczas drugiej wojny światowej. Wśród cichociemnych byli legioniści, żołnierze września, grenadierzy, strzelcy piesi, podhalańscy, karpaccy i konni, kolorowi ułani, lotnicy, marynarze, emisariusze, kurierzy i łagiernicy. Jednym z tych ostatnich był 22-letni podporucznik łączności Kazimierz Niepla (str. 372), którego los raz rzucił na nieludzką ziemię, a po dwuletniej przerwie po raz drugi na następne dziesięć lat za to tylko, że jako „Smyczek” „grał na radiostacji” pod Wilnem. Do życiorysu por. Zbigniewa Matuli (str. 365) chcę dodać, że zanim por. Matula wstąpił do PSZ w ZSSR, był jeńcem wojennym w Kozielsku i uniknął Katynia, bo był w tym obozie tylko przejściowo. Płk. Józefowi Spychalskiemu (str. 413) autor w życiorysie przypisuje braterstwo z Ma-

rianem Spychalskim, marszałkiem. Chyba było to braterstwo przyrodnie.

Wielka szkoda, że autor w zwięźle opracowanych życiorysach nie podał zawodu, jaki wykonywali skoczkowie po wojnie, bądź to w Polsce, bądź to za granicą. Wykaz przeszkolonych i nie przeluźonych do Kraju skoczków, którzy po zakończeniu kursów odprawowych zostali zaprzysiężeni na rotę przysięgi AK (str. 512-516) obejmuje 218 nazwisk. Nie figuruje w nim por. art. Kornafel, który w latach 1945/1947 miał przydział do 2 WDpanc. (16 pal).

Na podstawie zebranych przez autora danych można życiorysy skoczków podsumować liczbowo. Rachunek tragiczny: co trzeci skoczek wsiadający do samolotu leciał po śmierć.

Wczytując się z głębokim zainteresowaniem w życiorysy „ptaszków”, ułożyłem:

Drogi cichociemnych w cyfrach:

Przez Węgry, Rumunię, Litwę, Łotwę do Francji a następnie do Anglii	205
Przez ZSSR i Armię Polską na Wschodzie	60
Przez Niemcy, Finlandię, Szwecję, Hiszpanię, Północną Afrykę, Portugalie	51
	316

Przeżyło wojnę:

pozostało w Kraju	127
z czego 31 zostało zesłanych do łagrów sowieckich od roku do dwunastu lat i potem wróciło do Polski. wróciło na Zachód	79
z czego przedtem 3 zostało zesłanych do łagrów so- wieckich od roku do czterech lat.	
	206

Poległo:

w czasie lotu lub przy lądowaniu	11
w dywersji lub partyzantce	33
w Powstaniu Warszawskim	18
w niemieckich więzieniach lub obozach koncentracyj- nych	32
w walce z sowieckimi oddziałami lub w sowieckim więzieniu	7
w więzieniu UB w Polsce	9
	110
	209

Pomimo pewnych usterek, które zauważyłem i które omówiłem, książka Tucholskiego jest wielkim osiągnięciem. Autor musiał zapewne pokonać niejedną przeszkodę, by wreszcie udostępnić czytelnikowi w Kraju rzeczową monografię o 316 cichociemnych żołnierzach Polski Walczącej.

Kajetan BIENIECKI

7 września 1985

Z. S. SIEMASZKO

RELACJA DOWÓDCY BRYGADY ŚWIĘTOKRZYSKIEJ

Pod koniec ostatniej wojny, kiedy armia sowiecka, a za nią i władze ZSSR, wkraczały na polskie tereny, ogromna większość Polaków nie uciekała na zachód, a podziemie akowskie w większości wypadków ujawniało się przed władzami sowieckimi. Postawa ta spowodowana była częściowo nadzieją, że Sowiety są „sojusznikami naszych sojuszników”, częściowo siłą bezwładu (łatwiej było zdecydować się na pozostanie, niż na rzucenie wszystkiego i ucieczkę na zachód), a częściowo niechęcią do współdziałania z Niemcami. A trzeba pamiętać, że wówczas uciekanie na zachód wiązało się w mniejszym lub większym stopniu z ustępowstwami wobec władz niemieckich, a to, ogólnie biorąc, było przez Polaków potępiane.

Jednak niektórzy uciekali, najpierw do Polski centralnej lub w okolice Krakowa i Częstochowy, a potem, z chwilą rozpoczęcia sowieckiej ofensywy w styczniu 1945, poza granice Polski, częściej przez Czechy i Austrię niż przez Niemcy, dążąc w kierunku 2-go Korpusu we Włoszech. Potem jednak opowiadano o tych ucieczkach przed „wyzwoleniem” jedynie prywatnie i niejako ze wstydem. Tylko człowiek, który tak ignorował wszelkiego rodzaju polskie tabu jak Józef Mackiewicz, już wkrótce po wojnie opisał jak w Wiedniu utworzył się w drugiej połowie lutego 1945 transport kolejowy pod nazwą *Osttürmenische Waffen SS*, skierowany do Monachium, gdzie miały organizować się oddziały pod tą nazwą. W tym transporcie, dzięki kontaktom polskich Tatarów i Karaimów, były:

Eleganckie panie z Warszawy, Wilna i Krakowa, panowie obładowani walizkami, kierownik poczty z Zawias, inżynier, który budował chłodnię w Nowej Wilejce, dwie panie w wyjątkowo jaskrawych kapeluszach, jedna wiodła na smyczy rasowego jamnika, oficerowie jadący do 2-go Korpusu, ziemianie z naszych kresów, trochę biedaków. (*Fakty, przyroda i ludzie*, Londyn 1984, str. 156).

Wśród nich znajdowali się Barbara Toporska i Józef Mackiewicz.

Ale to były wyjątki. Do wyjątków należeli również przywódcy polityczni ze środowiska przedwojennego ONR-u (Kazimierz Gluźniński, Jerzy Iłakowicz, Otmar Wawrzkowicz), którzy przez Wiedeń udali się na zachód. Natomiast czołowi przywódcy wszystkich czterech stronnictw rządowych (ludowcy, socjaliści, chadecy i endecy) skorzystali z „wyzwolenia”, ujawnili się i pojechali na wschód, ale zamiast układać się z Sowietami, zostali skazani przez sąd sowiecki i w większości wypadków już do Polski nie powrócili.

Ujawniła się również ogromna większość oddziałów AK i stała przed wyborem — armia Berlinga lub wywózka. Większość wybrała Berlinga. Znalazł się tylko jeden jedyny oddział podziemny, który z bronią, w mundurach i z odznakami odszedł w styczniu 1945 na zachód. Była to Brygada Świętokrzyska, licząca wówczas około tysiąca żołnierzy, należąca do Narodowych Sił Zbrojnych, podległych środowisku politycznemu ONR. Trzeba przyznać, że było to osiągnięcie nielada, bo ponosząc minimalne straty zdołała Brygada wycofać się z Kielecczyny do okolic Pilzna, gdzie przeszła na stronę amerykańską i jednocześnie uniknęła aktywnego zaangażowania się po stronie niemieckiej. Dowódcą tej Brygady był przedwojenny kapitan służby stałej z 29 Dywizji Piechoty w Grodnie, a później pułkownik NSZ, występujący pod różnymi nazwiskami i pseudonimami — Bohun, Dąbrowski, Ludwik, Szacki, Skarbek. Ostatnio ukazały się w druku jego wspomnienia¹.

Liczyłem na to, że znajdę w tych wspomnieniach wyjaśnienie wielu spraw, które pozostały bez odpowiedzi w czasie moich badań działania obozu ONR w okresie ostatniej wojny². Niestety zawiodłem się i poza nielicznymi wyjątkami dowiedziałem się niewiele nowego.

Układ książki Bohuna-Dąbrowskiego jest nieco dziwny. Zawiera ona 288 stron, a z tego zaledwie 196 stron to tekst opracowany przez samego autora. 92 strony, czyli bez mała jedna trzecia książki, zawierają raporty i relacje innych członków Brygady, których ogromna większość była już drukowana gdzie indziej. Inną uderzającą wadą jest to, że trasa Brygady, podana w zarysie na okładce, została szczegółowo opracowana graficznie jedy-

1. Antoni Bohun-Dąbrowski, *Byłem Dowódcą Brygady Świętokrzyskiej Narodowych Sił Zbrojnych*, Veritas, Londyn 1984.

2. Z. S. Siemaszko, *Narodowe Siły Zbrojne*, Odnova, Londyn 1982.

nie na odcinku Kielecczyzna — wejście do Czech, czyli pokrywa zaledwie okres od 13 stycznia do 7 lutego 1945. Dlatego tylko częściowo zdołałem zaspokoić ciekawość o ile chodzi o przemarsz Brygady do Pilzna, nad badaniem którego w swoim czasie spędziłem wiele godzin.

Wspomnienia samego autora są bezpośrednie, bezpretensjonalne i żywo napisane, co budzi sympatię czytelnika do piszącego. Ale znowu układ jest dziwny. Można by przypuszczać, że najważniejszą i najbardziej oryginalną rzeczą jest wycofanie Brygady na zachód, czyli te wypadki, które miały miejsce między 13 stycznia i 8 maja 1945 roku. Tymczasem autor poświęca temu zaledwie 32 strony. Natomiast najwięcej miejsca, bo aż 42 strony, zajmują dzieje podziemia w latach 1939-1944. Składa się na to trochę przeżyć osobistych autora w tym okresie, ale większość materiału to ogólne naświetlenia historyczne spraw takich jak Związek Jaszczurczy, Narodowe Siły Zbrojne, Armia Krajowa, akcja Burza itd., które były już wielokrotnie omawiane. Jednocześnie aż 37 stron zajmują sprawy i działania Brygady na Kielecczyźnie w drugiej połowie 1944 roku. Nie jest to temat oryginalny, gdyż inne oddziały partyzanckie miały podobne przeżycia. Aż 32 strony zajmują dzieje autora i ludzi jego otoczenia na zachodzie Europy od 1944 do 1955, tzn. do momentu wyjazdu autora do Stanów Zjednoczonych. Rzuca to pewne światło na usiłowania władz PRL dostania Dąbrowskiego w swoje ręce, jak również naświetla kontakty między NSZ-owcami i pułkownikiem Janem Kamińskim, który dysponował poważnymi funduszami rządu polskiego w Londynie. Ale przecież są to sprawy drugorzędne.

Natomiast o ile chodzi o wycofanie Brygady na zachód, to właściwie ogromna większość elementów, jak np. rozmowy z Niemcami, pośrednictwo organizacji „Toma”, czy też wysyłanie przy niemieckiej pomocy patroli do kraju, są wspomniane, ale właściwie nie ma nic ponad to, co już gdzie indziej zostało napisane. Czytelnik dochodzi do wniosku, że albo autor zapomniał o szczegółach związanych z wyprowadzeniem Brygady, albo też woli nie zagłębiać się w dokładne okoliczności towarzyszące temu drażliwemu okresowi współpracy z Niemcami.

Na przykład spójrzmy na problemy zaopatrzeniowe — wyżywienie, żołydy i gaże, ubranie, buty. Skąd się to wszystko brało dla 1.500 ludzi, jak podaje autor (str. 145), dla całej Brygady wraz z konnym taborem? Nawiązując do rozmów z Niemcami 28 stycznia 1945, autor pisze:

Po dość długiej dyskusji postanowiono, że zagadnienie naszego wyżywienia ma być załatwiane przez poprzednie uzgodnienie z miejscowymi władzami czeskimi na każdym miejscu postoju oddziałów. Przeważnie nie potrzebowaliśmy korzystać z pomocy czeskich władz, ponieważ ludność czeska sama zaopatrywała nas dobrowolnie (str. 145).

Jest to chyba jedyny wypadek w historii XX wieku, żeby lokalna ludność cywilna utrzymywała dobrowolnie przez trzy mie-

siące (początek lutego - początek maja 1945) obcy oddział wojskowy liczący ponad tysiąc ludzi. Trudno w to uwierzyć, robi to wrażenie „historii fryzowanej”.

Trzeba więc stwierdzić, że relacja dowódcy niewiele wniosła, o ile chodzi o poznanie dziejów Brygady Świętokrzyskiej.

Na marginesie tej książki chciałbym zwrócić uwagę na to, że większość oficerów, którzy poszli innymi drogami, wywodziła się z dwóch dywizji — 2 Dyw. Legionów i 29 Dyw. Piechoty. Z pierwszej z nich pochodzili: Berling (Ludowe Wojsko Polskie), Tatar (współpracujący z PRL w okresie powojennym), Nakoniecznikoff-Klukowski (p.o. komendant główny NSZ, zastrzelony przez własną organizację), Boguszewski (szef Oddziału Operacyjnego sztabu NSZ, były adiutant Berlinga). Natomiast z 29 Dyw. Piechoty wywodził się Oziewicz (komendant główny NSZ), Żochowski (szef sztabu NSZ), Zub-Zdanowicz (szef sztabu Brygady Świętokrzyskiej), Dąbrowski-Skarbek (dowódca Brygady Świętokrzyskiej). Niewątpliwie musiały się przyczynić do tego rodzaju układów osobiste stosunki i znajomości, ale również musiały być w tych dywizjach jakieś inne, specyficzne nastroje, które kierowały tych oficerów w różnych, skrajnie przeciwnych kierunkach.

Z. S. SIEMASZKO

17 stycznia 1986

Tadeusz LISICKI

WAŻNA POZYCJA NA ANGLOSASKIM RYNKU*

W czterdziestą rocznicę zakończenia wojny ukazała się w Londynie książka Józefa Garlińskiego, profesora historii Polskiego Uniwersytetu na Obczyźnie, pod tytułem „Poland in the Second World War” (Polska w drugiej wojnie światowej). Wydawcą jest duża brytyjska firma Macmillan. Jest to już szósta książka tego autora w języku angielskim, warto więc przed jej omówieniem przypomnieć wcześniejsze**, które wprowadziły autora jako his-

* Józef Garliński, *Poland in Second World War*, The Macmillan Press Ltd., Londyn 1985, str. 388, fotografie, mapy, obwoluta, cena £ 25.

** *Poland, SOE and the Allies* (1969), *Fighting Auschwitz* (1975, wydanie angielskie, francuskie i amerykańskie), *Hitler's Last Weapons* (1978, wyd. ang. i ameryk.), *Intercept, Secrets of the Enigma War* (1979, wyd. ang. i ameryk.), *The Swiss Corridor* (1981).

toryka drugiej wojny światowej na rynek angielski i pozwoliły na opracowanie jego najważniejszego dzieła.

Najnowsza książka Garlińskiego jest nieco skróconą wersją jej polskiego wydania z 1982 roku pod tytułem „Polska w drugiej wojnie światowej”. Autor opuścił zagadnienia interesujące tylko polskiego czytelnika. Różni się ona od poprzednich książek, gdyż daje pełny obraz udziału Polski w ostatniej wojnie. Każda z pięciu poprzednich obejmowała tylko jedną z dziedzin tej wojny. Dzięki niej historyk i czytelnik anglosaski może się zapoznać z polskim wysiłkiem politycznym i wojskowym, z polskimi możliwościami, z zaborczością sąsiadów z zachodu i ze wschodu, z błędami zachodnich mężów stanu, z polskim tragicznym końcowym losem. Jej największym walorem jest obiektywizm autora przy wykorzystywaniu dorobku naukowego różnych szkół historycznych, tak emigracyjnych jak i krajowych. Autor korzystał ze źródeł polskich, brytyjskich, amerykańskich, niemieckich, szwajcarskich, watykańskich i izraelskich oraz z dostępnych źródeł sowieckich. Ich spis umieszczony na końcu książki zawiera około trzystu pozycji, wśród nich są archiwa oficjalne i prywatne, niepublikowane relacje, liczne listy i wywiady ze świadkami historii, książki, publikacje i periodyki. Garliński ze źródeł tych, czasem tendencyjnych i sprzecznych, potrafił wydobyć prawdę i dać swoją własną ocenę, nawet gdy była ona bolesna.

Książka składa się ze wstępu i 24-ch rozdziałów, w których autor podaje chronologiczny przebieg wypadków w latach wojennych. Wyjątek stanowią dwa rozdziały, 6-ty o Kościele katolickim i unickim pod obydwiema okupacjami oraz 13-ty, opisujący losy Żydów. Historia płynęła w obu przypadkach odrębnym nurtem.

Wstęp w zwięzły sposób przedstawia Polskę przedwojenną: jej ludność, jej rząd, jej potencjał gospodarczy i wojskowy, jej granice i sąsiadów oraz kilka innych, ważniejszych państw. To pozwala na ocenę, z jakimi szansami nasz kraj stanął w obliczu nadciągającej wojny.

Autor potępia udział Polski w rozbiórce Czechosłowacji. Spowodował on osamotnienie Polski, osłabiło przymierze z Francją zawarte jeszcze w 1921 roku, choć pożyczka 2 miliardów franków była w dalszym ciągu realizowana.

Autor wnikliwie i syntetycznie przedstawił wysiłek Polski w czasie kampanii wrześniowej. Można jedynie mieć małe zastrzeżenie do przedstawienia roli Stefana Starzyńskiego w obronie Warszawy, gdy autor pisze, że wziął on na siebie całą moralną odpowiedzialność za kontynuowanie walki. Płk Tomaszewski, szef sztabu dowódcy obrony stolicy, stwierdził: „Starzyński uzupełnił gen. Czumę i razem tworzyli zgodną całość”.

Po przedstawieniu polityki hitlerowskiej na ziemiach okupowanych i przeanalizowaniu sytuacji na terenach zagrabionych przez Sowiety, autor opisuje początki państwa podziemnego oraz powstanie we Francji rządu polskiego gen. Sikorskiego i jego

Komitetu Ministrów dla Spraw Kraju, polsko-francuską umowę wojskową ze stycznia 1940 roku i odbudowę polskich sił zbrojnych.

Niemiecki atak na zachodzie, walki polskich formacji we Francji, jej upadek i ewakuacja do Wielkiej Brytanii to dalszy rozdział gehenny polskiej, przedstawione przez autora.

W Wielkiej Brytanii Sikorski z nową energią przystąpił do ponownej odbudowy sił zbrojnych. Doprowadził także do podpisania w listopadzie 1940 roku deklaracji polsko-czeskiej w sprawie unii pomiędzy tymi państwami po zakończeniu wojny.

Punktem przełomowym w polskiej polityce zagranicznej w czasie wojny był układ polsko-sowiecki z lipca 1941 roku. Autor zwraca uwagę na brak uregulowania sprawy granicy wschodniej. Układ ten spowodował ostre przesilenie w rządzie emigracyjnym, pomimo tego została następnie podpisana umowa wojskowa i po zwolnieniu z łagrów obywateli polskich utworzono na terenie Sowietów polską armię.

Autor na polskim przykładzie wyraźnie pokazuje, że silny zaw sze łączy się z silnym, nawet gdy dzielą ich najbardziej zasadnicze różnice ideologiczne. Tak miało to miejsce z paktem Ribbentrop - Mołotow jak i później z paktem Zachodu z Sowietami. Pakt polsko-brytyjski był paktem niejako egzotycznym, mógł trwać krótko, dopóki Wielka Brytania nie zdobyła silniejszego sprzymierzeńca. Brytyjczycy od pierwszej chwili zawarcia paktu Hitlera ze Stalinem pracowali nad zmiękczeniem sowieckiego stanowiska. Z Hitlerem paktować nie mogli, Sowiety były naturalnym kandydatem na sojusznika, choć wiązały się z Niemcami. Nagle wszystko odwróciło się na korzyść Brytyjczyków, Hitler zerwał pakt i uderzył na Rosję w czerwcu 1941 roku. Natychmiast Churchill przemówił przez radio i ofiarował Sowietom wszelką możliwą pomoc, bez żadnych warunków politycznych. Od razu Polska zeszła na dalszy plan, przestała być wartościowym sojusznikiem, stała się ambarasująca.

Dalsze rozdziały to działalność naszego lotnictwa na Zachodzie, walki Brygady Karpackiej w Afryce Północnej, organizacja armii na terenie ZSSR, trudności z sowieckimi władzami i ewakuacja na Środkowy Wschód.

Dobrze się stało, że autor nie zapominał o polskich wynalazkach i odkryciach, które były ważnym wkładem do ostatecznego zwycięstwa. Dzięki jego własnej książce o Enigmie czytelnicy zachodni mogli się dowiedzieć o tym wielkim sukcesie polskich kryptologów, tak szeroko wykorzystanym przez Brytyjczyków, ale to przecież nie wszystko. Nawet Polacy nic prawie nie wiedzą o polskich wykrywaczach min, masowo używanych przez aliantów, czy o polskich peryskopach dla czołgów, które wykorzystali Brytyjczycy, Amerykanie a nawet Rosjanie. Gdyby nie ostatnia książka Garlińskiego, nikt na Zachodzie by o tym nie wiedział.

Podzielenie Europy na strefy wpływów przypisuje autor Roose-

veltowi, który nie zgodził się na projekt Churchilla zaatakowania Europy od południa, a nie przez kanał, z Anglii, i wymusił na nim uzgodnienie z Sowietami podziału kontynentu, co zostało przypieczętowane na konferencji jałtańskiej.

Śmierć Sikorskiego i konflikty pomiędzy nowym premierem, Mikołajczykiem, i nowym Naczelnym Wodzem, gen. Sosnkowskim, doprowadziły, zdaniem autora, do odejścia polskiej polityki od rzeczywistości militarno-politycznej.



Jest nas poza granicami kraju wiele milionów, mieszkamy w kulturalnych centrach zachodniego świata, możemy docierać do masowych środków przekazu i informować obcych o naszym kraju, o naszej historii i kulturze. Niestety w tym zakresie nasze osiągnięcia są dalekie od potencjalnych możliwości. Garliński, jako historyk, jest jednym z nielicznych, którzy spełniają te zadania. Jego książki w tysiącach egzemplarzy docierają do zachodnich czytelników, bierze on udział w programach telewizyjnych, uczestniczy w międzynarodowych historycznych konferencjach. Ostatnia praca, „Poland in the Second World War”, wydana przez firmę o światowym zasięgu, jest jego najważniejszym, najbardziej pełnym osiągnięciem.

Tadeusz LISICKI

Piotr WANDYCZ

NOWE KSIĄŻKI

Wśród wielu cennych książek z historii Polski, jakie ukazały się w roku obecnym i zeszłym w Kraju i za granicą, jest kilka pozycji, na które chciałbym zwrócić szczególną uwagę czytelnikom *Zeszytów Historycznych*. Są to dzieła o bardzo odmiennym charakterze i tematyce. W jakimś sensie najambitniejszym z nich jest *Zarys dziejów Polski do roku 1964*, wydany nakładem „Znaku” w Krakowie w 1985 roku. Wynikający częściowo z inspiracji ówczesnego arcybiskupa Krakowa, kardynała Wojtyły, który zachęcał do opracowania historii Polski uwzględniającej szerszy wątek religijno-kościelny, tom ten był pomyślany jako synteza doprowadzona do dzisiejszych czasów. Śmierć autora, znanego historyka wrocławskiego, pokrzyżowała te plany. *Zarys* obejmuje wszystko to, co Czapliński zdołał napisać. Do druku książkę przygotował jego syn, również historyk. Starannie wydanemu tomowi, który liczy jakieś sześćset stron, towarzyszy osobno opracowany wybór map historycznych, opracowanych przejrzysto i estetycznie.

Zupełnie inny charakter ma wydany również w tym roku nieduży tom pióra poznańskiego historyka Jerzego Krasuskiego pt. *Między wojnami* (wyd.

PIW). Jest to przegląd polskiej polityki zagranicznej w latach 1918-1939 i wypełnia istniejącą lukę; Krasuski nie kuśił się o danie wyczerpującego wykładu czy analizy. Zapewne znajdziemy ją (miejmy nadzieję) z chwilą gdy (i jeżeli) ukaze się 4-ty tom *Historii dyplomacji polskiej*. Skoro mowa o historii dyplomatycznej wypada zasygnalizować dwie pozycje autorstwa Henryka Batowskiego, a mianowicie *Z dziejów dyplomacji polskiej na obczyźnie: wrzesień 1939 - lipiec 1941* oraz *Walka dyplomatyczna dyplomacji hitlerowskiej przeciw Polsce 1939-1945*. Obie prace ukazały się w zeszłym roku nakładem Wydawnictwa Literackiego w Krakowie.

Do dzieł o tematyce pokrewnej, jakkolwiek mamy tu do czynienia nie z monografią, ale z wydaniem źródeł, należy *Monachium 1938: polskie dokumenty dyplomatyczne* (Warszawa, PWN, 1985), opracowane przez Zbigniewa Landaua i Jerzego Tomaszewskiego. Obaj autorzy są znani przede wszystkim ze swych wspólnie pisanych dzieł z historii gospodarczej, aczkolwiek obaj, a zwłaszcza Tomaszewski pisali również na tematy związane z dziejami stosunków międzynarodowych. Tomaszewski opublikował ponadto szereg raportów polskiej ambasady w Berlinie. Całość solidnie opracowana i nad wyraz pożyteczna.

Wątek polski góruje w bardzo interesującej książce Jerzego W. Borejszy, *Piękny wiek XIX* (Warszawa, Czytelnik, 1984). Jest to zbiór esejów napisanych z werwą i pobudzających do myślenia. Niektóre z nich znamy z *Łamów Tygodnika Powszechnego*. Pozycją „krajową”, choć wydaną we Francji, jest opracowanie Jacka M. Majchrowskiego *Geneza politycznych ugrupowań katolickich: Stronnictwo Pracy, grupa 'Dziś i Jutro'*, które ukazało się jako tom 8 w serii „Historia i teraźniejszość” pod auspicjami Towarzystwa Historyczno-Literackiego w Paryżu nakładem Libelli.

Powyższe tytuły stanowią, rzecz jasna, tylko wycinek z szerokiej gamy wydawnictw historycznych w Polsce. Pomijam tu na przykład dzieło Cezarego Chlebowskiego o „Wachlarzu”, nagrodzone przez Instytut Piłsudskiego w Nowym Jorku, i ciekawe prace Werschlera, Szaroty i innych.

Pośród książek napisanych w językach obcych ograniczę się do zasygnalizowania jedynie dwutomowego dzieła stosunkowo niedawno zmarłego Wiktora Sukiennickiego pt. *East Central Europe during World War I* (Boulder, Colo., 1984). Ta ogromna praca, do której Sukiennicki zbierał materiały od wielu lat, obejmuje głównie ziemie dawnej Rzeczypospolitej i stanowi kopalnię informacji. Z wydaniem jej były oczywiście spore kłopoty i Sukiennicki stwierdza z goryczą we wstępie, że „żadna instytucja, polska, amerykańska lub jakakolwiek inna, nie pomogła w wydaniu tego dzieła”. Zarówno praca Sukiennickiego jak wszystkie powyżej wymienione książki zasługują na obszerne i fachowe recenzje. Niżej podpisany, jak na razie, ograniczy się do zrecenzowania w *Zeszytach Historycznych* dwóch prac, które wymieniam na samym końcu: Henry Rollet'a, *La Pologne au XX^e siècle* (Paryż 1984) i Jana Karskiego, *The Great Powers and Poland 1919-1945: From Versailles to Yalta* (University Press of America, Lanham 1985).

Pozostaje mi jeszcze wspomnieć o książce o dużej wartości źródłowej, którą czyta się jak „kryminał”, a która jest obecnie sensacją w Polsce. Mam na myśli tom Teresy Torąńskiej, *Oni*, wydany w tzw. drugim obiegu i zawierający siedem wywiadów przeprowadzonych przez autorkę z takimi eks-prominentami jak Jakub Berman, Staszewski, Ochab, Mincowa, Werfel, Kłosiewicz i Chajna.

Skoro mowa o tłumaczeniach, należy odnotować z zadowoleniem, iż ukazała się wersja angielska biografii Kardynała Wyszyńskiego pióra Micewskiego, a także, że przetłumaczono na angielski *Etykę Solidarności* ks. Józefa Tischnera. Szkoda natomiast, że *Polski kształt dialogu* tegoż autora istnieje,

o ile mi wiadomo, tylko w niemieckim i włoskim przekładzie. Piszę o ile mi wiadomo, gdyż nie jest zawsze łatwo dowiedzieć się o nowych publikacjach z prasy emigracyjnej lub nawet z katalogów Orbisu. Z niezrozumiałych dla mnie powodów bardzo słabo odnotowano, na przykład, Tadeusza Wyrwy, *La Résistance polonaise et la politique en Europe* wydaną dwa lata temu w Paryżu, a zignorowano prawie zupełnie dwie wartościowe i użyteczne pozycje Alexandry Kwiatkowskiej-Viatteau: *Katyn, l'armée polonaise assassinée* (Editions Complexe, 1982) i *Varsovie insurgée* (1984): niedużego formatu, doskonale napisane książki adresowane do szerszego grona czytelników francuskich, które powinny być rozreklamowywane przez środowisko emigracyjne. Ale cóż, anty-talenty propagandowe, głęboko zakorzenione u Polaków nie znikają łatwo.

Piotr WANDYCZ

OKRUCHY HISTORII

Andrzej SUCHCITZ*

MEMORIAŁ ADMIRAŁA ZWIERKOWSKIEGO W SPRAWIE GDAŃSKA — MAJ 1919

Jedną z najważniejszych spraw dla polskiej delegacji na konferencję pokojową w Paryżu było zapewnienie odrodzonemu państwu wolnego dostępu do morza. Był to warunek *sine qua non* niezależnego bytu i rozwoju Polski. Brak własnego wybrzeża i portu uniemożliwiłby swobodny handel zagraniczny i postawiłby Polskę w niemożliwej sytuacji wobec Niemiec. Niemcy byłyby w stanie kontrolować polski handel zagraniczny, a co za tym idzie Polska byłaby politycznie uzależniona od Berlina. Waga, jaką przypisywano przyznaniu Polsce dostępu do morza, znalazła wyraz w składzie ówczesnej reprezentacji Marynarki Wojennej w Paryżu. Członkiem delegacji pokojowej i późniejszym pełnomocnikiem do spraw morskich przy Głównym Dowództwie Armii Sprzymierzonych w Paryżu był wiceadmiral Konstanty Biergiel. Do pomocy miał kontradmirała Wacława Kłoczkowskiego w charakterze rzeczoznawcy morskiego. *Attaché* morskim przy poselstwie RP w Paryżu był kontradmirał Zygmunt Brynk. Wreszcie delegatem Marynarki Wojennej był ówczesny komandor Jerzy Zwierkowski.

* Serdecznie dziękuję p. Elżbiecie Barbarskiej za pomoc w sprawdzeniu danych potrzebnych do niniejszego opracowania — A.S.

Na początku maja 1919 roku kmdr Zwierkowski wręczył nowo przybyłemu szefowi Polskiej Misji Wojskowej w Paryżu gen. T. Rozwadowskiemu memoriał, w którym przedstawiał sprawę przyszłości Gdańska oraz trudności, jakie będą wynikać z rządów Ligi Narodów w mieście. Memoriał został napisany wkrótce po decyzji utworzenia z Gdańska wolnego miasta, co pozbawiało Polskę własnego portu. Zwierkowski podkreślał konieczność zawarcia sojuszu z Francją dla zabezpieczenia granicy z Niemcami i wskazywał, że polska polityka morska powinna być skierowana ku Anglii. Koncepcja ta okazała się błędna i krótkotrwała. Brytyjski premier Lloyd George, wrogi interesom Polski, przeciwstawiał się wszelkim próbom zmierzającym do utworzenia silnej polskiej Marynarki Wojennej na Bałtyku. Rząd brytyjski uważał że Polsce wystarczy mała i słaba flota dla potrzeb patrolowania wybrzeża.

Memoriał jest ciekawym dokumentem z kilku względów: po pierwsze dlatego, że odzwierciedla rozmaite — nie zawsze sprawdzone — poglądy, jakie krążyły w powojennym Paryżu o tajnych umowach między zwycięskimi mocarstwami; po drugie dlatego, że przedstawia pierwsze kroki w formułowaniu polityki morskiej przez nowo powstałe kierownictwo Marynarki Wojennej i wreszcie po trzecie dlatego, że trafnie przedstawia problemy, jakie Polskę czekały w Gdańsku skutkiem decyzji Rady Czterech stworzenia z portu wolnego miasta. Zwierkowski lansuje celem polepszenia warunków dla Polski w Gdańsku orientację proangielską, a więc zbliżenie się do państwa, które było najbardziej przeciwnie temu, aby Polska otrzymała Gdańsk i skutecznie doprowadziło do tego, że nie przyznano jej tego portu.

Memoriał nasuwa radykalną alternatywę do problemu Gdańska, chociaż adm. Zwierkowski jej nie przedstawia (przypuszczalnie dlatego, że nie przewidywał możliwości takiego rozwiązania). Mianowicie Polska musiała sama zbudować własny port na Bałtyku. Ta śmiała inicjatywa wyszła przede wszystkim od szefa adm. Zwierkowskiego, adm. Porębskiego. Gdy admirał Zwierkowski umarł w 1932 roku, wiele z jego przewidywań odnośnie sytuacji w Gdańsku sprawdziło się — ale jednocześnie Polska już posiadała swój własny port w Gdyni.

Autor memoriału, Jerzy Anzelm Zwierkowski, urodził się w 1873 roku. Do 1918 służył w austro-węgierskiej Marynarce Wojennej, awansując do stopnia komandora porucznika. W polskiej MW służył od końca 1918 i został wysłany do Paryża jako delegat MW. W grudniu tegoż roku opracował memoriał, przedstawiając ile tonażu powinno przypaść „rządowi polskiemu od państw centralnych jako części polskiego majątku narodowego w

państwach zaborczych”. Tonaż był opracowany na podstawie procentu podatków, płaconych przez polskie społeczeństwo skarbowo Niemiec i Austrii i użytych na wydatki dla ich marynarek wojennych. Po zakończeniu konferencji pokojowej w Paryżu kmdr Zwierkowski był przez krótki okres *attaché* morskim przy poselstwie RP w Londynie. Od 1919 do 1920 był w Genewie jako stały członek polskiej delegacji przy Lidze Narodów. Do Kraju wrócił w 1920 i już w stopniu kontradmirała objął w styczniu 1921 stanowisko zastępcy szefa Departamentu Spraw Morskich. Od 1923 do marca 1924 kmdr Zwierkowski był szefem Wojskowego Biura Ligi Narodów przy Sztabie Generalnym w Warszawie. W tym charakterze reprezentował Polskę na konferencji ekspertów wojskowych Polski, Łotwy i Estonii w Rydze, latem 1923. Na wiosnę 1924 został mianowany generalnym pełnomocnikiem rządu RP do spraw dotyczących budowy basenu i składów amunicyjnych na Westerplatte. W maju 1925 padł ofiarą tzw. afery minowej i przez następne dwa lata pozostawał w dyspozycji szefa administracji armii. Przeniesiony w stan spoczynku w 1927, zmarł w Warszawie w 1932. Admirał Zwierkowski był odznaczony orderem Polonia Restituta III klasy.

Poufne

Polski Delegat Marynarki

Do Pana Generała Tadeusza Rozwadowskiego
Pełnomocnika Ministerstwa Spraw Wojskowych
w Paryżu*

Paryż, dnia 2 maja 1919 r.

W ten sam sposób jak Francja, Anglia i Stany Zjednoczone zawarły układ pomiędzy sobą dla wzajemnego ubezpieczenia sobie zysków wygranej wojny, nie mogąc opierać politykę państwową zewnętrzną w przyszłości jedynie na teoretycznej Lidze Narodów, tak samo i Polska, chcąc sobie zabezpieczyć nienaruszalność swoich granic ze strony niemieckiej, musi wejść w sojusz wojskowy z Francją¹.

* Memoriał adm. Zwierkowskiego pochodzi z Archiwum Instytutu Polskiego i Muzeum im. gen. Sikorskiego w Londynie (akta ambasady RP w Londynie, sygn.: A.12.49/WB/1A-1) któremu dziękuję za pozwolenie wykorzystania dokumentu w całości. Oprócz nielicznych poprawek ortograficznych memoriał został podany z zachowaniem stylu i pisowni autora.

1. Sojusz polsko-francuski został podpisany w Paryżu 19 lutego 1921 r. Tajną konwencję wojskową podpisano dwa dni później.

Nasze nowouzyskane granice są z punktu widzenia strategicznego najsłabsze od północy. Specjalnie linie naszego wybrzeża morskiego jako też Gdańsk, uważam w razie energicznego natarcia Prus równocześnie ze wschodu i zachodu, nawet przy najsilniejszym ufortyfikowaniu, za odcięte i stracone.

Że Kongres Pokojowy, pomimo zasadniczego przyznania nam prawa do naszych dawnych granic przedrozbiorowych i pomimo tak elastycznego tekstu 13-tej punktacji wilsonowskiej, tyle nam obciął z naszego wybrzeża, zawdzięczamy to bez kwestii *primo loco* nieprzychylnym wpływom polityki angielskiej, która nam tego zapomnieć nie mogła, że jeden z książąt angielskich był w razie zwycięstwa Ententy przez nas proponowany na przyszłego króla polskiego².

Przy prawdziwym zainteresowaniu się Wielkiej Brytanii naszymi sprawami eskadra Ententy byłaby mogła zaraz po 11-tym listopada 1918 roku dopłynąć do Gdańska i zająć względnie zabezpieczyć ten port w taki sam sposób, jak to uczyniła z niektórymi portami morza Adriatyckiego³.

Chwilowo Anglia troszczy się na Bałtyku tylko o dolą Łotyszów, Estończyków i Litwinów, których chce sfederować i wziąć pod swoją stałą opiekę, a nam tymczasem odcina co tylko może z dawnych granic Rzeczypospolitej Polskiej⁴.

Przyznanie protektoratu angielskiego nad Egiptem przez rząd prezydenta Wilsona najlepiej świadczy, do jakiego stopnia punktacje wilsonowskie pozwalają Anglikom interpretować wszystko co chcą na swoją korzyść i to pomimo półoficjalnych zaprzeczeń o istnieniu jakiejś tajnej umowy pomiędzy Anglią a Ameryką na Kongresie, a zatem gdyby Anglia była przychylnie

2. Nieprzychylnie stanowisko Anglii wobec Polski było skutkiem wrogości premiera Lloyd George'a i brytyjskiego MSZ. Rząd angielski wciąż uważał Niemcy za naturalnego partnera handlowego i na długą metę politycznego. Polskę widziano jako klientkę Francji, a Londyn był kategorycznie przeciwny przemożnym wpływom Francji na kontynencie. Wrogie stanowisko Anglii było również skutkiem jej wyczekującego stanowiska co do przyszłości Rosji.

3. Wejście eskadry brytyjskich okrętów do Gdańska nie przedstawiało większych trudności. Warto wspomnieć że 25 grudnia 1918 angielski krążownik HMS Concord zawinął do Gdańska z Paderewskim. Również od 1918 do 1920 działała na wschodnim Bałtyku brytyjska eskadra krążowników, wspierająca walki państw bałtyckich o niepodległość.

4. Eskadra brytyjskiej MW pod dowództwem wpierw adm. Alexander-Sinclaira, a później adm. Cowana miała za zadanie pokazywanie flagi i wspieranie polityki brytyjskiej na wschodnim Bałtyku. W rzeczywistości sprowadzało się to do wsparcia morskiego. Dowódcy eskadry mieli stanowczy rozkaz unikania lądowania brytyjskich marynarzy w Estonii, Litwie i na Łotwie celem wsparcia ich walk przeciw bolszewikom. Wysłanie eskadry na wschodni Bałtyk było częścią ogólnej brytyjskiej polityki interwencyjnej w Rosji. Londyn wcale nie zamierzał sfederować państw bałtyckich pod swoją opieką.

usposobiona dla Polski, mogłaby bez wątpienia i 13 punkt interpretować na naszą korzyść⁵.

Zatem wypada nam bezzwłocznie zorientować naszą politykę morską ku Anglii, ofiarując jej dla przedsiębiorstw Wielkiej Brytanii na drodze specjalnych koncesji, zyski handlowe i przewozowe Gdańska, za które w zamian sądzę że będziemy mogli otrzymać nie tylko polityczne poparcie Albionu przy dalszych naszych aspiracjach państwowych, ale też, wszedłszy raz w stosunki przyjazne, dostaniemy od nich te jednostki zabranej floty niemieckiej, które nam są koniecznie potrzebne do stworzenia wojennej marynarki polskiej, a tym sposobem będziemy mogli zaraz i bez znacznych kosztów wzmocnić obronę naszych granic morskich⁶.

Gdańsk autonomiczny i pod zarządem Ligi Narodów będzie państwem w państwie, a zatem pod tą postacią nie będzie przedstawiał realnej ekonomicznej wartości dla Polski⁷.

Najważniejsze dla nas warsztaty okrętowe firmy Schichau w Gdańsku zostały już niedawno sprzedane amerykańskiemu towarzystwu za 60 milionów marek, a choćby to towarzystwo okazało się z czasem pseudo-amerykańskie, w rzeczywistości niemieckie, Liga Narodów nie pozwoliłaby nam te warsztaty upaństwowić. W przyszłości za panowania Ligi w Gdańsku potrzebne nam więc będzie posłużyć się w rozmaitych sprawach sprzecznych Anglii przeciwko Ameryce sympatyzującej z Niemcami.

Nie ulega kwestii, że HKT będzie nadal koncentrować cały swój wpływ, aby Gdańsk, choć objęty w granice celne państwa polskiego, został w przyszłości zamieszkały przeważnie przez Niemców, więc miasto będzie udzielać na wzór amerykańskich ustaw tylko tym żywiom praw obywatelskich, którzy się zgdańszczyli, czyli zniemczyli.

Gdańskie władze lokalne będą wszędzie i zawsze dawać pierw-

5. W 1914 Anglia ogłosiła protektorat nad Egiptem, który dotychczas był nominalnie pod władzą cesarstwa otomańskiego. Stany Zjednoczone Ameryki formalnie uznały brytyjski protektorat nad Egiptem 22 kwietnia 1919 — na dziesięć dni przed napisaniem powyższego memoriału.

6. Kmdr Zwierkowski odzwierciedla tu dążenia szefa Departamentu Spraw Morskich, admirała Porębskiego. W pierwszych latach dowodzenia MW Porębski chciał oprzeć rozwój marynarki o Anglię. Ta proangielska polityka morska nie przyniosła spodziewanych rezultatów. Anglicy nie interesowali się polskimi sprawami morskimi. Adm. Porębski zmuszony był oprzeć dalszy rozwój MW o Francję, zgodnie zresztą z profrancuską orientacją najwyższych władz wojskowych i oficjalną polityką polskiego MSZ.

Pierwotny zwrot ku Anglii był uzasadniany próbą otrzymania od zwycięskiej koalicji części floty poniemieckiej i poaustriackiej. Uważano nie bez racji, że Anglia będzie miała w tym zasadniczy głos. Niestety rezultat był nikły. Polska otrzymała jedynie sześć poniemieckich torpedowców. Z floty poaustriackiej nie otrzymała niczego.

7. Dopóki nie wybudowano Gdyni, Gdańsk był jedynym portem, przez który Polska mogła uprawiać handel morski i z tej prostej przyczyny przedstawiał ekonomiczną wartość dla Polski.

szeństwo okrętom i kupcom własnym albo niemieckim, czego im zabronić nie można, a za pomocą znanego systemu pruskich szykan w aplikacji ustaw portowych, kwarantanny sanitarnej, wymiaru cła i opłat, kejażu, dostawy wody i węgla, przy reperacjach, dokowaniu, holowaniu, ładowaniu i wyładowywaniu okrętów, przy składaniu towarów do hangarów etc. będą mogli z łatwością niepożądanych przybyszów cudzoziemskich tak na nogach podciąć, aż się sami stamtąd wyniosą⁸. Zatem z początku trzeba nam będzie klin klinem wybijając, zwłaszcza podczas zarządu Ligi Narodów, dlatego proponuję wejść zaraz w układ z rządem angielskim i dopóki czas, interesa polskie zabezpieczyć w Gdańsku opierając się na Londynie.

(podpis): ZWIERKOWSKI

8. Autor trafnie przewidywał trudności, jakie Polskę czekały w Gdańsku. Przez cały okres niepodległości Polska musiała bronić swoich praw w wolnym mieście. Już w 1920 podczas wojny polsko-sowieckiej adm. Borowski, pełnomocnik MSWojsk. w Gdańsku, chcąc przynajmniej częściowo uniezależnić się od niemieckich firm, które kontrolowały wszystkie holowniki w porcie. Zapewniło to częściowo dostawę materiałów przeznaczonych dla Wojska Polskiego.

Kardynał Henryk GULBINOWICZ

HOMILIA W KOŚCIELE MARIACKIM
NA 500-LECIE ŚMIERCI
BŁ. MICHAŁA GIEDROYCIA
Kraków, 11 maja 1985 roku

Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus.

Bracia i Siostry! Pielgrzymi, turyści i okazyjni podróżni, patrząc na stary Kraków, najczęściej myślą: stolica królów, siedziba książąt, biskupów, wyższych uczelni. Miasto ciekawych zabytków architektury sakralnej i dobrej sztuki różnych epok. Ważny ośrodek twórców kultury, kuźnia polskiej myśli i chrześcijańskiego stylu życia, patriotycznych ruchów społecznych. I nade wszystko: Kraków to miasto świętych. Świętość miała tu różne postacie w zależności od etapu rozwijającej się religijności i od

losu całego narodu. Pierwsi święci Krakowa, a myślę nie tylko o kanonizowanych, znaczyli to miasto purpurą krwi przelanej w obronie wolności, ale także ładu moralnego. Następni charakteryzowali się tym, że porzucali świat dla Chrystusa, kryjąc się najczęściej za klauzurą zakonną. Świętość spotkać można było w komnatach królewskich. Jak słyszeliśmy z listu Ojca Świętego sięgała też ona poza mury Uniwersytetu Jagiellońskiego. Mówię o czasie, który nazwano już *felix saeculum Cracoviae*. Ale w tym zachwycającym grodzie nad Wisłą szukano nie tylko świętości. Szukano tu pracy, wiedzy, a przybysze z różnych krajów próbowali tu zrobić życiową karierę. W tym mieście, jak w tyglu, ścierały się ludzkie sprawy, szukając dla siebie właściwego rozwiązania.

Na rozkaz ojca, a może ciągniony magnesem sławy Uniwersytetu Jagiellońskiego, przybył z dalekiej Litwy syn Kunigasa, władcy plemiennego rodu Giedroyciów — Michał. Szukał wiedzy czy kariery życiowej? Trudno dziś odgadnąć. Tym niemniej dzisiajśza uroczystość kieruje naszą uwagę w odległe rubieże Litwy, do kraju, który z Wawelskiego Wzgórza dostrzegły oczy młodziutkiej królowej, dziewczęce oczy Jadwigi. Ucząc się historii chyba każdy z nas dziwił się, czemu dla tego północnego kraju, czemu dla Litwy i mieszkających tam plemion Jadwiga zgodziła się potargać swoje młodzińcze przyjaźnie i uświęcone wołą rodziców uczucie. Dlaczego zerwała z Arcyksięciem Wilhelmem, by poślubić starszego o dwadzieścia kilka lat Władysława Jagiełłę. Dziś już wiemy. U młodziutkiej królowej zwyciężyła chrześcijańska miłość Boga i człowieka. Boga i ludzi, którym należało zanieść dar Chrystusowej prawdy. Jakże musiała być silna wiara w sercu Jadwigi Wawelskiej, skoro zwyciężyła od lat pielęgnowane uczucie do człowieka, którego — wiemy — uczciwie kochała. Dziś wiemy także, że zwyciężyło w Jadwidze przekonanie, że nie ma ważniejszej sprawy dla władcy jak służba narodowi i rzetelne zatroskanie nie tylko o jego sprawy doczesne, lecz także o dusze nieśmiertelne. Jakże odważna decyzja, jak wiele ją kosztująca, ale jak bardzo owocna. Gdyby wówczas Jadwiga pozostała wierna swojemu młodzińczemu uczuciu i swoim młodzięcym marzeniom, rzeczywistość litewskiego narodu poszłaby zupełnie innymi szlakami. Prawdopodobnie nie dane by im było należeć do krajów kultury zachodniej.

Obchody pięćsetlecia śmierci brata Michała Giedroycia, by we właściwych ujrzeń proporcjach, cofają nas do roku 1385, do ważnego aktu zawarcia Unii Polaków z Litwinami w małej miejscowości Krewa, leżącej na terenie dzisiejszej Archidiecezji Wileńskiej. Mija w tym roku okrągłe sześćset lat od tego ważnego zdarzenia. Gdyby nie ono, jakże inaczej potoczyłyby się losy i dzieje tej części Europy. Niewątpliwie Unia Krewska była jednym z najważniejszych wydarzeń tamtych lat. Zważmy, że to ona otworzyła cywilizacji zachodniej szeroko bramy na Wschód i przesądziła o dalszych losach wielu państw i narodów nadbał-

tyckich. Dzięki tej Unii Kościół litewski od sześciu wieków jest częścią Kościoła katolickiego. Zmieszanie się zaś wpływów kulturalnych Wschodu i Zachodu na tamtych ziemiach okazało się bardzo płodne na polu kultury. Zaowocowało szeregiem wybitnych talentów o nieprzemijającym wkładzie nie tylko dla kultury polskiej i ziem z Polską związanych, lecz i dla kultury światowej. Wielu uczonych twierdzi, że najcenniejszym wkładem dla kultury narodów na świecie są święci. Jawią się oni w różnych epokach i znaczą czasy sobie współczesne szczególnym stygmatem. Święci w chrześcijańskim narodzie są żywymi pochodniami wiary oświecającymi trudne drogi w pochodzie do wieczności.

Na fali wspomnianych wydarzeń historycznych jawi się pochodnia oświecająca piętnastowieczny Kraków w osobie świętobliwego brata Michała Giedroycia. Kto go wówczas znał, patrząc na jego skromną powierzchowność, łatwo nie dostrzegał w nim owej pochodni, która oświeca szlaki ku wieczności. Małego wzrostu, chromy od urodzenia tak dotkliwie, że musiał stale postugiwać się kulą inwalidy. Zachowane dokumenty nic nie mówią o jego urodzie i zdolnościach, gorzej, bo nawet nie znamy dokładnej daty jego urodzenia. Znamy natomiast dobrze miejsce jego narodzin. Litwa jest jego ojczyzną. Przyszedł na świat w dziedzicznym dworzyszczu kniazów litewskich, w Giedroyci, parędziesiąt kilometrów na północ od Wilna. Ochrzczony w parafii Bystrzyca, która istnieje do dziś, a którą ufundował Władysław Jagiełło, a o szczodre wyposażenie tego kościoła zatroszczyła się królowa Jadwiga Wawelska. W roku 1390 Jagiełło osadził przy kościele w Bystrzycy zakon św. Augustyna, Kanoników Regularnych od Pokuty, by swoją duszpasterską troską czuwali nad nowo ochrzczonymi mieszkańcami tamtych okolic.

Książ Jerzy Giedroyc, ojciec Michała, zdecydował, że syn mimo kalectwa powinien zdobyć wyższe wykształcenie. Ani Bystrzyca, ani nawet Wilno ówczesne takich możliwości nie miało. Wysłał więc do Krakowa na nowo powstały Uniwersytet swojego syna. Przybył on pod opieką Kanoników Regularnych od Pokuty do królewskiego grodu w roku 1461. W tym roku znajdujemy już jego imię i nazwisko wpisane w rejestry studentów. Z metryki uniwersyteckiej nic nie możemy wywnioskować, czy był zakonnikiem na Uniwersytecie. Raczej z wielkim prawdopodobieństwem możemy twierdzić, że był świeckim studentem. Spełnił polecenie ojca. On, prawie czterdzieści lat mający mężczyzna, zasiadł na ławie uczelni na równi z innymi scholarami. W roku 1465 zdobywał stopień bakałarza. I to był rok jego wstąpienia do zakonu św. Augustyna Kanoników Regularnych od Pokuty przy kościele św. Marka Ewangelisty w Krakowie. Będąc kalekim, wiedział, że niełatwo zostanie kapłanem. Zadowolili się więc pozycją brata zakonnego, któremu przełożeni zlecili urząd zakrystiana w klasztornym kościele.

Kniaziowy syn umiłował całym swym sercem dom Boży. Za-

troskany o niezliczone szczegóły swego obowiązku, całe dnie spędzał w świątyni. Podziwiano jego zaradność, gorliwość w służbie liturgicznej, oddanie świątyni i bezgraniczną cierpliwość wobec wszystkich, których Bóg postawił mu w miejscu jego służby. Ludzie cenili jego rozmodlenie, postawę otwartą na potrzeby bliźnich, szczerość i otwartość serdeczną tak właściwą ludziom pochodzącym z północnego wschodu. Garnęli się do niego wszyscy dotknięci biedą, kłopotem i powierzali jego modlitwom sprawy, których sami rozwiązać nie potrafili. On zaś, rozmodlony szczerze, rozmiłowany w rozważaniach męki Pańskiej i boleściach Chrystusowej Matki, modlił się żarliwie w cudzych sprawach. I o dziwo, wracali ludzie z podziękowaniami, gdyż ich prośby Bóg wysłuchiwał. Zaczęto brata Michała nazywać błogosławionym. I tak to już owo nazwanie do niego przyłgnęło. I stali się Ojcowie od Pokuty rezydujący przy kościele św. Marka sławni dzięki rozgłosowi, jaki zdobył sobie cierpliwością, dobrocią serca i pokornym otwarciem się na świętość Boga brat Michał. Całe życie zakonne upłynęło mu z dala od stron rodzinnych, których już nigdy nie oglądały jego oczy. Zapewne tęsknił do swojej Giedroyci. I może prosił Ukrzyżowanego, by jego duszę utęsknioną przeniósł do tych pagórków leśnych, do tych łąk zielonych, do pól malowanych zbożem rozmaitem, wyłaczanych pszenicą, posrebrzanych żytem.

Brat Michał zwany błogosławionym za dobroć, łagodność i wrażliwość na sprawy bliźnich zaczął być pochodnią, która oświeca drogi ku wieczności. Kniaziowy syn — na służbie potrzebujących. Następca na stolcu plemiennych władców, zapomniał o swoich prawach i przywilejach. On wyczytał z Chrystusowego krzyża nowy sposób uświęcania siebie. Dzięki oświeceniom Chrystusa pojął, że między życiem a religią nie może być przeciwieństwa. Codzienny trud daje nam możliwości uświęcenia i zdobycia zasług na wieczność. Praca nie jest tylko okazją do zdobycia dóbr materialnych. Praca ma ogromne wartości religijne. Bo każdy nasz godziwy czyn jest przedłużeniem dzieła stwórczego, dzieła stwórczego Pana Boga. Surowce pozostawione przez Boga na ziemi czy w ziemi są zachętą wpisaną w naszą codzienność przez Wszechmogącego, by człowiek włączył się w tym miejscu, gdzie On, Bóg, jakby skończył swoje dzieło. Bo Bóg chce, byśmy byli współtwórcami. I to nasze włączenie się daje pracy charakter religijny. Wielbić Boga znaczyło przez długie wieki, nawet w Kościele, wzgardzić rzeczami w Jego imię. Wyrzec się materii z miłości ku Bogu. Dziś wielbić Boga, także w Kościele, znaczy tworzyć razem z Nim, własnym umysłem doskonalić świat.

Na pewno w życiu brata Michała Giedroycia były chwile, gdy zmęczony codzienną pracą zatrzymywał się przed Ukrzyżowanym i na tacy swoich rąk składał codzienny trud Bogu. W ten sposób dał nam przykład, jak przez po Bożemu przeżywanie dnia powszedniego możemy czynić postęp w życiu duchowym. Bez trudu zauważyliśmy wszyscy, że ta forma ascezy i uświęcenia naszego

jest dostępna dla wszystkich warstw i wszystkich stanów. Możliwa jest do zrealizowania w każdym okresie naszego życia. I w tym leży aktualność brata Michała zwanego błogosławionym, zmarłego przed pięciuset laty. Za czasów brata Michała tyłu było w Krakowie wielkich profesorów, znakomitych polityków i mężów stanu, dostojników kościelnych i artystów. Lecz na obliczu miasta najgłębszy rys świętości wypisał Michał Giedroyc, zakrystian od św. Marka. Stało się tak dlatego, że za swojej codzienności — która jednak jest udziałem królów, biskupów i ludzi fizycznego trudu, jednak jest udziałem twórców kultury i robotników — uczynił z tej codzienności dobry użytek. Codziennność bowiem z woli Pana Boga jest tworzywem, z której każdy z nas ma wykuć sobie koronę wiecznej chwały. Codziennność zawodu czy powołania, monotonia pracy czy służby, móżół tworzenia jest tym terenem, na którym Bóg chce się spotykać z nami, by przez codzienność dobrze przeżytą nas uświęcić. Bardzo więc ważne, byśmy na szlakach codzienności nie minęli się z Panem Bogiem. I warto zapamiętać, że za szarą codziennością ukryty, czeka na nas Pan.

Myślę, że z dzisiejszej uroczystości ku czci brata Michała Giedroycia my, ludzie końca XX wieku, powinniśmy wynieść szacunek dla naszej codzienności. Dostrzegać lepiej wartość i zdobyć przekonanie, że w życiu naprawdę, nawet po wiekach, jak tego daje dowód brat Michał, liczy się tylko świętość. Politycy i ekonomiści twierdzą, że Europa dzisiejsza przestała być potęgą gospodarczą i militarną, jak to było jeszcze przed paru wiekami. Ale mimo wszystko Europa wciąż jest potężnym bastionem chrześcijaństwa, a więc jest potęgą duchową. I kiedy się dobrze przyglądnijemy ostatnim dziesięcioleciom, to dojdziemy do wniosku, że taka Europa jest nieustannie kuszona do otwarcia drzwi przed antychrześcijańskim światopoglądem zorganizowanym w system absolutnego materializmu różnych maści. Ten system nie boi się czołgów ani samolotów ponaddźwiękowych, nie boi się bomby atomowej czy jeszcze groźniejszej broni. Ten system absolutnego materializmu boi się świętych. Tych dawnych, którzy patronowali rozwojowi duchowemu Europy, i tych, którzy dziś stróżują przy wartościach chrześcijaństwa. I stróżują, by Europa nie uległa pokusom owego materialistycznego kuszenia. Warto więc być świętym, skoro Bóg chce, byśmy strzegli duchowych wartości, które przyniósł na ziemię Jego Syn, Jezus Chrystus. Warto być świętym, by dzięki temu Europa wciąż była bastionem nadprzyrodzoności, utrzymującym poprawnie równowagę dzisiejszego świata. A chyba tej równowagi bardzo potrzeba. Niech nam pomoże w tej pracy brat Michał Giedroyc zwany błogosławionym. Błogosławiony Patron naszej ludzkiej i chrześcijańskiej codzienności. Amen.

Kardynał Henryk GULBINOWICZ

PADEREWSKI W HISZPANII

Po upadku Francji znalazłem się wraz z kilku kolegami w Hiszpanii, aby następnie dostać się do Madrytu. Tam po pewnym czasie powierzono nam zorganizowanie i prowadzenie „przemytu” Polaków, dążących do Armii Polskiej w Wielkiej Brytanii. Czas mijał i policja hiszpańska zaczynała się coraz bardziej interesować dziwnymi „woźnymi” i „szoferami” polskiego poselstwa w Madrycie, którzy za dużo i za często włóczyli się po kraju. Postanowiłem wyjechać z Hiszpanii, gdyż ziemia zaczęła mi się coraz bardziej palić pod nogami.

Pewnego dnia przyszła bardzo niejasna wiadomość z Saragossy, że przyjechał tam w drodze do Portugalii jakiś polski muzyk z dużą świtą. Zatrzymani zostali w jednym z hoteli, policja nie wpuszcza nikogo, hotel jest pełen tajniaków. Poseł Szumlakowski doszedł do przekonania, że musi to być Paderewski (być może miał uprzednio wiadomości o planach wyjazdu Paderewskiego do Stanów Zjednoczonych, tego nie wiem).

Na marginesie warto dodać, że poseł Szumlakowski miał duże „chody” w rządzie Franco, gdyż w czasie oblężenia Madrytu przechowywał w poselstwie kilku czy kilkunastu frankistów, którzy zajęli później poważne stanowiska w rządzie. Niestety poseł Szumlakowski bał się utracić swoje stosunki i robił wszystko, żeby się nie narażać. Mówiliśmy, że bał się własnego cienia. A Franco rządził naprawdę żelazną ręką. Dosłownie całe dzielnice Madrytu i innych miast były otoczone zasiekami z drutu kolczastego, za którymi w zarekwirowanych domach siedzieli najrozmaitsi „czerwoni” od komunistów, anarchistów, republikanów i katolickich Basków. Na wyjazd dalszy niż — o ile pamiętam — 50 kilometrów trzeba było mieć przepustkę. Bez niej nie można było kupić biletu na autobus lub pociąg.

Poseł Szumlakowski stanął przed dość trudnym problemem do rozwiązania:

1. Czy wiadomość otrzymana przez „nasze” źródła była prawdziwa? (A była ona naprawdę bardzo mętna).

2. Jeśli tak, to czy ten muzyk jest jakimś nieznanym Polakiem, czy też rzeczywiście Paderewskim?

3. Jeśli zaś jest „tylko” Polakiem, a nie Paderewskim, to czy opłaca się narażać dobre stosunki z rządem hiszpańskim, które i tak już zaczęły się psuć pod silnym naciskiem Niemców i Włochów, nalegających na Franco, by cofnął uznanie polskiej placówki?

Genialne rozwiązanie tych trudności zaproponował konsul Kobyłecki. Zasugerował mianowicie, aby dla sprawdzenia faktycznego stanu rzeczy wysłać do Saragossy biskupa Kubinę, który

wówczas przebywał w Madrycie. Biskup Kubina był osobistością bardzo reprezentacyjną: duży, noszący się z wielką godnością mężczyzna o tubalnym głosie i wielkiej pewności siebie. Czy poseł Szumlakowski kontaktował się w tej sprawie z Londynem ma się rozumieć nie wiem. Ale ostatecznie zapadła decyzja, że mój przyjaciel Mieczysław Wojciech Fangor jako szofer, jeden ksiądz do asysty i biskup Kubina pojadą niezwłocznie do Saragossy i jeśli to będzie możliwe, skontaktują się z Paderewskim. Biskup Kubina ubrał się na podróż w najbardziej oficjalne biskupie szaty, aby nikt nie miał wątpliwości, kim jest. W owym czasie biskup był w Hiszpanii wielką figurą, policja i rząd bardzo się liczyli z sukienką biskupią.

Wczesnym rankiem bp Kubina i Wojtek Fangor wsiedli do samochodu i pojechali, ma się rozumieć bez żadnej przepustki. Żandarmeria hiszpańska zatrzymywała ich po drodze kilka razy, ale na widok biskupa salutowała i przepuszczała samochód bez kontroli. W Saragossie samochód zatrzymał się przed hotelem. Wojtek Fangor wyskoczył i zgięty w pół otworzył drzwi biskupowi, przyklęknął, ucałował pierścionki. Biskup Kubina wysiadł, uniósł rękę, pobłogosławił Gwardię Cywilną, tajniaków i resztę zebranych ludzi, po czym wolno, z godnością i spokojem zaczął wchodzić na schody hotelowe. Wojtek i drugi ksiądz, którego nazwiska niestety nie pamiętam, szli za nim. Nikt ich nie zatrzymał. Dopiero na piętrze Paderewskiego kapitan Gwardii Cywilnej zdobył się na odwagę i spytał, dokąd Jego Ekscelencja zmierzają. Biskup Kubina tubalnym głosem odpowiedział: „Idę ucałować rękę jednego z największych ludzi naszych czasów”. Wszyscy zdębieli: w Hiszpanii żaden biskup nikogo nie całował w rękę. W ten sposób biskup Kubina wraz z Wojtkiem Fangorem dostali się do Paderewskiego. Wkrótce jednak kapitan Gwardii Cywilnej, który pewnie porozumiał się z Madrytem, grzecznie wyprosił biskupa Kubinę z apartamentów Paderewskiego. Ale zadanie zostało spełnione. Wiedzieliśmy, że Paderewski został w Hiszpanii zatrzymany. Dalsze jego losy były nieznane.

Po powrocie delegacji do Madrytu poseł Szumlakowski porozumiał się podobno z Londynem. Pono prezydent Roosevelt, zawiadomiony przez władze polskie, depeszował do gen. Franco, dziękując mu za zajęcie się jego przyjacielem, w wyniku czego Paderewski bodaj na trzeci dzień wyjechał do Stanów.

Opuściłem Hiszpanię chyba na rok przed Wojtkiem Fangorem. Spotkaliśmy się ponownie w Polskim Ośrodku Rekrutacyjnym w Windsor, Ontario (Kanada). Pokazał mi tam parę zdjęć z wyprawy do Saragossy. Na jednym z nich bp Kubina dumnie stoi w wąwozie Saragossy. Podobno mówił, że druga taka okazja nie zdarzy mu się w życiu.

Inżynier Fangor zmarł niestety przed paru laty, ale jestem pewien, że jego żona jest w posiadaniu tych zdjęć.

Opowiadanie powyższe pochodzi „z drugiej ręki” i nikt już chyba nie jest w stanie potwierdzić jego prawdziwości. Być

może akta poselstwa w Madrycie (obecnie przypuszczalnie w Londynie) zawierają jakąś korespondencję lub depesze w tej sprawie. Mogę jednak zapewnić, że jako postronny świadek, który właśnie wyjeżdżał z Hiszpanii, nie mam co do prawdziwości tej relacji żadnych wątpliwości. Później w Kanadzie Wojtek Fangor kilka razy wracał do tej historii. Z jego opowieści odniosłem wrażenie, że Mistrz Paderewski był już zupełnym staruszkiem, z którym trudno się było nawet porozumieć, gdyż pani Paderewska lub jego sekretarz momentalnie przejmowali inicjatywę.

Może tych kilka słów przyda się w przyszłości jakiemuś historykowi, który będzie pisał o tym wielkim Polaku.

A. A. ŚWIDERSKI, P. Eng.

DOKUMENTY

INFORMACJA O POSIEDZENIU SENATU UW w dniu 4 grudnia 1985 roku

Z porządku obrad usunięto punkt o nadaniu doktoratu *honoris causa* W. Brandtowi, który nie wyraził na to zgody. Na wstępie Jego Magnificencja poinformował, że 28 stycznia br. Minister NiSzW wezwał zespół rektorski na rozmowę, która odbyła się w 3 fazach: w 1-szej wyznaczony przez Ministra zespół (w składzie: wiceminister Nowacki, dyrektor departamentu studiów uniwersyteckich Stemperski oraz przedstawiciele KC, KW Warszawa i KW Białystok) obradował we własnym gronie, a JM oczekiwał na korytarzu; w 2-jej w/w zespół prowadził rozmowy z JM, a w 3-jej z całą ekipą rektorską. JM Rektora powiadomiono, że zespół rektorski pozostanie w dotychczasowym składzie. Natomiast Minister nie potwierdził pełnienia funkcji przez szereg osób. Po 2-godzinnej rozmowie niektóre z nich zgodzono się pozostawić na stanowiskach. Zdjęci zostali: prof. Koczorowski — dziekan Wydziału Chemii; doc. Wyrobisz — dziekan i doc. Dobroński — prodziekan Wydziału Humanistycznego Filii UW w Białymstoku; doc. Majda — dziekan i doc. Sieroszewski — prodziekan Wydziału Neofilologii; doc. Grzelak — kierownik Zakładu Nauk Psychologii. Wiceminister Nowacki zaproponował JM Rektorowi, żeby sam podpisał decyzje o niepotwierdzeniu pełnienia funkcji przez wyżej wymienionych. Wobec odmowy JM, który w dyskusji reprezentował pogląd, że nie należy dokonywać żadnych zmian i przy tym poglądzie pozostał, decyzje podpisał wiceminister. Według ustawy rektor — za zgodą ministra — musi mianować na zwolnione funkcje inne osoby. W związku z tym JM uzgodnił z Wydz. Neofilologii kandydaturę doc. Tubielewiczowej, którą po uzyskaniu zgody ministra powołał na dziekana. Wstępne rozmowy dotyczyły kandydata na dziekana Wydziału Chemii. JMagnificencja napotkał trudności na Wydziale Humanistycznym Filii w Białymstoku, gdzie spośród zatrudnionych tam 8 samodzielnych pracowników 2 już zdyskredytowano. JM zaznaczył, że decyzje Ministra stworzyły na UW trudną sytuację — o ile trudności będą się

piętrzyć, liczy się z możliwością podania się do dymisji, ponieważ do pracy trzeba mieć warunki. JM stwierdził, że zapewne osoby obecnie mianowane nie będą się cieszyć takim poparciem środowiska jak ich poprzednicy, lecz życzyłby sobie, aby to poparcie posiadały i chciałyby w tym dopomóc. JM podał niepełne — jak zaznaczył — dane dotyczące innych uczelni: ogółem zdjęto z funkcji ok. 40-50 osób; na Politechnice Warszawskiej — rektora, 3 dziekanów i 4 prodziekanów (w innych uczelniach warszawskich nie było odwołań); na Uniwersytecie w Gdańsku — rektora i prorektora; na UAM w Poznaniu — rektora, prorektorów i wszystkich dziekanów, z wyjątkiem jednego, który podał się do dymisji; na UMK w Toruniu — 1 prorektora i 1 dziekana; na Uniwersytecie we Wrocławiu — 2 dziekanów, 2 dyrektorów instytutu, 1 kierownika katedry, 1 kierownika zakładu; na Akademii Rolniczej w Krakowie — prorektora, na co rektor i 2-gi prorektor podali się do dymisji.

Po informacji JM odczytano protestujące przeciwko decyzjom Ministra uchwały wydziałów Biologii, Filozofii i Socjologii, Polonistyki, Psychologii oraz uchwałę większości pracowników Wydziału Neofilologii. Zaproszona jako gość przedstawicielka młodej kadry Filii w Białymstoku przekazała opinię Wydziału Humanistycznego, że krytyczna sytuacja, zaistniała po zdjęciu dziekana Wyrobisza, grozi rozpadnięciem się tego wydziału — jednego z 4 wydziałów Filii. Również w odczytanej przez doc. Makowieckiego uchwale kolegium dziekańskiego Wydziału Polonistyki, w której stwierdza się, że w związku z tym dyrektor Instytutu Polonistyki Filii, prof. Karwacka podała się do dymisji, podkreślono, że w wobec tej groźby nie wiadomo, czy w bież. roku akademickim Wydział Humanistyczny będzie w stanie przeprowadzić rekrutację na studia.

W burzliwej dyskusji protest przeciwko decyzjom Ministra wyrazili m.in. prof. Haman (Fizyka), dziekan Lewandowski (Ekonomia), prof. Mika (Psychologia), prof. Murzynowski (Prawo), dziekan Moszyńska (Matematyka), dziekan Niciuński (Filia), prof. Pietrzak (Prawo), doc. Stanosz (Filozofia), prof. Szymacha (Fizyka), doc. Świda-Zięba (IPSiR), dyr. Tymowski (IPSiR). Podkreślano, że arbitralne decyzje Ministra, represyjne i nieuzasadnione, nie biorą pod uwagę jakości pracy, grożą destrukcją uczelni, czym upamiętni się w historii obecny Minister. Z drugiej strony wskazywano na wewnętrzne warunki na UW, które spowodowały odwołanie określonych osób; organizacje partyjne na Wydziale Chemii i Neofilologii, od dawna znane jako patologiczne i skonfliktowane ze swoim środowiskiem, pod pozorem wykonywania kierowniczej roli wystąpiły przeciwko niemu wydając ujemne opinie o pochodzących z wyboru dziekanach. Poproszony o wyjaśnienie I sekretarz KU PZPR doc. Kusiński przyznał, że wydziałowe organizacje partyjne pozostawały w konflikcie ze środowiskiem; dziekani nie umieli temu zaradzić, toteż ich odwołanie było jedynym wyjściem; wydziałowe organizacje partyjne wystawiły opinie, lecz bez wniosków o odwołania. Na pytanie, czy egzekutowa lub on osobiście zwracali się do innych osób, spoza organizacji partyjnej, stwierdził, że przeprowadził rozmowy z wybranymi przez siebie osobami, które potwierdziły zarzuty organizacji partyjnych. Na pytanie, czy pozostałe stronnictwa polityczne też wystawiały opinie, przedstawiciele SD i ZSL stwierdzili, że opinii takich nie wystawiali, zaś o odwołaniach dowiedzieli się po fakcie. Wyrazili nadzieję, że będą uczestniczyć w komisjach przeprowadzających przewidziany na najbliższe miesiące generalny przegląd wszystkich nauczycieli akademickich (do prof. zwyczajnych włącznie), na co JM wyjaśnił, że nie ma jeszcze wytycznych odnośnie tego przeglądu.

Powołano komisję do opracowania projektu uchwały Senatu w sprawie

decyzji Ministra w składzie: prof. Haman (Fizyka), doc. Makowiecki (Polonistyka), prof. Moszyńska (Matematyka), prof. Pietrzak (Prawo), doc. Świda-Zięba (IPSiR). Ponieważ w dyskusji wyłoniły się sprawy wymagające oddzielnego przedstawienia, komisja proponowała projekt dwu uchwał: 1) dotyczącą sytuacji ogólnej krajowej; 2) dotyczącą sytuacji na UW. W dyskusji nad projektami głos zabrali m.in. doc. Kusiński, dziekan Przecławski (Pedagogika), dr Wit Majewski (ZNP), prof. Kukliński (Geografia), którzy kwestionowali szczegółowe sformułowania jako zbyt ostre lub nieuzasadnione; podkreślali, że nie będą głosować na takie teksty; sugerowali, by uchwał nie podejmować. Doc. Kusiński powołując się na słowa Pisma Świętego „Po owocach ich poznacie je” stwierdził, że odwołania na UW są konsekwencją negatywnej sytuacji, która trwa od kilku lat. Oświadczył, że będzie głosował przeciwko obu uchwałom.

Po dokonaniu poprawek komisja przedstawiła nowe redakcje projektów, przy czym z tekstu 2) usunięto nazwę „PZPR”. W dyskusji doc. Kusiński, dziekan Przecławski i dr Wit Majewski poddali ostrej krytyce oba teksty.

W głosowaniu jawnym Senat przyjął obie uchwały (uchwała 1 — 38 głosów „tak”, 3 „nie”, 4 wstrzymały się; uchwała 2 — 38 głosów „tak”, 4 „nie”, 3 wstrzymały się. Uwaga: teksty do wglądu na wydziale). Po głosowaniu płk Nowakowski stwierdził, że nowelizacja okazała się zbawienna, doprowadziła do uspokojenia nastrojów — wyjątkiem był głos pracowników Wydziału Neofilologicznego przeciwko nowelizacji. Rektor nie został zdjęty, ponieważ przyczynił się do spokoju na UW. Spodziewano się wszakże, że spokój utrzyma się do 30 listopada br. i rzeczywiście „ten dobroć spokoju” teraz zniszczyły aż dwie uchwały. Doc. Kusiński i płk Nowakowski podkreślili, że Minister słusznie zdejmuje pracowników państwowych, których podejrzewa o nielojalność wobec jego opinii i stanowisk. W odpowiedzi na to prof. Niciński stwierdził, że obowiązuje go lojalność tylko wobec własnego sumienia. Dr Geller (Fizyka) zapytał o ostateczne stanowisko PZPR w sprawie dziekanów oraz o przygotowywaną — jak się mówi — przez KU PZPR listę pracowników do zwolnienia. Na pierwsze pytanie doc. Kusiński odpowiedział, że w dniu 3 grudnia br. na zebraniu plenarnym KZ PZPR informację o odwołaniach przyjęto bez sprzeciwu; na drugie — zaznaczając, że nie zajmuje się plotkami — odmówił odpowiedzi.

Ze spraw bieżących: JM poinformował m.in., że na otwarciu wystawy „Insygnia UW” był obecny I sekretarz KW; JM odczytał pismo, w którym Minister, nie podając powodów, odmówił mianowania na stanowisko docenta dr hab. Rapackiej (Polonistyka); JM podejmie interwencję w tej sprawie; na interwencję w analogicznej sprawie dr. hab. Kurczewskiego (IPSiR) oczekuje pozytywnej odpowiedzi, JM zwrócił się do dziekanów o pisemne informacje, jak zrealizowali zalecenia po przeprowadzonej w ub. roku akademickim kontroli NIK-u i Inspekcji Pracy, gdyż tych informacji żądają władze. W zastępstwie przedstawiciela UW w Radzie Głównej prof. Tarkowskiego, prof. Kwiatkowski (uwaga: wybrany w październiku br. przedstawicielem UW do RG na nową kadencję) złożył sprawozdanie z ostatniego w upływającej kadencji posiedzenia Rady Głównej; poinformował m.in., że na tym posiedzeniu RG zaopiniowała zarządzenie Ministra o zasadach i trybie ocen nauczycieli akademickich; zarządzenie to wkrótce się ukaże. — Prof. Murzynowski w krótkiej informacji o pracy Komisji d/s Pomocy Prawnej podał m.in., że obecnie 3 osoby z UW są pozbawione wolności. Zwolniono 8 osób.

KRONIKA

J.L.

TRZECIA POLSKO-SZWEDZKA KONFERENCJA HISTORYCZNA

W dniach 23-27 września 1985 odbyła się w Sigtunie koło Sztokholmu trzecia Polsko-Szwedzka Konferencja Historyczna. Ponieważ nie istnieje jakiś naturalny problem, ogniskujący zainteresowania, przeto obrady były pomyślane jako zupa jarzynowa, skomponowana z surowców „czym chata bogata” i oczywiście... bezmięsa. Istnieje rzecz jasna wiele ciekawych problemów, niekoniecznie z zakresu stosunków polsko-szwedzkich, mogących wywołać ciekawą dyskusję, ale w takim wypadku wątpliwe, czy mogliby w niej wziąć udział zaleźni od władz polscy badacze.

Mimo takich założeń naukowcy szwedzcy przedstawili referaty ładnie opracowane, również pod względem formy literackiej. Kilka referatów stanowiło również wkład w naukę. Mam tu na myśli przede wszystkim dr. Erlanda F. Josephsona, który mówił o obrazie Polski w latach 1918-1945 w szwedzkich pamiętnikach. Uznanie wzbudził również prof. Anders Aman porównaniem architektury szwedzkiej i polskiej w okresie międzywojennym.

Wkład przedstawicieli PRL wypadł nieciekawie. Zarządzenie sekretarza naukowego PAN, Kaczmarek, iż wyjeżdżać mogą tylko naukowcy reprezentujący poglądy władzy, spowodowało że w dziesięcioosobowej delegacji prym wodzili ludzie o dość niejasnych powiązaniach z nauką. „Naukowcy w cywilu” są w każdej reprezentacji PRL, ale tym razem, chyba dzięki zarządzeniu, z tła przesunęli się na plan pierwszy. Niektóre referaty nawet na seminarium magisterskim byłyby żenujące. W tej sytuacji uczeni, do których mimo wszystko zaliczę prof. prof. Żarnowskiego i Tazbira, widocznie dostosowali się do średniego poziomu. Rozumie się też, że żadnych tam protestów nie podpisywali.

Dla czytelnika, zaznajomionego z obyczajami PRL, nie będzie zaskoczeniem stwierdzenie, że kilku polskich referentów dosiadło ujeżdżonego konia czy to niemieckich okrucieństw, czy walki przeciwko niemieckiej okupacji. Czynili to na tym samym poziomie refleksji, co inni referenci. Na ogół takie wypracowania spotykają się z milczeniem, nikt nie chce być podejrzanym o negowanie zbrodni, poświęcenia, patriotyzmu. Widocznie jednak jakieś paradygmaty ulegają zmianie, nawet w Szwecji. Padały więc pytania, dlaczego zostały przemilczane okrucieństwa sowieckie lub ruch oporu pod okupacją sowiecką. Poziom odpowiedzi na te pytania pominiemy litościwym milczeniem.

J. L.

LISTY DO REDAKCJI

New Haven, Ct., 27 stycznia 1986.

Szanowny i Drogi Panie Redaktorze,

Zapewne chochlik drukarski sprawił zniekształcenie dwóch nazwisk cytowanych w mojej recenzji książki J. Karskiego w *Zeszytach Historycznych* nr 74 (1985).

Gubernator Banque de France nazywał się Moreau, a nie Morlau (str. 160), zaś historyk francuski Bariéty podany jest błędnie jako Beriéty, (str. 162).

Będę wdzięczny za zamieszczenie tego sprostowania.

Wyrazy prawdziwego poważania łączę

Piotr WANDYCZ

SPIS TREŚCI

Krzysztof Pomian: <i>Przestrzeń i czas historii</i>	3
Andrzej Sulima Kamiński: <i>Ludzie „zniewolonego umysłu” a emigracja</i>	8
Michał Budny: <i>Jak to było z Zaolziem</i>	25
Michał Heller: <i>Wczoraj i dziś w „Czerwonym kole” Sotze- nicyna</i>	31

WSPOMNIENIA

Zbigniew Brzeziński: <i>Cztery lata w Białym Domu</i>	49
Bronisław Krzyżanowski „Bałtruk”: <i>Wileński Matecznik, część II</i>	79

DOKUMENTY

Jerzy J. Lerski: <i>Socjaliści polscy do brytyjskich</i>	122
Bernadetta Tendyra (opr.): <i>Archiwum prof. Stanisława Kota</i>	140
<i>List Jerzego Kurcjusza do profesora Stanisława Kota</i>	146

POLSCY SOJUSZNICY

Anna M. Cienciała: <i>Polska w polityce brytyjskiej i fran- cuskiej w 1939 roku: wola walki czy próba uniknięcia wojny?</i>	152
	237

RECENZJE

Tymoteusz Klempski: <i>„Ich” drogi do nikąd</i>	184
Kajetan Bieniecki: <i>Cichociemni</i>	200
Z. S. Siemaszko: <i>Relacja dowódcy Brygady Świętokrzyskiej</i>	210
Tadeusz Lisicki: <i>Ważna pozycja na anglosaskim rynku</i> ..	213
Piotr Wandycz: <i>Nowe książki</i>	216

OKRUCHY HISTORII

Andrzej Suchcitz: <i>Memoriał admirała Zwierkowskiego w sprawie Gdańska — maj 1919</i>	219
Henryk Gulbinowicz, kardynał: <i>Homilia w kościele Mariackim na 500-lecie śmierci bł. Michała Giedroycia</i>	224
A. A. Świdorski: <i>Paderewski w Hiszpanii</i>	229

DOKUMENTY

<i>Informacja o posiedzeniu Senatu UW w dniu 4 grudnia 1985 roku</i>	232
--	-----

KRONIKA

J.L.: <i>Trzecia polsko-szwedzka konferencja historyczna</i> ..	235
---	-----

LISTY DO REDAKCJI

Piotr Wandycz: <i>Sprostowanie do recenzji książki J. Kar-skiego „Wielkie mocarstwa a Polska 1919-1945” (Ze-szyty Historyczne nr 74)</i>	236
--	-----

ACHÈVE D'IMPRIMER
LE 21 FÉVRIER 1986
SUR LES PRESSES DE
L'IMPRIMERIE RICHARD
24, RUE STEPHENSON,
PARIS (XVIII^e).

Dépôt légal : 1^{er} trim. 1986.

N° d'imprimeur 7480.

